ŚLĄSK – ZDRÓJ

CENA 5 ZŁ (w tym 5% VAT)

ISSN: 1425-3917 NR INDEKSU 33328X

ŚLĄSK

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Numer dofinansowany ze środków Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w Katowicach

Nr 7-8 (213) • ROK XIX • LIPIEC – SIERPIEŃ 2013

ISSN 1425-3917 07

9 771425 391301

MONIKA KRASIŃSKA: Afganistan – byłam w piekle

GRZEGORZ BĘBNIK: Historycy o Wołyniu

WIESŁAW KOSTERSKI: Autostradą nie tylko do nieba

ELŻBIETA PIERSIAKOWA: Rock spod ziemi – Poziom 600

TADEUSZ KIJONKA: Tryptyk Wiślany

Poezja i proza: BOBAK, GAMZA, GUZY, JEDZ

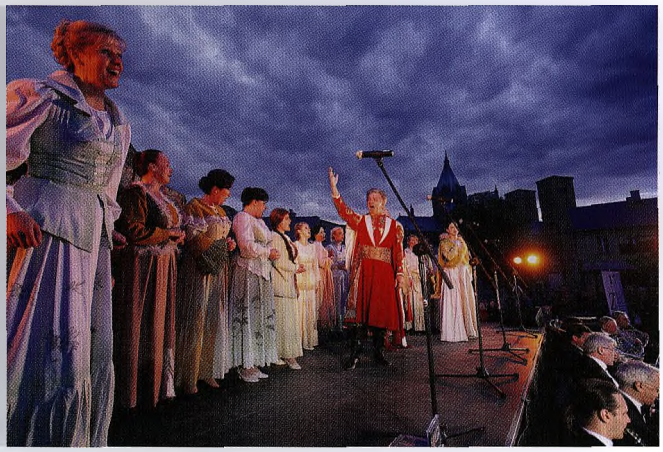




Fot. Zbigniew Sawicz

Przedpremierowy pokaz filmu „Wojciech Kilar. Credo" odbył się w kinie „Kosmos" Centrum Sztuki Filmowej w Katowicach z udziałem bohatera filmu – Wojciecha Kilara, realizatorów, przyjaciół kompozytora i licznych zaproszonych gości. Realizatorami filmu byli Violetta Rotter-Kozera i Zdzisław Sowiński (scenariusz i reżyseria). Zdjęcia do filmu (Sławomir Chudowski) zostały zrealizowane w klasztorze Jasnogórskim (za klauzurą), we Lwowie, Worochcie, Paryżu i Sewilli. Drugi pokaz filmu odbył się w klasztorze na Jasnej Górze.

„Straszny Dwór" Stanisława Moniuszki wystawiony przez Polską Operę Kameralną (dyrektorem naczelnym i artystycznym jest Kazimierz Kowalski – znany bas, wieloletni dyrektor Teatru Wielkiego w Łodzi) na rynku Starego Miasta w Czeladzi, był interesującą propozycją tegorocznej, czternastej edycji Festiwalu Ave Maria – największego wydarzenia muzycznego w Zagłębiu Dąbrowskim. Festiwal odbywał się w dniach 31 maja – 2 czerwca br., a w programie prócz plenerowego spektaklu operowego znalazł się – zaprezentowany w kościele św. Stanisława B.M. koncert „Kazimierz Kowalski zaprasza" oraz wieczór pieśni maryjnych.
(Więcej o festiwalu w Notatniku kulturalnym. Katowice na str. 102)



Fot. Grzegorz Wilk



Fot. z materiałów TDZ w Będzinie

Zainaugurowany przed rokiem przez Teatr im. S. Wyspiańskiego projekt „Lato w Malarni" okazał się hitem ubiegłorocznych wakacji. Nic więc dziwnego, że impreza znalazła kontynuację i cieszy się ogromną popularnością. W piątkowe i sobotnie wieczory lipca i sierpnia w pięknie odnowionej trzeciej scenie Teatru Śląskiego można oglądać ciekawe spektakle, które przyjechały na katowicką scenę z całej niemal Polski. Tegoroczną edycję zainaugurowała „Audiencja III, czyli raj Eskimosów" wg Bogusława Schaeffera w reżyserii Bogusława Semotiuka w wykonaniu zespołu Teatru Niepotrzebnego z Krakowa. Nowością (ale jakże udaną) okazała się Scena Klubowa Malarni, gdzie po spektaklach toczą się długie dyskusje. To znakomita propozycja dla wszystkich, którzy wakacje spędzają w mieście, a także dla oczekujących lub powracających z urlopu. Na zdjęciu: „Mroczna gra albo historie dla chłopców" C. Murillo, w reżyserii Henryka Adamka, Teatr Dzieci Zagłębia w Będzinie.

Nasz partner

Rybnik. Miasto z ikrą.

MAŁGORZATA ANNA BOBAK

Wielkie miasto

Wielkie miasto lubi jadać w drogich restauracjach
Potem biegnie się odchudzać

Przegląda kolorowe pisma
Upaja zapachem wirtualnego świata

Bierze udział w projektach
sympozjach zbiera dane

a na spacerach do woreczków psie odchody

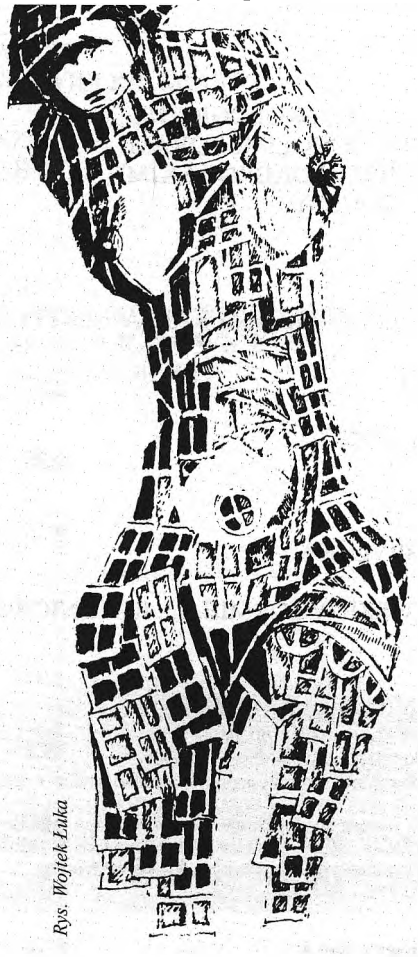
Młode kozy mają bulimię
chłopaki mp3

Miastu brakuje pomysłu na sens
miejsca dla chmur i powietrza

Hibiskus kwitnie w bankach
ktore sprzedają marzenia za małe raty

Lekceważone słowa i myśli

umierają bez białych gożdzików i karawanu



Rys. Wojtek Łuka

Małgorzata Anna Bobak – ur. 1974 w Nysie na Śląsku Opolskim. Na stałe mieszkająca w Tychach. Poetka, animatorka kultury. Autorka strony internetowej „Waniliowe Poranki". Laureatka konkursów poetyckich. Związana z grupami poetyckimi „Werset" i „Orion". W 2012 zadebiutowała tomikiem „Brzydka". Tego samego roku wydała się po raz drugi „Żywotem Pliszki". Pełni funkcję inspicjenta podczas koncertów na rzecz hospicjum Św. Kaliksta w Tychach.

W NUMERZE: 7-8 (213) ROK XIX LIPIEC – SIERPIEŃ 2013

5. *Witold Turant* EDYTORIAL
6. *Wiesław Kosterski* AUTOSTRADĄ NIE TYLKO DO NIEBA
10. *Monika Krasińska* AFGANISTAN – BYŁAM KORESPONDENTEM WOJENNYM
14. *Rozmowa Anną Koteras, rzecznikiem prasowym i Łukaszem Kosobuckim z wydziału organizacji przewozów* KZK GOP, CZYLI „CHŁOPIEC DO BICIA"
16. *Grzegorz Bębnik* „W CIENIU TRAGEDII WOŁYŃSKIEJ 1943 ROKU"
18. *Witold Turant* DOM KOSSAKÓW – DOM OTWARTY
23. *Tadeusz Kijonka* TRYPTYK WIŚLANY
26. *Jan Cofałka* ŚLĄZACY W PROCESJI DZIEJOWEJ
30. *(msz)* WIESŁAW MYŚLIWSKI LAUREATEM MEDALU MIESIĘCZNIKA „KRAKÓW"
31. *Marek Mierzwiak* BYŁ PORZĄDNYM, ZAWODOWYM AKTOREM. Jacenty Jędrusik (1954-2013)
38. *Danuta Lubina-Cipińska* 60 LAT Z ZESPOŁEM „ŚLĄSK"
42. *Jacek Kurek* MIASTO JAK POWIEŚĆ
45. *Elżbieta Piersiakowa* O TAKICH, CO GRALI ROCKA SPOD ZIEMI
51. *Bogdan Widera* LUFTWAFE I PIWNICE KW PZPR
52. *Marek Brzeźniak* FLAMENCA TO NIEKONIECZNIE FLAMENCO
107. *Wiesława Konopelska* STRASZKI CZYLI INNY „ŚLĄSK"

EKOLOGIA
56. *Jolanta Matiakowska* PRZESTRZEŃ PO PRZEMYŚLE
57. *Jolanta Karmańska* 180 ZABRZAŃSKICH HEKTARÓW
58. *Grzegorz Sztoler* U ZDROJOWYCH WÓD JASTRZĘBIA
62. *Beata Tomanek* CHORZÓW ZDRÓJ
65. *Jolanta Matiakowska* LAS PO ZAWAŁACH...
68. *(wk)* ZA ZIELONYM WZGÓRZEM
69. *Witold Kociński* HISTORYCZNY, SYMPATYCZNY, EKOLOGICZNY...
71. *Maria Sztuka* GEOTERMALNE ŹRODŁA POD SOKOLIMI GÓRAMI
74. *Iwona Kolasińska* OAZY ŻYCIA NA „POJEZIERZU DĄBROWSKIM"
77. *Jolanta Matiakowska* SIŁA ZIELONYCH FUNDUSZY

FELIETONY
9. **NOTATNIK SPÓŹNIONEGO PRZYBYSZA**
Marek S. Szczepański POGRANICZE POLSKO-CZESKIE NA KRESACH RZECZYPOSPOLITEJ (II)
21. **POZA KADREM**
Feliks Netz NASZE MATKI, NASI OJCOWIE
24. **ŚLĄSKIE SACRUM**
Ks. Henryk Pyka NASZA BABCIA, NASZA „OMA"
50. **ŚLĄSKA OJCZYZNA POLSZCZYZNA**
Jan Miodek PRZEDSIA
84. **ARCHI-TRAF**
Wojciech Grabowski ARCHITEKTURA FABRYCZNA
89. **MIĘDZY NUTAMI**
Magdalena Dziadek SOFYA GULYAK – ZAWSZE W FORMIE. 25. ROCZNICA ŚMIERCI MARIANA WALLEK-WALEWSKIEGO

FOTOGRAFIA NA OKŁADCE: Pogoria IV w Dąbrowie Górniczej, foto. Olgierd Górny
DTP: STP „KorGraf", 40-081 Katowice, ul. Dąbrówki 15/12, tel. 32 354-09-88, 32 781-06-48.
Druk: PW „Tolek" DRUKARNIA IM. KAROLA MIARKI, 43-190 MIKOŁÓW, ul. Żwirki i Wigury 1.
Materiałów nie zamówionych nie zwracamy. Redakcja zastrzega sobie prawo skrótów, poprawek i zmian tytułów w tekstach przyjętych do druku oraz skracanie korespondencji.
Warunki prenumeraty: poprzez Oddziały i Delegatury „RUCHU" – na terenie całego kraju. Bezpośrednio – w sekretariacie Redakcji oraz w urzędach pocztowych. Wpłat należy dokonywać na konto: GTL – redakcja miesięcznika „Śląsk", PKO PB SA I O/Katowice 92 102023130000 3302 00202176. Prenumerata roczna – 60 zł, półroczna – 30 zł. Pismo w prenumeracie jest dostarczane pod wskazany adres bez dodatkowych opłat.
Cena egzemplarza – 5 zł (w tym 5% VAT). ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328X

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY
ŚLĄSK

Redaguje zespół:
WITOLD TURANT – redaktor naczelny
FELIKS NETZ – zastępca redaktora naczelnego
WIESŁAWA KONOPELSKA – sekretarz redakcji
MARIA SZTUKA – dział kulturalny
BOGDAN WIDERA – dział społeczno-historyczny
WOJCIECH ŁUKA – dział graficzny
MIROSŁAW KORBEL – nadzór techniczny i poligraficzny
e-mail: korgraf@korgraf.com.pl
IRENA FALKIN-SIBIGA, ANNA STRUMIŁOWSKA – korekta

97. ANEGDOTY
Henryk Bzdok

PLASTYKA
80. *Wiesława Konopelska* MALARSKIE ESEJE LECHA KOŁODZIEJCZYKA
81. „WYOBRAŻALNE – RZECZYWISTE" malarstwo Lecha Kołodziejczyka
82. UP CYKLING – wystawa w Rondzie Sztuki w Katowicach
83. *Michalina Wawrzyczek-Klasik* SZTUKA (Z) ODZYSKU
108. *Wiesława Konopelska* RYSUNEK DOCENIONY

TEATR
54. *Magdalena Figzał* CIAŁO, RUCH... TEATR!
86. *Joanna Warońska* TYGRYS CZY PAPUGA?
87. *Danuta Lubina-Cipińska* BRYK Z SCHILLERA
88. *Witold Kociński* CZECHOW LECZY

KSIĄŻKI
90. *Roksana Krysa* ŻYCIE NA GŁODZIE
91. *Mirella Siedlaczek-Mikoda* W WIŚLE RZĄDZĄ DEMONY
92. *Edyta Antoniak-Kiedos* RENESANS SONETU
93. *Irena Wyczółkowska* WSPOMNIENIA WOŁYŃSKIEGO DOWÓDCY SAMOOBRONY
94. *Krystyna Heska-Kwaśniewicz* HARCERSTWO GLIWICKIE
95. *Rozmowa z Elwirą Kabat-Georgijewą, dyrektorką Miejskiej Biblioteki Publicznej w Sosnowcu*
OTWARTY SALON
96. *Bogdan Widera* KRÓTKO O KSIĄŻKACH

POEZJA I PROZA
1. WIERSZ NA OTWARCIE
Małgorzata Anna Bobak WIELKIE MIASTO
32. *Piotr Guzy* FRIEDA
36. *Kamil Gamza* WIERSZE
48. *Tomasz Jedz* WIERSZE

STAŁE RUBRYKI
4. ŚLĄSKI MIESIĄC
98. Z ŻYCIA BIBLIOTEK
Agnieszka Luchowska 65 LAT MBP W SWIĘTOCHŁOWICACH
99. ZNAKI I TWARZE MIASTA KATOWICE
WMUROWANO KAMIEŃ WĘGIELNY
100. OPOLSKIE

NOTATNIKI KULTURALNE
101. *Janusz Wójcik* OPOLE
102. *Wiesława Konopelska* KATOWICE
104. *Jan Picheta* BIELSKO
105. *Joanna Kotkowska* CZĘSTOCHOWA
106. *Jacek Sikora* ZAOLZIE

WYDAWCA: GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO LITERACKIE W KATOWICACH
40-012 Katowice, ul. Dworcowa 13, tel. 32 253-62-21,
e-mail: redakcjaslask@onet.pl, slask@neostrada.pl, www.gtl.org.pl

WSPÓŁWYDAWCA: BIBLIOTEKA ŚLĄSKA, 40-021 Katowice, tel. centr. 32 20 83 700,
informacja: info@bs.katowice.pl,sekretariat: bsl@bs.katowice.pl

ADRES REDAKCJI: 40-012 Katowice, ul. Dworcowa 13, tel./fax 32 206-82-71

Pismo wspierane finansowo przez:

Projekt objęty mecenatem MIASTA KATOWICE
KATOWICE dla odmiany

Wojewódzki Fundusz Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w Katowicach

Urząd Marszałkowski Województwa Opolskiego

Zrealizowano w ramach PROGRAMU OPERACYJNEGO PROMOCJA CZYTELNICTWA ogłoszonego przez MINISTRA KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO

ŚLĄSKI MIESIĄC

Zapis wydarzeń z miesiąca poprzedzającego zamknięcie numeru

MAJ

■ DARMOWA komunikacja, to ostatnio częsty temat. Pomysł Częstochowy naśladuje Nysę – kierowcy pokazując dowód rejestracyjny swego pojazdu mogliby bezpłatnie korzystać z komunikacji miejskiej. Pomysł prezydenta miasta ma rozładować korki w mieście i chronić drogi – choć pewno skuteczniejsza byłaby obwodnica. Czy radni poprą wizję prezydenta?

■ HUTNICY świętowali 4 maja w zadumie. W tegoroczny Dzień Hutnika kilkudziesięciu przedstawicieli tego zawodu wraz z rodzinami wzięło udział w pochodzie spod Huty Pokój w Rudzie Śląskiej do kościoła św. Pawła, gdzie miała miejsce msza w intencji hutników. – Czasy nas nie rozpieszczają – skarżą się. – Dawniej pracowało nas tu kilkanaście tysięcy, teraz ledwo co półtora tysiąca. To już nie jest to hutnictwo…

■ NA Śląsku jest dwieście wspaniałych zamków i pałaców, które pilnie czekają na nowych właścicieli, by przywrócili im blask. I mogą – tak jak zespół Klasztorno-Pałacowy w Rudach Raciborskich, Pałac w Boryni koło Jastrzębia Zdroju, czy Zamek Piastowski w Raciborzu – przyciągać tłumy turystów.

■ BUDOWA nowego pasa startowego, dzięki któremu częściej zobaczymy w Pyrzowicach jumbo jety, kosztować będzie 150 mln zł. Prace zakończą się jesienią.

■ PARKUJĄ za darmo, ale tylko w Sosnowcu. Władze miasta wycofały się z lansowanego kilka miesięcy temu pomysłu, by w centrum miasta wprowadzić opłaty za parkowanie aut, co niezmiernie cieszy kierowców – miejscowych i przyjezdnych.

■ TAK tanie to paliwo dawno nie było – chwalą sobie kierowcy. Na wylotowych stacjach benzynowych w okolicach Katowic można było zatankować benzynę 95 po 5,19 zł – czyli dokładnie na takim poziomie, jak jesienią 2011 roku. Ale po kilku tygodniach ceny paliw znów wzrosły…

■ NIE jesteśmy tacy dobrzy, doskonali – w edukacji. W Rankingu Szkół Wyższych, przygotowanym przez dziennik „Rzeczpospolita" i magazyn „Perspektywy", najlepsza w naszym regionie Politechnika Śląska jest dopiero na 18. miejscu wśród krajowych uczelni akademickich, a Uniwersytet Śląski dopiero 20. Przed nami nie tylko, rzecz jasna, uczelnie krakowskie i warszawskie, ale także i białostockie, i łódzkie…

■ KOMPUTEROWA modernizacja ruchu w Gliwicach, gdzie na 60 skrzyżowaniach to komputer będzie decydował, kiedy zapali się zielone światło. Podobno ma być płynniej i bez korków.

■ CZESCY właściciele kopalni Silesia w Czechowicach, która dziś dobrze prosperuje, obawiają się o jej przyszłość. Wszystko przez plany budowy drogi ekspresowej S1, która w jednym z wariantów ma przebiegać przez tereny, pod którymi planowane jest w przyszłości wydobycie węgla.

■ ZOSTAŃ dyrektorem – do wzięcia są trzy teatry, dwa muzea i biblioteka. Trwają konkursy na dyrektorskie stanowiska w sześciu najważniejszych instytucjach kultury województwa śląskiego: Teatrze Polskim w Bielsku-Białej, Muzeum Śląskim, Muzeum Górnośląskim, Teatrze Śląskim, Teatrze Rozrywki, Bibliotece Śląskiej. Wszystkie te konkursy mają zostać rozstrzygnięte w lipcu, przed nowym sezonem kulturalnym.

■ EUROPEJSKI Kongres Gospodarczy zawitał do Katowic po raz piąty od 13 do 15 maja. W imprezie uczestniczyło 6000 gości, w tym były prezydent Aleksander Kwaśniewski, były prezydent Niemiec Horst Köhler, biznesmen Jan Kulczyk, były prezes Giełdy Papierów Wartościowych Ludwik Sobolewski, emerytowany generał Korpusu Piechoty Morskiej USA James L. Jones, a także znany prezenter Krzysztof Materna. Był też były prezydent Nigerii, jak i imponująca delegacja Chińczyków. A minister gruntów, zasobów naturalnych i ochrony środowiska Zambii, Wylbur Simuusa zachęcał do inwestycji w branżach górniczych i hutniczych śląskich przedsiębiorców.

■ NOWYM komendantem wojewódzkim policji w województwie śląskim został generał Krzysztof Jarosz, krakowianin z Poznania, świetny policjant, dobry organizator i wymagający przełożony. Nominację na stanowisko odebrał 24 maja. – Śląsk kojarzy mi się z hutami, elektrowniami i ludźmi, którzy bardzo ciężko pracują – powiedział.

■ HISZPAŃSKO-polski zespół architektów wygrał konkurs na projekt nowej siedziby biblioteki w Czechowicach-Dziedzicach. Będzie super nowocześnie. Obiekt ma szansę stać się wizytówką miasta i zalążkiem nowego centrum kulturalno-administracyjnego.

■ KOLEJE Śląskie zaskakują. Zapowiedziano likwidację ponad 1/3 obsługiwanych połączeń, jak i 10-proc. podwyżkę cen biletów od czerwca. Wszystko, by ratować marszałkowską firmę przed upadkiem. Ale zdaje się, Kolei Śląskich, tak jak Titanica, nic już przed zatonięciem nie powstrzyma.

■ ALPINE Bau nie dokończy budowy autostrady A4 na odcinku Świerklany-Gorzyczki. Austriacka firma, która już raz zeszła z placu budowy, złożyła w Generalnej Dyrekcji Dróg Krajowych i Autostrad oświadczenie o odstąpieniu od kontraktu dotyczącego budowy mostu MA532. Tym razem wygląda na to, że Austriacy nie podejmą kolejnej próby dokończenia feralnej inwestycji. Ich zdaniem projekt zawiera błędy. GDDKiA nie zgadza się z tym, choć w kwietniu 2012 na moście nastąpiła awaria techniczna.

■ NOC Muzeów w naszym regionie zorganizowana w nocy z 18 na 19 maja cieszyła się jak zwykle wzięciem. W Zabytkowej Kopalni Węgla Kamiennego „Guido" w Zabrzu straszyło, a w katowickiej starej fabryce porcelany można było zobaczyć, jak ona powstaje. W każdym mieście były jakieś atrakcje i… kolejki chętnych.

■ CZWORACZKI z Brzeźc koło Pszczyny przyszły na świat rankiem 20 maja w rudzkim szpitalu. Trzy dziewczynki ważą: 420 g, 545 g i 710 g, natomiast chłopczyk 690 g. Przebywają w inkubatorach. To kolejne czworaczki, które urodziły się w Szpitalu Miejskim w Rudzie Śląskiej. 26 kwietnia przyszły tu na świat cztery zagłębiowskie dziewczynki: Mania, Natasza, Jagoda i Tosia z Sosnowca-Porąbki.

■ RADNI sejmiku wojewódzkiego zadecydowali 20 maja o odwołaniu Jerzego Gorzelika, szefa RAŚ z zarządu województwa. Przyjęto uchwałę w tej sprawie, jednomyślnie, 31 głosami „za".

■ DRUGI co do wielkości pracodawca w Częstochowie, ISD Huta Częstochowa grozi zwolnieniami. Argumentuje, że jeśli nie zacznie ograniczać zatrudnienia, splajtuje. Huta przynosi miesięcznie 58 mln zł strat. Liczy trzy tysiące pracowników. Chce zwolnić 1000-1500 osób. W Częstochowie jest już ponad 16 tysięcy bezrobotnych.

■ PRZEŁOM w leczeniu raka płuca – pierwszy w Polsce przeprowadzono w Instytucie Onkologii w Gliwicach. Pacjentem był 33-latek z województwa opolskiego. Operacja trwała 25 godzin. Szefem zespołu transplantacyjnego był prof. Adam Maciejewski.

■ SALĘ im. Wojciecha Korfantego w Sejmie otworzyła uroczyście 21 maja marszałek Ewa Kopacz. W tym roku, 20 kwietnia, przypadła 140. rocznica urodzin tego Wielkiego Ślązaka. Na uroczystości obecny był stryjeczny wnuk Korfantego, były senator PiS, Bronisław Korfanty. Sala Korfantego mieści się w budynku Komisji Sejmowych.

■ STO tysięcy Ślązaków modliło się w piekarskim sanktuarium 26 maja. We wspólnej modlitwie uczestniczył także prezydent RP Bronisław Komorowski. Metropolita katowicki abp wzywał do respektowania praw pracowniczych. Goszczący w Piekarach kardynał Stanisław Dziwisz podkreślał rolę rodziny w tradycyjnym porządku społecznym, a kardynał Dominik Duka, arcybiskup praski dziękował za pomoc udzielaną czeskim diecezjom po upadku komunizmu.

CZERWIEC

■ MNIEJ połączeń z początkiem czerwca w Kolejach Śląskich to efekt oszczędności – tłumaczą władze tej spółki. A zdaniem innych, pasażerów i specjalistów od transportu – to krok donikąd, w przepaść, bo bezmyślnie powycinano najbardziej uczęszczane połączenia. Nie ma pociągów z Rybnika do Kędzierzyna Koźla, z Tarnowskich Gór do Kłobucka i z Gliwic do Bytomia. „Wycięto" 200 połączeń.

■ SERCA na baterię, najnowocześniejsze sztuczne serca, są wszczepiane tylko w kilku szpitalach na świecie: w Słowenii, Belgii, Arabii Saudyjskiej, a także w Polsce – gdzie konkretnie? W Zabrzu. Dlaczego? Bo tutejsze Śląskie Centrum Chorób Serca ma najlepsze w kraju doświadczenie. Wykonano tu ponad tysiąc transplantacji serca.

■ POCZĄTEK czerwca i pada, jesienna pogoda, deszcze, wzbierają rzeki. Wzbiera Odra, podtopiony jest Żarnowiec, Krzepice. W Czechowicach ogłoszono pogotowie przeciwpowodziowe. A 10 czerwca nad Tychami, Mikołowem, Rybnikiem, Żorami, Sosnowcem i Jaworznem przeszło fatalne w skutkach gradobicie – efekt: poniszczone auta, dachy i elewacje domów, okna, połamane drzewa…

■ SOSNOWICZANIN Arkadiusz Chęciński z PO został – w miejsce Jerzego Gorzelika – wicemarszałkiem śląskim. Poparli go w głosowaniu 10 czerwca… autonomiści. Ma się zająć Stadionem Śląskim i unijnymi funduszami.

■ WYKONAWCA Stadionu Śląskiego zszedł z placu budowy – opery mydlanej albo raczej tragifarsy ciąg dalszy. Przebudowa stadionu jakoś szła do 15 lipca 2011 r., kiedy pękły dwa krokodyle, czyli elementy umocowania dachu. Remont miał kosztować tylko 340 mln zł. Wydano już ponad 500 mln zł.

■ FAŁSZYWE alarmy bombowe 25 czerwca sparaliżowały sądy, prokuratury, szpitale, sklepy w całej Polsce, w naszym regionie w Katowicach, Sosnowcu, Dąbrowie Górniczej, Lublińcu. Właściwych sprawców nie schwytano, straty idą w miliony.

■ POGRZEB Jacentego Jędrusika 27 czerwca, gwiazdy Teatru Rozrywki w Chorzowie, zgromadził tłumy przyjaciół i wielbicieli jego talentu. Wspaniały Aktor, wrażliwy, dobry i pogodny Człowiek – takim Go zapamiętamy.

■ ŚLĄSK, Zespół Pieśni i Tańca, świętował w Koszęcinie 29 czerwca swoje 60. urodziny – oczywiście koncertowo m.in. z programem „A to Polska właśnie" będącego hołdem dla twórców zespołu Stanisława Hadyny i Elwiry Kamińskiej.

KRONIKARZ

Żegnamy z wielkim smutkiem

śp. STANISŁAWA GADOMSKIEGO

wspaniałego fotografika, artystę grafika
i wieloletniego współpracownika naszego pisma

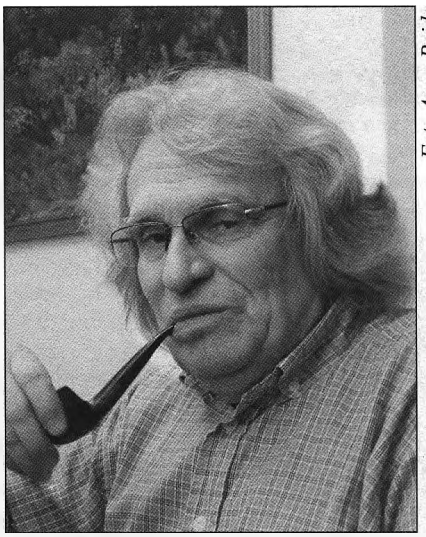
Zespół redakcyjny miesięcznika „Śląsk"

Z wielkim smutkiem przyjęliśmy wiadomość o śmierci

śp. SEWERYNA WISŁOCKIEGO

antropologa kultury, znawcy twórczości malarzy
Grupy Janowskiej, autora licznych książek
i współpracownika naszego pisma

Zespół redakcyjny miesięcznika „Śląsk"



Fot. Anna Pojda

Drodzy Czytelnicy

Tak się złożyło, że objęcie przeze mnie funkcji redaktora naczelnego zbiegło się z dziesiątą rocznicą mojej współpracy z miesięcznikiem. Żaden to jubileusz, ale wydaje mi się, iż dla wielu z Państwa nie jestem nową twarzą, choć może powinienem użyć określenia „nowym piórem", bowiem do tej pory moja twarz nie była nikomu potrzebna. Sądzę, że teraz wielu z Państwa chciałoby zobaczyć, jak wygląda człowiek, który wziął na siebie odpowiedzialność za to wszystko, co zostanie tu opublikowane.

Moją pracę zacząłem od uważnego przeczytania opinii, jakie na nasz temat wyrażane są w mediach. A są to opinie czasem gorzkie, czasem komplementujące nas, a wiele jest przeciwstawnych. Przez jakiś czas czułem się jak te półkule magdeburskie, które niegdyś kazano rozciągać niczego nieświadomym perszeronom, aż wreszcie rozdzieliły się z hukiem. Nie ukrywam, że ta lektura łączyła się ze sporym stresem. Uświadomiłem sobie, że wspólnym mianownikiem tych opinii było oczekiwanie zmian. I to niezbyt może głębokie odkrycie złagodziło (odrobinę) mój stres, ale, co ważniejsze legło u podstaw mojego planu działania w tej nowej dla mnie rzeczywistości.

Przede wszystkim zamierzamy w mniejszym stopniu być kronikarzem, a bardziej odgrywać rolę forum, na którym ścierać się będą opinie i poglądy ujawniające się w życiu społecznym i kulturalnym naszego regionu. Chcemy także częściej bywać tam, gdzie bywają młodzi, bowiem to oni najczęściej kreują i w najbardziej wyrazisty sposób artykułują nowe treści i zazwyczaj w dość bezkompromisowy sposób formułują opinie. Do nich należy przyszłość, a my chcielibyśmy, aby jej kształt opisywali właśnie u nas. Nie znaczy to, że zamykamy się na sprawy starszych pokoleń czy na historię. Jednak najważniejszy dla nas będzie dzień dzisiejszy Śląska, Polski i Europy, który będziemy się starali pokazać w tak fascynującej formie z pogranicza dziennikarstwa i literatury, jaką jest reportaż. Z radiowego doświadczenia wiem, iż jest to forma niezwykle nośna i wywołująca zainteresowanie i żywą reakcję odbiorcy. Nadal proponować będziemy utwory poetyckie i prozatorskie zarówno twórców znanych, jak i patronować będziemy dobrze rokującym debiutantom. Będziemy relacjonować najistotniejsze wydarzenia i zjawiska artystyczne i kulturalne, które łączą się z naszym regionem. Chcemy także oddać głos kolegom z innych części kraju, albowiem wychodzimy z założenia, iż ani „Śląsk" ani Śląsk nie jest wyspą. Co do polityki, to mniej nas będzie interesować sama gra polityczna, a bardziej jej skutki, jako że dość szybko przekładają się one na zauważalne zjawiska społeczne.

Będziemy się także starać unowocześniać naszą szatę edytorską i podejmować przedsięwzięcia wykraczające poza ramy standardowej działalności redakcyjnej. W tym celu sięgniemy po nowe źródła finansowania. Nie powinno zatem dziwić pojawienie się reklam na naszych łamach. Jednak dołożymy wszelkich starań, by nie ograniczać publicystycznej przestrzeni „Śląska". Wierzę, że to jest możliwe. Nie da się ukryć, iż tempo i zakres zapowiadanych zmian zależą w dużej mierze od sukcesu w tej dziedzinie.

Będziemy wdzięczni Państwu, jeśli zechcecie się z nami podzielić swoimi opiniami na temat zarówno sposobu redagowania naszego miesięcznika, jak i tematów naszych publikacji. Aby ułatwić kontakt z nami, uruchomimy niebawem stronę internetową, a także profil na popularnych portalach społecznościowych.

Dziś oddajemy Państwu do rąk podwójny, wakacyjny numer miesięcznika „Śląsk", przekonani, że znajdziecie w nim wiele interesujących artykułów poruszających sprawy naszego regionu, związanych z jego bieżącymi problemami a także historią. Proponujemy również poezję i prozę, której autorzy reprezentują kilka pokoleń literackich, także aktualne recenzje teatralne i wydawnicze. Pozostaje mi więc życzyć przyjemnej lektury podczas letniego wypoczynku.

WITOLD TURANT



Fot. Wiesław Kosterski

Autostradą nie tylko do nieba

WIESŁAW KOSTERSKI

Autostrada A4: dwie jezdnie, punkty poboru opłat, miejsca obsługi podróżnych, centra logistyczne. Standard, europejska norma, cywilizacyjny banał. A może coś więcej? Droga, niezależnie od swojej podstawowej roli, czyli ułatwienia w komunikacji, zbliżyła ludzi i regiony, wymieszała tradycje i kulturę, zawęziła czas i przestrzeń. Kawa w centrum Wrocławia, spotkanie w modernistycznym „Altusie" w Katowicach, spektakl w Teatrze Słowackiego w Krakowie w parę godzin? Oczywiście, że możliwe.

Wrocławski Rynek: klimatyczny, kolorowy, pulsujący, rozedrgany, wielojęzyczny. Barwy tłumu współgrają z gwarem rozmów i wielkomiejską scenerią. Ratusz, pręgierz, pomnik hrabiego Fredry, fontanna ze szkła, granit bruku, parasole kafejek. Centrum europejskiej aglomeracji. Stąd do autostrady A4 jest zaledwie kilka kilometrów.

Teraz o Wrocławiu powiadają – kwiat Europy. I coś w tym jest, bo ten kwiat rozkwitł, jak nigdy wcześniej. Dzisiejszy Dolny Śląsk, a zwłaszcza stolica regionu, z podwójnymi fundamentami: materialnymi niemieckimi, bo przesiedleńcy zajmowali przecież po wojnie pozostawione przez Niemców mienie oraz intelektualnymi polskimi, które przywieźli ze sobą głównie ludzie z Kresów Wschodnich, tworzy wielowymiarowy obraz. Zwłaszcza w sferze kulturowej. Wielkie polityczne, terytorialne i ekonomiczne zmiany doprowadziły do wymieszania kultury kresowej i niemieckiej.

Charakter, ton i urok miasta stworzyli głównie Kresowiacy i Sybiracy, a także powstańcy warszawscy, w większości ludzie z przetrąconymi przez wojnę życiorysami, których życie rzuciło po 1945 roku między gruzy zrujnowanych ulic nad Odrą. Być może, dlatego we Wrocławiu Polacy zawsze mieli za nic władzę ludową i cały ten socjalistyczny bardak. Żyli po swojemu.

Za przybyszami ze Wschodu ściągnięto Zakład Narodowy im. Ossolińskich, chlubę Wrocławia, wcześniej

Lwowa. Przywędrowała „Panorama Racławicka", 116-metrowe płótno Wojciecha Kossaka i Jana Styki, przedstawiające zwycięstwo Kościuszki pod Racławicami, które przed wojną dumnie wystawiano w lwowskiej rotundzie. Po latach znalazło godne schronienie pod dachem wrocławskiej rotundy, choć wcześniej – za PRL-u – chowano je przed narodem w piwnicach Hali Ludowej (teraz Hali Stulecia), gdzie wilgoć i szczury dokonywały dzieła powolnego niszczenia. Dla władz Polski Ludowej obraz był straszliwie nieprawomyślny, kłopotliwy, niewygodny.

Podwrocławskie Bielany i autostrada A4. Niezmienna szarość betonu: w tym odcieniu, jak dawniej, jest nowa nawierzchnia drogi i zabudowania dwóch sędziwych stacji benzynowych, bram powitalnych miasta, które kwalifikują się już chyba do wpisania na listę zabytków architektury. Przestrzeń wypełnia świat zbudowany siłą gospodarki wolnorynkowej: upstrzone reklamami hipermarkety, fabryki, hale produkcyjne, parkingi, restauracje. W tle węzeł wiodący na autostradową obwodnicę w kierunku Warszawy, Łodzi i Poznania.

Ślimak i wjazd łukiem w stronę Katowic.

Biegnąca od granicy z Niemcami betonówka była przez blisko 40 lat jedynym, obok siostrzanej trasy koło Szczecina, odcinkiem autostrady w Polsce. To chichot historii, że pierwsze polskie autostrady powstały dzięki Niemcom i zmianom terytorialnym Polski narzuconym w Jałcie. Teraz A4, najbardziej zaawansowany projekt autostradowy w Polsce, będzie pierwszą drogą tej kategorii, która przetnie kraj z zachodu na wschód, od granicy z Niemcami po Ukrainę.

Początków jej budowy szukać należy w latach 30. ubiegłego stulecia. Wytyczona w pobliżu Legnicy, Wrocławia i Gliwic trasa miała w szerszej perspektywie połączyć Berlin z Krakowem. Prace realizowano z twardą, niemiecką konsekwencją i nadętym rozmachem, także propagandowym. We wrześniu 1936 roku nazistowskie władze hucznie świętowały pod Wrocławiem budowę drogi. Odcinek wizytował osobiście Adolf Hitler w otoczeniu licznego grona oficjeli oraz ekip filmowych i fotograficznych. – Cóż za możliwości szybkiego podróżowania, mein führer! – płynęła melodia nieustających zachwytów.

Niemcom zależało jednak bardziej na czymś innym – łatwym przemieszczaniu się kolumn wojsk autostradą, którą w razie potrzeby można było także zamknąć i zamienić na lotniska polowe. Dlatego droga ma tak wiele prostych odcinków, narzuconych już w fazie projektowania. Po wojnie ćwiczyły na niej ochoczo radzieckie jednostki lotnicze, stacjonujące pod Legnicą i Bolesławcem. Jak za czasów Hitlera, betonówka pełniła rolę pasa startowego, teraz dla odrzutowych migów. W końcu Rosjanie odlecieli na stałe na Wschód.

Czerwiec 1973 roku. Oczy motoryzacyjnego świata zwracają się na betonową pętlę między Legnicą a Wrocławiem, gdzie Fiat 125p bije rekord jazdy długodystansowej należący od 1952 roku do samochodu Simca Aronde. Kilku kierowców z Sobiesławem Zasadą i Andrzejem Jaroszewiczem w składzie (Czerwonym Księciem, jednym z pomysłodawców przedsięwzięcia) pokonuje trasę 25 tys., a potem 50 tys. km. Na dłuższym dystansie „wykręcą" średnią prędkość 138,27 km na godzinę. Propagandowa gorączka sięga zenitu. Potem lata głuchej ciszy wokół autostrady.

Odcinek Wrocław – Katowice. Za bielańskim węzłem koniec betonu, bramki, ciemna tonacja asfaltu i niespełna 2 godziny podróży na Śląsk. Komfort, wygoda, bezpieczeństwo, „łykane" z przyjemnością kolejne kilometry. Tablice: Zamek Piastów Śląskich w Brzegu, Zamek Rogów, Zamek Moszna, Kamień Śląski, Góra św. Anny. Ikony Opolszczyzny. Nieopodal powiat opolski, gdzie mniejszość niemiecka stanowi ponad 90 proc. mieszkańców, a podwójne nazwy miejscowości stały się codziennością. Dalej wyrysowana górą instalacji cementownia Górażdże.

Jeszcze nie tak dawno jadąc z Wrocławia do Katowic zegarek można było zostawić w domu: trasa wiodła starym, zatłoczonym szlakiem, przez Opole, Strzelce Opolskie i kilka małych miejscowości. Skrzyżowania, światła, zakazy wyprzedzania, ograniczenia prędkości, przejścia dla pieszych, rowerzyści, czasem kombajny i ciągniki. Komunikacyjny horror. Przed Gliwicami powrót na betonówkę i ponowny test dla zawieszeń pojazdów zmuszonych do pokonywania „sklawiszowanej" nawierzchni.

Góra św. Anny. Bodaj najładniejszy fragment trasy z leśnym krajobrazem przypominającym austriackie autostrady w Alpach. Dodatkowe pasy do wyprzedzania wspinających się TIR-ów i – u szczytu – efektownie zaprojektowana kładka spinająca agrafką ramion obie jezdnie. Szumu narobili tutaj podczas budowy ekolodzy, którzy w geście protestu przeciwko wytyczeniu A4 przez Górę św. Anny przywiązali się łańcuchami do drzew.

W tym rejonie Niemcy rozpoczęli prace w 1936 roku. Na początek zatrudniono okolicznych rolników, do karczowania lasu i utwardzania terenu, potem więźniów obozów pracy przymusowej, w większości żydowskiego pochodzenia. Rok 1944 zahamował budowę. Uginająca się pod ciężarem wojennych wydatków gospodarka Niemiec nie była w stanie udźwignąć tak dużej inwestycji. Do tego czasu udało się rękami więźniów zmeliorować teren i ułożyć betonowe płyty na jednym pasie. Pod koniec wojny drogę poszatkowały niemiłosiernie alianckie naloty, po czym z powodów militarnych wysadzono w powietrze strategiczne mosty i węzły.

Do lat 90. zeszłego stulecia, kiedy w końcu ruszyły remonty i rozbudowa trasy, niewiele grosza zainwestowano w A4. Szarość betonu przez dziesięciolecia symbolizowała siermiężną szarość zgrzebnego PRL-u. Jedyna modernizacja, raczej zabieg kosmetycznego szminkowania, polegała na okresowym zalewaniu asfaltem coraz większych pęknięć i uskoków przecinających niszczejącą nawierzchnię.

Oddajmy cesarskie, co cesarzowi – niemiecki, solidny beton przez pół wieku znosił nasilający się ruch samochodowy, zanim zrujnowały go sznury wielotonowych TIR-ów, które wjechały na polskie drogi wraz z wolnym rynkiem. „Sklawiszowaną" autostradę ochrzczono uszczypliwym mianem najdłuższych schodów Europy. Niemieckie plany nie powędrowały do szuflady, wykorzystano je przy projektowaniu kolejnych odcinków autostrady.

Punkt poboru opłat przed Gliwicami. Skrzyżowanie z A1. Węzeł drogowy Sośnica, największy w Polsce. Ponad 207 hektarów powierzchni i 15 km rozjazdów. Lotnisko w Pyrzowicach na wyciągniecie ręki, w pół godziny autostradą A1. Tereny inwestycyjne, jak te koło Wrocławia, wypełniają prostokątne bryły hal produkcyjnych i hipermarketów. Kominy, kopalniane wieże, smog i przymglone niebo – śląski background.

Wizji rozwoju Śląska opracowano kilka. Jedną z nich oparto na rozwiązaniach komunikacyjnych, przewidując budowę autostrad z węzłem w centrum regionu oraz kanałów Wisła – Odra i Odra – Dunaj, które miały zapewnić tani transport i wygodne połączenia z zachodnią i południową Europą. Zakiełkował nawet pomysł lotniska międzykontynentalnego w Balinie do obsługi nie tylko Śląska i Małopolski, ale także Polski i Europy Wschodniej. Koncepcje te licho wzięło. Potem zaczęto mówić o utwo-

rzeniu dwóch śląskich Centrów Logistycznych – tzw. CeLT-ów.

Wedle projektów, miały być nimi strefy wielkiego biznesu o znaczeniu wykraczającym daleko poza granice Polski. Przewidywano, że wejdą one w skład tzw. platformy logistycznej gospodarki zachodnioeuropejskiej rozszerzanej w kierunku krajów Europy Środkowej i Wschodniej. W woj. śląskim (wtedy katowickim) główne role odegrać miały tereny wokół Gliwic oraz Suchego Portu Przeładunkowego „Zagłębie" w rejonie Dąbrowy Górniczej, gdzie zbiegają się najważniejsze linie komunikacyjne i transportowe oraz strefy przemysłowe i handlowe prowadzące z Europy Zachodniej w kierunku wschodnim.

Gliwice wystrzeliły w stronę Europy. Mają główne skrzyżowanie dwóch transeuropejskich autostrad: A4 wytyczonej od granicy z Niemcami przez Wrocław, Katowice i Kraków w stronę granicy z Ukrainą (za Tarnowem stan budowy) oraz A1, która połączy Gdańsk, Śląsk (od Pyrzowic do Piotrkowa Trybunalskiego stan marzeń) z południową granicą Polski. Do tego dochodzą trasy szybkiego ruchu, terminale przeładunkowe i pobliski Port Lotniczy w Pyrzowicach. Nie bez powodu General Motors wybrał atrakcyjnie położony podgliwicki teren na budowę fabryki „Opla".

Jakaś część śląskich CeLT-ów więc powstała.

Za tablicami: Zabytkowa Kopalnia „Królowa Luiza" i „Guido" proza życia – ograniczenie prędkości i noga z gazu, bo inaczej czeka kierowcę żabi skok na wypiętrzeniu drogi w pobliżu Rudy Śląskiej. Miejsce trudnego do wymazania wstydu, braku wyobraźni, niekompetencji, złego wykonawstwa!? Zawinił człowiek ze swoją działalnością górniczą, czy niesforne siły natury? A może wszystko na raz. Spór między drogowcami a górnictwem miał swój sądowy epizod. Problem pozostał, kodyfikuje go ograniczenie prędkości do 100 km na godzinę. Trudno.

Katowice. Dolina Trzech Stawów, biznesowy klon podwrocławskich Bielan, przegląda się w lustrach ekranów dźwiękochłonnych. Za nią skrzyżowanie z trasą Bielsko – Warszawa, którego design tworzy węzeł z charakterystycznymi wiaduktami w kształcie garbów dromadera. Do centrum nie ma się co pchać: Rynek i okolice dworca kolejowego w przebudowie. „Spodek" ten sam, ale jego otoczenie zupełnie inne, zamienione ludzką ręką w teren gigantycznej inwestycji, z której wyłaniają się mury centrum kongresowego, gmachu orkiestry i muzeum.

„Altus", podziemny parking. Do centrum dwa kroki. Spotkanie. Rozmowa.

Mamy czym grać na Śląsku: specjalną strefą ekonomiczną, która część przemysłu wywindowała w inny wymiar gospodarki, liczną grupą przedsiębiorców, którzy swoje firmy wprowadzili na salony polskiego i światowego biznesu, kadrą naukową i menedżerską, która urzeczywistnia pomysły wyłamujące się z gorsetu krępujących schematów, a nade wszystko kulturą, która siłą swojego kolorytu wyróżnia region na tle kraju. Jakoś więc poukładaliśmy ten nasz świat.

Górnictwo? Szczęście i przekleństwo zarazem, raj i ziemia stracona, lokomotywa gospodarki i kula u nogi. Monokulturę węgla zastąpiła w ostatnich latach monokultura motoryzacji. Cieszyć się z tego, czy nad tym ubolewać? Chyba tak naprawdę nie o to nam chodziło. Przydałoby się więcej ożywczego zróżnicowania, innowacyjnego myślenia, ciekawszych biznesowych barw i odcieni.

Próba wyjazdu z Katowic Drogową Trasą Średnicową, miejską autostradą i młodszą siostrą A4, rozbudza wyobraźnię. Trasa, z jej tunelem pod katowickim rondem i 600-metrową estakadą, wtopiła się w śląski system drogowy, pozwalając na komunikacyjny oddech i swobodne przemieszczanie w obrębie kilku miast. To główny jej walor, ale też i ograniczenie, bo DTŚ jest od lat w permanentnej budowie i nie łączy się z A4 w pobliżu Gliwic. Alternatywą pozostaje kilka węzłów, zwłaszcza ten z garbami dromadera przy Murckowskiej.

Za nim 61-kilometrowy, pierwszy w Polsce płatny odcinek autostrady z bramkami w rejonie Mysłowic z jednej strony i podkrakowskich Balicach z drugiej. Mniej niż godzina jazdy do Krakowa.

Kiedy wprowadzano system opłat, występujący w roli koncesjonariusza Stalexport zafundował sobie kosztowny falstart, bagatelizując roszczenia właściciela gruntu pod Krakowem, który zażądał odszkodowania za wybudowanie fragmentu autostrady na jego ziemi. Zamiast zapłacić poszedł do sądu, co przesunęło termin uruchomienia opłat o kilka miesięcy. I przegrał. Liczył pojazdy i straty, krakowski centuś zyski.

Parę lat później Stalexport jeszcze mocniej potknął się o własną przebiegłość, pobierając pełną należność za przejazd remontowaną trasą, na której dwukierunkowy ruch odbywał się w kilku miejscach jedną jezdnią, co wydłużało czas podróży między Katowicami i Krakowem. Skuteczną przeszkodę postawił prawnik z Łodzi, który odmówił zapłaty za skorzystanie z autostrady, uznając, że jest to nielegalne. Sprawę oddał do sądu. Inni poszli za jego przykładem. Lawina runęła.

W finale sąd orzekł, że koncesjonariusz nie miał prawa inkasować pełnych stawek, bo A4 nie spełniała w całości standardów płatnej autostrady. Utrzymał też w mocy karę finansową w wysokości 1,3 mln zł nałożoną na Stalexport Autostradę Małopolską. Z czasem grzebanie przy drodze ustało, temat przycichł.

Balice. Punkt poboru opłat, sąsiedztwo lotniska. A4 omija łukiem Kraków i kieruje się dalej na wschód, w stronę Tarnowa. Gdzieniegdzie trzy pasy ruchu zamknięte ścianą ekranów dźwiękochłonnych. Ani się człowiek obejrzy, a jest już za Krakowem, by po paru kwadransach dojeżdżać w okolice Tarnowa.

Kraków wart jest mszy. I nie tylko. Ma wszystko, co w polskim wydaniu najlepsze. Dostał też autostradową obwodnicę, która uwolniła go od koszmaru tranzytowych przejazdów, zwłaszcza TIR-ów i innych ciężkich pojazdów. Nie pchają się już przez miasto: przebudowanym teraz rondem, ulicą koło AGH i mostami nad Wisłą w pobliżu Wawelu, mają wygodną dwupasmówkę ze zjazdami na lotnisko, do centrum, klasztoru w Tyńcu, na zakopiankę.

Na Smoczej da się zwykle znaleźć wolne miejsce parkingowe. Wawel, Trakt Królewski, Rynek, Sukiennice, kościół Mariacki, Floriańska, Barbakan. Największe nasycenie zabytków i turystów na metr kwadratowy w Polsce. Teatr Słowackiego. Na afiszu klasyka, współczesność, wielkie nazwiska, wybitni twórcy. I o to chodziło w tej kresowo-wrocławskiej, opolskiej, śląskiej i małopolskiej podróży.

* * *

A4 jest częścią drogi międzynarodowej E40: Ostenda – Akwizgran – Kolonia – Erfurt – Wrocław – Katowice – Kraków – Kijów. W Polsce będzie liczyła 670 km, łącząc przejście graniczne Jędrzychowice-Ludwigsdorf z ukraińską granicą w Korczowej. Węzeł w Krzyżowej na Dolnym Śląsku splata A4 z autostradą A18, która przez przejście w Olszynie biegnie w kierunku Berlina. Węzeł Wrocław-Południe krzyżuje A4 z autostradą A8 wytyczoną w stronę Łodzi i Warszawy, węzeł w Gliwicach-Sośnicy z autostradą A1: Gorzyczki – Gdańsk. ■



MAREK S. SZCZEPAŃSKI

Notatnik spóźnionego przybysza

Pogranicze polsko-czeskie: na kresach Rzeczypospolitej (II)

• Polacy, Czesi, Niemcy i inni

Region pogranicza polsko-czeskiego kształtował się przede wszystkim pod wpływem trzech kultur: polskiej, czeskiej (morawskiej), ale i niemieckiej. Należy także pamiętać o wpływach żydowskich i elementach kultury romskiej. Pogranicze polsko-czeskie to terytorium państwa, w którym istnieje wyraźna świadomość społecznej odrębności, a regionalny układ kultury stanowi wynik wieloletniego przenikania licznych, zróżnicowanych kultur i tradycji. Wszelkie regiony pogranicza kulturowego zmieniały w ciągu wieków przynależność państwową i administracyjną, znajdowały się pod wpływem różnych systemów politycznych i gospodarczych. W rezultacie zamieszkującą je ludność cechują niejednoznaczne i zróżnicowane opcje narodowe, a narodowy indyferentyzm nie jest zjawiskiem marginalnym.

• Czasem słońce, czasem deszcz

Najtrudniejszy okres w relacjach między ludnością polską i czeską to nie tylko czas drugiej wojny światowej, ale i cały okres realnego socjalizmu. Wówczas władze w Polsce podejmowały wiele wysiłku w celu homogenizacji zróżnicowanego pod względem kulturowym i narodowym obszaru pogranicza. Kultywowanie narodowych i etnicznych tradycji odbywało się niemal wyłącznie w sferze prywatnej. Po wejściu Polski na drogę demokracji i wolnego rynku zaczęto wyraźnie powracać do problematyki pogranicza czy szerzej, zróżnicowania kulturowego Rzeczypospolitej. Przejawem tego jest proces instytucjonalizacji życia mniejszości narodowych i etnicznych, w tym również mniejszości czeskiej. Symbolem tych zmian może być rok 1995 kiedy po przekształceniu Towarzystwa Kulturalnego Czechów i Słowaków w Polsce, powstało Towarzystwo Słowaków w Polsce przy którym działa Klub Czeski, a w wybranych szkołach podstawowych i gimnazjach województwa opolskiego (Głuchołazy, Opole, Prudnik) prowadzona jest nauka języka czeskiego, jako języka dodatkowego. To wstępne zasygnalizowanie relacji między Polakami a Czechami wynikającymi z sąsiedztwa obu państw i długiej historii przenikania się kultury polskiej i czeskiej.

• Polak i Czech – unijne Brathanki

Pogranicze polsko-czeskie to region położony po dwóch stronach linii granicznej, która dzisiaj stanowi wewnątrzunijną granicę o długości blisko. To obszar intensywnego i wzajemnego oddziaływania dwóch stron zarówno w wymiarze kulturowym, ekonomicznym, jak i politycznym. To również teren przenikania się i konfrontacji przede wszystkim kultury i gospodarki. Taki styk prowadzi z jednej strony do kształtowania postawy tolerancji i zaufania wobec innych, zmniejszania dystansów, ale z drugiej może rodzić antagonizmy i konflikty na bazie widocznych różnic narodowych i etnicznych, czy ogólnie kulturowych. Pogranicze polsko-czeskie to współpraca między sąsiadującymi wspólnotami i władzami terytorialnymi (oddzielonymi granicą). Pogranicze polsko-czeskie to dziewięć podregionów o zróżnicowanym poziomie rozwoju gospodarczego i różnych problemach wynikających ze zróżnicowania kulturowego mieszkańców. Po stronie Polski są to podregiony: jeleniogórsko-wałbrzyski, opolski, rybnicko-jastrzębski i powiat pszczyński oraz bielsko-bialski. Po stronie czeskiej to podregiony (kraje): liberecki, kralowohradecki, pardubicki, ołomuniecki, morawsko-śląski. Na obszarze tak ukonstytuowanego pogranicza mieszka ponad 7 mln ludzi – 3,3 mln po stronie Republiki Czech i ponad 3,7 mln po stronie Rzeczypospolitej. W tym kontekście należy zwrócić uwagę, że w Czechach (głównie na Zaolziu) żyje ok. 60-tysięczna mniejszość polska. Po stronie polskiej natomiast żyją nieliczni Czesi w dość znacznym rozproszeniu, na przykład mniejszość czeska żyjąca w Zelowie w pobliżu Bełchatowa.

• Kalejdoskop kooperacji

Współpraca Polski i Czech na pograniczu przyjmuje różne formy od ściśle formalnych do wręcz spontanicznych form współpracy, które najczęściej podejmowane są w ramach sąsiadujących ze sobą społeczności lokalnych. Kooperacja transgraniczna lokuje się w rozmaitych ramach życia pogranicza: 1. gospodarki – współpraca przedsiębiorców, 2. komunikacji – rozbudowa sieci infrastrukturalnej i infostrukturalnej, 3. kultury, sportu i turystyki, 4. edukacji i nauki (badania naukowe, wspólna realizacja programów unijnych), 5. zwalczania wszelkiej przestępczości, 6. ostrzegania i pomocy w razie katastrof i wszelkich kryzysów, np. sytuacja powodziowa. Nowy etap współpracy na pograniczu polsko-czeskim rozpoczął się wraz z akcesją obydwu krajów do Unii Europejskiej. Najważniejszym wydarzeniem było zniesienie granic wewnętrznych, co w zasadniczy sposób umożliwiło wzajemne kontakty i wyraźniejsze przenikanie życia społecznego między przygranicznym obszarem Polski i Czech. Równocześnie wyraźnemu zmniejszeniu uległ mały ruch graniczny, którego zasadniczym celem był handel wynikający z widocznej różnicy cen między Polską a Republiką Czeską.

Felieton powstał we współpracy z dr hab. Anną Śliż profesorem Uniwersytetu Opolskiego

Afganistan – byłam korespondentem wojennym

Tekst i zdjęcia:
MONIKA KRASIŃSKA

Wyjazd do Afganistanu miał być moją zawodową przygodą życia, spełnieniem dziennikarskiego marzenia, jakim zawsze było dla mnie bycie korespondentem wojennym. Ileż to razy, zanim jeszcze okazało się, że taki wyjazd w ogóle jest możliwy, myślałam o tym, jakby to było być na misji, przygotowywać materiały z bazy wojskowej i mówić „z Afganistanu dla Radia Katowice, Monika Krasińska". Wydawało się to tak nierealne, że czasami i teraz trudno mi uwierzyć, że naprawdę tam byłam.



„Monika Krasińska dla Radia Katowice"

Wyjazd ten i pobyt w bazie w Ghazni okazał się nie tyle przygodą co prawdziwą lekcją życia. Przez ponad dwa miesiące przeżyłam wspaniałe i straszne chwile, wiele zrozumiałam, wiele się nauczyłam i poznałam ludzi, z którymi na zawsze połączyła mnie jakaś niewidzialna nić, nić, której nic nie jest w stanie zerwać, bez względu na to, czy zobaczymy się jeszcze, czy też nie.

Gdy wróciłam do Polski nie byłam w stanie nikomu odpowiedzieć na standardowe pytanie „Jak było?". Nie miałam pojęcia, jak to wszystko opisać, bo czy w kilku zdaniach można opowiedzieć te wszystkie emocje, uczucia i wydarzenia. Czy w ogóle da się opisać uczucie, gdy patrzyłam na najpiękniej rozgwieżdżone afgańskie niebo, smutek na widok dzieci marznących na kilkunastostopniowym mrozie z sinymi gołymi stopami czy też cierpienie, gdy zginął nasz żołnierz? Może łatwiej przelać to wszystko na papier...

Nie być jak PAX

Wylatując do Afganistanu tak naprawdę nie miałam pojęcia co mnie czeka. Oczywiście przeczytałam wiele książek, widziałam filmy, zdjęcia, przeszłam kurs dla korespondentów wojennych, jednak ile to miało wspólnego z rzeczywistością i przede wszystkim – jakich spotkam tam ludzi, nie miałam bladego pojęcia. Choć z góry nastawiona byłam bardzo pozytywnie i nie czułam strachu, a wyłącznie ekscytację, tkwiła gdzieś tam we mnie jakaś obawa. Nie chodziło tu o zagrożenie, jakie wpisane jest w wyjazd na misję, a raczej o to, że po prostu nie dam sobie rady zawodowo, że nie przekonam do siebie ludzi i będę tam zawsze traktowana – jak to mówią żołnierze – jak PAX, czyli po prostu cywil, na dodatek obcy. To dość dziwne uczucie, szczególnie gdy do bazy dociera się na parę dni przed najbardziej rodzinnymi świętami – Bożym Narodzeniem.

Już sam wylot był dość dziwny. Miałam lecieć, potem przesunięto termin o ponad miesiąc, a w konsekwencji zadzwoniono do mnie z Dowództwa Operacyjnego Sił Zbrojnych, że mam się pakować, bo to już za kilka dni. Już sama podróż była swoistą przygodą. Gdy pojawiłam się na wrocławskim lotnisku wojskowym, okazało się, że samolot ma 24-godzinne opóźnienie, a to oznacza nocleg w wojskowym internacie. Dzięki temu mogłam jednak poznać współtowarzyszy. Oczywiście byłam jedynym cywilem, nikt jednak nie zwracał na to większej uwagi, w końcu wszyscy lecieliśmy na misję. Jedni pierwszy raz, tak jak ja, inni kolejny. Część żołnierzy wiedziała, że dołączy do tak zwanych zespołów bojowych, inni mieli świadomość, że przez kilka miesięcy nie wyjrzą poza bazę. Gdy już wsiedliśmy do jednego z największych samolotów na świecie – ANTONOVA, chcieliśmy tylko jak najszybciej wylądować w Afganistanie. Oczywiście nie było to takie proste, czekał nas jeszcze przystanek i nocleg w stolicy Azerbejdżanu, Baku. Po ponad 24 godzinach byliśmy już jednak w Bagram.

Rozkaz: czekać

Ta największa baza wojskowa zrobiła na mnie olbrzymie wrażenie. Czy to w ogóle można nazwać bazą. To, gdzie tak naprawdę jestem, uświadamiały mi chyba jedynie mundury i wszechobecna broń. Było to jednak po prostu duże miasto, po którym jeździły autobusy, gdzie były sklepy, restauracje, a nawet kino. Jeśli ktoś mówi, że Nowy Jork to miasto, które nigdy nie śpi, musiałby zobaczyć tę bazę. W zasadzie co minutę startowały tu bądź lądowały śmigłowce czy też samoloty. Cała baza była nocą oświetlona i zawsze coś tu się działo. Na głównej drodze zwanej na cześć pierwszego żołnierza, który zginął w Afganistanie Disney Drive, ruch był tak duży jak w Katowicach w godzinach szczytu. Wciąż gdzieś trwały remonty i budowy. Po prostu wszechogarniający zgiełk wielkiego miasta.

Z lotniska zabrano nas do polskiej części bazy. Ja trafiłam do tak zwane-

go hotelu czyli po prostu dwupiętrowej budowli, złożonej z blaszanych trzyosobowych kontenerów. Chłopcy mieli mniej szczęścia – zostali zakwaterowani po drugiej stronie bazy w 400-osobowym namiocie. Każdy z nas otrzymał osobistą apteczkę, pokazano nam najistotniejsze punkty, czyli sanitariaty, kafejkę internetową oraz tak zwany DFAC czyli po prostu stołówkę. Teraz mieliśmy tylko czekać na śmigłowce z Ghazni – polskiej bazy, która była celem naszej podróży. Czekać – ta komenda bardzo dobrze w tym czasie utkwiła w mojej głowie. Każdego dnia budziłam się z nadzieją, że dziś wylecimy i za każdym razem słyszałam „czekać". Wśród żołnierzy znane jest trochę prześmiewcze hasło „Przeżyłem piekło – byłem w Bagram". To była zawsze swego rodzaju uszczypliwość w stosunku do tych, którzy służyli w tej bazie. Tu zagrożenie było bowiem zawsze najmniejsze, a polscy żołnierze pracujący w Bagram nie wyjeżdżali na ryzykowne patrole. Ja jednak swoje „piekło Bagram" przeżyłam i nie chodzi tu o niebezpieczeństwo, ale koszmarną bezradność i po prostu, co tu dużo mówić – nudę. Przecież przyjechałam do Afganistanu, by nagrywać materiały, jeździć na patrole, a tu? Wszystko nagrałam w jeden dzień, a potem niekończące się czekanie. Standardowo w Bagram, czy Bafie, jak to miejsce nazywają potocznie żołnierze, powinnam spędzić maksymalnie trzy dni. Tymczasem zła pogoda w bazie, czyli tak zwany RED, uniemożliwiała śmigłowcom start, a co za tym idzie przylot po naszą ekipę przez blisko tydzień. W Bafie każdy dzień wyglądał więc tak samo – rano prysznic, śniadanie, pakowanie rzeczy, ładowanie ich na jelcza, informacja, że nie przylecą, rozpakowywanie jelcza, obiad, kafejka internetowa, kolacja, drugi prysznic (dla zabicia czasu), spanie i tak w kółko. W desperackich żartach pytałam już, gdzie mogłabym wynająć wielbłąda, żeby w końcu wydostać się do Ghazni.

Dom w biurze

Po sześciu dniach w końcu przyleciały po nas śmigłowce i wylecieliśmy do miejsca, które przez najbliższe miesiące miało być naszym domem. Po ponad godzinnym locie, podczas którego nie mogłam oderwać wzroku od znanych mi tylko ze zdjęć krajobrazów, zaczęliśmy schodzić do lądowania. Nie miałam najmniejszego pojęcia, jak to wszystko będzie wyglądało, czy ktoś będzie na mnie czekał na tak zwanym helipadzie, czy mam gdzieś iść, a jeśli tak – to gdzie? Na szczęście, gdy tylko wyszłam ze śmigłowca podbiegł do mnie kapitan Marcel Podhorodecki – jeden z dwóch rzeczników 12. zmiany Polskiego Kontyngentu Wojskowego.



... wyjazdy z pomocą humanitarną były dla mnie ciężkie.

Przywitał mnie uśmiechnięty i pełen entuzjazmu.

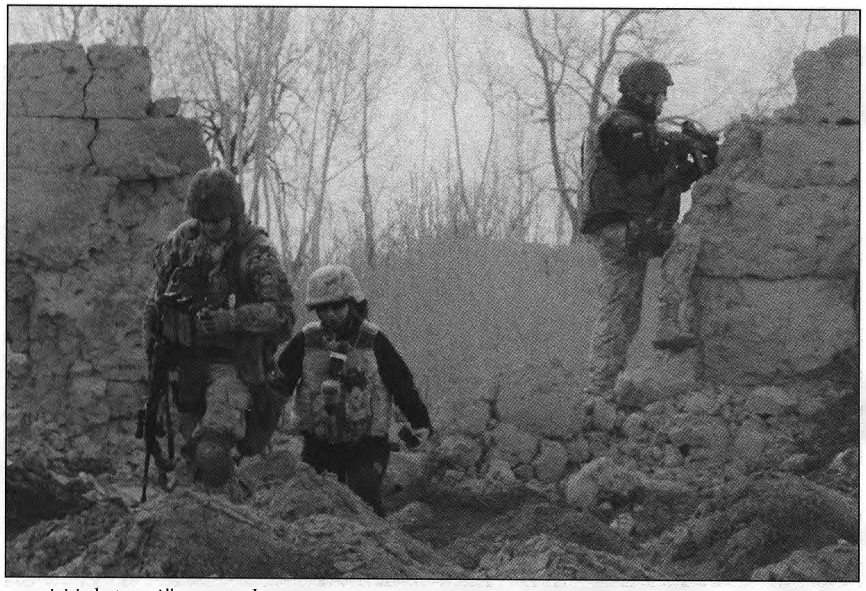
– Jest dobrze – pomyślałam. Ekspresowo torby trafiły do samochodu, a potem w miejsce, gdzie spędziłam 2 dni przed stałym zakwaterowaniem. My natomiast udaliśmy się do PIO, czyli tamtejszego biura prasowego. Jak się później okazało to właśnie tu był mój prawdziwy dom, bo w tak zwanej B-HUT spałam tylko kilka godzin, a nawet czasami w ogóle tam nie docierałam. Po patrolach wracałam do biura, a tu, nieraz do świtu, pracowaliśmy nad wszelakimi materiałami prasowymi.

Wstyd mi za takich rodaków

W bazie Ghazni każdy dzień był inny i nie było tu czasu na nudę, a nieraz nawet na sen. Pierwsze patrole i kontakty z żołnierzami nie były łatwe. Mam wrażenie, że podchodzili do mnie „jak do jeża" – wiadomo dziennikarz i na dodatek kobieta. Każdy dzień jednak otwierał ich na mnie, a mnie na nich. Widziałam w nich już nie tylko żołnierzy, ale i mężów, ojców, narzeczonych, chłopaków szukających swojej drogi w życiu, tych którzy spełniali tu swoją pasję i takich, którzy przyjechali, bo to ich służba. Oczywi-



Patrol z pomocą humanitarną



... „cisi i skuteczni" na patrolu

ście wiele osób teraz pomyśli – „tak i takich, którzy polecieli tam dla kasy". Absolutnie nie zaprzeczę, że na misji żołnierze zarabiają dużo więcej niż w Polsce, jak i każdy człowiek pracujący za granicą, a mieszkający w naszym kraju. Naturalne, że pieniądze mają tu znaczenie, nie są jednak motywatorem wyjazdu. Wbrew wszelkim opiniom bardzo krzywdzącym tych chłopaków, nie są to ani najemnicy, ani płatni mordercy i nie pasuje do nich żaden z tych niechlubnych przydomków, jakie nieraz z bólem widzę przy anonimowych internetowych wpisach. Trzeba mieć choćby tak podstawową świadomość, że to nie oni się tam wysłali, ale wysłał ich nasz rząd w porozumieniu z NATO. Żołnierze mają służyć i wykonywać rozkazy i to robią. Jeśli ktoś uważa, że to błąd, że jesteśmy w Afganistanie, że okupujemy ten kraj, ma do tego pełne prawo. Pretensje może mieć jednak do rządu, a w konsekwencji do nas samych, którzy rząd wybieramy. Obrażanie i wyżywanie się na żołnierzach i ich rodzinach jest po prostu nie tylko obrzydliwe ale i niegodne. Osobiście wstyd mi za takich rodaków, ponieważ wiem, jak cenieni i szanowani są żołnierze w innych krajach. W Stanach Zjednoczonych żołnierz to bohater, u nas, według niektórych – najemnik i morderca.

Cisi i skuteczni

Wróćmy jednak do Ghazni. Mój pierwszy patrol trudno zaliczyć do udanych. W sumie nawet nie wiem, czy mogę to nazwać patrolem. Oficjalnie tak, bo wyjechaliśmy poza teren bazy. Niestety pojawił się RED, opisywany już wcześniej, czyli pogoda nazwijmy to „nielotna". W sumie mogłoby się wydawać, że nie ma to nic do rzeczy, bo przecież my nie lecieliśmy a jechaliśmy. W taką pogodę jednak nie może odbyć się żaden wyjazd dalszy niż 5 km od bazy. Powodem są oczywiście kwestie bezpieczeństwa. W takich warunkach, gdyby cokolwiek podczas patrolu się stało, nie mogłoby przylecieć wsparcie powietrzne ani – co najważniejsze – tak zwany MEDEVAC, czyli śmigłowiec ewakuacji medycznej. Gdyby ktoś został poważnie ranny, nie można by go szybko przetransportować z niebezpiecznego rejonu do polowego szpitala w bazie. W tej sytuacji po przejechaniu zaledwie kilku kilometrów musieliśmy wracać do bazy.

Choć XII zmiana to głównie żołnierze ze Szczecina, w bazie zawsze mamy naszą śląską ekipę i są to najlepsi z najlepszych. Chodzi mi oczywiście o komandosów z Lublińca. Zaskoczyli mnie chyba w zasadzie wszystkim. Wydawało mi się, że są zadufanymi w sobie dwumetrowymi chłopakami zbudowanymi z samych mięśni. Ciągle krąży taki właśnie „mit komandosa". Tymczasem, gdy ich poznałam, okazało się, że to normalni chłopacy, tyle że z wielką pasją. To, jak planowali akcje, i w jaki sposób je przeprowadzali, pokazywało nie tylko ich siłę czy odwagę, ale też niesamowitą inteligencję. Wszystko opracowane było w najdrobniejszym szczególe, każdy wariant, każda nawet mało możliwa sytuacja. Podczas ponad dwóch miesięcy, które tam spędziłam, udało im się zatrzymać kilku rebeliantów z listy najgroźniejszych talibów i odnaleźć przerażające ilości materiałów wybuchowych, broni i amunicji.

O komandosach z Lublińca mówi się „cisi i skuteczni" i na pewno właśnie tak działają – cicho, skutecznie i bardzo profesjonalnie. Każdy z nich poświęca wiele, żeby być najlepszym. Godziny treningów na siłowni i strzelnicy, dodatkowe kursy – tu nie można sobie pozwolić na przeciętność, tu nie ma miejsca na stwierdzenie „jakoś dam radę". Wiedzą doskonale, że cała grupa jest tak silna jak jej najsłabsze ogniwo – dlatego nikt nie może być tu słabszy i nikt nie chce. Przyznam, że nikt i nic chyba nie „ładowało" tak bardzo moich „akumulatorów" jak właśnie spotkania z tymi chłopakami. Wręcz zarażali chęcią działania, rozwijania się i pasją.

Choć tak naprawdę najlepsi w tym, co robią, nigdy sami tak o sobie nie mówią. Nie przechwalają się kolejnymi sukcesami, nie chodzą z zadartym nosem wśród innych żołnierzy.

– Każdy z nas robi swoją robotę i tyle, oni mają inne zadania, a my inne, nie ma tu gorszych czy lepszych – mówili mi nieraz. Nie jest to jakaś fałszywa skromność, ponieważ widać to też w ich zachowaniu. Pytani przeze mnie po jednej z brawurowych akcji o to, czy są z siebie dumni – zaprzeczali.

– To była jedna z akcji i dobrze, że udało się w końcu zatrzymać kogoś, kto wyrządził tyle zła – tłumaczyli.

Dzieci na mrozie

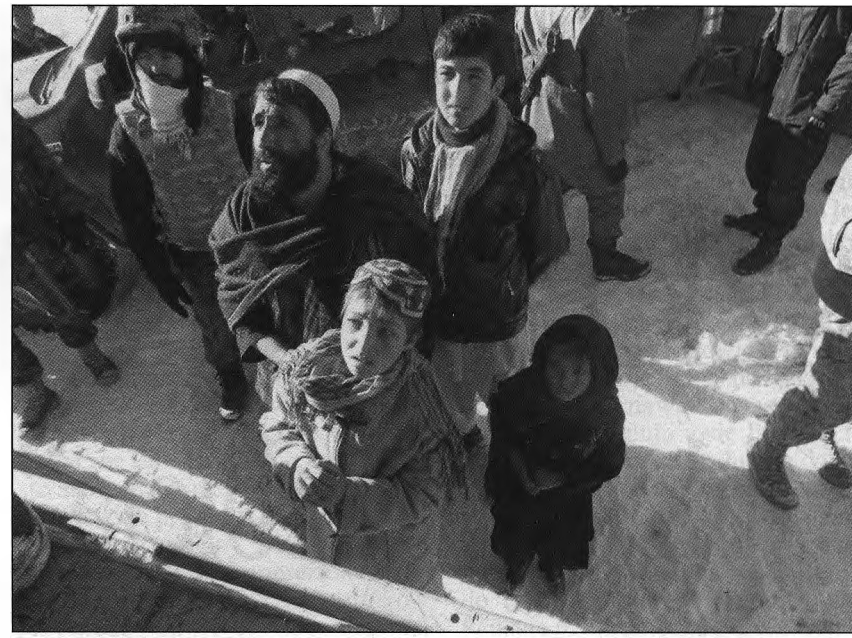
Nawet w najdłuższym artykule trudno opisać wszystko, co przeżyłam i zobaczyłam w Afganistanie, cały 2,5 miesięczny pobyt. Więzi, jakie połączyły nas tam w bazie, to niejako pochodna tych przeżyć i emocji: adrenaliny, radości, smutku, żalu, złości, zwątpienia, współczucia... Były jednak takie przeżycia, które na trwałe zapisały się w mojej pamięci i sercu, a może i wiele we mnie zmieniły.

Niewątpliwie jedną z takich chwil był pierwszy patrol z pomocą humanitarną. Już sam widok wioski z oddali zrobił na mnie niesamowite wrażenie. Gdyby nie samochody, mogłabym pomyśleć, że cofnęliśmy się w czasie do lat Chrystusowych. Kalaty czyli ichniejsze domy zbudowane z kamienia i gliny, z tego samego budulca murki otaczające podwórza i odgradzające pola, czy też ogrody. Kobiety i nastolatki w chustach uciekające przed naszym wzrokiem i te dzieci. Mimo że był środek zimy, śnieg i mróz sięgający nieraz minus 20 stopni, chodziły w cienkich spodenkach i koszulkach, w większości boso. Nogi, ręce i wargi miały dosłownie sine. Nie mogłam uwierzyć w to, co widziałam. Ja – ubrana w najcieplejsze rzeczy zimowe – po chwili już trzęsłam się z zimna, a one stały tam praktycznie w piżamkach. Moment, gdy wzięłam na ręce zapłakanego chłopca, któremu na gołe przemarznięte nogi założyliśmy chyba jego pierwsze w życiu ciepłe buty, na zawsze zostanie w moim sercu. Do tej pory pamiętam uczucie, jakie mnie ogarnęło, gdy dotknęłam dłonią policzka tego zapłakanego chłopca – jego twarz była wręcz lodowata. Trzymałam go tak na kolanach uspokajając i nie mogłam uwierzyć w to wszystko. Było to po prostu nierealne. W afgańskich wioskach ludzie nieraz żyją na skraju ubóstwa i to takiego, jakiego my, Europejczycy, nie znamy. Wyjazdy z pomocą humanitarną często były dla mnie ciężkie – tyle trzeba by zrobić,

tak bardzo chciałoby się pomóc, a tak małe są możliwości.

Tu się strzela do cywilów

Tego typu wyjazdy to jedna strona, druga – to patrole bojowe. Podczas jednego z nich uświadomiłam sobie, gdzie tak naprawdę jestem i co się tu dzieje. Wioska Nani, gdy byłam w Ghazni była najniebezpieczniejszym miejscem w prowincji. Podczas wielu wyjazdów w jej rejon dochodziło do tak zwanych kontaktów, czyli po prostu ostrzału naszych sił koalicyjnych przez rebeliantów. Gdy wyjechałam na patrol w jej okolice, nie bałam się jednak. Tyle już miałam różnych niebezpiecznych sytuacji za sobą, a poza tym przecież każdy patrol to ryzyko – tłumaczyłam sobie. Miałam wtedy iść na tak zwanych wąsach wraz z żołnierzami. To jedno z najniebezpieczniejszych zadań, jakie mają oni na patrolach. Idzie się poboczem wzdłuż drogi i sprawdza, czy nigdzie nie ma tak zwanych odciągów czyli kabli łączących zaimprowizowany ładunek wybuchowy, często umieszczany pod drogą a detonatorem. Żołnierze nie tylko narażeni są na wybuch takiej pułapki, ale i wystawiają się na ostrzał i to na pierwszej linii. Po przejściu kilku kilometrów zostało nam już tylko pole, przez które trzeba było przemaszerować. Wcześniej jako takie schronienie dawały nam murki, teraz byliśmy na otwartej przestrzeni, a przed nami Nani i domy, z których dachów nieraz już strzelano. Nie czułam strachu, a raczej irracjonalną adrenalinę. W połowie drogi kolega zauważył ruchy na dachu – już wcześniej wiedzieliśmy, że na dachach jest 6 osób, ale czy to rebelianci, czy cywile nie można oceniać póki nie strzelą. Żołnierz postanowił, że odda w powietrze strzał ostrzegawczy. Wtedy rebelianci nie wytrzymali i zaczęli do nas strzelać. Ostrzał trwał ponad pół godziny – ja wraz z opiekującym się mną żołnierzem padliśmy, ukrywając się za jakimś gruzem, inni wskoczyli do pobliskiego rowu. Choć słyszałam strzały, nie miałam pojęcia skąd prowadzony jest ostrzał i wciąż nie czułam strachu, choć może to kompletnie niezrozumiałe. Teraz adrenalina przerodziła się w motywację do działania. Wiedziałam, że muszę wykonać każde polecenie na 100 procent. To nie zabawa. Za wolno pobiegnę, przewrócę się, zrobię cokolwiek nie tak – ktoś może stracić życie. Wycofując się, zobaczyłam jak obok mojej ręki wbijają się kule. Nie wiem skąd wzięłam w sobie tyle energii, żeby natychmiast wskoczyć do rowu. Dopiero gdy bezpiecznie dojechaliśmy do bazy chłopcy, którzy w czasie ostrzału byli w wozach powiedzieli, że miałam dużo szczęścia. Gdy leżałam przy gruzowisku kule układały się metr a nawet i pół metra za mną. Cały ogień był skierowany w to miejsce – byłam cywilem, nie miałam munduru, a to do-



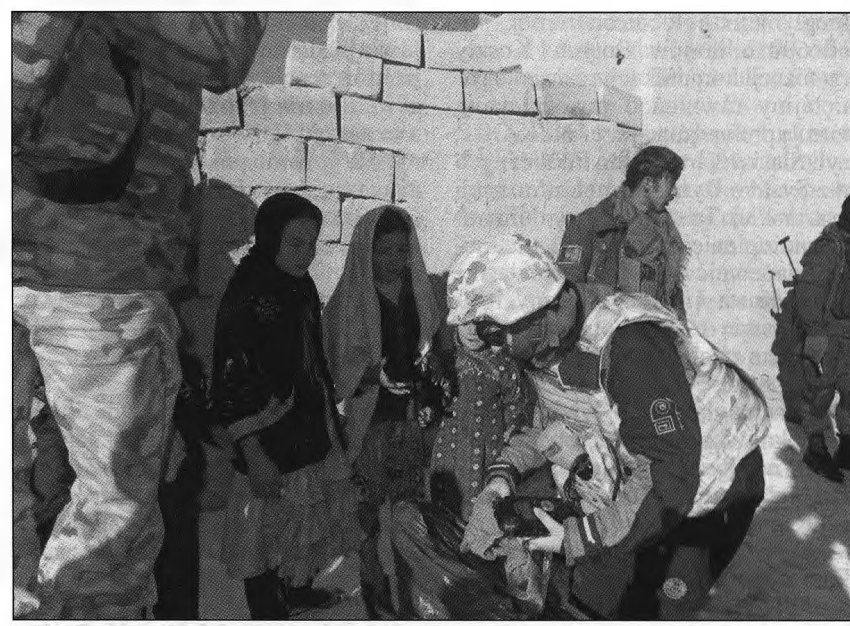
... tak bardzo by się chciało pomóc.

strzegli rebelianci. Gdyby udało im się zabić cywila, a tym bardziej dziennikarza, czy kogoś ważnego, byłby to dla nich wielki sukces. Logiczne – gdy ginie żołnierz – nigdy nie będzie o tym w mediach tak głośno, jak w przypadku gdy ginie korespondent wojenny, czy ktoś w ich mniemaniu ważny. Od tej pory na patrole jeździłam w mundurze.

Papierosy i łzy

Nie był to jednak najgorszy dzień w czasie mojego pobytu w Afganistanie. W końcu wszyscy wróciliśmy cali i zdrowi do bazy. Niestety nie udało się to komandosom z GROM-u. Tego ranka, zresztą jak co dzień, mieliśmy wyjechać na patrol. Przyszłam radosna do biura, ale gdy tylko zobaczyłam minę jednego z rzeczników XII zmiany, który właśnie rozmawiał przez telefon wiedziałam, że coś jest nie tak. Wyszeptał tylko, że kilku rannych, a jeden nie żyje i że chodzi o komandosów. Usiadłam w fotelu i łzy zaczęły płynąć mi po policzkach. Kompletnie nie byłam w stanie tego kontrolować. Wciąż ciężko wraca mi się do tamtych wydarzeń. Papieros za papierosem i łzy płynęły wtedy godzina za godziną. Wciąż przed oczami mam trumnę komandosa i tych wszystkich, którzy przyszli go pożegnać. Każdy starał się ukryć swój smutek. Widzę jednak też tę niesamowitą jedność, jaka ich łączy. My na Śląsku często widzimy to wśród górników. Solidarność tak zwanej braci górniczej, kiedy zdarzy się nieszczęście. Tu jest podobnie. Nikt nie zostaje sam i nikogo się tu nie zostawia...

■



Kobiety i nastolatki uciekały przed naszym wzrokiem.

Z rzecznikiem prasowym ANNĄ KOTERAS
i ŁUKASZEM KOSOBUCKIM
z wydziału organizacji przewozów
rozmawia MAREK MIERZWIAK

KZK GOP, czyli „chłopiec do bicia”

– Jakim bilansem został zamknięty ubiegły rok? To znaczy, ile macie strat, ile zysków? Za chwilę będziemy rozmawiać o podwyżkach, więc dobrze by było wiedzieć, na czym stoimy?

– Jesteśmy związkiem międzygminnym – mówi Anna Koteras – więc instytucją samorządową. W naszym przypadku bilans zawsze musi wyjść na zero. Natomiast, o czym trzeba pamiętać, komunikacja miejska nie jest dochodowa. Tak u nas, jak i na całym świecie. Każda gmina jest zobowiązana organizować komunikację tak, aby zapewnić mieszkańcom możliwość poruszania się, zapewnić dojazd do pracy, do szkoły, czy do lekarza. 60% kosztów organizacji komunikacji pokrywają miasta, natomiast cena biletu to 40% realnego kosztu przejazdu.

– W ciągu roku iloma milionami obracacie?

– W tym roku budżet KZK GOP to ponad 700 milionów złotych. W roku ubiegłym to było nieco mniej, ponad 600 milionów złotych. Koszty organizacji komunikacji rosną, ale pamiętajmy również o inwestycjach, które są prowadzone przez KZK GOP, czyli Śląska Karta Usług Publicznych oraz System Dynamicznej Informacji Pasażerskiej. To są programy dofinansowane z pieniędzy unijnych, ale musimy zapewnić także wkład własny. Śląska Karta Usług Publicznych to koszt prawie 190 milionów złotych, przy czym około 100 milionów to są pieniądze z dotacji, Dynamiczna Informacja są to koszty o wiele mniejsze – około 8 milionów złotych.

– Ile autobusów i tramwajów wyjeżdża dziennie na trasy? Ilu pasażerów przewozicie?

– Codziennie na drogi wyjeżdża około tysiąca pojazdów. To jest ponad 200 tramwajów i 800 autobusów. Jeżeli chodzi o pasażerów, to przewozimy niecały milion osób dziennie.

– Politycy ciągle snują fantasmagorie o metropolii. Czy ona faktycznie powstanie – nie wiadomo, natomiast dla was aglomeracja istnieje od dawna. A co się stanie jak metropolia nie powstanie?

– Od dwudziestu lat KZK GOP działa i w chwili obecnej spaja 25 gmin. Dzięki porozumieniu z sąsiednim związkiem, pasażerowie MZKP oraz KZK GOP mogą podróżować na jednym bilecie. Dzięki temu nasz bilet jest ważny na terenie ponad 40 gmin. Mówienie o tym, że aglomeracja dopiero powstanie... Owszem, być może jako pewien twór administracyjny. Natomiast dla nas, dla mieszkańców, aglomeracja jest faktem. Władze miast oceniają pozytywnie to, co robi KZK GOP, jak tę komunikację organizuje.

– Ale też powiedzmy i to pani Anno, że od czasu do czasu KZK GOP staje się takim chłopcem do bicia. Pojawiają się bowiem różnego rodzaju informacje: a to za mało autobusów, a to nie jeździcie punktualnie, a to zarząd kupił sobie nowe limuzyny. Ale głównie pasażerowie wkurzeni są tym, że podnosicie ceny biletów. Czy trzeba to robić w tak dużej aglomeracji, kiedy na przykład sąsiednie Opole obniżyło ceny. O złotówkę staniał bilet jednorazowy, a o 7 zł bilet miesięczny.

– Temat podwyżek jest zawsze tematem bardzo trudnym. Są to decyzje, które podejmujemy po naprawdę długim namyśle. Natomiast komunikacja jest kosztowna. Każdy, kto ma swój własny samochód wie, ile kosztuje jego utrzymanie, ile musi wydać, aby zatankować bak, a takich tankowań w miesiącu zrobi dwa, trzy.

W przypadku komunikacji oczywiście trzeba to zwielokrotnić. Budżet KZK GOP w ponad 90% przeznaczony jest wyłącznie na organizację komunikacji.

– A pozostałość to jest administracja?

– To jest utrzymanie przystanków, kwestia wydrukowania biletów, prowizji ze sprzedaży tych biletów, dla podmiotów które te bilety dystrybuują oraz w części administracja. To są tak zwane koszty pozostałe. Pamiętajmy, że pasażer płacąc za bilet, płaci niecałą połowę realnego kosztu przejazdu. System komunikacyjny w aglomeracji jest bardzo rozbudowany, skomplikowany. Te uwarunkowania wynikają ze specyfiki aglomeracji. Trudno sobie wyobrazić, żeby każde miasto miało swoją komunikację ze swoim biletem i ze swoim systemem. Byłoby to niemożliwe do zorganizowania. Natomiast na pewno ta skala generuje pewne problemy. Zarządzanie takim organizmem jest na pewno trudniejsze. W pojedynczym mieście funkcjonuje jedno centrum i obrzeża. W miastach KZK GOP mamy 25 centrów, a przecież mieszkańcy muszą także swobodnie się poruszać między różnymi miastami.

– Komunikacja miejska ma za zadanie dowozić ludzi z obrzeży miast do centrów. I tak to dzieje się np. w Paryżu czy w Londynie. Możemy zostawić samochód i komunikacją miejską dojechać do centrum. Czy w naszej śląskiej aglomeracji też nad tym ktoś pracuje?

– To jest troszkę bardziej skomplikowane. Dojeżdża się do pewnego punktu samochodem, zostawia auto i wsiada się na przykład w tramwaj. Rzeczywiście u nas nie ma takich centrów przesiadkowych. Są w planach. Natomiast tych centrów nie buduje KZK GOP. To jest w gestii miast. Oczywiście jesteśmy zwolennikiem tego typu rozwiązań i mamy nadzieję, że one niebawem powstaną. Jeżeli chodzi o centra i samochody to u nas niestety jeszcze pokutuje takie przeświadczenie, że samochód jest pewnym wyznacznikiem statusu. Stereotyp, że komunikacją miejską jeżdżą osoby, których na przykład na samochód nie stać. To się, być może, powolutku zmienia. Na zachodzie to już zmieniło się dawno. My jednak próbujemy cały czas podkreślać i namawiać, że są sytuacje, gdzie rzeczywiście lepiej skorzystać z komunikacji miejskiej, a samochód zostawić w garażu. Taki wybór jest zasadny na przykład przy dojeździe do centrum miasta.

– Tylko czy będziemy mieć sto procent pewności, że ten autobus przyjedzie i zawiezie nas do centrum, a później, kiedy będziemy wracać o godzinie 22.10 też nas nie zawiedzie?

– Oczywiście zdarza się, że autobus będzie miał awarię. To przecież nie jest tak, że autobus nie przyjeżdża, bo kierowca doszedł do wniosku, że nie pojedzie.

W tamtym roku, zimą, było kilka takich dni, że praktycznie całe miasta „stały", wszędzie były potężne korki. Autobusy także w nich utknęły i nie dojechały na czas. Generalnie jednak komunikacja funkcjonuje dobrze. Zdarzają się wypadnięcia, zdarzają się problemy, natomiast nie jest to nagminne. I pamiętajmy, że mówimy o tysiącu pojazdów na dzień. Jeżeli wypadnie na przykład 10 autobusów to jest 1%. Oczywiście dla tych osób, które stoją na przystanku i ten autobus nie przyjechał, to jest 100% niewykonanego kursu i zmarnowanego czasu. Natomiast w skali całego systemu jest to naprawdę odsetek znikomy. Jeżeli w dziesięciu przypadkach coś się stanie, to nie możemy mówić, że źle funkcjonuje komunikacja i wszystko się wali.

– Za komuny Zenon Laskowik w swoim kabarecie Tey mówił: Nie narzekajmy, że traktor jest popsuty, bo jedno koło mu się popsuło. Trzy są dobre.

– Takiego myślenia absolutnie chcę uniknąć. Dla tego pasażera, który stoi na przystanku jego autobus jest najważniejszy. Natomiast nie można powiedzieć, że coś funkcjonuje fatalnie, gdy w niewielkim procencie zaszwankowało. Proszę mi wierzyć, że bardzo chcielibyśmy, aby wszystko funkcjonowało idealnie, komunikacja działała bez żadnych zakłóceń, nie było utrudnień na drogach, autobusy zawsze i wszędzie jeździły zgodnie z rozkładami jazdy, pasażerowie byli zadowoleni i wszyscy mieli bilety.

– Jeżeli sprawdzi się 95% tego, o czym pani mówiła, to już będzie fantastycznie.

– Staramy się działać tak, aby komunikacja funkcjonowała jak najlepiej. Są jednak uwarunkowania zewnętrze, niezależne od nas, żyjemy też w określonej rzeczywistości, panują określone warunki na drogach, przewoźnicy dysponują określonym taborem. Wiele rzeczy zmieniło się na lepsze, na drogach widać coraz więcej nowych, niskopodłogowych autobusów, staramy się dążyć do systematycznego poprawiania jakości. Problemy jednak ciągle są.

– Czy te wszystkie linie autobusowe i tramwajowe są dostosowane do tego, żeby pasażera, który chce korzystać z wielu różnych rzeczy, które tutaj oferuje województwo śląskie, z teatrów, kin, centrów handlowych, itd. dowieźć na czas. Bez kłopotu. I czy również bez stresu, i kłopotu wróci on do domu?

– Jeżeli chodzi o dojazdy do teatrów, do kin, do miejsc rozrywki ogólnie mówiąc – Łukasz Kosobucki ma przed sobą ogromną kartę, na której to wszystko jest rozrysowane – to w tej chwili jest sytuacja taka, że życie kulturalne przenosi się do centrów handlowych. To są największe generatory ruchu. Nie wiem, co w przyszłości nas czeka, ale w tej chwili życie skupia się na przykład w CH Silesia. Rzeczywistość wymusza na nas, by właśnie do okolic tych centrów komunikację wzmacniać w okresie weekendów. Pamiętajmy jednak też o tym, że na bardzo wiele wydarzeń kulturalnych przygotowywana jest specjalna oferta komunikacyjna. Na przykład na festiwale muzyczne takie jak Tauron, czy Off Festival uruchamiane są dodatkowe kursy. W takich przypadkach rozkład jazdy jest uzgadniany w gronie osób organizujących daną imprezę. Wszystko jest dograne tak, aby uczestników przywieźć i odwieźć. Nie było do tej pory żadnych uwag do funkcjonowania tych linii.

– To są duże festiwale, bądź imprezy sportowe i wiadomo, że będzie tam kilka, kilkanaście tysięcy ludzi. Trzeba ich rozwieść po województwie. Ale jak to wygląda na co dzień? Kilka osób z Sosnowca bądź z Dąbrowy Górniczej chce się wybrać do Gliwickiego Teatru Muzycznego. Dojadą i bez kłopotu wrócą do domów?

– W tej chwili funkcjonują 23 linie nocne oznaczone literą N. Kursują z różną częstotliwością, staramy się zapewniać dojazdy na obszarze całej aglomeracji. Ta częstotliwość jest różna, od godziny do dwóch godzin. Jeżeli chodzi o centrum, czyli Katowice, gdzie jest na przykład Teatr Śląski, zrobiliśmy to tak, że rozkłady przewidują odjazdy o tych samych godzinach w różne strony aglomeracji. Na przykład 0.40 czy 1.40 z ulic Mickiewicza, Stawowej czy Piotra Skargi.

– Mówimy o komunikacji po 22., tak zwanej nocnej.

– Tak i ona spełnia swoje zadanie. Można dojechać w każde miejsce aglomeracji. Oczywiście, ktoś może powiedzieć, że częstotliwość nie jest atrakcyjna, no ale popyt na przewozy o tej godzinie jest dosyć mały. Musimy pamiętać o ekonomii i kosztach, tym bardziej że nie można wydelegować mniejszego pojazdu, bo do obsługi tych linii są przeznaczone autobusy, które kursują w dzień. Żadna firma nie będzie trzymała małego auta po to, żeby nim wyjechać tylko na noc. Bo wtedy koszty będą duże. Czasem, aby dojechać do miejsca docelowego, trzeba skorzystać z przesiadki. Na przykład jeśli chcemy dojechać autobusem do Teatru Muzycznego w Gliwicach można skorzystać z autobusu linii A4, kursującej od zajezdni do placu Piastów.

– Stamtąd można z przesiadką dojechać do innych miast?

– Oczywiście. Z przesiadką można dojechać w zasadzie wszędzie.

– Powiedzmy, że jest dobrze, jeśli jedziemy z jednego miasta do drugiego. Ale teraz z centrum miasta musimy dojechać do dzielnicy, która jest gdzieś daleko – do Piotrowic, Ligoty czy do Bogucic. A jedziemy z teatru w Sosnowcu albo z Gliwic.

– Są linie nocne z Sosnowca i możemy dojechać do Katowic, a tu są też linie, którymi dojedziemy do sąsiednich dzielnic, czy nawet do sąsiednich gmin. Funkcjonują dwie linie nocne do Mysłowic, które obsługują dodatkowo Janów i Wilhelminę. Do Zabrza, do Rudy Śląskiej, do Łabędy jeździ nocna linia 32N. Jest wewnętrzna linia nocna w Gliwicach 60N. Z Żernik do Trynka. Mamy do Halemby 130. Kursuje również jedna z dłuższych linii, nr 194N. Jedzie z Gliwic, aż pod Rybnik do Szczygłowic. Też są wykonywane kursy nocne.

– Generalnie – dodaje Anna Koteras – komunikacja nocna funkcjonuje i to nieźle, natomiast zawsze warto sprawdzić godziny odjazdów, zaplanować tę podróż. Niestety, nie da się komunikacji zorganizować tak, żeby z każdego przystanku, z każdego miejsca do każdego innego miejsca w całej aglomeracji przez 24 godziny jeździły autobusy z wysoką częstotliwością. Staramy się wszystko zorganizować tak i w dzień, i w nocy, aby działało sprawnie, ale też musi być efektywne i ekonomicznie uzasadnione. Natomiast zdajemy sobie sprawę, że można jeszcze sporo poprawić i staramy się tę jakość podnosić, i mamy nadzieję, że ona będzie rzeczywiście teraz coraz lepsza. Z roku na rok to będzie widać.

– W 10-punktowej skali, jakby pani oceniła działalność KZK GOP?

– Trudno być sędzią we własnej sprawie, ale jestem także pasażerką, korzystam z komunikacji publicznej od lat i przy tych wszystkich problemach oceniam na 6, no 7 punktów.

– A pańska ocena, panie Łukaszu?

– Dałbym wyżej. Dotychczas nie miałem żadnych kłopotów. Nie spotkałem się z sytuacją, żeby nie było autobusu bądź tramwaju w moim dotychczasowym podróżowaniu. Solidne 8.

– Państwu dziękuję za rozmowę, a Czytelnicy ocenią po przeczytaniu tego artykułu i po tym co sami przeżywają czekając na przystankach, czy KZK GOP zasługuje na 6 punktów, 7 czy nawet 8. Wszak problemy przedsiębiorstwa są jego problemami, natomiast pasażerowie płacąc za bilet chcą być traktowani z należytą powagą i to im powinno być wszystko podporządkowane.



Uczestnicy konferencji naukowej „W cieniu tragedii wołyńskiej 1943 roku. 70. rocznica mordów Polaków na Kresach Południowo-Wschodnich"

„W cieniu tragedii wołyńskiej 1943 roku"

GRZEGORZ BĘBNIK

To na pewno nie była zwyczajna konferencja, co ocenić mógł każdy, kto choćby tylko kilkakrotnie uczestniczył w podobnych spotkaniach. To, o którym mowa odbyło się w nowym gmachu Centrum Informacji Naukowej Uniwersytetu Śląskiego, za inicjatorów mając zarówno władze Instytutu Historii UŚl, jak i katowicki oddział Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich. W ustalonym zawczasu, jak to w zwyczaju, programie ujęto wystąpienia dziesięciu prelegentów, przeważnie ze środowisk akademickich (Uniwersytet Śląski, Akademia Górniczo-Hutnicza w Krakowie, lubelski Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej oraz Katolicki Uniwersytet Lubelski), ale również z katowickiego Instytutu Pamięci Narodowej, czy grona współorganizatorów konferencji – Towarzystwa Miłośników Lwowa. Niewątpliwą ozdobą obrad miał być ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski; niestety, nie zdołał dojechać po niedawnym wypadku samochodowym. W jakimś stopniu zastąpił go jeden z jego współpracowników, w emocjonalnym wystąpieniu przekazując główne tezy referatu księdza.

„Już od kilku miesięcy dochodziły nas wieści o tym, co dzieje się na Wołyniu. Co nocy do domów Polaków wpadają Ukraińcy i w bestialski sposób mordują ludzi bezbronnych. Nie są to wypadki rzadkie. Tysiące uchodźców z Wołynia znajduje się w we Lwowie i opowiada rzeczy, od których serce zamiera. Wprost wierzyć nie możemy, do czego człowiek jest zdolny, człowiek, który przeszedł zwierzę." (wpis z 4 października 1943 r.)

Przewidziane w programie wystąpienia nie ograniczyły się wyłącznie do Wołynia, choć tamtejsza tragedia była motywem przewodnim obrad; mówiono również i o analogicznych wydarzeniach w innych kresowych województwach II Rzeczypospolitej: lwowskim, tarnopolskim, łuckim czy stanisławowskim. Całość postarano się umieścić na tle bardziej ogólnych rozważań, poświęconych problemom współżycia Polaków i Ukraińców na Wołyniu w dwudziestoleciu międzywojennym (dr hab. Joanna Januszewska-Jurkiewicz) czy ówczesnej ukraińskiej myśli niepodległościowej (dr hab. Krzysztof Nowak). To jednak ludobójstwo na Kresach, czy to widziane ogólnie, czy też rozpatrywane w poszczególnych aspektach, a także wywoływane nim reakcje były tymi właśnie zagadnieniami, wokół których koncentrowały się zainteresowania i emocje znakomitej większości obecnych na konferencji. Temu też poświęconych było gros wystąpień.

Emocje, może nawet – ogromne emocje... I trudno się dziwić. Zwłaszcza podczas podsumowującej spotkanie dyskusji padło wiele gorzkich słów, skierowanych pod wszystkie chyba możliwe adresy. Wśród słuchaczy przeważali bowiem kresowianie, ludzie w zaawansowanym już najczęściej wieku, którzy osobiście nieraz doświadczyli okrucieństw, opisywanych w referatach chłodnym (na ogół) „szkiełkiem i okiem" naukowca. W żadnym jednak wypadku pretensje te nie kierowały się w stronę organizatorów konferencji – przeciwnie, na wszelkie wręcz sposoby wyrażano wdzięczność, iż to właśnie katowicka uczelnia zdecydowała się nie tylko ugościć kresowian w swoich murach, lecz i wziąć na siebie całość prac organizacyjnych. Wprost mówiono przy tym, że współdziałanie takie jest w skali kraju rzadkością. Nie tylko zresztą w przypadku wyższych uczelni; wyrzuty obecnych kierowały się również w stronę rozmaitych instytucji państwowych, społecznych, a także i mediów. Problem ludobójstwa na Kresach, jak przekonywano, jest pomijany, lekceważony czy – w najlepszym razie – marginalizowany, czy to z lenistwa, czy niewiedzy, czy wreszcie świadomie, w obawie przed dyplomatycznymi zadrażnieniami z Ukrainą i Ukraińcami. Szczególne rozżalenie wywoływało, takie przynajmniej odnieść można było wrażenie, staranne unikanie w oficjalnych, polsko-ukraińskich kontaktach terminu „ludobójstwo", najbardziej wszak adekwatnie opisującego skalę i charakter zjawiska. Wskazywano również na występujące w Polsce zadziwiające zjawisko o dynamice wręcz dokładnie odwróconej, czyli cały szereg publikacji, programów czy również i pomników wpisujących się w nurt upamiętnienia członków UPA i OUN; i to już jako formacji

niepodległościowych, stawianych często na jednej płaszczyźnie z Armią Krajową. Emocje brały tu nieraz górę, czemu jednak – powtórzmy – trudno się dziwić. Dostało się również niektórym historykom, czy to – przynajmniej w opinii obecnych – nazbyt spolegliwym wobec historycznych narracji forsowanych przez dominujące na Ukrainie środowiska, czy zgoła odznaczających się dezynwolturą na tyle posuniętą, by zabierać głos bez posiadania elementarnej choćby wiedzy. „On nawet nie wiedział, kim był Dmytro Doncow! [twórca ukraińskiej koncepcji nacjonalizmu, stanowiącej ideologiczną podbudowę ludobójstwa na Kresach-GB]", jak w usprawiedliwionej pasji wykrzyknął jeden z dyskutantów pod adresem takiego właśnie historyka.



Dr Andrzej Drogoń (IPN Katowice) – Metody i formy aktów ludobójstwa dokonywanych przez ukraińskich nacjonalistów. Wybrane przykłady oparte na relacjach świadków

„Zdawało się, że gdy front będzie blisko, ustaną morderstwa. Tymczasem prawie każdy dzień przynosi nowe ofiary. Ale tego, co stało się w tych dniach jeszcze nie było. Gdy się o tym pomyśli, krew stygnie w żyłach. Otóż została żywcem spalona polska wieś. Było to tak: przed kilkoma dniami przyjechał pułk Ukraińców-żołnierzy niemieckich. Po paru dniach kilkunastu pojechało do pewnej wioski zamieszkałej przez Polaków. Mieszkańcy przez omyłkę dwóch z nich zastrzelili. Teraz trudno rozeznać się w ludziach. [...] Ludzie myśleli, że to bandyci, a tymczasem było to wojsko, które jednak postąpiło gorzej od bandytów. Na drugi dzień po wypadku pojechało trzystu, wieś okrążyli i zegnawszy wszystkich do stodół – podpalili. Straszne, co tam się działo! Co winne dzieci, które żywcem spłonęły? Kiedy skończy się ta nienawiść? Ludzie, gdy mówią o tym wypadku zaciskają zęby, by nie krzyczeć z oburzenia. Przecież to nie pierwszy wypadek. Wołyń cały spłynął krwią męczeńską, a teraz tu dzieje się podobnie..." (wpis z 28 lutego 1944 r., dotyczący zagłady polskiej wsi Huta Pieniacka)

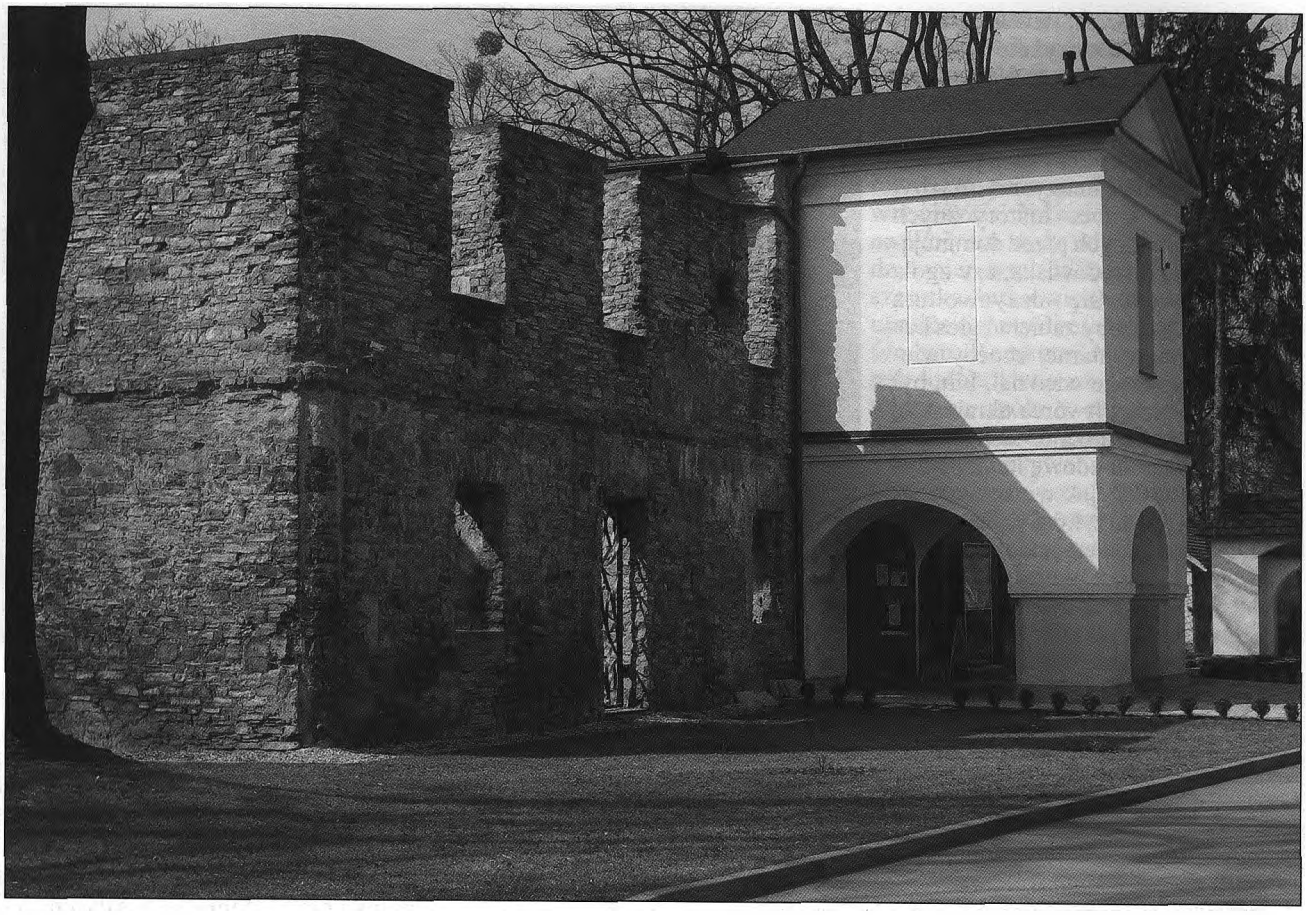
W holu gmachu Centrum Informacji Naukowej, vis à vis sali, w której toczyły się obrady, umieszczono natomiast wystawę poświęconą ludobójstwu na Kresach. Na kilkudziesięciu panelach (fachowiec sprostowałby oczywiście, iż chodzi o roll-up'y) detalicznie wręcz przedstawiono straty osobowe i materialne polskiej ludności we wszystkich kresowych powiatach: od Sanoka po Kostopol, od Lubaczowa po Kosów Huculski. Pod poszczególnymi, najmniejszymi nawet miejscowościami ukazano liczbę zabitych, wypędzonych, wyliczono spalone domy i zagrody... Każdy panel zilustrowano również mapką oraz fotografiami kilku przynajmniej ofiar UPA; z opisaniem do tego okoliczności śmierci, choć nieraz właściwsze byłoby słowo „męczeństwa". Niełatwa lektura. I na pewno pozwalająca zrozumieć temperaturę wyrażanych na sali odczuć.



Dr Grzegorz Bębnik (IPN Katowice) – Od Lwowa do Skwarzawy. Losy powiatu złoczowskiego w warunkach zagrożenia ukraińskiego na przykładzie „Zapisków" Wiesławy Michałek

„Dziś w nocy zostały spalone polskie zabudowania w Skwarzawie przez bandytów. Już tak blisko front, a morderstwa, napady nie ustają. Dzieją się rzeczy straszne. Na wsi ludzie nie są pewni dnia ani godziny. Co dzień są nowe wieści, tak że przyzwyczajamy się do nich, ale spalenie Skwarzawy bardzo na nas podziałało. Te wszystkie znajome domy, dom, w którym my mieszkaliśmy, stajnia z bydłem, stogi, stodoły – wszystko stało się pastwą szalonych zapaleńców, którzy nieśli ogień może nawet na sąsiadów. Myśleć nie mogę, co przeszli w tę noc ludzie ze Skwarzawy." (wpis z 7 kwietnia 1944 r.)

Przytoczone w tekście cytaty pochodzą z „Zapisków" urodzonej w 1928 r. we Lwowie Wiesławy Michalewskiej, która lata 1940-1944 spędziła w polsko-ukraińskiej wsi Skwarzawa w powiecie złoczowskim. Pozycja ta w 2012 r. opublikowana została nakładem katowickiego IPN; losom bohaterki pamiętnika poświęcony był wygłoszony przez autora niniejszego tekstu referat.



Fot. Witold Turant

Dom Kossaków – dom otwarty

WITOLD TURANT

– Dom dziadków zawsze tętnił życiem. Tak mówili ci, którzy wspominali dom przedwojenny, dwór w Górkach. Również taki zapamiętaliśmy my, wnuki, z okresu powojennego, kiedy dziadkowie mieszkali bardzo skromnie w domku ogrodnika – wspomina Anna Fenby-Taylor, wnuczka Zofii Kossak-Szatkowskiej. – Zakładając fundację, uważaliśmy, że ta tradycja musi być podtrzymana.

Siedzimy na tarasie dworu Kossaków, w pięknym otoczeniu wiekowego parku, który przetrwał wiele dziejowych burz, w przeciwieństwie do samego dworu, figurującego w spisie zabytków, jako ruiny. Jednak ruiny dość szczególne, bo od kilku lat tętniące życiem i za znakomicie upozowaną przez architekta fasadą, kryjącą wiele pomieszczeń pozwalających prowadzić bogatą działalność kulturalną. Nic dziwnego zatem, że oficjalna nazwa tego miejsca brzmi: Centrum Kultury i Sztuki „Dwór Kossaków".

W poszukiwaniu nowego gniazda

Obecność Kossaków na Śląsku Cieszyńskim, w Górkach Wielkich należących do gminy Brenna, datuje się od 1922 roku, kiedy to Tadeusz Kossak, brat bliźniak Wojciecha, znanego artysty malarza, wygrał przetarg na nabycie pohabsburskiego majątku ziemskiego. Kiedy jako dowódca szwadronu kawalerii patrolował granicę z Czechosłowacją, zauroczyła go dolina Brennicy i zapragnął osiąść w malowniczo położonym dworku, jako że dni jego wojskowej kariery dobiegały końca. W rok później w dworku pojawiła się jego niedawno owdowiała córka Zofia, autorka opublikowanej rok wcześniej autobiograficznej „Pożogi". Kolejne książki i artykuły dobrze zapowiadającej się pisarki będą powstawały już tutaj, w góreckim dworze. Mikroklimat Górek Wielkich (i Małych) znakomicie przyspiesza powrót młodej wdowy do stanu równowagi psychicznej i powoduje przypływ sił twórczych. A trauma to była ogromna: utrata domu szczęśliwego dzieciństwa podczas wojny z bolszewicką Rosją, a następnie przedwczesna śmierć męża. Tu Zofia Kossak odnalazła poczucie bezpieczeństwa i stabilizacji w, jeśli można to tak nazwać, replice rodzinnego domu oraz dawną, młodzieńczą miłość w osobie Zygmunta Szatkowskiego, rotmistrza, następnie majora dyplomowanego kawalerii, który wkrótce zostaje jej drugim mężem.

Tadeusz Kossak i jego żona, Anna z Kisielnickich prowadzą żywot ziemiański, i cieszą się trójpokoleniową rodziną, jako że Zofia przybyła do Górek razem z dwoma synami z pierwszego małżeństwa, Tadeuszem i Julkiem (zmarł przedwcześnie w 1926 roku), a nad Brennicą na świat przychodzą dzieci Zofii i Zygmunta – Witold (1926) i Anna (1928). Jednakże to ziemiańskie życie dalekie było od sielanki. Emerytowanego majora nieraz nękały kłopoty finansowe. Gospodarstwo, jak wiele podobnych w ówczesnej Europie czy nawet w świecie, odczuwało, zwłaszcza po roku 1929, skutki dekoniunktury w rol-

nictwie i wreszcie kryzysu. Aby spłacić należności wobec państwa trzeba było sprzedać część terenów ówczesnemu wojewodzie Michałowi Grażyńskiemu, a część odkupił Związek Harcerstwa Polskiego. Skutki tych transakcji okazały się dalekosiężne, ale wcale nie negatywne. Do tej sprawy powrócimy w dalszej części tej opowieści.

Tymczasem Zofia Kossak coraz ciekawszymi publikacjami umacnia swoją pozycję w świecie literackim i mimo odziedziczonego po dziadku Juliuszu talentu malarskiego, opowiada się po stronie narracji. Ukazuje się szereg jej dzieł powieściowych, takich jak m.in. „Beatum scelus" (1924), „Kłopoty Kacperka, góreckiego skrzata" (1926), „Złota wolność" (1928), „Szaleńcy boży" (1929) czy rzecz poświęcona Śląskowi „Nieznany Kraj" (1932). W 1936 roku ukazuje się pierwsza część trylogii „Krzyżowcy" stanowiącej *opus magnum* pisarki w okresie przedwojennym.

Oto jak charakteryzuje ten okres córka Zofii Kossak, Anna Bugnon-Rosset w swej książce „Był dom":

„Dom moich Dziadków, wielokrotnie opisywany przez odwiedzających naszą rodzinę literatów był obszerny, bez przesadnych wygód, urządzony z nobliwą prostotą... Grube kamienne mury, bielone ściany, jasne tapety w salonie, podłogi z heblowanych desek i piece kaflowe w pokojach – taki był górecki dom, lodowaty w zimie i przyjemnie chłodny w upalne lato. Dywany, barwne kilimy i cenne obrazy zdobiły jego wnętrze, stwarzając ciepłą, bezpośrednią atmosferę, w której nam, dzieciom, było dobrze.

(...) Do stałych domowników zaliczali się Babcia i Dziadzio (Anna z Kisielnickich i Tadeusz Kossakowie, nasi rodzice (Zofia i Zygmunt Szatkowscy), nasz przyrodni brat Tadeusz Szczucki, nasza opiekunka i zarazem prawa ręka Babci w zarządzaniu domem – Hela, oraz „stara Kasia", kucharka, która przez pięćdziesiąt sześć lat służyła u moich Dziadków, wiernie towarzysząc Babci we wszystkich perypetiach losu.

(...) Panią domu była Babcia, osoba spokojna, rozważna, cicha i trochę przygaszona, bo życie jej nie było ani łatwe, ani radosne. Mąż, pełen temperamentu i uroku, ale niestały, towarzyski, pełen projektów, lecz niegospodarny… – nie ułatwiał życia.

(...) Mieliśmy dużo książek i właściwie żyliśmy poza światem dorosłych, z wyjątkiem dni, kiedy Mama była w Górkach. Tymczasem bowiem stała się ona znaną pisarką, a z powodu pracy Ojca, powołanego na stanowisko w Ministerstwie Spraw Wojskowych, w 1935 roku, rodzice przenieśli się z Katowic do Warszawy. Widywaliśmy ich więc o wiele rzadziej, ale Mama starała się przyjeżdżać do Górek, jak tylko mogła.

(...) Podczas jej pobytów w Górkach wiele osób przychodziło prosić ją o radę lub pomoc, przedstawić jej swe problemy. Przyjeżdżali także różni okoliczni działacze omawiać z Mamą tematy społeczne lub sprawy kultury. Zjawiały się i delegacje różnych środowisk z »hołdem dla pisarki«. Byliśmy zazdrośni o czas, który poświęcała innym, a jednocześnie czuliśmy dumę." *)

Następne pokolenie

Witold i Anna nie bardzo zdawali sobie jeszcze sprawę ze znaczenia nazwisk wybitnych ludzi, przede wszystkim sztuki i kultury, którzy odwiedzali mamę. Witkacy, jako mąż Jadwigi Unrug, kuzynki Zofii, był w zasadzie kimś z rodziny. Z tamtych czasów zachowało się kilka portretów członków rodziny, sporządzonych na brązowym, pakowym papierze. Rodzinne podanie głosi, iż powstały one pewnej bezśnieżnej zimy, gdy Witkacy przebywał w Górkach nastawiwszy się na uprawianie narciarstwa. Ponieważ okazało się to niewykonalne, postanowił zabrać się do rysowania bądź malowania, ale i to okazało się trudne, gdyż nie było na czym ani rysować, ani malować. Wysłana na zakupy do Skoczowa gosposia wróciła jedynie z dużym zapasem owego papieru. Dla prawdziwego mistrza nie była to przeszkoda.

Innym gościem, który pozostawił po sobie trwałą pamiątkę, był mieszkający w owym czasie w Wiśle artysta Czesław Kuryatto, autor beskidzkich pejzaży wyjątkowej urody. Portret można oglądać dziś w głównej sali „Dworu Kossaków". Bywali też w góreckim dworze znani pisarze, jak Melchior Wańkowicz, Maria Dąbrowska, Zofia Nałkowska i wielu innych. Przyjmowani byli z wielką gościnnością. Anna Szatkowska w rozmowie ze mną któregoś lata wspominała dom swoich rodziców, jako miejsce szczęśliwego, choć w pewnym okresie raczej samodzielnego dzieciństwa. Zwłaszcza wtedy, gdy major Zygmunt Szatkowski został przeniesiony do Katowic, a następnie do Sztabu do Warszawy. Zofia także prowadziła aktywne życie i dzieci, Anna i Witold, często pozostawały w Górkach pod opieką babci.

Motyw góreckiego dworu, czy też raczej jego pozostałości, powtórzy się także w okresie powojennym, w relacji François Rosseta, wnuka Zofii, oraz Anny Fenby-Taylor, wnuczki pisarki. Kiedy przygotowywałem dla katowickiego Radia reportaż o ósemce wnuków, przyjeżdżających z Wielkiej Brytanii i ze Szwajcarii w latach sześćdziesiątych w odwiedziny do babci, tytuł „Miejsce złotego dzieciństwa" właściwie narzucił się sam. Musi być w tym miejscu coś niezwykłego: ja także je jakoś niezwyczajnie zapamiętałem z czasów moich dziecięcych wakacji i to wspomnienie wiąże się po części z osobą pisarki. Otóż jako dwunasto- czy trzynastolatek poszedłem kiedyś razem z miejscowymi dziećmi zanieść Zofii Kossak codzienną porcję zamówionego mleka i nagle znalazłem się w innym świecie. Jako imiennik jej syna zostałem przyjęty w szczególny sposób. Wysłuchałem opowieści o jej przodkach, słynnych malarzach, którzy nie byli mi obcy, jako że efekty ich pracy znałem z przechowywanej przez mojego dziadka, przedwojennego oficera ułanów, jak relikwię, „Księgi jazdy polskiej". Zainteresował się moją skromną osobą także Zygmunt Szatkowski, jako chłopakiem, który odróżnia sierżanta od wachmistrza i kapitana od rotmistrza. Ślad tej wizyty pozostał w moim pamiętniku, (gdzie on jest?), w którym zbierałem autografy sławnych ludzi. Zofia Kossak wpisała mi się swoimi charakterystycznymi „sprężynkami"... Nie miałem wtedy pojęcia, że Górki staną się kiedyś i moim domem.

Wróćmy jednak do okresu przedwojennego. Zakupione od Tadeusza Kossaka przez harcerzy tereny stały się w latach trzydziestych miejscem działania legendy polskiego harcerstwa, wychowawcy przyszłych bohaterów ruchu oporu, Aleksandra Kamińskiego. To tu „Rudy", „Zośka" i wielu innych przyszłych żołnierzy AK i Szarych Szeregów zdobywało pierwsze sprawności harcerskie i uczyło się miłości do swojej ojczyzny. To właśnie tu powstawała i działała słynna formacja harcerska „Buki". To właśnie ona kształtowała charaktery młodych ludzi, których Kamiński określił w tytule swej książki, jako kamienie rzucone przez Polskę na jej ostatni szaniec.

Kiedy runął świat

Nadszedł wrzesień 1939 roku i skończyła się epoka „złotego dzieciństwa" dla Anny i Witolda Szatkowskich. Rodzina wyjechała z Górek. Dwór został pusty, by szybko zmienić właścicieli i przeznaczenie. Nie był świadkiem wojennych losów ani Zofii i Zygmunta, ani ich dzieci. Spłonął z niewyjaśnionych przyczyn w pierwszych dniach po wyzwoleniu. Anna zdobywa się już w maju 1945 na heroiczną decyzję. Pojedzie do Górek. Przekona się, w jakim stanie znajduje się dwór. Oto fragmenty jej relacji:

„… Od Jasienicy idziemy drogą przez Grodziec: zamek stoi jak dawniej, nie zburzony, nie spalony… Może Górki też?

(...) Za Grodźcem skręcamy na dobrze mi znaną boczną drogę przez las, wychodzącą na polanę blisko szczytu wzgórza Bucze, skąd jest rozległy widok na okolicę… Jak drzewa podrosły przez te sześć lat! Widać już tylko mały skrawek wsi… nieco dalej dwa wysokie, osmalone kominy sterczą tam, gdzie był dom!...

Runął świat…" **)

Kolejne lata, to wymuszona emigracja pisarki i namiastki domu na obczyźnie, m.in. farma w Trosell, w Kornwalii, na skraju świata, wedle brytyjskich standardów. Przysłowiowe polskie piekło, które zabieramy ze sobą, dokądkolwiek się udajemy, a którego także dane jej było zakosztować, nie osłodziło jej emigranckiego losu i pogłębiło jej poczucie osamotnienia. Część rodziny osiada w Anglii (Witold), a część w Szwajcarii (Anna). Zofia przez długie lata oczekiwać będzie wieści o losie najstarszego syna, Tadeusza Szczuckiego, jak się później okazało, zamęczonego jeszcze w 1943 w Auschwitz. Dopiero niby-przełom w 1956 roku stworzy warunki do powrotu pisarki do kraju.

Ówczesne władze, aczkolwiek bez entuzjazmu, zgadzają się, by państwo Szatkowscy zamieszkali w niewielkim domku na skraju ogrodu, skąd widać coraz bardziej żałosne ruiny dworu. Tu pisarka pracuje, tu kultywuje dawne i zawiera nowe przyjaźnie. Tu podejmuje decyzje o podpisywaniu listów z prote-

stami przeciw nadużyciom komunistycznej władzy, tu decyduje o nieprzyjęciu nagrody państwowej i, co dość oczywiste, popada w niełaskę. Ale dla niej to nic niezwykłego, gdyż słowo „przyzwoitość" jest równie mocno zakorzenione w jej słowniku jak pojęcia etyki czy moralności, w przeciwieństwie do słowa „kompromis". Z czasem zaczynają ich odwiedzać, regularnie, do śmierci Zofii w 1968 roku, dzieci z wnukami. Teraz ta namiastka dawnego gospodarstwa Tadeusza Kossaka staje się dla nich miejscem złotego dzieciństwa. Trwa to kilka lat. Na tyle jednak długo, iż w pamięci ośmiorga dzieci utrwalił się krajobraz Górek, jako sceneria wydarzeń niezwykłych, niezapomnianych. Te wspomnienia odżywają po 1989 roku.

Kluczowym momentem dla losu dawnego majątku staje się zjazd rodzinny w 1996 roku i podjęcie decyzji o stworzeniu fundacji oraz określenie jej celów. Od pomysłu do jego realizacji upłynęło kilka lat. Zmieniały się przepisy, zmieniało otoczenie dawnego majątku, natomiast nie zmieniało się nastawienie władz gminy Brenna, które w działalności fundacji upatrywały wielkiej szansy promocji gminy i Górek Wielkich oraz istotnego awansu dla obu miejscowości na kulturalnej mapie, początkowo raczej regionu, a obecnie..., ale po kolei.

Podstawą i zapleczem lokalowym działań fundacji, której założycielami są potomkowie Zofii Kossak oraz gmina Brenna, początkowo miało być schronisko młodzieżowe Koss urządzone w przebudowanych i odnowionych gruntownie dawnych stajniach folwarku. I tak też się stało. Życie kulturalne, które od samego początku wpisane było w działalność schroniska koncentrowało się początkowo w tzw. starej lodowni, w której w czasach, gdy w dworku rezydowała pisarka, rzeczywiście przechowywano w okresie letnim lód. Opatulony w trociny, zazwyczaj trwał aż późnego lata czy wczesnej jesieni. Z chwilą oddania do użytku zasadniczych pomieszczeń schroniska, lodownia zmieniła się w jadalnię, salę klubową, wreszcie widowiskową, a nawet balową. Bal sylwestrowy, w którym wraz z przyjaciółmi miałem przyjemność uczestniczyć chyba nigdy nie zostanie zapomniany.

Był dwór? Jest „Dwór"

Jednak łyżką dziegciu w tej beczce kossakowego miodu były ruiny dworku. Siedemnastowieczny zabytek, pamiętający kilka zamieszkujących go rodzin notabli księstwa cieszyńskiego przedstawiał coraz tragiczniejszy obraz nędzy i rozpaczy. Zabezpieczony dość prowizorycznie staraniem gminy u schyłku lat dziewięćdziesiątych spędzał sen z powiek rodzinie, a zwłaszcza reprezentującej ją w Górkach Annie Fenby-Taylor. Nie żeby nie było pomysłu na zagospodarowanie i rozsądne wykorzystanie obiektu; po prostu brakowało pieniędzy. Jednak okazało się, że program wykorzystania ruin po odbudowie jest na tyle atrakcyjny, a jego charakter tak wysoko wzbił się ponad regionalność, iż dostępne stały się fundusze Unii Europejskiej. Sięgnięto po nie i dzięki znakomitemu architektonicznemu rozwiązaniu, nie naruszając charakteru zabytku, jaki figurował w rejestrze wojewódzkiego konserwatora, przywrócono ruinom użytkowy charakter.

Z tymi wszystkimi przedsięwzięciami łączy się nierozerwalnie idea Artystycznego Lata u Kossaków, które jest sztandarowym przedsięwzięciem fundacji, gromadzącym od 2008 roku tłumy przyjezdnych i miejscowych – dorosłych, młodzież i dzieci. Plenery malarskie i rzeźbiarskie, czy raczej snycerskie, koncerty, spektakle teatralne, warsztaty artystyczne i nie tylko – dla dzieci i młodzieży, a także dla dorosłych. A nad tym wszystkim wznosi się... nie, nie odnowiony dworek, a rotunda w której przez kilka kolejnych sezonów letnich studenci krakowskiej ASP, w iście Kossakowskim duchu odtwarzali upadek Konstantynopola, co stanowi gigantyczną, zwłaszcza w porównaniu z formatem książki, ilustrację do powieści Zofii Kossak „Puszkarz Orbano". Dzieci co roku próbują swych sił ilustratorskich i testują wyobraźnię przenosząc na płótno swoje wizje Kacperka, góreckiego skrzata oraz innych postaci z tej uroczej i znanej także w świecie bajki pióra Zofii Kossak. Wykonawców, którzy w ciągu minionych pięciu lat odwiedzili czy to lodownię, czy od kilku już lat Centrum Kultury i Sztuki im. Zofii Kossak (w owych z nazwy już tylko ruinach dworku) trudno byłoby wymienić. W ubiegłym roku wystąpiła ze swym recitalem śpiewająca aktorka Katarzyna Groniec, a przed kilku laty niezapomniane wrażenie zrobił na słuchaczach szkocki wirtuoz gry na dudach, Lindsay Davidson.

Tego lata oczekiwanym gościem, którego występ stanowić będzie przysłowiowy gwóźdź programu Lata, jest Renata Przemyk wraz z zespołem. Innym ważnym przedsięwzięciem o ogromnych walorach wychowawczych i edukacyjnych będzie przygotowany przez młodzież spektakl teatralny zatytułowany „Buki", nawiązujący w swej treści do pobytu w Górkach Wielkich i działalności legendarnego pedagoga-patrioty Aleksandra Kamińskiego oraz jego równie legendarnych wychowanków, jak „Zośka" i „Rudy". Monika Serafin z Fundacji im. Zofii Kossak bardzo akcentuje wagę tego przedsięwzięcia i trudno w czasach, gdy wychowanie młodzieży staje się słowem niemal niecenzuralnym, nie przyznać jej racji. W czerwcu odbył się także plener studentów wyższych szkół artystycznych, w którym uczestniczyli słuchacze uczelni katowickiej, gdańskiej, lubelskiej, łódzkiej, wrocławskiej, częstochowskiej i cieszyńskiej. 15 czerwca miała miejsce poplenerowa wystawa studenckich prac. Były także warsztaty graficzne dla dzieci i młodzieży oraz koncerty. W lipcu odbyły się także Ekologiczne Warsztaty Rzeźby Artystycznej, sierpień już tradycyjnie upłynie pod znakiem rzeźby w drewnie: w szóstym już Międzynarodowym Plenerze Rzeźbiarzy pracujących w tym niezwykle wdzięcznym tworzywie uczestniczą artyści amatorzy z Polski i kilku innych krajów europejskich, w tym także z Czech i Słowacji. Interesująco zapowiada się koncert muzyki węgierskiej. Wspomniany już spektakl „Buki" stanowić będzie końcowy akord Lata.

Warto podkreślić, iż Artystyczne Lato u Kossaków nie jest jedynym cyklem imprez organizowanym przez Centrum Kultury i Sztuki „Dwór Kossaków". Życie artystyczne tej instytucji wcale nie zamiera wraz z nadejściem jesieni. Przez cały rok odbywają się tu zajęcia warsztatowe z różnych dziedzin sztuki adresowane do młodzieży, a także wykłady i spotkania przeznaczone dla osób dorosłych. Dominuje tematyka związana z teatrem, muzyką, i jak na dom Kossaków przystało, ze sztukami plastycznymi. Trochę mniej jest może literatury, ale ta dziedzina twórczości jest niejako eksportowana z Górek, w postaci Dni Zofii Kossak, które były już organizowane m.in. w Warszawie, Krakowie i we Wrocławiu we współpracy z różnymi instytucjami. Należy tu podkreślić, że jednym z celów statutowych fundacji jest upowszechnianie pamięci o pisarce oraz idei i wartości, które zawsze były jej bliskie.

Przed kilku laty okazało się, iż pamięć o Zofii Kossak trzeba także chronić i wciąż od nowa walczyć o prawdę o niej. Co jakiś czas media związane z różnymi ugrupowaniami i środowiskami, niekoniecznie politycznymi, starają się zawłaszczyć dziedzictwo pisarki dla swych doraźnych celów. Na to nie ma zgody ani rodziny, ani fundacji.

Dom Kossaków był zawsze domem otwartym, o czym wiemy z licznych przekazów i wspomnień. Pragnieniem potomków pisarki było, żeby taki, w swej nieco zmienionej formie, pozostał. Obserwując to, co dzieje się dawnym majątku Kossaków już od wielu lat, nie sposób nie zauważyć, jak bardzo rozbudowuje się z roku na rok zakres i waga przedsięwzięć podejmowanych przez fundację. Z pewnością rozwinie się ta działalność jeszcze bardziej i, jak sądzę, poszerzy się jej propozycja działań teatralnych, gdy wyremontowana zostanie tzw. Stara Gorzelnia, jedyny wymagający jeszcze remontu budynek na terenie dawnego folwarku, niegdyś rzeczywiście gorzelnia. Przeszkodą, jak nietrudno odgadnąć, jest brak środków. Jednak fundacja udowodniła już i to niejednokrotnie, iż korzystając z dotacji różnych instytucji, wydatkowała je z pożytkiem zarówno dla lokalnego społeczeństwa, jak też regionu. Sądzę także, iż sama Zofia Kossak przyklasnęłaby takim działaniom, ponieważ zawsze była wyczulona na sprawy innych, na wszelkie przejawy życia społecznego. Jej potomkowie odziedziczyli ten odruch i dom Kossaków z pewnością pozostanie otwarty, będąc nie tylko niekwestionowaną atrakcją turystyczną okolic pod Buczem, ale także ośrodkiem ważnych zdarzeń z dziedziny kultury, promieniujących także za pobliskie granice.

■

*) Anna Szatkowska: Był dom... Wspomnienia. Wydawnictwo Literackie, Kraków 2008.

**) A. Szatkowska.op.cit.



Nasze matki, nasi ojcowie

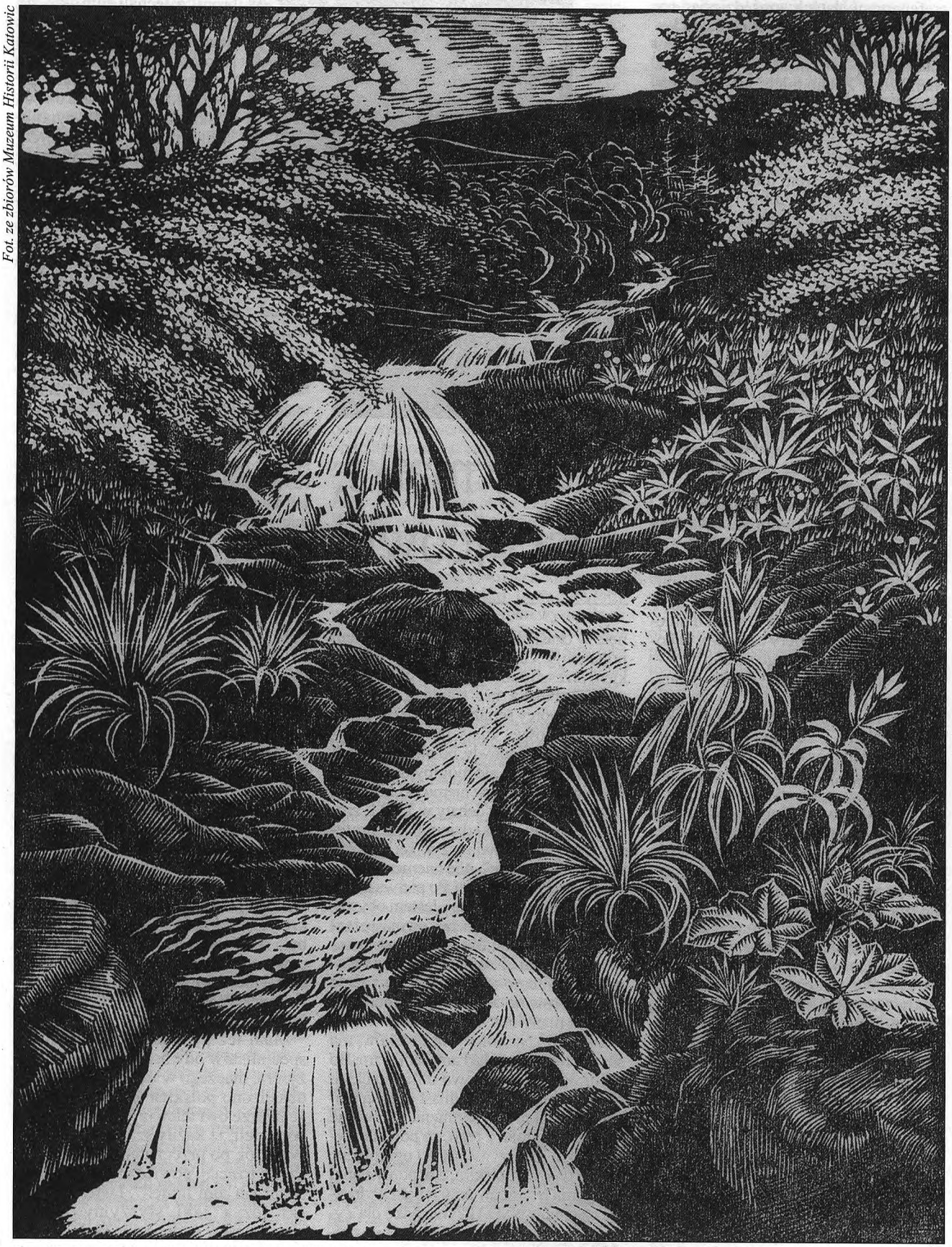
Taki tytuł mógłby nosić serial nakręcony w Bundesrepublice zwanej w peerelu najpierw enerefem, a później erefenem, w latach sześćdziesiątych, siedemdziesiątych, nawet pod sam koniec lat pięćdziesiątych. W roku 1959 znakomity polski pisarz żyjący w tzw. Niemczech Zachodnich, etatowy pracownik Radia Wolna Europa, opublikował powieść pt. *Syn zadżumionych,* mówiącą o tym jak sobie radzi młode pokolenie Niemców z wojennym, zbrodniczym dziedzictwem rodziców. Tylko Polak rozumie przewrotny i gorzki jak piołun smak tytułu tej powieści! Doskonałe jest to zastąpienie OJCA z poematu Juliusza Słowackiego, SYNEM (zadżumionych). Tam szło o rzeczywistą zarazę, u Nowakowskiego zadżumieni, metaforycznie, są rodzice bohatera, i to nie tylko wojna była dżumą, lecz lata ją poprzedzające, kiedy młodzi RODZICE owego tytułowego SYNA szli do urn wyborczych, by oddać swój głos na Adolfa Hitlera. To wtedy się zaczęło WIELKIE ZŁO, najpierw w Niemczech, potem w Europie, wreszcie na całym świecie. Bohater powieści Nowakowskiego sam sobie wymierza karę: udaje się do byłego obozu koncentracyjnego Auschwitz-Birkenau, by pracą w tym właśnie miejscu, odpokutować za grzechy rodziców.

Serial wyprodukowany przez publiczną (państwową) instytucję, ZDF Zweite Deutsche Fernseh, w roku ubiegłym, przesuwa bariery czasowe. Ojcowie i matki twórców tego serialu z pewnością urodzili się – i to dobrych parę, jeśli nie kilkanaście lat po wojnie. Na Hitlera oddały swoje głosy ich ukochane babcie i kochani dziadkowie. To spośród nich wziął się centralny bohater serialu – Wilhelm Winter, być może dziadek scenarzysty Stefana Kolditza. Nie jest to więc film o matkach i ojcach, chyba że potraktować ów tytuł metaforycznie, co jest trudne, właściwie niemożliwe, ponieważ metafora jest figurą poetycką, a w tym serialu poezji nie ma za grosz. Owszem, jest trochę fantazji, zwłaszcza w scenie, gdy dwaj rosyjscy żołnierze gwałcą dwie pielęgniarki, w tym jedna z nich (Charlotte) jest Niemką, na co wchodzi posągowej urody Rosjanka, z fryzurą, pod jaką mógłby się podpisać mistrz w tym fachu, paryski Polak, Antoine'a Cierplikowski, i nakazuje przerwać napalonym wojennym towarzyszom broni, tę jakże brzydką czynność, ponieważ nie jest ona, uwaga, to słowa towarzyszki lejtnant: godna „sowieckogo sołdata"! Prawda jest taka, że za owymi dwoma gwałcicielami, ustawiłaby się w mgnieniu oka kolejka dwudziestu, co najmniej, towarzyszy w sowieckich mundurach...

Tę sekwencję twórcy serialu mogliby zadedykować prezydentowi Putinowi, dla którego II wojna światowa, tak samo jak dla piątki przyjaciół z Berlina, zaczęła się w czerwcu roku 1941. Warto by zapytać twórców serialu „Nasze matki, nasi ojcowie", ilu żołnierzy Wehrmachtu zginęło w czasie kampanii na terenie ziem polskich!? Czy rzeczywiście spacerkiem przeszli sobie przez Polskę, czy naprawdę Polska nie stawiała żadnego oporu? Twórcy serialu! Przecież to czterdziestolatkowie, mają prawo nie wiedzieć, nie znać prawdy, bo nie uczono ich tego w szkołach, ale mógłby na to pytanie odpowiedzieć ów niemiecki historyk, z którym na użytek debaty w TVP 1, zrobił... wywiad polski dziennikarz. Profesor Sheppe (?) oświadczył, że: jest Żydem! „Ich bin Jude". Nie Niemcem – pytam w duchu? Otóż nie! Po pierwsze: Jestem Żydem. Po drugie: „Jestem obywatelem niemieckim" – tak swoją tożsamość zdefiniował ów konsultant historyczny serialu „Nasze matki, nasi ojcowie". Do tego osobliwego wyznania dołączył równie osobliwy argument: Jako Żyd, mam inny, żydowski kąt widzenia. Na co? Na kogo? Na Polaków, ma się rozumieć, na polski antysemityzm. Bo w filmie nie pada słowo o niemieckich obozach zagłady. Natomiast uczona głowa bez zająknienia wymienia Jedwabne i Kielce. Wynika z tego, że polski antysemityzm jest czymś nie do ogarnięcia, czymś typowo polskim, a w porównaniu z pogardą Niemców (czy tylko i wyłącznie członków NSDAP?) nie tylko dla Żyda, ale wszystkiego, co żydowskie, polski antysemityzm jest czymś tak monstrualnym, że współcześni potomkowie narodu poetów i filozofów, nie mogą jedynie wyrazić swojego szczerego zdziwienia i stać z opuszczonymi ze zgrozy głowami. Trudno im się dziwić, jeśli polski oddział partyzancki Armii Krajowej, po ataku na pociąg, który miał być transportem broni, a jechali nim, jak się okazało po otwarciu jednego, dwóch wagonów, ludzie w pasiakach, stwierdziwszy, że jest to transport Żydów, każe zamknąć wagony i wraca do pobliskiego lasu. Na pytanie Wiktora – niemieckiego Żyda, co z tymi Żydami w pociągu, dowodca oddziału z biało czerwoną opaską z literami AK, odpowiada: To Żydzi, są tak samo parszywi jak Ruscy i Polacy". Nie pozostaje nic innego, jak scenarzystę filmu, Stefana Kolditza (pisarz i scenarzysta) zapytać twarzą w twarz, gdzie, w literaturze dokumentarnej, czy fabularnej, znalazł taką scenę? Bowiem ten znikomej rangi pisarz oświadczył, że serial jest, ma się rozumieć, zmyślony, lecz oparty na dokumentach i wspomnieniach. Nie mówi jakie to dokumenty i czyje wspomnienia! Ani scenarzysta, ani reżyser, ani aktor grający dowódcę oddziału AK, nie wpadli na tak prosty pomysł jak żywiołowa, instynktowna ucieczka więźniów w pasiakach z owych wagonów śmierci, nawet, gdyby mieli wbiec pod kule. Ale, skoro Polacy są tak monstrualnymi antysemitami, to dlaczego ów dowódca oddziału AK nie rzucił pytania w stronę otwartego wagonu: czy są tam Polacy? Kiedy myślę o całej tej nikczemnej sekwencji, szukam słowa, którym chciałbym objąć umysłowość Stefana Kolditza. Więc, naturalnie: dureń! Ale po chwili znajduję słowo właściwsze: łajdak! Łajdak napisał scenariusz tej nieszczęsnej, bo kłamliwej, bezczelnej i głupiej części serialu „Nasze matki, nasi ojcowie". A wcale miało nie być „polskiej części". Z braku pieniędzy, zdecydowano się na to, co zobaczyliśmy. Polska w oczach twórców tego serialu, jest krajem leśno-błotno-wsiowym, zamieszkałym przez ciemne typy o twarzach degeneratów, w najlepszym razie kretynów. Armia Krajowa, to jednak była młodzież z inteligenckich domów, pewnie, że z czasem mogło to się zmieniać, i niewątpliwie trafiali się w niej antysemici, ale to nie znaczy, że Armia Krajowa była antysemicka.

Mam też pytanie do producentów, specjalistów od obsady aktorskiej, reżysera: dlaczego w rolach Polaków nie obsadzono polskich aktorów? Myślę, że dobrze owi telewizyjni geszefciarze wiedzieli, iż każdy szanujący się polski aktor, po przeczytaniu scenariusza części trzeciej, powiedziałby po prostu: „Fahr hin zum Teufel!". I wreszcie: polski język jaki słyszymy w tym serialu jest w najlepszym razie polskopodobny. Nawet pod tym względem twórcy tego dzieła okazali się osobnikami pozbawionymi wiedzy i kultury.

FELIKS NETZ



Fot. ze zbiorów Muzeum Historii Katowic

Paweł Steller, „Wodospady źródeł Wisły", drzeworyt, 1934

TADEUSZ KIJONKA

Tryptyk Wiślany

Źródło

Wstąp tam do źródła, wstąp chociaż raz. Lecz tak jakbyś rzekę – ten warkocz polskich wód – a od ujścia, od morza, od bałtyckiej bramy, miejsce za miejscem czule rozplatał. Najpierw na pasma rozlewne dzielił, więc imię po imieniu, dopływ za dopływem, to z lewej, to z prawej – a potem to ostatnie, spadziste wiślane pasmo, patrząc pod światło na włosy rozszczepiał, aż pozostaną w palcach dwa najdłuższe. To właśnie one, promienie nośne, na których zawieszona jest ta rzeka od tego miejsca, od tych miejsc, gdzie się zaczyna jak wszystko: bieg życia, lot pieśni, sens zdania. Lecz kto pamięta narodziny mowy, kto dotąd słyszy swój źródlany głos w matczynych objęciach w słońcu poranka, a zawsze wysoki, bystry jak dzwonne szklane wody górskie co po kamieniach toczonych Wisełki Białej i Wisełki Czarnej – białej i czarnej, czarnej i białej, bo dzień, bo noc, bo radość, bo smutek, bo słońce, bo chmury, bo gołąb, bo kruk…

Tak oto prawda jedyna życia, jak prawda tej rzeki, którą musisz poznać a zawsze naocznie, sam na sam, od dźwięków wysokich źródła.

Idź tam, idź – z nitką białą i czarną w palcach, lecz każda ma swój początek osobny, więc się zatrzymasz na rozstajach, tam gdzie już woda wielka. Stań i wybieraj – nitka biała bądź czarna, jedna i druga niewymiennie ważna: woda się dzieli, lecz ty musisz wybrać. A potem stromo, zdyszany pod górę. Droga się wikła i stawia ci opór a krok po kroku smukleje woda – potok, już strumień, potem strużka chyża, wreszcie u końca – tak, nie trafisz źródła, bijącego zdroju na wprost, byś przejrzeć się mógł jak w lustrze…

Ujrzysz w wykrotach pni i korzeni i pośród głazów sączące się z ziemi nieprzeliczone nasiona wody – tu czarnej, tam białej, bo się zaczyna niewidzialnie Wisła.

To tu. Nie wędruj dalej, stań i patrz. Tak jak jedynie możesz ujrzeć łzy wezbrane w oczach człowieka. Przystań i pochyl się, obmyj twarz tą wodą, weź dwie krople w usta – białą i czarną – i spożyj na przemian. Co, już pojąłeś: białe i czarne na dnie – lecz smak ten sam.

Krajobrazy

Ponad szczytami – szczyty, jak korony zatopionego horyzontu, widok za widokiem w krystalicznym powietrzu. Co krok nowa fala lasów uderza wynurzona z dali. Wyżej i wyżej, oczy nigdy nie będą syte krajobrazów, nie zatrzymasz wzroku w miejscu gdzie przed chwilą zachwyt twój przeszedł w śpiew, bo już nowy widok woła a spojrzenie kusi.

I po to są góry, człowieku równiny, żebyś się nigdy nie zatrzymał w drodze w miejscu spoczynku, lecz palił ogniska tam gdzie cię nowy napotka wieczór pod ścianą lasu, lub w łodzi doliny, która jak wszystkie spływa do tej rzeki.

Znowu tu jesteś i będziesz powracał, aby uśmiechnąć się na widok sarny – czemu się płoszy, nie podejdzie ufnie?... I by rozpoznać po imieniu ptaki, więc głos po głosie: tu zięba, tam trznadel, gil, drozd, sikorka…

Lecz gdzieś w pobliżu wzbił się śpiew dziewczyny. Wyżej stuk siekier, niosą się echa. Wiesz czemu śpiewa – bo żywiczny dom składają cieśle, lub zbijają bramę weselną dla niej wysocy drużbowie.

Ta ziemia rodzi głosy jaśniejsze od polan owsianych w lipcowym słońcu. A dziedziczone jak instrumenty, które napotkasz w poczerniałej modrzewiowej chacie. Jej stare piękno zawsze cię zatrzyma, jak palenisko w przydrożnej kuźni: znowu młot dzwoni, stary wierny młot: o tym, że konie nie opuszczą gór, nigdy dopóki szumieć będą lasy. Słyszysz, koń zarżał, czy zgubił podkowę? Kto ją odnajdzie – jak zawsze, na szczęście?

Będziesz tu wracał – śnieg ma tutaj wzory zdjęte z koronek, albo kwiatów białych w iskierkach mrozu o świcie. Będziesz, bo tutaj się nie zapomina wędrownych pieśni starszych niż lasy. Więc będziesz wracał gdy westchnie trombita, kiedy w dzień święta przypomnisz sobie stroje paradne w skrzyni malowanej. Na widok łąki majowej zapytasz, kto znów nawleka kolorowe nici i chwyta igłą jak wiatr kwiaty w locie. Kto zdobi drewno, kto zwierzęta struga, kto plecie kosze z korzonków świerkowych.

I kto o zmroku potem wiąże wątki, by nie zerwała się stara opowieść.



Paweł Steller, „Pejzaż z Wisły", drzeworyt, 250x190 mm, 1954

Z prądem

Źródła pomnożone – rzeko w przyborze wód. Góra za górą składa swe strumienie w twoje pojemne brzegi, z każdej doliny potok za potokiem bieży w twą stronę, by przystać do ciebie, przyjąć twój kierunek – a odtąd wspólny. Bo tak się ludzie schodzą do przewodnika plemienia, tak w naród łączą, a każdy w swej odbija się rzece, jak ta jedyna, która rodzi, żywi, służy a nawet składa do snu pieśni rozlewne, gdy brzeg drugi gaśnie w drżeniu wikliny i budzi o świcie blaskiem wezbrana codziennej nadziei.

Rzeko domowa, łagodna, ofiarna. Rzeko z imieniem, które jak zaklęcie. Na twoich brzegach ludzie wznoszą domy, splatają ręce i liczą nasiona, marzą o mostach i stawiają miasta, śpiewają pieśni i tęsknią do źródeł. A gdy czas ognia – giną w twej obronie, by cię nie skalał nikt i nie zbezcześcił.

Rzeko, co źródła naszych ziem przenosisz znojnie do morza, z twojej wody – życie, stal i pszenica, jabłoń i malwy, nawet podziemne węglowe pola i światło w oknach.

Ty gasisz pragnienie i obmywasz pot, ty podajesz lustra miastom na brzegach swoich wód na podziw, gdy świecą wieże w słońcu o świcie, w wieczornej łunie miast starodawnych. A ile młodości wzdłuż twych promenad, gdy powołana jesteś na świadka pierwszej miłości. Ile zamyślenia gdy stajesz w morzu, a jakbyś chciała wrócić raz jeszcze do nas, Wisło niestrudzona…

Bo my jak źródła, strumienie, potoki i rzeki wszystkie twego warkocza zgodnie do ciebie – by płynąć z twym prądem, gdzie ty, twe wody, w pochodzie pokoleń. ■

(Grafiki przedrukowano za: Julian Humeński, „Urzekło go piękno", Katowice 1984, Księgarnia św. Jacka)



śląskie sacrum

KS. HENRYK PYKA

Nasza Babcia, nasza „Oma”

Rzeźba świętej Anny Samotrzeciej znaleziona w latach 30. XX wieku przez Tadeusza Dobrowolskiego w kościele świętego Wawrzyńca w Knurowie przechodzi swój renesans. Jej konserwacja, a później podróż do Pragi na wystawę, i publikacja w poważnym katalogu spowodowała zainteresowanie środowiska postacią, której pierwotnie patronowała.

Po drewnianym kościele knurowskim pozostało jedynie miejsce, na którym zachował się obrys stojącej tu do 1936 roku budowli. Kiedy postanowiono zbudować tu nowy murowany kościół, drewniany popadał w ruinę. Przekazano go więc do parkowej dzielnicy Chorzowa, gdzie stoi do dzisiaj. W Knurowie pozostała pamięć. Przywiązanie do dawnej tradycji wyraziło się zbiórką pieniędzy, które przeznaczono na wykonanie kopii rzeźby Madonny znajdującej się niegdyś w miejscowym kościele. Do Knurowa wróciła Piękna Madonna w jej wiernym wizerunku, a świętą Annę obdarzono tytułem, który jej od średniowiecza przysługuje: „Avia Christi”, czyli Babcia Chrystusa.

Do świętej Anny modlą się Ślązacy polskiej i niemieckiej opcji. Ci ostatni nazywają ją „Oma”. Wyrażenie to przyjęło się także w gwarze śląskiej, określanej przez humanistów doby baroku jako „lingua quadico-polonica”. Niemcy niewłaściwe tłumacząc ten zwrot łaciński, nazwali mówiących w gwarze śląskiej „Wasserpole”. Chodzi o nurt językowy, w którym można złowić starkę, babcię, omę, óme, ółme. Są to określenia oznaczające w końcu ten sam „gatunek” – z wszelkich gatunków istot najwyborniejszy.

Pisząc o świętej Annie, myślę o swojej babci. Zawsze była babcią – nie „Omą”, ale pisała tak, jak ją nauczono w niemieckiej szkole: „Spitzschriftem”, czyli Kurrentschriftem, inaczej nie potrafiła. Mogła żyć jedynie w swoim mieście. Za granicę pielgrzymowała – przed pierwszą wojną do Częstochowy, po pierwszej wojnie na Górę Świętej Anny, położonej niedaleko miejscowości, która nazywała się wówczas Groß Strelitz. Z Tarnowskich Gór, gdzie mieszkała, pielgrzymi jechali do Częstochowy i Strzelec Opolskich pociągiem.

Była też „Oma”. Żyła w tym samym mieście co babcia, a nawet była w jej wieku, ale wydawała się starsza, bo naznaczona reumatyzmem, który leczyła balsamem mentolowym. Niechętnie do niej chodziłem z powodu zapachu tego balsamu. Miała syna Rudolfa, on został moim ojcem chrzestnym. Gdy obchodziłem swoje pięciolecie kapłaństwa obie już nie żyły. Wybrałem się więc wraz z kolegami do Babci na Górę Św. Anny, bo tam świętowaliśmy swój jubileusz. Kiedy organy zaintonowały śpiewaną tu pieśń pod strop bazyliki huknęły męskie głosy. Ja milczałem. Coś stanęło mi w gardle ze wzruszenia. Zrozumiałem gdzie są korzenie mojej pobożności, a i kapłaństwa. Tymczasem koledzy śpiewali pieśń, którą znałem od dziecka, bo śpiewała ją przy pracy moja babcia:

Ja sobie wybrałem za obronę
Babkę Chrysta Pana świętą Annę...

Więc jednak święta Anna była „babką”, nie „Omą” – pomyślałem. Do „Omy” wróciłem jednak po latach kiedy znalazłem się w sławnym bawarskim sanktuarium maryjnym w Altöting. Rośnie tam lipa, którą posadził „polski papież”. Ważniejsza jednak od lipy jest kaplica cudownego wizerunku Madonny położona na głównym placu tego miasta. Obchodzą ją pielgrzymi i zawieszają na jej ścianach wotywne tablice. Znajduje się tam także mosiężna tablica, na której wyczytałem modlitwę wygnańców ułożoną w języku niemieckim: „Matko z Altöting i «Omo», z Góry świętej Anny przywróćcie nam utraconą Ojczyznę”. Była to pamiątka pielgrzymki śląskiego ziomkostwa z lat 1950, kiedy to w Polsce straszono Konradem Adenauerem; w pochodach pierwszomajowych obnoszono jego kukłę. Dzisiaj znamy Adenauera jako jednego z twórców Zjednoczonej Europy.

Święta Anna łączy w sobie dziwne paradoksy. Na Górnym Śląsku są one zrozumiałe wtedy, kiedy miało się i babcię, która do Częstochowy wędrowała, a po polsku pisać nie umiała. I omę, zasiedziałą tarnogórzankę, po której mam pamiątkę – kufel na piwo z reliefami nadreńskich zamków opatrzony dewizą, która do omy nijak pasuje: „Żyć mogę tylko nad Renem”. Paradoks jest zresztą wpisany w wizerunek Świętej patronki śląskich matron. Święta Anna, ta z Knurowa i ta z Góry Świętej Anny pieści na swoich rękach swojego wnuka i swoją córkę. Cóż z tego, że oboje są dziećmi, choć córka jest matką wnuka? Istotne w tym typie obrazowym jest przedstawienie odwiecznej siły życia, która odnawia się w każdym z pokoleń. Każde z nich doświadcza czasu młodości, dojrzałości i wieku sędziwego. Przedstawienie Świętej Anny Samotrzeciej mogłoby być źródłem inspiracji dla innych tego typu przedstawień. W obrazach Hansa Baldunga i Tycjana, a w XX wieku Gustawa Klimta i Franciszka Starowieyskiego „trzy okresy z życia kobiety” to temat niezwykle dydaktyczny i filozoficzny. Artyści w kontekście malarskich metamorfoz ludzkiej egzystencji umieszczali śmierć. W kompozycyjnym ujęciu świętej Anny z Knurowa kontekstem dla przedstawień trzech etapów ludzkiego życia jest uzasadniony optymizm, jaki pojawia się na twarzy dojrzałej kobiety. Wyraża go uśmiech. Ukryty w kącikach jej ust wynika z mądrego dystansu w stosunku do tego, co w życiu się przeżyło. Twarz Anny nie przypomina melancholijnych twarzy jej córki, Maryi, znanych z wielu wizerunków Maryjnych. Ta jest zbyt blisko swojego Syna. Dlatego matczyną intuicją przeczuwa tragiczny finał jaki ma nastąpić. Anna zaś jest matką pokoleń i wie, że śmierć, nawet jeśli zbiera swe okrutne żniwo, zostaje pokonana w następnej generacji, która przenosi poza granicę śmierci zarodek życia i wszystkie doświadczenia minionych pokoleń. Dystans wobec minionych wydarzeń uwalnia od emocji i pozwala na lepszą ich ocenę. Czego w tym kontekście uczy babcia, a czego „oma”, kobiety doświadczone pierwszą i drugą wojną światową?

Ikona Anny zwraca się ku trzem obszarom ludzkiej egzystencji. Są nimi: Przeszłość (Anna), Teraźniejszość (Maria) i Przyszłość (Jezus). Nie ma w tej przestrzeni miejsca na beznadziejność. Nadzieja pokoleń, które żyły przed Anną spełnia się w Jezusie. Jego obecność w tej kompozycji ostatecznie definiuje przestrzeń ludzkiej kondycji. Jej siłą jest zatem nie tylko zdolność do prokreacji, lecz także otwarcie na Nieskończoność.

Kult świętej Anny towarzyszy zawsze kultowi Matki Bożej. W następstwie wojen krzyżowych sprowadzono z Bizancjum do Europy zachodniej relikwie świętej Anny i złożono je w roku 1204 w sanktuarium maryjnym w Charters we Francji, słynnym z przechowywanej tu relikwii szaty Madonny. Początki kultu sięgają jednak Kościoła Jerozolimskiego. Utrwaliły go greckie hymny i homilie ojców Kościoła. W Konstantynopolu Justynian Wielki w roku 550 ufundował kościół pod wezwaniem świętej Anny.

W środkowej Europie od połowy XIV wieku, głęboko w wiek XVI, Anna, jako Matka Maryi i babka Jezusa doznaje niezwykłej czci w wielu krajach. Na krótko, za pontyfikatu św. Piusa V, który wprowadzał reformy soboru trydenckiego usunięto jej święto z kalendarza liturgicznego. Był to wynik konfrontacji nauk Kościoła z Reformacją, która odrzucała wszelki przekaz pozabiblijny. W średniowiecznych formularzach mszalnych sięgających aż IX wieku zawarta jest jednak biblijna interpretacja tej postaci. Świętą Annę przedstawia liturgia tak jak znamy ją z ikonografii: jako siedzącą na tronie matronę – ikonę biblijnego poematu o dzielnej niewieście (Prz. 31). Jest to kobieta zatroskana o swój dom, ogarniająca swoją zapobiegliwością jego mieszkańców, wybiegająca także ku temu co ma nadejść. Jej serce nosi troskę o wszystkie pokolenia. Te, które minęły, i te, które nadejdą. Są one dziećmi tej samej Nadziei spełniającej się w osobie Jezusa. Ewangelia przypisana do średniowiecznego formularza mszy o świętej Annie opowiada o skarbie, który choć ukryty w roli został odnaleziony i wydobyty na światło. Owe dwa skarby trzyma teraz Anna w swoich rękach; to srebro (Maryja) i złoto (Jezus) przyrównywane niekiedy do Słońca i Księżyca. Z tego właśnie względu święta Anna cieszyła się szczególną czcią w środowisku górniczym. Zanim zaczęto wydobywać węgiel, górnictwo trudniło się wydobyciem srebra i złota. Święta Barbara była patronką dobrej śmierci, która pod ziemią górników często zaskakiwała. Szczęśliwe wydobycie podziemnych skarbów na powierzchnię (Glück auf) powierzano jednak świętej Annie. Patronowała więc „Knappenszaftom", czyli bractwom gwareckim. Skoro jak mówi przekaz, burmistrz średniowiecznego Bytomia, gdzie srebro wydobywano kołysał swego syna w srebrnej kołysce, to jak kosztowne musiały być fundacje ku czci świętej Anny i jak szczególną w środowisku górniczym musiała ta święta odbierać cześć. Tradycja górnicza przywędrowała na Górny Śląsk z kraju Marcina Lutra. On także pochodził z rodziny o górniczej tradycji. Dlatego kiedy znalazł się podczas burzy w turyngskim lesie przywoływał w rozpaczliwym strachu bożej pomocy wołając: „Heilige Anna rette mich, ich will Mönch werden".



Św. Anna Samotrzecia z Knurowa, ok. 1400

Fot. ze zbiorów Muzeum Archidiecezjalnego w Katowicach

Święta Anna nie ocaliła zachodniego chrześcijaństwa przed podziałem, a i sama jakby „skarcona" za wysłuchanie wołania Lutra na jakiś czas zeszła na drugi plan. Nie na długo. Następca świętego papieża Piusa V przywróci jej święto liturgiczne, król Zygmunt III Waza wstąpi do bractwa pod jej imieniem, a jezuici dzięki możnej rodzinie Gaszynów walnie przyczynią się do powstania sanktuarium na Górze Chełmskiej, która odtąd będzie się nazywała Górą Świętej Anny. Czas baroku, to czas wielkiego powrotu kultu Babki Chrystusa. Złota i srebra w Europie jakby mniej. Opiekę nad górnictwem coraz śmielej przejmuje święta Barbara, a święta Anna wraca do swojej najważniejszej troski. Jest to troska o rodzinę. Staje się szczególną opiekunką rodzin oraz kobiet bezdzietnych, matek i wdów. Patronuje dobremu wychowaniu, dlatego jej palec wodzi wzrok Maryi zaczytanej u jej kolan w Piśmie Świętym. W opinii wiernych św. Anna posiada prawo do szczególnej opieki nad „młodą panią" i małżonkami oraz całym ich domostwem. Opiece świętej Anny powierzają się kobiety oczekujące narodzin dziecka. Udziela się im specjalnego błogosławieństwa przed figurą lub ołtarzem jej poświęconym.

Jeszcze nie tak dawno, od dworca kolejowego w Tarnowskich Górach ciągnęła w połowie września procesja ze światłem w kierunku parafialnego kościoła. Pielgrzymi, którzy wybrali się na Górę Świętej Anny na odpust w uroczystość Podwyższenia Krzyża Świętego nieśli zapalone świece. Wśród wielu kobiet widziałem raz jeden i swoją babcię. Wyróżniała się zielonym wieńcem przełożonym w poprzek jej piersi. To było wyróżnienie. Moja babcia, która po raz dwudziesty piąty odbyła pielgrzymkę na Górę Świętej Anny, tego roku jubileuszowym wieńcem została wyróżniona. Ja, wnuk, odjęty z jej kolan daję temu świadectwo. ■

Juliusza Grządziela wspomnienia
nie tylko z Klimzowca

Ślązacy w procesji dziejowej

JAN COFAŁKA

Ola Kuchta – córka Marii, siostry ściętego gilotyną w katowickim więzieniu przy ul. Mikołowskiej przed 70-laty ks. Jana Machy, którego proces beatyfikacyjny właśnie się rozpoczyna, posiada w rodzinnych zbiorach trzy grube tomy dzieła napisanego przez Juliusza Grządziela, z dość barokowym tytułem: *Ślązacy. Opis Procesji Dziejowej Ludu Śląskiego poprzez Ziemię Piastowską i Polskę do Ojczyzny Niebieskiej,* które na obwolucie ma nazwę *Ślązacy w procesji dziejowej.*

Nie ma w nim jednak żadnych informacji o autorze, poza jego wzmianką w słowie wstępnym, że: *Autor... zwykły robotnik, nie ma talentu pisarskiego, dysponuje tylko z łaski Bożej dobrą pamięcią i spostrzegawczością. W jego pamięci utrwaliły się przeżycia, prace, modlitwy, radości, walki i cierpienia ludu śląskiego i to tak, jak się one na zewnątrz manifestowały. Co było w chatkach wieśniaczych i w izdebkach robotniczych omawiane, komentowane i wewnątrz przeżywane, to zostało tu na taśmie dziejowej utrwalone.*

Kiedy pisałem przed laty, dla miesięcznika „Śląsk" (nr 5/ 1998) o ks. Janie Masze, artykuł *Bez jednego drzewa las lasem zostanie,* który m.in. zainspirował Dagmarę Drzazgę do nakręcenia pięknego dokumentalnego filmu pod tym samym tytułem, wykorzystałem z tego dzieła jedynie fragmenty związane z losem bohaterskiego księdza. Kim był Juliusz Grządziel, autor monumentalnego dzieła o Ślązakach, jakoś mnie wówczas nie zaintrygowało.

Nieoczekiwany powrót

Po kilku latach Juliusz Grządziel nieoczekiwanie powrócił do mnie. Znajomi wiedząc, że pasjonują mnie pogmatwane losy Ślązaków, często darują mi różne publikacje, które ich zdaniem mogą mi się przydać. Tak też stało się tym razem. Były wieloletni prezes Stowarzyszenia Miłośników Chorzowa Hubert Gałeczka, przyniósł mi kiedyś na spotkanie w Katowicach stustronicową, skromnie wydaną, w 1990 roku na rotaprincie przez to stowarzyszenie, książkę pt. *Juliusz Grządziel. Wspomnienia z Klimzowca* i uraczył historią jej powstania.

Od niego dowiedziałem się, że w drugiej połowie lat 60. XX wieku, znany pisarz, publicysta i w ogóle postać niezwykła na powojennym Śląsku – Wilhelm Szewczyk, otrzymał od ówczesnego ministra spraw wewnętrznych Franciszka Szlachcica, do zaopiniowania, przechwycone przez służby specjalne PRL, wymienione powyżej trzytomowe dzieło Juliusza Grządziela.

Wilhelm Szewczyk po jego przeczytaniu uznał, że jest to niezwykła, wręcz unikatowa kopalnia wiedzy o Górnym Śląsku i trzech pokoleniach Ślązaków, żyjących w przełomowych dla Śląska czasach, od 1 stycznia 1900 do 1966 roku. Od razu jednak zdał sobie sprawę z tego, że jakiekolwiek jego legalne rozpowszechnienie w czasach PRL, nie ma najmniejszych szans i to z kilku powodów. Ze względu na mocno eksponowany religijny jego charakter. Jest to – jak sam tytuł wskazuje – *procesja ludu śląskiego do Ojczyzny Niebiańskiej* a nie do socjalizmu. Po drugie, dzieło to zostało napisane przez człowieka, który z pewnością nie kochał Józefa Piłsudskiego i sanacji (co mogłoby się podobać ówczesnej władzy), ale zdecydowanie nie cierpiącego też komunistów i masonów, a Lenin i Stalin równali mu się z Hitlerem. Po trzecie: napisał to dzieło autor odwołujący się do zasad etyki chrześcijańskiej i społecznej nauki Kościoła katolickiego, zdecydowanie przeciwstawnej marksistowskiej walce klasowej.

Nade wszystko zaś, przechwycone dzieło wydane zostało z myślą o Tysiącleciu Chrztu Państwa Polskiego przypadającego w 1966 roku, w okresie w którym władze PRL toczyły zaciętą walkę z Kościołem, po ogłoszeniu w 1965 roku przez naszych hierarchów kościelnych słynnego *Orędzia biskupów polskich do ich niemieckich braci w Chrystusowym urzędzie pasterskim*, ze słynnymi słowami: *udzielamy wybaczenia i prosimy o nie*, które uznane zostały wręcz za akt zdrady narodowej. Do tego, autorem orędzia biskupów był syn Ziemi Śląskiej abp Bolesław Kominek i on to właśnie, na obwolucie pierwszego tomu dzieła Juliusza Grządziela pisze o nim z zachwytem: *„Ślązacy..." to epopeja ludu śląskiego. Unikat w literaturze polskiej... Otrzymałem manuskrypt i gustowałem we wszystkich opowiadaniach na całego. Mój Boże, cała młodość stawała mi przed oczyma, bo chociaż wychowywałem się w Rybnickiem... to i mój ojciec był górnikiem... „Ślązacy..." jako historia Górnego Śląska w pierwszej połowie XX. wieku są książką doskonałą i wyśmienitą. Atmosfera i klimat Górnego Śląska ucelowany znakomicie!*

Tym samym dzieło Juliusza Grządziela musiało trafić na indeks niepożądanych w Polsce Ludowej książek i tylko nieliczne egzemplarze zdołano przemycić z Rzymu gdzie go wydrukowano, na Śląsk. W ten też sposób zdobyła je rodzina bohaterskiego księdza Jana Machy.

Przypomnienie Grządziela

Ale Wilhelm Szewczyk o Juliuszu Grządzielu nie zapomniał. W gorącym 1981 roku na łamach redagowanych przez niego *Poglądów*, jako *Silesius*, w artykule z cyklu: *Ze starych szuflad*, przypomniał, że dzieło to należało do tych: *wydanych za granicą, które z trudem docierały do niewielu czytelników w kraju. Przeleżało... 15 lat, ale po ponownym jego odczytaniu, można o nim śmiało napisać, iż należy do najznakomitszych w naszej literaturze regionalnej.*

Z cytowanego artykułu wynika też, że Wilhelm Szewczyk niewiele wiedział o jego autorze, bo apeluje do czytelników o przekazywanie potrzebnych szczegółów biograficznych, by można było pomieścić go w *Śląskim Słowniku Biograficznym*, na co – jego zdaniem – zasłużył.

Apel poskutkował, bo w jednym z kolejnych numerów *Poglądów* ukazał się artykuł Stanisława Wilczka o starszym o cztery lata bracie Juliusza Grządziela – Andrzeju.

Nic więcej wówczas nie udało się już opublikować gdyż niebawem, w kwietniu 1983 roku *Poglądy* – jak twierdzono za poglądy, zostały zlikwidowane.

Rodzice

Z recenzji abp. Bolesława Kominka na obwolucie pierwszego tomu *Ślązaków...* dowiadujemy się o istnieniu wcześniejszej książki pt. ***Moi rodzice***, która wykazała, że Grządziel *ma tak zwany pazur pisarski*. Odnalazłem tę książkę. Okazało

się, że w czerwcu 1959 roku redakcja *Tygodnika Powszechnego* ogłosiła konkurs na wypowiedzi w których jego uczestnicy mieli napisać o swoich rodzicach w formie, jaką uważali za stosowną. Na konkurs nadesłano 408 prac, w tym wpłynęła *Pieśń o Grządzielach*, która została wyróżniona i opublikowana w książce *Moi rodzice* zawierającej plon konkursu, a znaczne jej fragmenty wydrukował w 1960 roku *Tygodnik Powszechny* z suchą i intrygującą notką dotyczącą jej autora: *Juliusz Grządziel, lat 64, robotnik (USA), wykształcenie średnie.*

Z *Pieśni o Grządzielach*, dowiadujemy się sporo o jego rodzicach, niewiele niestety o nim samym. Najwięcej miejsca autor poświęca swej matce Józefie nazywanej w domu *Zefką*, mniej ojcu Pawłowi, bo jak napisał: – *Był to człowiek małomówny, jakkolwiek bardzo pracowity.*

Kiedy *Zefka* (ur. 1857 r. w Krasiejowie na Śląsku Opolskim) miała dwa lata, zmarła jej matka, ojca straciła mając sześć lat. Przyszło jej wieść sierocie życie z dwiema starszymi siostrami w małej izdebce po rodzicach. Starsza siostra Franciszka wzięła na siebie rolę żywicielki i wychowawczyni młodszych i z pomocą krewnych jakoś się utrzymywały. *Zefka* chodziła do szkoły gdzie uczyła się czytać i pisać po polsku i niemiecku, ale też pasła kozy i gęsi, starając się być użyteczną. Mając trzynaście lat zaczęła pracować na „pańskim", pracując od świtu do zmroku za mizerne wynagrodzenie. Mając szesnaście lat wyjechała na roboty sezonowe do Saksonii, gdzie można było latem lepiej zarobić i łatwiej potem, za zarobione marki, przeżyć w domu zimę. Te wyjazdy powtarzała przez kilka lat, aż znalazła pracę tzw. *dziewczyny do wszystkiego* w leśniczówce u Gazdów pod Katowicami. Była służącą, prawą ręką gospodyni i pracowała w ogrodzie. Gazdowie byli ewangelikami, lecz nie mieli nic przeciwko temu, że ona była katoliczką.

Idąc w niedzielę do kościoła Mariackiego do Katowic przechodziła przez Karbową, osiedle domków zamieszkałych przez ludzi pracujących w pobliskich kopalniach i hutach. W jednym z tych domków mieszkała rodzina Grządzielów składająca się z sześciu osób: rodziców, dwóch ich synów i dwóch córek. Najstarszy syn, Paweł, pracował w kopalni *Ferdynand* w Katowicach i lubił bardzo po ciężkiej pracy w tygodniu, w niedzielne popołudnia czytać wydawane w Mikołowie przez Karola Miarkę książki, przeznaczone dla ludu śląskiego.

Dzięki zamiłowaniu do książek Paweł poznał *Zefkę*. Po prostu kiedyś spotkali się po nabożeństwie na plebanii, w kolejce po wydany właśnie nowy śpiewnik kościelny. Paweł stał przed nią i spytał, czy może ją odprowadzić. *Zefka* miała 25 lat, Paweł lat 31. Szybko doszli do porozumienia, dali na zapowiedzi, „spadli z ambony" i w sierpniu 1882 roku w kościele Mariackim w Katowicach wzięli ślub.

Na Klimzowiec

Po weselu Paweł znalazł pracę w kopalni *Hrabina Laura* w Królewskiej Hucie. Wtedy załadowali z *Zefką* na ręczny, czterokołowy wózek, cały swój więcej niż skromny dobytek, i wyruszyli z nim przez Załęże w stronę Klimzowca, gdzie wynajęli mieszkanie składające się z kuchni i izby. Paweł pracował sześć dni w tygodniu od 6 rano do 6 wieczorem. Aby zdążyć na czas do kopalni wychodził z domu już po 5 rano, biorąc z sobą lampę-olejówkę, kawałek chleba ze smalcem, blachówkę z kawą zbożową i „kryję" (laskę), którą się podpierał. Zarabiał dziennie dwie marki. Z tego zarobku potrącano mu jeszcze za pobrany olej do lampy i za narzędzia do pracy.



Juliusz Grządziel

Żyli skromnie, ale byli zadowoleni. Gdy rodzina się powiększyła do siedmiu osób (rodzice, trzech chłopców i dwie dziewczynki), zarobku ojca na utrzymanie rodziny zaczęło brakować i *Zefka* musiała się wynajmować do różnych sezonowych prac u okolicznych rolników, aby wspomóc domowy budżet. Tym bardziej że rodzice abonowali polskie czasopisma: „Katolika", „Przewodnik Katolicki" i „Pracę" poznańską, a przed kościołem nabywali, w każdy pierwszy piątek miesiąca, „Posłańca Serca Jezusowego", tak zwaną „Intencyjkę". Juliusz Grządziel zapamiętał jak kiedyś gospodarz domu zarzucił jego matce, że za dużo wydaje na gazety (w domyśle polskie), że dzieciom trzeba chleba i kiełbasy, a nie gazet. Wówczas mu odparowała: *To dla ciała, ale dusza też musi mieć pokarm, a tym jest dobra gazeta i książka.* Kiedy zaś Wojciech Korfanty zaczął na początku XX wieku wydawać w Katowicach *Polaka*, rodzice go zaabonowali i czytali komentując różne zawarte w nim informacje. Kiedyś dzieci oprawiły sobie tym *Polakiem* zeszyty i książki szkolne, czym wywołały wściekłość niemieckiego nauczyciela, który nie tylko zdarł im te oprawy, ale jeszcze „wsypał" każdemu sporą porcję rózg. Jak napisze Juliusz Grządziel w *Ślązakach*, w szkole niemieckiej przyjemnie nie było. Uczono tylko po niemiecku, bo mowa polska została z niej wyrugowana, bo szkoły na Śląsku miały być kuźniami germanizacji. Ponadto w szkole pruskiej za najmniejsze uchybienie sieczono dzieci rózgami. Między domem a szkołą istniała przepaść. Co w domu szanowano, nauczyciel nakazywał nienawidzić. Rodzice uczyli dzieci, aby miłowały naród polski, w szkole polskość poniewierano a pod niebiosa wychwalano Niemców. Polaków przedstawiano jak analfabetów, niechlujów i pijaków. Im bardziej jednak Prusacy się wściekali próbując tępić polski język, tym bardziej Ślązacy garnęli się do oświaty, zakładali czytelnie, przeróżne związki śpiewacze, zespoły teatralne i organizacje przykościelne.

Na Klimzowcu założono bardzo ruchliwe Towarzystwo Robotników pod Opieką św. Józefa (jego członków nazywano „Józefkami"), które zapisało się bardzo chlubnie w budzeniu polskości. Kiedy zaś pod koniec XIX wieku chciano tu zorganizować oddział Towarzystwa Czytelni Ludowej i do tego był potrzebny ktoś kto lubi książki, i nie będzie się bał ich wypożyczać i sprowadzać (bo niemieckie zarządy kopalń i hut potrafiły zwalniać z pracy co śmielszych patriotów polskich), to tym honorowym bibliotekarzem został ojciec Juliusza. Zrobił szafę, kupił duży zeszyt i w niedzielne popołudnia schodzili się do ich mieszkania ludzie, którzy chcieli pożyczyć polskie książki. Zdarzało się, że także w ciągu tygodnia ktoś wpadł po książkę, którą ojciec musiał odnotować w zeszycie ruchu książek i zainkasować drobną opłatę na nowe książki. Każda wizyta czytelnika nie obywała się bez gawędy, dzięki czemu – jak wyzna Juliusz – miał on okazję poznać w dzieciństwie różnych ludzi, z którymi później na niwie narodowej i społecznej współpracował. Czytelnia ta przetrwała u nich 20 lat i kiedy znaleźli się w Polsce, brat Juliusza, Andrzej, z siostrą, przekazali zgromadzony księgozbiór do biblioteki w Królewskiej Hucie.

Z rodzicami zawsze kojarzyła się Juliuszowi wierność Kościołowi i sprawie polskiej, która przyczyniła się do tego, że po pierwszej wojnie część Górnego Śląska mogła wrócić do Macierzy.

Zanim to się stało matka w pierwszą niedzielę sierpnia 1914 roku przyszła z porannej mszy zapłakana, bo ksiądz w kościele ogłosił, że wybuchła wojna. Niedługo potem trzech jej synów Paweł, Andrzej i Juliusz wcielonych zostaje do armii pruskiej, ale udało się im szczęśliwie wrócić z tej wojny światowej, więc radość matki była wielka, jednak trwała niedługo.

Śmierć najstarszego syna

W styczniu 1919 roku zginął w Królewskiej Hucie najstarszy syn Paweł (29 lat) rębacz w kop. *Kleofas*, który brał udział w strajku trwającym na Śląsku od 3 grudnia 1918 r.

W jego rezultacie doszło do największej w dziejach chorzowskiego ruchu robotniczego tragedii, bo zginęło 17 osób, a 21 zostało ciężko rannych. Podobnie jak w całych Niemczech, na Górnym Śląsku wówczas wrzało. W dniu 25 października 1918 r. w parlamencie Prus Wojciech Korfanty zażądał przyłączenia Śląska do Polski. W miesiąc później na wiecu przed Urzędem Górniczym w Królewskiej Hucie, w uchwalonej rezolucji domagano się zarówno wystarczających zarobków i rent, bo na skutek wywalczonego przez robotników skrócenia dnia pracy z 12 do 8 godzin, kapitaliści

zmniejszyli im zarobki dzienne, ale również Polski niepodległej i zjednoczonej, do której miał należeć cały Śląsk. Na nastroje na Górnym Śląsku znaczny wpływ miało też Powstanie Wielkopolskie. Feralnego 3 stycznia 1919 roku zebrany tłum, oprócz ekonomicznych żądań, domagał się również usunięcia z miasta znienawidzonych żołnierzy, którzy terroryzowali miejscową ludność opowiadającą się za przyłączeniem do Polski. Wtedy to z okien budynku inspekcji górniczej oddano do tłumu pierwsze strzały, potem poleciała seria z karabinu maszynowego. Jedna z kul trafiła śmiertelnie Pawła Grządziela, kiedy przechodząc z żoną z poczty, stanął przy bracie Andrzeju.

Doczekali Polski

Matka śmierć syna przeżyła niezwykle boleśnie, ale doczekała z ojcem wkroczenia do Królewskiej Huty Wojska Polskiego witanego przez tłumy mieszkańców miasta.

Juliusz Grządziel w *Ślązakach* opisuje jak to w dniu 23 czerwca 1922 roku chorzowianie przystroili miasto wieńcami i kwiatami. Z okien zwisały u jednych sztandary polskie *u drugich dywany, na których ustawiano obrazy Matki Boskiej Piekarskiej albo Częstochowskiej, przy których płonęły świece. Cztery stany (rolnicy, hutnicy, górnicy i niewiasty śląskie) ustawiły cztery bramy triumfalne.* Brama wystawiona przez niewiasty stała na dzisiejszej ul. Dąbrowskiego. Wkraczający żołnierze stanęli, lud odśpiewał hymn narodowy i pierwszy Wojewoda Śląski Józef Rymer powitał wojsko- jak się wyraził- *w największym mieście Górnego Śląska.*

Po oficjalnych wystąpieniach, gen. Kazimierza Andrzeja Horoszkiewicza powitała w stroju śląskim, chlebem i solą oraz niezwykle wzruszającymi słowami Petronela Golasiowa z Klimzowca, nazywana przez Prusaków *polską Królową*, wdowa po górniku, który zginął w kopalni. Ta sama Golasiowa, która w czasach *Kulturkampfu*, kiedy Prusacy usunęli język polski ze szkół, kazała przebudować swoją szopę na małą salkę, by służyła dzieciom do nauki czytania i pisania po polsku.

Kończąc wspomnienie o swoich rodzicach, Juliusz Grządziel wyzna, że jego ojciec, który przeszło 40 lat zjeżdżał do kopalni i tam, w pyle, zaduchu i wilgoci pracował, chorował na astmę. Gdyśmy szli do kościoła a był silniejszy wiatr, to widziałem z jakim trudem łapał oddech, jak się męczył, ale z jego ust nie padło słowo skargi i narzekania. Cierpiał, pracował i jeszcze tylu innym pomagał, ale nie dowiemy się skąd się jego ojciec wywodził. Dopiero starszy brat, Andrzej, powstaniec śląski i działacz społeczny a także kronikarz Klimzowca, wspomni w pozostawionym maszynopisie, że ich dziadek Grządziel, brał udział w powstaniu styczniowym 1863 roku i po nim nie mógł wrócić do Królestwa Polskiego (Kongresówki), więc osiadł na Śląsku.

Bastion polskości i esencja śląskości

Wilhelmowi Szewczykowi odłożone w latach 60. do szuflady trzytomowe dzieło Juliusza Grządziela nie dawało spokoju także po zlikwidowaniu *Poglądów.* Uważał iż warte jest ono upowszechnienia: *Krótkie rozdziały, zamknięte w swej warstwie wspomnieniowej i narracyjnej... są znakomicie pod względem literackim skomponowane. Niemal każdy z nich-* cytuję Wilhelma Szewczyka jeszcze z *Poglądów – zwłaszcza, gdy autor nie sięga do historii powszechnej, to odrębna nowela, szkic, czy opowiedziana anegdota – nie wiem jak to nazwać – wszystko zaś jest nadzwyczaj wiarygodne.*

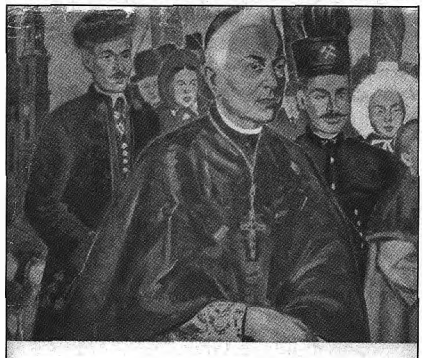
W kilka lat później w 1990 roku (jeszcze za życia Wilhelma Szewczyka) dochodzi do wydania, przez wspomniane Stowarzyszenie Miłośników Chorzowa, wyboru 20 ze 103 rozdziałów jakie zawiera pierwszy tom *Ślązaków...*, opatrzonych jego wstępem, pod tytułem *Wspomnienia z Klimzowca.*

Znalazły się w tym wyborze autentyczne opisy życia na Klimzowcu na początku XX wieku: wielu zajęć, zwyczajów, obyczajów i tradycji związanych z pracą, domem, kościołem i szkołą, darciem pierza, wyskubkiem, deptaniem kapusty, śląskim humorem a także walki z germanizacją, bezrobociem i głodem i pierwszych strajków w czasie kryzysu. Są w tym wyborze sylwetki śląskich działaczy, z Korfantym na czele, wiodący lud śląski do Macierzy, do Polski, bo dla Juliusza Grządziela, jego rodzinny Klimzowiec był na przełomie XIX i XX wieku bastionem polskości i esencją Górnego Śląska.

Szarwark śląski

Całość trzytomowego dzieła Juliusza Grządziela *Ślązacy...* ukazała się nakładem drukarni Uniwersytetu Gregoriańskiego w Rzymie, pierwszy tom w 1965, dwa dalsze, w jednym woluminie, nieco później, lecz z tą samą datą wydania. Jako ich wydawca figuruje Konfederacja św. Michała Archanioła Kraków – Klimzowiec.

Dzieło swoje autor z głęboką czcią dedykuje patronce Ludu Śląskiego Matce Boskiej Piekarskiej, której obraz umieścił na początku pierwszego tomu, bo też Piekary Śląskie, ważny ośrodek kultu maryjnego, nazywane są stolicą duchową Górnego Śląska.



ŚLĄZACY W PROCESJI DZIEJOWEJ

Juliusz Grządziel wierzy, że Ślązacy, jako chrześcijanie, spełniają pracą, modlitwą i cierpliwym znoszeniem codziennych obowiązków, szarwark na cześć Pana Najwyższego, stąd wiele poświęca sprawom religijnym. Największa jednak wartość dzieła to utrwalenie setek postaci znanych mu z imienia i nazwiska autentycznych ludzi, pionierów ruchu kulturalno-oświatowego i narodowego, którzy wzmagali tu tętno życia patriotycznego.

Dzień powszedni na początku XX wieku na Klimzowcu, i w wielu innych parafiach Śląska, wypełniony był ciężką pracą, wyglądał więc jednakowo, szaro i mozolnie. Zaczynał się bardzo wcześnie rano, kiedy to mężowie, bracia i synowie szli codziennie do swych robót, w kopalniach i w hutach, zaś ich żony miały go wypełniony równie intensywną pracą, związaną z nakarmieniem, opraniem i obszyciem rodziny, wypiekiem chleba, zajmowaniem się przydomową hodowlą i ogródkiem. W każdą sobotę gospodynie myły i czyściły mieszkania szorując szczotką ryżową dyliny, aby jaśniały schludnością.

Na Klimzowcu kilka rodzin żyło z chałupnictwa, wyrobu drewniaków (po śląsku: *trepów*) w których się na co dzień chodziło, bo na buty dla wszystkich nie starczało pieniędzy. Reperacją obuwia zajmowało się aż pięciu szewców. Był też tkacz i parę szwaczek, które zawsze miały co robić, bo ciągle coś się przerabiało, z ubrań po dorosłych dla dzieci. Istniały tu trzy składy rzeźnickie i pięć karczm. O głowy dbało dwóch fryzjerów, z których jeden oprócz tego, że strzygł, to jeszcze stawiał bańki i rwał zęby, nic więc dziwnego, że w okolicach czterdziestki nikt prawie już nie miał zębów.

Najbardziej imponująco wyglądał Klimzowiec w niedzielę, kiedy od samego rana ludzie, świątecznie ubrani, szli całymi gromadami do kościoła. Rano spieszyły na mszę kobiety, aby wrócić do domu i przygotować dla całej rodziny niedzielny, zwykle bogatszy od skromnych, codziennych, obiad. Potem na sumę szła młodzież i starsi. Prawie wszyscy nieśli z sobą duże książeczki do nabożeństwa nazywane *cegłami* lub śpiewniki, bo Ślązacy zawsze lubili i potrafili w kościele pięknie śpiewać. Wiele z kościelnych pieśni podnosiło ich na duchu, niektóre pocieszały w utrapieniu, a inne jeszcze zawierały w sobie jakąś prawdę lub ważne wyznanie wiary.

Ślązacy w procesji dziejowej...

We wstępie do swego dzieła Juliusz Grządziel zastrzega że *Czytelnik nie znajdzie w tym opisie tragedii małżeńskich, zboczeń zmysłowych i sensacji kryminalnych, bo życie ludu śląskiego tych załamańców nie znało. Były oczywiście wyjątki dostarczające światu sensacji ale były to zdarzenia rzadkie, które nie wpływały na zdrowy bieg procesji dziejowej.*

I wyjaśnia: *W tym opisie omawia się codzienny trud, gdzie to trzeba brać przeszkody, czasem je przeskoczyć a często pod nimi się przeczołgać, ale gdzie należy z wytrwałością iść naprzód. Lud śląski ma humor i wrodzony chłopski rozum i woli częściej śmiać się jak narzekać i bia-*

dać... Walki i prześladowania wyszły temu ludowi na korzyść, bo zahartowały jego charakter, uodporniły go na wszystkie przykrości i dały mu sposobność... do wykazania przed światem wierności Polsce i Kościołowi.

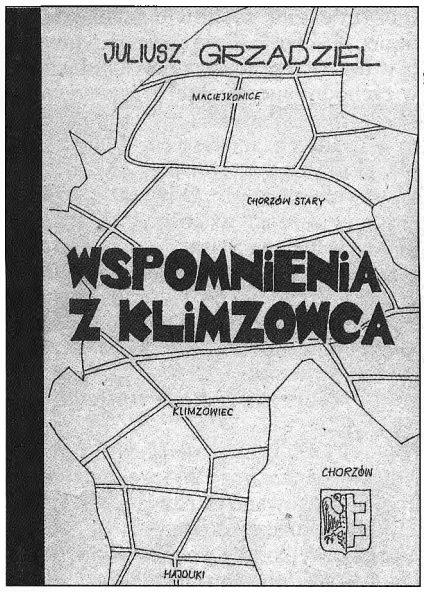
W tej śląskiej epopei autor opisał więc na 1200 stronach, w 213 rozdziałach m. in. znaczenie religijne i tradycje związane z wszystkimi świętami kościelnymi obchodzonymi na Śląsku, przywołuje popularnych tu świętych patronów parafii, wielkie proroctwa, znaczące encykliki papieskie a nawet treści kazań, które szczególnie utkwiły mu w pamięci oraz krótkie historie odwiedzanych parafii i miejsc dokąd Ślązacy chętnie pielgrzymowali, bo jak twierdził – *Lud ściśle związany jest z parafiami, toteż w gronie parafian kroczy w dziejowej pielgrzymce.*

Ale obok prezentowanej tematyki religijno-duchowej znajdujemy u Grządziela bogaty zapis wymiany opinii na temat najważniejszych wydarzeń jakie w tym czasie miały miejsce i wpływały na życie Ślązaków: I wojna światowa; rewolucja bolszewicka 1917 roku; wskrzeszenie Państwa Polskiego; powstania śląskie; cud nad Wisłą; plebiscyt i podział Górnego Śląska; przewrót majowy; narodziny hitleryzmu, czwarty rozbiór Polski we wrześniu 1939 roku. Są też postacie wybitnych polityków tamtych lat z bliskim mu Wojciechem Korfantym i Romanem Dmowskim oraz krytykowanym Józefem Piłsudskim z jego politycznym obozem.

Godzi się zauważyć, że swoje dzieło Juliusz Grządziel pisał na emigracji, w USA, gdzie po II wojnie światowej osiadł. Być może zachętą do jego napisania był sukces we wspomnianym konkursie *Tygodnika Powszechnego*, w którym wyróżniono jego *Pieśń o Grządzielach.* Tym większy podziw budzi zapamiętanie przez niego tylu opisanych faktów i wydarzeń, z przywołaniem osób spotkanych w jego dziejowej pielgrzymce. Imponuje liczba znanych mu cytowanych książek i prac związanych z opisywanymi wydarzeniami. Wierzyć się nie chce, że można mieć aż tak wspaniałą pamięć, by po wielu latach, po strasznych wojennych przeżyciach, z taką wiarygodnością, tak wiele móc odtworzyć.

Niestety prawie nic w jego dziele nie znajdujemy o nim samym. Zgadzam się więc w pełni z Wilhelmem Szewczykiem, który ma mu za złe, że *Swoje wspomnienia z dzieciństwa i młodości przenosi na obraz nieco szerszy, jak gdyby własne przeżycie i doświadczenie, własne dojrzewanie w poczuciu nadmiernej skromności zamierzał ukryć lub rozproszyć na wiele innych osób, znanych z nazwiska a nierzadko i z patriotycznych zasług.*

Czytając to dzieło czujemy przecież, że autor uczestniczy w działalności różnych stowarzyszeń, organizacji i partii, na co wskazują relacje z licznych spotkań, zjazdów, dyskusji, manifestacji i pielgrzymek. Domyślamy się, iż skoro tak szczegółowo opisuje ich przebieg, a nawet wypowiadane poglądy różnych uczestników, musiał tam być. Wspomni, jak to go z braćmi zaciągnięto w czasie I wojny światowej do pruskiego wojska i musieli walcząc po stronie niemieckiej, strzelać do brata-Polaka, walczącego w armii rosyjskiej albo francuskiej, jako że i w niej polscy emigranci – górnicy, walczyli. Ale nie pochwali się, że w pruskiej marynarce wojennej zorganizował – spośród marynarzy narodowości polskiej – Koło Polaków. Napisze, że szczególnie boleśnie przyszło mu przeżywać wigilię 1943 roku w obozie koncentracyjnym w Sachsenhausen, ale nie wspomni, że nazywano go tam „swoim biskupem", bo głosił ewangelię podtrzymując na duchu wielu więźniów. Kaja się, że jako zwykły robotnik, nie ma talentu pisarskiego, a przecież nie był zwykłym robotnikiem, lecz uznanym przed II wojną światową działaczem narodowym, społecznym i publicystą.



Fot. ze zbiorów Muzeum Miasta Chorzowa

Wilhelm Szewczyk żałuje, że nie mógł Juliusza Grządziela spotkać podczas jego powojennych podróży do Polski, bo wówczas – jak twierdził – miałby okazję wyrazić z całą szczerością należny mu szacunek za jego dokonania pisarskie.

Kim był Juliusz Grządziel?

W związku z tym, że Juliusz Grządziel niewiele o sobie ujawnił, polegamy na tym co udało się o nim wyłuskać innym. Jak dotąd, najbardziej przybliżył nam jego biografię działacz, pisarz i historyk z zamiłowania Rajmund Hanke w książce *Polska droga Chorzowa.*

Juliusz Grządziel urodził się 11 kwietnia 1896 roku w Klimzowcu i tu ukończył ośmioklasową szkołę ludową, po niej przyjęto go na staż w biurze Zarządu Gminnego w Wielkich Hajdukach a następnie w Deutsche Volksbank w Królewskiej Hucie. Pracując zdobywa średnie wykształcenie i awansuje na samodzielne, a nawet kierownicze stanowiska w Banku Ludowym i w innych instytucjach a jednocześnie jest nauczycielem w Miejskiej Szkole Handlowej.

Stale też – z pobudek patriotycznych i światopoglądowych, działa w różnych polskich chrześcijańskich organizacjach. Szybko dał się poznać jako odważny, z darem krasomówstwa działacz. Po powrocie z wojny należał do Zjednoczenia Zawodowego Polskiego i był działaczem plebiscytowym. Uczestniczył w III powstaniu śląskim. Współorganizował w 1923 roku katolickie Stowarzyszenie Młodzieży Polskiej w Królewskiej Hucie i należał do założycieli Związku Młodzieży Pracującej „Jedność" przy Narodowej Partii Robotniczej, wchodząc w skład jej pierwszego Zarządu Głównego.

Z ramienia Zjednoczenia Zawodowego Polskiego wybrany został radnym pierwszej polskiej Rady Miejskiej w Królewskiej Hucie, na forum której toczył ostre spory z przedstawicielami mniejszości niemieckiej, zaś jako działacz powstałej później Śląskiej Akcji Katolickiej, skutecznie bronił Kościoła katolickiego, z którym był głęboko związany.

Pod koniec 1924 roku odnajdujemy go w grupie, która dokonała rozłamu w środowisku powstańczym sprzeciwiając się Zarządowi Głównemu Związku Powstańców Śląskich, który dążył do ograniczenia wpływów jakie w nim posiadała Chrześcijańska Demokracja Wojciecha Korfantego.

Po przewrocie majowym Józefa Piłsudskiego był w opozycji do rządów sanacyjnych. Napisze: *Dzień 13 Maja 1926 r. był dla Polski dniem grozy i nieszczęścia. Piłsudski wywołał krwawy r o k o s z, wszczął bratobójczą wojnę domową, kazał żołnierzom złamać przysięgę złożoną na rękę Prezydenta Rzeczypospolitej i po trupach zabitych żołnierzy doszedł do władzy dyktatorskiej.*

Na łamach *Kuriera Śląskiego* oraz *Gościa Niedzielnego*, jako cięty publicysta, jako zwolennik Wojciecha Korfantego i Romana Dmowskiego, demaskuje poczynania śląskiej sanacji.

Najbardziej bolało go, kiedy w trudnych latach kryzysu gospodarczego i masowego bezrobocia, takim jak on Ślązakom, polskim patriotom, Niemcy bezczelnie rzucali w twarz: *Zachciało wam się Polski, teraz macie zapłatę za waszą głupotę. Przestrzegaliśmy was, byście się do polskiego bałaganu nie pchali.*

Mocno mu się utrwalił w pamięci niezwykle znamienny obraz z manifestacyjnego pogrzebu Wojciecha Korfantego w Katowicach w ostatnią niedzielę sierpnia 1939 roku; niesiona przed trumną przez górnika na poduszce cierniowa korona. Jakże symboliczna dla tego, co ten największy w dziejach Ślązak musiał wycierpieć w Polsce, do której przyprowadził Ślązaków, z całym bogactwem przyłączonej części Górnego Śląska.

Za krytykę rządów sanacji Juliusz Grządziel był również wtrącany do polskiego więzienia. Potem zajęli się nim Niemcy skazując go za obraźliwe wypowiedzi pod adresem Hitlera i upór przed wyrzeczeniem się polskości i podpisaniem Volkslisty, na więzienie, by zmasakrowany trafił do obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen a następnie do jeszcze cięższego w Mauthausen. W stanie skrajnego wyczerpania doczekał jednak wyzwolenia obozu przez Amerykanów w dniu 5 maja 1945 roku.

Po obozie zostaje zaangażowany przez UNRRA – międzynarodową organizację powołaną przez Narody Zjednoczone w celu udzielenia pomocy obszarom wyzwolonym w Europie i w Azji po zakończeniu II wojny światowej i kieruje Komitetem UNRRA na terenie Bawarii. Po jego likwi-

dacji w 1946 roku osiada w Stanach Zjednoczonych, gdzie działa w różnych organizacjach katolickich. Publikuje, współpracując z wieloma redakcjami pism emigracyjnych, w tym z miesięcznikiem *Horyzonty*. Nie traci kontaktu z prasą katolicką w kraju: *Hejnałem Mariackim*, *Za i przeciw* i *Gościem Niedzielnym*.

W USA napisze trzy książki. Trzytomową epopeję *Ślązacy...* wydaną w 1965 roku. Dwa lata później powieść pt. *Sława Pannom Mądrym* przeznaczoną dla sodalistek, z opisami szlachetniejszych czynów cichych i bohaterskich służebnic bożych. Natomiast w języku niemieckim wydał książkę *Hallo! Hier Spricht Gleiwitz!* nawiązującą w tytule do przedwojennych antypolskich audycji pogranicznego radia w Gliwicach. Książka była reakcją na odradzające się w Niemczech ruchy i publikacje odwetowe. Juliusz Grządziel bazując na własnych doświadczeniach człowieka poddawanego od dzieciństwa germanizacji a następnie więźnia hitlerowskich obozów śmierci, w sposób niezwykle niewygodny dla Niemców, konkretnie i rzeczowo przypomniał im to, co chcieli zamazać lub o czym chcieli możliwie szybko zapomnieć. O książce było głośno, cytowano ją w licznych pismach amerykańskich zaś w zachodnioniemieckiej prasie wywołała zaciekłe polemiki.

W ostatnich latach swego życia często bywał w Europie, głównie w Austrii, we Włoszech i w Anglii. Odwiedzał też Polskę wygłaszając w kościołach katolickich, również na Śląsku, prelekcje związane głównie z kultem Matki Bożej, który krzewił. Zmarł tuż po 77. urodzinach, 18 kwietnia 1973 roku w Chicago i tam został pochowany.

Gorzkie zakończenie

Juliusz Grządziel zmarł daleko od rodzinnego Klimzowca. W jego rodzinnym mieście próbowano go nawet jakoś uczcić. Znalazła się uliczka do nazwania jego imieniem, tyle tylko, że jej bohater zamiast Juliusza został Julianem Grządzielem i jakoś nikt tej pomyłki nie kwapi się sprostować. Ma też hasło (bez zdjęcia) w *Encyklopedii Chorzowa*, ale nie zasłużył sobie na miejsce w *Górnośląskim Leksykonie Biograficznym*, bo kto dziś wie o jego epopei, kiedy nie ma jej nawet w bibliotekach na Górnym Śląsku.

Najbardziej jaskrawym dowodem świadczącym o braku znajomości dzieła Juliusza Grządziela jest fakt, że w 2012 roku czterdziestu profesorów, literatów, teoretyków i tłumaczy literatury oraz publicystów związanych ze Śląskiem, na apel kwartalnika *Fabryka Silesia* proponowało tytuły do kanonu literatury jaką powinni znać Ślązacy i nikt o Juliuszu Grządzielu nie wspomniał, mimo że zgłoszono 145 utworów napisanych przez 108 autorów. Nikt nie uznał za stosowne wymienić w swych propozycjach jego dzieła, mimo wysokiej oceny jaką mu wystawili swego czasu tacy wybitni Ślązacy jak kardynał Bolesław Kominek i znakomity pisarz, publicysta i działacz Wilhelm Szewczyk. Śmiem więc twierdzić, że osoby typujące, intelektualna czołówka Śląska, z dziełem tym chyba nigdy nie miały okazji się zetknąć, a dlaczego starałem się powyżej opisać. ■

Powyższy tekst jest fragmentem większej całości przygotowanej do nowej książki Jana Cofałki „Ślązacy w świecie".



Fot. „Kraków"

Wiesław Myśliwski laureatem medalu miesięcznika „Kraków"

Miesięcznik społeczno-kulturalny „Kraków", skądinąd młodszy kuzyn „Śląska", od 2006 roku przyznaje medale za „Mądrość obywatelską", nawiązujące do przywoływanej wielokrotnie w dziejach (u nas choćby na medalu wybitym na cześć Stanisława Konarskiego) maksymy Horacego *Sapere auso* – „Temu, który ośmielił się być mądry". Dotychczasowi laureaci medalu „Krakowa" to Andrzej Zoll, Leszek Balcerowicz, Karol Modzelewski, Kazimierz Kutz, Jerzy Stępień, Daniel Rotfeld, Andrzej Romanowski – „ludzie o różnych zawodach i poglądach, którzy zdobyli wysoką pozycję i uznanie społeczne m.in. za odwagę mówienia i pisania o sprawach trudnych w sposób rozumny, *pro publico bono*, po obywatelsku – mówił podczas uroczystości wręczenia medalu szef miesięcznika, Jan Pieszczachowicz i kontynuował: – Tym razem honorujemy mądrość obywatelską jednego z najwybitniejszych żyjących pisarzy polskich – Wiesława Myśliwskiego, wynikającą z jego twórczości i postawy życiowej". Bo to właśnie autor „Nagiego sadu", „Widnokręgu", „Kamienia na kamieniu" i „Traktatu o łuskaniu fasoli" został w tym roku wyróżniony przez redakcję „Krakowa".

Zwyczajową laudację wygłosił prof. Stanisław Burkot, mówiąc o „niezwykłości języka i stylu", wzbogaconej „o formę narracji, o sposób utrwalania przeżyć, o wizję jednostkowego losu ludzkiego uwikłanego w swój czas, w historię".

Literatura, ale dobra literatura, jest po to, byśmy wiedzieli, czym się różni buk od dębu, a dąb od graba (to nawiązanie do cytowanego wcześniej fragmentu „Traktatu o łuskaniu fasoli"). Bo ubóstwo języka, redukcja leksyki i synonimiki, jest groźnym zjawiskiem społecznym – pociąga za sobą zubożenie psychiki, niezdolność do wyrażania myśli i emocji. Człowiek zredukowany w momencie stresu najczęściej potrafi wyrazić siebie tylko jednym obiegowym słowem o wielu znaczeniach. Nie będę go powtarzał. Dziś w tym jednym słowie zmieścić się może cała chora synonimika współczesności. Literatura jest po to, aby chronić i wzbogacać nasze rozumienie ludzi i świata. A twórczość Wiesława Myśliwskiego godna jest wszelkich pochwał w tym zakresie".

Z kolei laureat (medal wręczyli mu prezydent miasta Jacek Majchrowski i naczelny „Krakowa" Jan Pieszczachowicz) zaczął swe krótkie wystąpienie od słów: „Dziękuję za to zaszczytne wyróżnienie, jakkolwiek jego podniosły tytuł powoduje, że czuję się trochę nieswojo. »Mądrość obywatelska« – jak odnieść ten tytuł do literatury, a tym bardziej jak mógłbym go odnieść do swojego pisarstwa?". Na poły żartując („z każdej swojej książki muszę wyzdrowieć") pointował: „Powołanie literatury widzę nade wszystko w dążeniu do zrozumienia człowieka, kimkolwiek on jest. A jest zawsze nieodgadnioną tajemnicą. Nie człowiek abstrakcyjny, lecz każdy człowiek. Osadzony w czasie i przestrzeni, miotany najprzeróżniejszymi namiętnościami, doświadczający częstokroć najbardziej dramatycznych wydarzeń, jakie przypadły na czas jego życia, lecz wszystko przeżywający w wymiarach własnego losu. Słowem, człowiek, który jako jednostka jest podmiotem świata. To nie on przepływa przez historię, lecz historia przez niego. Czy taka literatura jest obywatelska? Nie wiem".

Wiesława Myśliwski jest członkiem honorowym Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego w Katowicach.

(msz)



Fot. Zbigniew Sawicz

Jacenty Jędrusik (1954–2013)

Był porządnym, zawodowym aktorem

Nie był żadną gwiazdą Teatru Rozrywki, od tego określenia uciekał jak najdalej, tylko właśnie – jak sam podkreślał – porządnym, zawodowym aktorem. Wiadomość, że Jacenty jest w szpitalu spadła na mnie, jak grom z jasnego nieba. Wydawał mi się tak witalnym, że choroba absolutnie nie powinna go dopaść. Żadna. A tym bardziej zawał a później śpiączka. To był szok, z którego nie mogłem się otrząsnąć. Za kilka dni byłem z nim umówiony na nagranie o jego następnej roli. Jacenty chory, zawał, śpiączka… powtarzałem bez ładu i składu jadąc na sesję dziennikarską. Myślałem – wrócę, wszystko będzie dobrze. To silny facet, niejedno przetrzymał w życiu i niejedno jeszcze przetrzyma.

Wróciłem i pełen nadziei miałem zadzwonić do Zbyszka Grucy, który o aktorach i ich chorobach wie wszystko – co u Jacentego? Zdrowieje? Nie zdążyłem wykręcić numeru, gdy to on zadzwonił do mnie i płacząc powiedział: Jacenty nie żyje.

Nogi ugięły się, a w głowie nagle nastała pustka i przelatujące pytania bez odpowiedzi: kiedy, dlaczego, czyżby, przecież to niemożliwe… Trudno opisać tamte chwile. Przez dobry kwadrans nie mogłem się pozbierać i zacząć racjonalnie myśleć.

Kiedy stałem w kościele wśród ludzi, którzy znali Jacentego bardziej lub mniej, albo w ogóle go nie znali, ale przyszli oddać mu pokłon za kreacje, które stworzył, przypominałem sobie chwile, które były jakby tylko nasze.

Jego pierwsze role w Teatrze Rozrywki pamiętam doskonale. Kiedy na afiszu pojawił się „Cabaret" i Jacenty miał zagrać *Mistrza Ceremonii* byłem z jednej strony bardzo ciekaw jak sobie z tą rolą poradzi, ale z drugiej bałem się, że mając w pamięci kreację Joela Grey'a z filmu Boba Fosse'a będziemy ciągle porównywać i te porównania mogą okazać się niekorzystne dla Jacentego.

Nic błędniejszego – stworzył zupełnie inną postać niż Grey, a ta jego łysina, z którą pokazał się po raz pierwszy, namówiony przez Marcela Kochańczyka, dodawała postaci jeszcze więcej i diabelskości, i uroku. Potem opowiedział mi jak to z tą łysiną było: Marcel nie chciał przez długi czas mu powiedzieć jaka ta postać ma być. I dosłownie kilka dni przed próbą generalną napisał na karteczce: *Jacenty łysy* i wybiegł z teatru, nie czekając na reakcję aktora. A on gonił go i krzyczał: *Marcel, masz rację, to jest właśnie to, o co nam chodzi…* i z ogoloną głową zagrał tak, że nie pozostawało nic innego, jak tylko nagrodzić tę kreację Złotą Maską.

Podczas pożegnalnej mszy świętej młody aktor Wojciech Solorz, żegnając Jacentego, mówił o tym, jak byli nim zauroczeni jego rodzice po powrocie z każdego przedstawienia, jak opowiadali o jego rolach i jak jemu udzielała się ta fascynacja. Kiedy został aktorem ogromnym przeżyciem było dla niego grać z Jacentym Jędrusikiem na jednej scenie. Był Mistrzem, który młodych adeptów delikatnie prowadził przez meandry aktorskiego żywota.

Delikatnie – mówił młody człowiek – a do mnie wróciły znowu wspomnienia, kiedy kilka lat temu siedzieliśmy w parku chorzowskim i Jacenty wspominał jak poznał swoją miłość – Joannę, która jak mówił, mimo cudnej urody i ogromnego talentu zachowywała się niczym szara myszka. Najchętniej schowałaby się gdzieś przed ludzkimi spojrzeniami przepraszając, że żyje. *To była miłość od pierwszego wejrzenia* – wspominał dyskretnie trzymając Joasię za rękę – *jakiś niesamowity dreszcz przebiegł mi po plecach, stanąłem jak wryty, kiedy zobaczyłem tę burzę rudych włosów. Wiedziałem, że to jest kobieta mojego życia. Wspólnie coś tam robiliśmy z Heniem Konwińskim i często bywałem w Operze. Na premierze – to była „Zemsta nietoperza" – staliśmy obok siebie. Ona w mojej ulubionej czarnej sukni delikatnie otarła się o mnie, a ja poczułem, jakby mnie prąd przeszedł. I już wiedziałem, że musimy być razem…* – bez żadnych uniesień, bez emfazy wspominał najważniejsze chwile w swoim życiu.

Wspaniały aktor, cudowny człowiek... Padały te słowa zewsząd. Dla mnie też był i jednym, i drugim. Tylko może film go nie docenił. Ale on sam nie zabiegał ani o popularność, ani role, o pieniądzach nie wspominając. Jakże inaczej mogłaby wyglądać jego kariera gdyby w roku 1979, kiedy grał w Teatrze im. W. Bogusławskiego w Kaliszu postawił się dyrektorowi, który na okazany telegram od Juliusza Machulskiego: *Masz 20 dni zdjęciowych w „Va banqe". Przyjeżdżaj*, powiedział: *Ależ Jacenty ty grasz księcia Fiołka, jest grudzień, gramy tę bajkę na okrągło, kto cię zastąpi?* A mógł zagrać *Moksa*, którego później zagrał Jacek Chmielnik, lub *Nutę*, w którego wcielił się Krzysztof Kiersznowski. Machulski jest wierny swoim aktorom i zawsze role od niego otrzymują. „Va banqe" to były wrota do kariery i Jacenty po latach mówił mi, że dziś może inaczej by postąpił, wówczas ani przez myśl mu nie przyszło odmówić dyrektorowi. *Powiem ci szczerze* – śmiał się – *nie stać mnie było wówczas na inną decyzję. Ale tego kroku żałuję…*

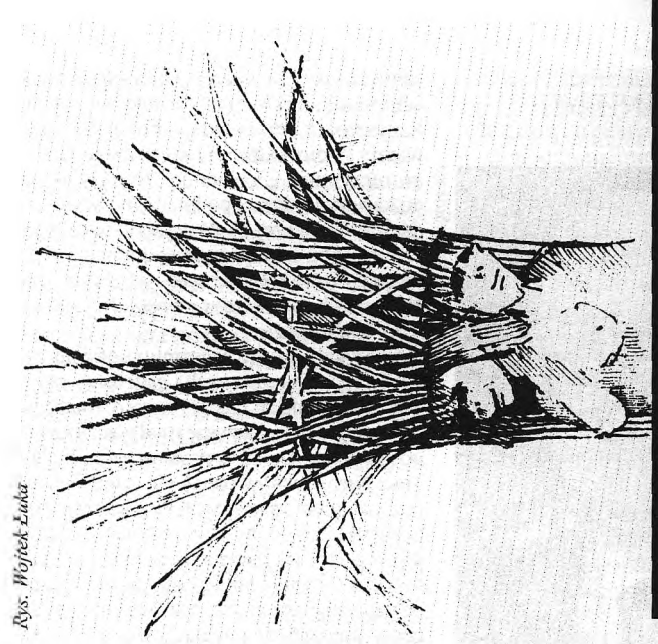
Spotykaliśmy się czasami po oficjalnych konferencjach prasowych i gadaliśmy wówczas o wszystkim. Jacenty zawsze miał czas dla dziennikarzy i zawsze miał coś ciekawego do powiedzenia o postaci, którą będzie grać. Nie uciekał w banał, ale starał się znaleźć coś interesującego nawet w kompletnym bęcwale, jak to było z *Dyzmą*. I znowu przed premierą cisnęło się to pytanie – jaki to będzie *Dyzma*? Jak można zagrać tę postać po genialnej kreacji Romana Wilhelmiego. Jacenty wiedział, że można. Stworzyć *Dyzmę* bardzo współczesnego, takiego którego znamy z telewizji i radia. Bo jak mówił mi tuż przed pierwszym przedstawieniem, on tej swojej kariery sam nie wymyślił. On chciał się tylko nażreć i napić – jego stworzył system, postawiono go na piedestale, aby komuś dokopać, aby kogoś zniszczyć, aby dzięki niemu coś zyskać, był marionetką, ale po trosze winni byli wszyscy, którzy go do tych zaszczytów wynieśli. *Dyzmy* chodzą wśród nas. Wszędzie układy, układziki, a my na to nie zwracamy uwagi. Z lenistwa, z wygodnictwa, dla świętego spokoju? Był wspaniałym *Dyzmą*, mówiącym w oczy gorzką prawdę.

Wiele słów wypowiedziano po śmierci Jacentego. Wiele pochwał i zdań, które mówiły o jego wyjątkowości, o jego niezwykłych kreacjach, nagrodach, wyróżnieniach. A on na co dzień był skromnym, zabieganym aktorem, który musiał załatwić mnóstwo spraw, musiał przypilnować syna, aby zrobił to, co do niego należało i musiał być ze swoją ukochaną Joasią. Kiedy patrzyłem na nich, gdy stali obok siebie – dwoje wspaniałych artystów, ale bez masek na twarzach, myślałem – taka miłość nie każdemu jest dana. To muszą być ludzie wyjątkowi, którzy dla siebie gotowi są skoczyć w ogień i poświęcić wszystko. Kiedy to im mówiłem, tylko uśmiechali się trzymając za ręce.

Oni zawsze byli uśmiechnięci i radośni. Nie obnosili się ze swoimi kłopotami. Po prostu żyli i pracowali. I byli szczęśliwi. I to szczęście nagle zostało przerwane, gdzieś jakby w połowie drogi. Została jedna połówka jabłka – Joasia – stojąca w czarnej sukni, może tej ulubionej przez Jacentego, obok góry kwiatów, które pokryły jego grób.

Często powtarzamy i nie jest to banał, ale prawda – takiego aktora jakim był Jacenty długo nie będzie na śląskich scenach. A może on nadal jest z nami? Wszak, kiedy piszę te zdania, a jest 9 lipca – jego nazwisko wciąż figuruje wśród aktorów chorzowskiego Teatru Rozrywki. Bo tak trudno rozstawać się z dobrym duchem tego teatru i z dobrym człowiekiem jakim był Jacenty.

MAREK MIERZWIAK



Rys. Wojtek Łuka

FRIEDA

PIOTR GUZY

Powinna czuć się szczęśliwa. Jest lato 1940 roku, kilka tygodni po Dunkierce. Frieda Scranton pierwszy raz oddała się mężczyźnie. Kilka dni temu obchodziła swoje osiemnaste urodziny i to, sobie tylko znaną logiką zadecydowało, że sobie powiedziała, iż dłużej tego odwlekać nie będzie, raz trzeba zacząć. Teraz obciąga na sobie spódniczkę, zapina bluzkę i kładzie się splatając ręce pod głową. Nad sobą ma jasne niebo, białe chmury wędrujące w stronę morza. Dochodzący tu plusk fal systematycznie oblizujących piasek płaskiej plaży miesza się z głośnym jeszcze i ciężkim oddechem mężczyzny, który jej odebrał dziewictwo. Powinna czuć się szczęśliwa a wcale tak nie jest.

Frieda i Martin znają się od dzieciństwa. Ich domy niemal z sobą sąsiadują. Martin zawsze był przy niej. Gdy spotykały ją przykrości ze strony Sheeny, starszej siostry, która wykazywała zapędy dyktatorskie, zawsze ją brał w obronę. A potem, w miarę jak przybywało im lat, też byli nierozłączni, nawet gdy był na studiach w Oxfordzie nie było miesiąca, żeby nie przyjechał do domu, a właściwie do niej. W obu rodzinach zrodziło się oczekiwanie, że gdy nadejdzie właściwa pora, tych dwoje młodych się pobierze.

Idą teraz przez nabrzeżne błonie trzymając się za ręce, trawa jak miękki dywan ugina się pod ich stopami, w powietrzu bzykają owady. Gracze objuczeni torbami ze sprzętem też już schodzą z nieodległego pola golfowego. Martin powiada: – Jaka cisza, jaki spokój, nikt by nie powiedział, że jest wojna, gdzieś tam giną ludzie, płoną domy.

Nagle oboje przystają. Ciszę i spokój wiszące nad miastem rozrywa drapieżny ryk syren alarmu przeciwlotniczego. Z niektórych domów wychodzą ludzie spozierając na niebo, gotowi, gdy niebezpieczeństwo okaże się realne, schronić się w andersonowskich schronach w przydomowych ogródkach. Samolot nadleciał znad morza. Martin mocnym pchnięciem zwalił Friedę na ziemię, sam rzucił się na nią rękami osłaniając jej głowę. Oboje usłyszeli jak seria z karabinu maszynowego przeszorowała tuż obok i gdy podnieśli głowy zobaczyli prostą linię powyrywanych pecynek murawy jakieś dwadzieścia centymetrów od ich ciał. Martin podniósł się na kolana. Frieda usiadła na podwiniętych pod siebie nogach, twarz miała bladą, włosy w wielkim nieładzie. Patrzą na siebie, jeszcze czując jak krew im łomocze w skroniach, potem każde z nich wciąga głęboki haust powietrza i wypuszcza go długim i głośnym wydechem. Oboje mają wzrok skierowany w tym samym kierunku, tam gdzie ich domy, gdzie samolot zrzucił bomby. Teraz, gdy się już wyplątali z sideł tych kilku sekund wielkiego strachu, teraz ogarnia ich lęk o najbliższych, przyspieszają kroku, potem biegną.

Bomby spadły daleko od ich domów. Już wiadomo, że są zabici. Frieda, która była przygotowana na najgorsze, odetchnęła z ulgą. Po raz pierwszy jednak od kiedy wybuchła wojna, Friedę Cranston, która o mały włos nie padła ofiarą nagłego kaprysu niemieckiego lotnika, przeszywa dotąd niedoświadczone poczucie kruchości życia. Frieda Cranston zdaje sobie sprawę, że coś się w jej życiu przełamało, już nigdy nic nie będzie takie samo, odmieniło się na zawsze.

A wojna trwa. Afisze przestrzegają przed nieroztropnym językiem, *careless talk costs life,* władze wzywają do skopywania trawników na grządki do warzyw, śmiecie i inne odpady należy segregować, tubki po paście do zębów należy wkładać do osobnego pojemnika, zbędne garnki i patelnie idą na złom, należy oszczędzać wodę, do zbiornika z wodą przy toalecie należy włożyć butelkę napełnioną wodą, pociągami należy jeździć tylko w przypadku absolutnej konieczności.

Ludzie głośno przy otwartych oknach słuchają niemieckiego radia, gdzie „lord Haw Haw" odprawia swoje codzienne dziwactwa tłumacząc narodowi brytyjskiemu bezcelowość dalszego oporu, szeroko o tym rozprawiają wieczorem w lokalnym pubie przy szklance cieniutkiego już piwa.

Martin za tydzień ma się zgłosić w wyznaczonej mu jednostce. Ten czas starają się wykorzystać do maksimum. Codziennie pod wieczór wychodzą na nadmorskie diuny, gdzie Martin ją bierze z pewną niemanifestowaną dotąd gwałtownością. Frieda go rozumie, wkrótce wyjedzie, nie wiadomo kiedy się znowu zobaczą, chce się z nią nakochać niejako na zapas, będzie żył nagromadzonymi wspomnieniami.

Żółta plaża, zielonkawe morze, daleko na wodzie trzy łodzie rybackie, niebo w białych pierzastych obłokach. Skręcają ku miejscu, gdzie w poprzerastanym suchą trawą dołku będą się za chwilę kochać. Frieda przemierza oczami przybrzeżne błonie, trochę dalej pole golfowe, i w ciszy, jaka wokół panuje, spływa na nią niecierpliwość, uczucie, że ona nie powinna tu być.

Zaręczyli się jesienią 1938. Był uroczysty bankiet w ogrodzie państwa Touslerów, tańczyli na trawie. Z dumą pokazywała piękny pierścionek z dużym turkusem. Po burzy wywołanej anschlusem Austrii i zajęciem przez Hitlera Sudetów, wydawało się, że już nic nie stoi na przeszkodzie, żeby spokojnie patrzeć w przyszłość. Pamięta jak po wysłuchaniu mowy Chamberlaina, machinalnie kręcąc palcami ten pierścionek, przyszło jej na myśl, że może należało jednak z tym zaczekać. Może dała się porwać uczuciu, którego treści w pełni nie rozumiała. Nie to, żeby Martina nie kochała, bo jasne, że go kochała, mówiła sobie przecież, że go kocha, że on ją też kocha. Od lat przecież wiedzieli, że są sobie przeznacze-

ni. Otóż to właśnie myśli, jak to się stało, w jaki sposób ugruntowało się u wszystkich, że tak to właśnie ma być, że będzie jego, że wywodząca się z dzieciństwa przyjaźń ją na to skazuje. – Ależ oczywiście – szepce mu do ucha, gdy później zdyszany, gorączkowo łapiący oddech, żąda od niej zapewnienia, że go kocha, ależ oczywiście mówi mu, że go kocha, a jednocześnie po głowie tłucze się natrętna myśl, choć zaraz chciałaby ją stamtąd wyrzucić, że z tej pułapki musi uciec.

* * *

Pytasz i wyraźnie prosisz, żeby Ci opowiedzieć czym, oprócz zajęć służbowych, wypełniam mój czas. Nie sądzę, żeby za tym pytaniem czaił się niepokój, że mogłabym go spożytkować na coś, co naraziłoby na szwank łączące nas więzy. Gdyby jednak taki niepokój Ciebie naprawdę nurtował, to spieszę Cię zapewnić, że byłby on całkowicie nieuzasadniony. Nie ukrywam, I na pewno to rozumiesz, że taka rozłąka, zarówno jeśli chodzi o czas, jak również dzielącą nas odległość, wystawia nasze wzajemne do siebie przywiązanie na niejedną próbę. Muszę Cię uspokoić, że wszelkie pokusy, a nie przeczę, że takie istnieją, nie mają do mnie dostępu i to nie dlatego, że skutecznie się przed nimi bronię, lecz dlatego, iż pogwałcenie szacunku dla tego co nas łączy, byłoby zbyt dotkliwą ujmą dla mnie samej.

Decyzja nastąpiła szybko. Dwa tygodnie po odjeździe Martina, Frieda wstąpiła jako ochotniczka do pomocniczej służby kobiet w lotnictwie, WAAF. Po krótkim kursie uzyskała stopień podporucznika. Skierowano ją do pracy do jednej z baz lotnictwa w Szkocji. Pisze na maszynie raporty, opracowuje zestawy statystyczne, sporządza zapotrzebowania na części zamienne, czasem, bo osiągnęła ponadprzeciętną szybkość, wzywa ją do siebie kapitan Clinton i dyktuje listy. Kapitan Clinton jest blisko z personelem w dowództwie bazy i jak utrzymują koleżanki, gdyby się odpowiednio wokoło niego zakręciła, mógłby ją pchnąć wyżej. Frieda się domyśla, co się za taką sugestią kryje, ale nie, nie skorzysta, dziękuje, niekiedy podkpiwa dobrodusznie z siebie, że dotrzymanie wierności Martinowi jest jakby dodatkową do służby wojskowej dobrowolną ofiarą, jaką składa na ołtarzu potrzeby wojennej kraju.

* * *

Praca w biurze, w przeciwieństwie do zajęć w operacyjnej kontroli lotów, do której myślała na początku, że ją skierują, ma tę zaletę, że jest mniej więcej regularna. Wieczory są przeważnie wolne. Mieszka w podłużnym baraku podzielonym na małe pokoiki, po dwie osoby w każdym, przeciętym przez środek wąskim korytarzem. Jej aktualną współlokatorką jest Elisabeth Farnstrop. Właśnie wróciła z łazienki i tylko zatrzasnąwszy za sobą drzwi, powiada: – Jeśli się pospieszysz, to zastaniesz ją jeszcze wolną.

* * *

– Ach, kompletny nonsens! – krzyknęła kilka dni po tym jak się już trochę z sobą wygodnie zżyły. – Ja też jestem zaręczona. James jest teraz w Afryce Południowej. Byłoby szczytem idiotyzmu z wszystkiego, co nam daje życie, zrezygnować. James miał tylko jedno zastrzeżenie, nie chce – powiada, żeby po powrocie, albo jak przyjedzie na urlop, zastał mnie z cudzym bękartem przy piersi. No, jak ci się wydaje?

– Bardzo tolerancyjny człowiek.

– Masz rację, takich oświeconych ludzi jak on, jest mało. Ja mojego Jamesa bardzo cenię, W sumie to było tak, że tydzień po tym jak wyjechał, jak już go przestałam opłakiwać, zamówiłam sobie wizytę u ginekologa na Harley Street, żeby mnie zabezpieczył przed przypadkową ciążą. Odtąd mam spokój, prowadzę bogate i urozmaicone życie emocjonalne a moja miłość do Jamesa pozostaje nienaruszona, ja po prostu lubię mężczyzn, dlaczego miałabym sobie tego odmawiać?

Elisabeth siedzi na łóżku i lakieruje sobie paznokcie. Zdradza, że lakier i inne kosmetyki przywozi jej pewien Amerykanin. Wyciąga obie ręce dłońmi od siebie i zaczyna na nie dmuchać: – Czy mogę się o coś ciebie zapytać?

– Pytaj.

– A ty z twoim Martinem już spałaś?

– Spać to nie, ale miłość z nim uprawiałam na wolnym powietrzu z białymi chmurami na niebie, do wtóru chrzęszczącego odgłosu fal rozlewających się na płaskiej plaży. – Jednak mimo woli czuje, więcej, jest pewna, że na obu policzkach nagle wykwitnęły rumieńce głębokiego wstydu.

– Gdybym miała suche paznokcie, to bym cię serdecznie wyściskała. Więc już teraz wiesz, co to za ambrozja.

Teraz, stojąc w gumowym czepku na głowie, pod niezbyt gorącą i niezbyt obfitą wodą spływającą z rozety prysznicu, namydlając się pachnącym i bajecznie się pieniącym mydełkiem pożyczonym od Elisabeth, które dzięki jej szczodremu szafowaniu swymi wdziękami przywędrowało tu z Ameryki i teraz pieści jej, w pewnym sensie wciąż jeszcze dziewicze, ciało, Frieda myśli: ambrozja, z rodzajem cierpkiej drwiny pod własnym adresem, przecież ona tak na dobrą sprawę nigdy smaku tej ambrozji jeszcze nie pokosztowała. Tak pokątnie, niejako bokiem swojego sumienia, Frieda zazdrości swej współlokatorce jej poczucia bezgrzeszności nieprzyćmionej nalotem transgresji i łatwości z jaką się pławi w odmętach swej nieskrępowanej cielesności. To pożyczone od Elisabeth mydełko wyśliznęło się jej z ręki i spadło na śliską podłogę, podnosi je, wkłada do nesessera i ubierając się w płaszcz kąpielowy jest przyjemnie świadoma swego młodego, w pewnym sensie wciąż jeszcze niewinnego ciała.

Elisabeth uzupełnia swoje życiowe credo: – Jesteśmy niedojrzałe, to się tylko tak mówi, że w skutek wojny szybciej i głębiej dojrzewamy. Wcale nieprawda. Wojna przyniosła nam niesłychaną swobodę, obyczaje, któreśmy dotąd szanowały, nakazy rodzicielskie, cały ten rygor, dzięki któremu, tak przynajmniej zawsze nam mówiono, z dzikusek stajemy się stopniowo osobami w miarę ucywilizowanymi, wszystko to nagle zniknęło, rodzice wyszli, dzieci zostały same, co dla nas za frajda! Tam gdzieś toczą się bitwy, ludzie umierają, ale to wszystko nie jest w stanie ugasić gorączki, jaka nas trawi. A jak to się wszystko skończy i przeżyjemy, to będziemy te lata wspominać jako swego rodzaju eldorado i może za nimi nawet tęsknić.

* * *

Elisabeth wybiera się wieczorem na dansing w hotelu Bell. Może Frieda chciałaby też pójść? Zapozna ją ze swoimi przyjaciółmi, wszyscy, oczywiście, to oficerowie. Dobrze by się zabawiła. – Ty lubisz czytać, w ogóle jesteś bardzo kulturalna, to William, który przed wojną był inspicjentem w teatrze, byłby ci dobrym kolegą na wieczór. Na pewno bardzo szybko znaleźlibyście wspólnie was interesujące tematy. A w ogóle to on jest bardzo zabawny, przystojny, a przy tym też bardzo męski.

– To mówisz z własnego doswiadczenia?

– Inaczej bym ci go nie stręczyła.

Frieda podrywa twarz, wbija oczy w twarz współlokatorki, to słowo było jakby się dotknęła gorącego żelaza. Obie kobiety mierzą się wzrokim, wreszcie Elisabeth powiada: – No czego ty tak? Coś się stało? Obudź się, dziewczy-

no! Nie chcesz się z facetem bzykać, to nie, załatwione, nikt cię do niczego nie zmusza.

Tu rozpoczyna się dla Friedy grząski grunt, grożą topieliska. Fakt, że dopuściła do tego, by ta rozmowa wzięła taki własnie obrót, widzi jej się jako pierwszy krok ku uległości wobec kuśliwej pokusy. Frieda siada na skraju łóżka i bije się z myślami. Też wieczorami, choć nie codziennie, wychodzi poza obóz, jedzie do miasta, przeważnie idzie do kina, zapisała się też do biblioteki miejskiej. Nie ma wątpliwości, że Elisabeth dobrze jej życzy występując przed nią w roli życzliwej stręczycielki. Godząc się, po zwalczeniu ostatnich oporów, na ten wspólny wypad, tłumaczy sobie, że to jeszcze jej do niczego nie zobowiązuje, nie musi się stać nic takiego, czego by sama nie chciała.

William, narajony jej przez Elisabeth partner, jest rzeczywiście bardzo przystojny, męski, dobrze tańczy, ma delikatne wyczucie rytmu, tańczyć z nim okazuje się być przyjemnością. Świadomość intymnej bliskości ciała partnera, chwilami mocno do niej przyciśniętego, powoduje, że gdzieś tam w jej wnętrzu pałęta się rodzaj występnego podniecenia, co sprawia, że nawet nie zdając sobie z tego sprawy przyciska się mocniej do niego, aby po chwili gwałtownie się od niego oderwać.

Zabawa trwa trochę ponad godzinę, potem wszyscy wychodzą. Na przysłoniętych od góry światłach Raymond wyprowadza jeepa z podwórza hotelu. Frieda i William siedzą z tyłu na skrzyni umoszczonej dla wygody jakimiś łachami, pod nogami kupa jakiegoś żelastwa, trochę z tym wszystkim niewygodnie, ale Frieda nie zwraca na to uwagi. Czuje, że nie powinna była pić tej drugiej whisky, której płaską butelkę Raymond trzymał pod mundurem a do szklanek nalewał pod blatem stolika.

– Wygodnie ci? Nie za bardzo trzęsie?

– Wszystko jest okay, nie martw się o mnie. – Faktycznie jednak wszystko nie jest okay, ma poczucie jakby wsiadła do niewłaściwego pociągu, nie wie, jak się z niego wydostać, autobusy już o tej porze nie chodzą, a gdzie teraz znalazłaby taksówkę?



Rys. Wojtek Łuka

Jadą małą uliczką, zabudowaną zwartym tarasowym ciągiem piętrowych domów z regularnymi prześwitami dla wytaczania z podwórek kontenerów ze śmieciami. Nad dachami domów, jak jakieś powietrzne wieloryby, kołyszą się, srebrzyście połyskując, przeciwlotnicze balony zaporowe. Ulica kończy się narożnym sklepikiem, emaliowana tablica obok wejścia reklamuje kostki bulionu OXO. Kilka minut później już są za miastem.

Frieda nie jest jakoś pewna, czy jadą właściwą drogą. W jasnym świetle księżyca, który wychynął spoza pierzastej chmury, widać pasące się na łące krowy. Frieda już jest pewna, że to nie jest ta sama droga, którą normalnie jedzie się z miasta do obozu. Po raz pierwszy odezwał się w niej niepokój.

Jeep zwalnia, powoli zatrzymuje się, już wjechali kilkanaście metrów w głąb zagajnika. Elisabeth wyskakuje z wozu: – Podnieś pupę, Frieda, siedzisz mi na kocu. – Czapkę rzuca na przednie siedzenie. – Piętnaście, góra dwadzieścia minut i będziemy z powrotem. Tu gdzieś znajdziecie drugi koc. Wesołej zabawy.

Szelest kroków oddalających się w trawiastym poszyciu zagajnika, chrupot deptanego chrustu i nagły, jak iskra strzelająca z ogniska, śmiech Elisabeth. Po dwóch, trzech minutach złowrogiej dla Friedy ciszy, rozlegają się w miarę głośne odgłosy intensywnej kopulacji. Frieda, świadoma niebezpiecznej bliskości Williama, słucha tych ogłosów z otwartymi ustami, czuje się jakby skamieniała, tylko jedna myśl pulsuje jej w głowie: żeby tylko on jej nie dotknął.

– No i co, Frieda, co będzie z nami?

Frieda jest sparaliżowana ze strachu, nie reaguje nawet jak William rozpina guziki jej marynarki, potem guziki koszuli i odsunąwszy na bok biustonosz, ręką pieści jej pierś. – No, co z tobą jest, Frieda?

Chciała mu powiedzieć, żeby przestał, ona sobie tego nie życzy, ale słowa utknęły jej w gardle. William pieści jej pierś miękko, jakoś delikatnie, i Frieda czuje, że jeżeli tego natychmiast nie przestanie, to coś się stanie. Obu rękami odpycha jego głowę, następuje chwila gwałtownej szamotaniny, William staje się coraz bardziej agresywny, Frieda paznokciami prawej ręki przeciąga po jego policzku aż syknął z bólu, ale zaraz wdarł się obu rękami między jej nogi, na co Frieda z całej siły uderzyła go pięścią w głowe, co spowodowało, że na krotką chwilę musiał się cofnać, z czego skorzystała podnosząc się z siedzenia wyskoczyla z wozu. Oparta o burtę samochodu patrzy jak William wyciera dłonią poraniony policzek: – Podrapałaś mnie, *you bitch!*

– Masz szczęście, że ci nie wydrapałam oczu.

– Ale między nami zabawa jeszcze nie skończona.

– Tylko spróbuj! – Jeszcze nie wie, co zrobi, ale już czuje, że się go nie boi.

– To się jeszcze zobaczy! – William wkłada chusteczkę do kieszeni w spodniach, wyskakuje z samochodu i obchodzi go z przodu. Z daleka nadchodzi odgłos nadlatujących znad zatoki samolotów, William podchodzi ku niej: – *Ja ci teraz pokażę!* – Frieda cofa się o krok i z jakąś przemożną siłą, jaką poczuła w sobie, czółenkiem swego wojskowego, wcale znowu nie tak lekkiego buta, kopie go w krocze. Nigdy potem nie zrozumie skąd wiedziała, że tak właśnie trzeba było postąpić. W huku idących nisko samolotów, nie słyszy jego jęków, tylko widzi jak łapie się za urażone miejsce i przewraca na ziemię. Frieda podrywa z podłogi wozu lewarek i podnosząc go na dźwigającego się z ziemi niedoszłego gwałciciela, powiada mocno, niemal przez zaciśnięte zęby: – Tylko zrób jeszcze jeden krok ku mnie, to dopiero zobaczysz!

* * *

Jest koniec września. Frieda jedzie do domu na dwutygodniowy urlop. Czy Martin też tam będzie? To jest kwestia, bo jak pisał w ostatnim liście, chodzą słuchy, że mają ich wy-

słać gdzieś na Bliski Wschód, więc urlopy mogą być wstrzymane, ale to mogą być zwykłe plotki.

Kochany, tak mi tęskno za tobą, tak mi bez ciebie źle, teraz, gdy jesteśmy tak bardzo oddaleni od siebie, z tym większą siłą czuję, jak mi jesteś bliski, jesteś jedyną ważną sprawą w moim życiu, które tutaj jest tak szare, zwiędłe, tak przeraźliwie pospolite. Budzę się rano i moja myśl od razu kieruje się ku tobie, kładę się spać też z twoim obrazem pod zmęczonymi powiekami, niekiedy płaczę, a nawet kiedy nie płaczę to jest mi tak jakbym płakała.

Takich listów nie pisała do niego przed niefortunnym incydentem w czasie powrotu z dansingu w hotelu Bell. Nie przyszło jej też na myśl, że Martin łatwo mógłby dostrzec różnicę z porównaniem z wcześniejszymi listami i zastanowić się, czy coś tu nie gra. Takie trzeźwe refleksje nie przychodziły jej jednak do głowy, pisała jakby w obłąkańczym, nawet wprost straceńczym natchnieniu, słowa same kładły się na papier, każde kolejne słowo wzmagało jej rozpaloną egaltację, było jak narkotyk, którego musiała zażywać w coraz większych dawkach. W rzeczywistości ani nie płakała, ani też tak bardzo nie tęskniła, a to, co rozniecała w sobie jako miłość, było pokryciem zatruwającego poczucia winy, bo ten incydent nie był przecież tak zupełnie niewinny.

Nasze wieczorne spacery nad morze, szum suchych traw mieszający się z naszymi oddechami, miarowy odgłos przyboju fal na plaży, tak wyraźnie to wszystko pamiętam...

I jeśli jej naprawdę było do płaczu, to nad samą sobą, że nie wiedzieć jak dała się zapędzić w ten zaułek bez wyjścia. Teoretycznie mogła narzeczeństwo zerwać, ale wie, że nigdy by się na to nie zdobyła, zawiodłaby oczekiwania wielu jej przyjaznych ludzi, nie potrafiłaby sobie tego nawet wyobrazić, więc co? Jest już nieodwołalnie skazana?

* * *

Spotykają się przy kiosku gazetowym na dworcu kolejowym w Edynburgu, w tej olbrzymiej hali ze szklanym łukowato sklepionym dachem. Łoskot przeciągających na odległych torach pociągów gubi się wchłonięty i rozrzedzony w zgiełku niemal wyłącznie wojskowego tłumu. Sine powietrze pulsuje nasycone zapachem mundurów, dymu papierosowego, oliwy, innych spalin. W tym morzu głów, poprzetykanym tu i ówdzie białymi hełmami żandarmerii wojskowej, oni się spotykają przy kiosku gazetowym i sczepiają się zaskoczonym wzrokiem.

Przy kiosku gazetowym na dworcu kolejowym w Edynburgu, w chwilę po wręczeniu sprzedawczyni sześciu pensów, gdy wsuwa do kieszeni munduru pingwinowskie wydanie detektywistycznej powieści Agaty Christie „Morderstwo na plebanii", oni się zderzają i sczepiają zaskoczonym wzrokiem. Mężczyzna stoi kilka kroków od niej ze znieruchomioną twarzą, szeroko rozwartymi i wpatrzonymi w nią oczami, ma usta trochę rozchylone i jakby zatrzymane w niedokończonym ruchu. I coś się w niej stało.

Frieda wie, że coś się stało, ale nie wie co. Przymuszona jakby jego spojrzeniem nie może oderwać od niego oczu, coś się w niej przebudziło, coś jakby jakaś igła nagle ją dźgnęło rozprowadzając po całym ciele, fala po fali, regularne drżenie, ogarnął ja także rodzaj dziwnego zdumienia, jeszcze nie rozumie natury tego, co się w niej stało, co się w niej dzieje, tyle tylko wie, że to jest coś, czego dotąd nigdy nie doświadczyła. Przy kiosku panuje duży ruch. Frieda pochyla się, żeby złapać za uchwyt worka i przejść w bardziej przestronne miejsce, gdy ktoś ją popycha, Frieda niemal traci równowagę. Gdy ją odzyskuje i na nowo skierowuje wzrok w tamtą stronę, nieznajomego w oficerskim niebieskim trenczu już nie ma. Jakoś, i będzie się temu później dziwiła, nie odczuła tego jako pewnego rodzaju ubytku, jakby wiedziała, że coś, co się rozpoczęło zwarciem ich oczu, ma dalszy ciąg, którego



Rys. Wojtek Łuka

jeszcze nie zna. To też wcale jej nie zdumiało, gdy pół godziny później, przepchnąwszy się wreszcie do drzwi wagonu, on, mężczyzna w lotniczym oficerskim mundurze z naszywką POLAND na rękawie, chwycił ją za wyciągniętą do góry rękę i wciągnął do środka. Szła za nim korytarzem do przedziału w jakimś chwiejnym zamroczeniu, w rozbuchanym, ale dziwnie radosnym niepokoju. Ten stan zauroczenia trwał nawet gdy, po kilku godzinach jazdy, wysiedli w Yorku, potem także gdy taksówką jechali przez utopione w wojennych ciemnościach miasto do pensjonatu.

W pensjonacie, prowadzonym przez starsze francuskie małżeństwo, Frieda spędziła z Karolem dwa dni i dwie noce, w łóżku, tylko na śniadanie i obiad schodzili na dół. W środę przyszedł telegram wzywający go do powrotu do bazy. Nie chciał, żeby go odprowadziła na dworzec. Obiecali, że będą do siebie pisali. Tylko ona napisała do niego na kryptonimowy wojskowy adres. Tydzień później otrzymała list podpisany przez jednego z jego eskadrowych kolegów z wiadomością, że Karol Piontek zginął nad Kanałem w drodze powrotnej z masowych nalotów bombowych nad Niemcami. Napisała do niego z prośbą, żeby jej podał jak najwięcej osobistych szczegółów dotyczących jego życia, jakby już miała przeczucie, że nosi w sobie zarodek jego dziecka i że taka wiedza może jej kiedyś się przydać.

■

PIOTR GUZY (1922, Zawadzkie), syn powstańca śląskiego, uczestnik kampanii wrześniowej, w szeregach dywizji pancernej gen. Maczka walczył we Francji, Belgii i Holandii. Po wojnie powrócił do kraju. Od r. 1957 na emigracji – współpracował z Radiem Wolna Europa. Jego najgłośniejszą książką jest „Krótki żywot bohatera pozytywnego" (Paryż 1966, Biblioteka Kultury). Prezentowana proza jest fragmentem powieści, nad którą sędziwy pisarz pracuje w swoim domu, w Hiszpanii, gdzie mieszka od r. 1979.

KAMIL GAMZA

Żyję samotnie w Warszawie – i w tym zdaniu zawarte są wszystkie źródła moich inspiracji. Jestem dwudziestotrzyletnim kinomanem, pracownikiem fizycznym i pasjonatem literackich opowieści, który żyje w burzliwym związku ze swoim miastem, przerywanym kilka razy do roku podróżą. Marzę o częstszej pracy przy biurku. A biurko może stać i tu i tam, i w tamtym kraju, i na tym kolanie. Pozdrawiam, Kamil Gamza

Nic nie łączy

I kiedy już uznasz, że
nic nie łączy mnie z Twoim ciałem
to wtedy zapragnę zmienić Twoje zdanie,
przecież znamy się już przeszło wiele czasu

Znajdziemy sobie noc i miejsce,
w którym ułożę Cię do snu spokojnie
Usiądę bez słowa za Twoimi plecami
w tej ciemności świecący jedynie krwią rozgrzaną

i z zakrytym przez noc wstydem
dotknę Cię nareszcie,
tak jakbyś była tego wszystkiego warta,
a ja byłbym tego wszystkiego pewien

I jeszcze przerwiesz ciszę
i jeszcze napomkniesz o tym
żebym zamknął okno,
że niby nie wiesz kto Cię dotyka,

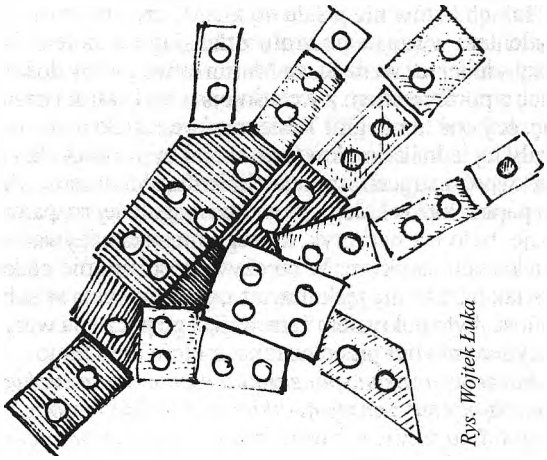
że to niby wiatr tak smaga
- powiesz to wszystko ze świadomym roztargnieniem
owinięta w swój kołdrzany kokon,
a ja zmarnowany nie będę mógł już spać spokojnie

Twoja nieobecność

To Twoja nieobecność zrywa farbę ze ściany
i zaprósza kurzem te sypialne okna
moja mała mamusiu o kolankach poduszkach
– moje najmilsze posłanko do ssania paluszka

To Twoja nieobecność rozrywa korale
rozbryzguje nieznośnie dźwięczące kuleczki
moja mała mamusiu z naszykowanymi dłońmi
by lać mi do ust mleczko z buteleczki

Wieczorowe kąpiele, przebierane bale,
nasze śmieszne twarze w kropli skapującej z garnuszka
te zastarzałe strupki po milimetrze zrywane
ta Twoja nieobecność, z którą idę do łóżka



Rys. Wojtek Łuka

Ma

Mama ma maliny w ustach ma.
Ja jej wyjadam je
tak jak pisklak z dzioba je

mama ma ma małą dłoń,
a unosi nią cały dom

mama ma ma martwy ząb,
a rozsupła nim sznurówkę mą

mama ma ma srebrny włos,
ale wypadł jej ostatni włos

Lecz nie zobaczę jej.
Nic nie zrobię.
Nie ma jej.

Mama ma ma malowidła dwa.
Na jednym ona i ja
na drugim ja to cały świat

mama ma ma marny los,
bo jej mama zna ją jedną noc

ma mama ma marzenie że
że się żyje w życiu jak we śnie

ma mama ma marzenie że
że jej synek będzie synem jej

Lecz nie wybaczę jej.
Nic nie zrobię.
Jestem sam.

Szafa

Ta nie zamknięta szafa to Twoja sprawka
Ja wiem mamo, że to Ty,
że się tu w nocy zakradłaś

Nie zostawiłaś mi zapalonego światła
wyjęłaś ubrania
ułożyłaś na krześle
buziaka mi w czoło,
a szafa otwarta

Ale w szafie jak we śnie
jak kolorowa kartka
stamtąd pocztówkę Ci ślę
taka senna wycinanka

na której most zwodzony odlany z czekolady
się rozpływa gdy przepływa
pod nim statek co ma pokłady
pazłotek i ciastek
nabijanych przez korsarzy
w lukrowe armaty.

tak sunie jak butelka
wśród wód gazowanej oranżady

I słońce się mieni w żaglach ze sreberek,
lepkich od promieni, bo to słońce to cukierek
I słońce się mieni w żaglach ze sreberek,
lepkich od promieni, bo to słońce to cukierek

I słońce się patrzy przez okno prosto w oczy
i wstawać mam raz dwa trzy, bo dzień przyszedł po nocy
I słońce się patrzy przez okno prosto w oczy
i wstawać mam raz dwa trzy, bo dzień przyszedł po nocy.

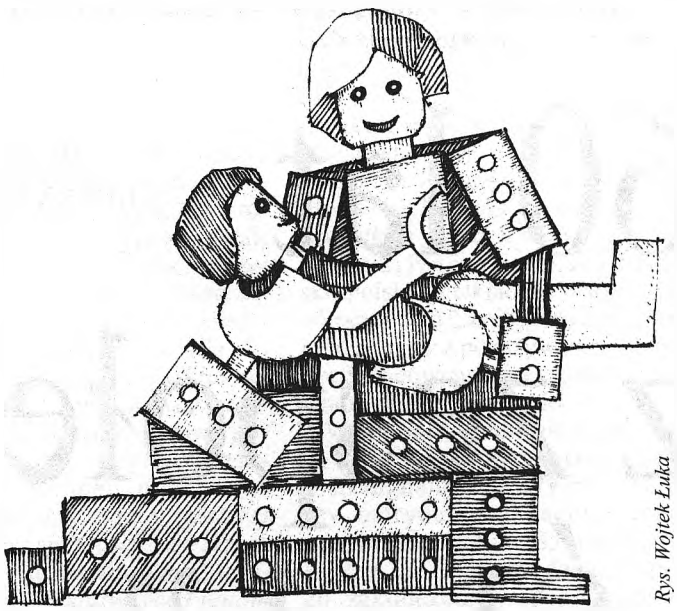
Nicując

Wleciała mucha,
spostrzegłem ją ja,
nie tylko ja,
ale ja pierwszy.
I tak ten pokój od swej bieli jasny
stał się o punkt muszy czarniejszy.

Martwy punkt
niosący wzrok.
Ssie kłąb zdarzeń zza pryzmatu stożek.

To jest mój niepokój.
To jest mój czas rozlany po brzegi
sekundy na mojej własnej ziemi.

To jest moja sekunda
w moje pięć minut
wyrosłych na gruncie z wielu warstw kalek
z moją podobizną bitych pieczęci na pamięci
z papieru
cienkiej
ulotnej
nietrwałej
rozpościerającej skrzydła
drzwi do pokoju,
że przeciąg się zdarzył
martwy punkt ożył.
I się nie liczy.



Rys. Wojtek Łuka

KAMIL GAMZA

Fot. z materiałów zespołu „Śląsk”



II połowa lat 50. Na zdjęciu od lewej: Barbara Brandt-Weber, Maria Pieniążek, Jan Pawlak, Stanisław Hadyna, Elwira Kamińska, Androna Linartas, Alicja Pawlak, Roma Kopieć.

Tylko jedno może nas usprawiedliwić, radość, jaką damy innym. Tylko jedno kryterium naszej wartości i sztuki będzie ważne – suma wzruszeń i uśmiechu **– to credo artystyczne Stanisław Hadyna, syn nauczyciela muzyki i znanego zbieracza pieśni ludowych, pianista, kompozytor, folklorysta, a także literat, przekazał stworzonemu przez siebie sześćdziesiąt lat temu Zespołowi Pieśni i Tańca „Śląsk”. Temu artystycznemu wyznaniu wiary zespół „Śląsk” – dziś potężna i nowoczesna firma artystyczna – jest wierny do dziś.**

60 lat z zespołem „Śląsk”

DANUTA LUBINA-CIPIŃSKA

W kraju nie ma drugiego takiego zespołu, który z równą „Śląskowi” żywiołowością i widowiskowością jest w stanie zaprezentować folklor polskich górali. Każdy, kto słyszy pierwsze słowa takich pieśni jak „Helokanie” czy „Ondraszek”, każdy kto choć raz w wykonaniu artystów „Śląska” zobaczył góralskie tańce, na dźwięk tych nut od razu przed oczyma ma zielone beskidzkie hale i ostre tatrzańskie turnie, a na ich tle widzi feerię barw charakteryzującą zespół z Koszęcina. Taka jest siła czaru muzyki, tańca i śpiewu „Śląska”, który od sześciu dekad wzrusza serca publiczności.

Muzyka w wykonaniu zespołu „Śląsk” rozbrzmiewa często na polskich estradach. Rocznie daje on ponad 120 koncertów. Wystarczy prześledzić wszystkie najważniejsze wydarzenia na przestrzeni lat – Zespół Pieśni i Tańca „Śląsk” imienia Stanisława Hadyny z Koszęcina zawsze jest na nie zapraszany. Występuje tam, gdzie tworzy się polska historia. „Śląsk” jest również jednym z najważniejszych ambasadorów polskiej kultury. Wielokrotnie koncertował w blisko 50 krajach na pięciu kontynentach, zdobywając wiele prestiżowych nagród i wyróżnień.

„Śląsk” jest drugim w historii zespołem z Polski, który wystąpił na Broad-

wayu (w 2004 roku) – i pierwszym, który uczynił to z powodzeniem. „Śląsk" zrobił furorę na EXPO 2010 w Szanghaju, po raz kolejny potwierdzając swą niekwestionowaną rolę najlepszego ambasadora Polski. Ogromną popularnością wśród tłumów zwiedzających Polski Pawilon w Szanghaju cieszyły się też prowadzone przez artystów baletu zespołu „Śląsk", lekcje nauki tańców ludowych i narodowych.

Co warte podkreślenia, zespół „Śląsk" promuje kulturę polską nie tylko w środowiskach polonijnych – choć tam jest szczególnie żywo przyjmowany, ale także w środowiskach, dla których kultura polska jest zupełnie obca, czego najlepiej dowodzi ostatnie, zorganizowane w roku jubileuszu sześćdziesięciolecia, tournée zespołu do Kanady i Stanów Zjednoczonych.

Tak jak filmy Kazimierza Kutza ukształtowały obraz Śląska, tak pieśni Stanisława Hadyny, takie jak: „Poszła Karolinka", „Starzyk", „Szła dzieweczka", „Od Siewierza", wykonywane przez zespół „Śląsk", nieodłącznie kojarzą się każdemu Polakowi z tym regionem kraju, a dla cudzoziemców są ikoną Polski. Dlatego zespół „Śląsk" to jedna z najlepiej rozpoznawanych polskich marek artystycznych.

Meandry historii

Historia Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk" nieodłącznie związana jest z najnowszymi dziejami Polski. Rodził się w czasach stalinizmu, gdy panowała ideologia wykorzystująca ludowe źródła kultury. Stanisław Hadyna, by urzeczywistnić swój sen o zespole „Śląsk", prawdopodobnie w pełni świadomie wprzągł w to administracyjną i polityczną maszynerię systemu. Orędownika powołania do życia „Śląska", a później mocarnego patrona jego artystycznych działań, znalazł w osobie generała Jerzego Ziętka. Pierwsze występy zespołu odbyły się w Stalinogrodzie – jak wówczas nazywały się Katowice – i wyjąwszy pokaz dla przyjaciół oraz rodziny w Hali Parkowej, pozostałe dwa w Teatrze Śląskim zaserwowane zostały dla gości z Chin – Zespołu Pieśni i Tańca Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej oraz dla uczestników Stalinogrodzkiej Konferencji Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej.

Faktem jest również to, że gdy „Śląsk" mogła wreszcie zobaczyć normalna śląska publiczność – oniemiała z zachwytu. Pierwsze słowa Urszulki Porwoł z Rybnika, która zapowiadała piękną śląską gwarą poszczególne występy programu, wywoływały na sali prawdziwą burzę oklasków. Ślązacy prześladowani przez stalinowski apa-



Fot. z materiałów zespołu „Śląsk"

O fenomenie artystycznym decyduje także sprawność techniczna Zespołu, wewnętrzna prawda w ruchu, geście, tańcu, spojrzeniu. A przede wszystkim świeżość, żywiołowość, radość życia.

rat, zsyłani do radzieckich kopalń, podejrzewani o niemieckie konszachty, ronili łzy, gdy słyszeli „Karlika" czy „Pyk, pyk z fajeczki". To był naprawdę ich Zespół.

Potem nastały czasy, gdy „Śląsk" miał być socjalistyczną kontrpropozycją na zachodnią popkulturę. I dlatego repertuar zespołu stale był pod lupą cenzury. Nie można było zaśpiewać piosenki, w której *kury, gęsi i zielone kaczki nie chciały znosić jajek.* A jak wspominał Zdzisław Pyzik, autor słów wielu piosenek „Śląska", trzeba było też zmienić słowa „Karlika". Nie do przełknięcia była kwestia: *Karliku, Karliku, dobra kasza na mleku, ale lepsza bywała, kiedy w maśle pływała.* Uznano ją za pochwałę sanacji. I dlatego „Śląsk" zaczął śpiewać: *Karliku, Karliku, co tam niesiesz w koszyku.* Dziś historyjki te wywołują uśmiech. Wtedy, gdy raczkował „Śląsk", do śmiechu nie było.

Co rusz „Śląsk" wplątywał się, a właściwie był wplątywany, w młyny historii. Władysław Grabski, pisarz, na ankietę ogłoszoną w 1957 roku w tygodniku „7 dni", postulował: *Występy „Śląska", w szczególności w Niemieckiej Republice Federalnej, miałyby nieporównanie ważniejsze znaczenie propagandowe dla naszych Ziem Zachodnich. Właśnie pieśni ludowe, stroje, mowa, sugestywne poziomem artystycznym, poparte akcją handlową, sprzedażą lalek, płyt z pieśniami, nut, toć to oddziaływanie propagandy masowej w głąb i wszerz społeczeństwa sięgającej, z którą trudno równać się traktatom naukowym, statystyce i notom dyplomatów.*

Na koncercie w Londynie w 1961 roku generał Anders publicznie powiedział: *Oto skrawek wolnej Polski ze zniewolonej Ojczyzny.* A jedna z zachodnioniemieckich gazet po tychże występach donosiła: *Już do tego doszło! w stolicy Anglii, Londynie, w czasie oficjalnych przedstawień rozbrzmiewają pieśni ludowe ze Śląska. Czyżby to była tak długo oczekiwana niemiecka inicjatywa? Niestety. Chór, dzięki któremu rozbrzmiewają angielskie i śląskie pieśni ludowe, jest czerwono-polskim zespołem „Śląsk". Wygląda na to, że tournée zagraniczne czerwono-polskiego zespołu „uszczęśliwi" jeszcze inne zaprzyjaźnione i związane z nami kraje. Zamiary te są jasne. Poprzez piosenkę zamierzają znowu udowodnić Zachodowi, że Niemcy wschodnie, w tym przypadku Śląsk, już zawsze był i po wieczne czasy jest „prastarym polskim krajem".*

Prawdą jest to, że kilka lat później, po występie „Śląska" w Domu Muzyki i Tańca w Zabrzu przed prezydentem Francji Charlesem de Gaullem, polityk ów poruszony stukolorową tęczą na scenie wypowiedział słynne słowa: *Niech żyje Zabrze, najbardziej śląskie miasto ze wszystkich śląskich miast, czyli – najbardziej polskie miasto ze wszystkich polskich miast!*

Prawdą jest również to, że kiedy Wojsko Polskie z Układem Warszawskim wkraczało do Czechosłowacji, „Śląsk" miał kłopoty z pokazywaniem kompozycji tańców, w której Juraszek wbija Ondraszkowi nóż w plecy.

W żartobliwej anegdocie przeszedł do historii jeden z występów „Śląska" w Szanghaju, na który przyszli polscy marynarze z zacumowanego u wybrzeży statku „Szymanowski". Występ tak im się spodobał, że po jego zakończeniu zaczęli krzyczeć: *Mało, mało!.* A po chwili cała widownia skandowała: *Mao! Mao!*, a po koncercie miejscowa prasa rozpisywała się, jak to wielka sztuka wspiera politykę.

Wcale nie do żartów było za to, gdy w 1982 roku w paryskim Theatre des Champs Elysees emigracyjni działacze „Solidarności" przerwali występ zespołu ochrzczonego „reżimowym", a artystów i publiczność na kilkadziesiąt minut wypłoszyli ze sceny i widowni gazem o nieprzyjemnej woni. Nie do śmiechu było, gdy Polacy na emigracji w Wielkiej Brytanii, Kanadzie, Danii, Francji nawoływali do bojkotu występów „Śląska".

Odsunięcie od „Śląska" Stanisława Hadyny też było polityczną zagrywką. Co było oficjalnym powodem odwołania – nie wiadomo. Profesor – jak o Hadynie zawsze mówili Zespolacy – jednak zawsze powtarzał, że „Śląsk" był zbyt piękny i atrakcyjny, aby pozostawał poza partyjną kontrolą i musiał dopiero upaść komunizm w Związku Radzieckim, by mógł on powrócić do swego zespołu.



Fot. z materiałów zespołu „Śląsk"

Tańcząca para w stroju krakowskim.

Fenomen artystyczny

Wszystko to prawda. Prawdą jest jednak to, że bez względu na tzw. rzeczywistość społeczno-polityczną, „Śląsk" trwał. Był i pozostał fenomenem artystycznym. Składają się nań: doskonałe brzmienie chóru, bogata instrumentacja, świetny balet, dyscyplina i porządek na scenie, młodzieńczość wyrazu, sprawność techniczna, a także wewnętrzna prawda w ruchu, geście, tańcu, spojrzeniu. A przede wszystkim świeżość, żywiołowość, radość życia, wdzięk, elegancja – cechy wypracowane przez pierwszych członków Zespołu i przekazywane kolejnym pokoleniom tancerzy i śpiewaków. Pracują z nimi twórcy-wizjonerzy: muzycy, kompozytorzy, choreografowie oraz ludzie zza kulis: służby techniczne i administracyjne.

Zespół „Śląsk" prezentuje zarówno w Polsce, jak i za granicą wielokulturowy folklor śląski – a to przecież jeden z najbogatszych i najzasobniejszych materiałów pieśniowych w Polsce. Warstwa słowna pieśni ludowej to bogactwo wątków, realiów z życia codziennego, ludzkich dążeń, emocji i pragnień, a nade wszystko uniwersalnych wartości moralnych. To także skarbnica gwary śląskiej, która jest źródłem cennych informacji o kształtowaniu się naszego języka narodowego.

Nie przypadkiem w roku jubileuszu sześćdziesięciolecia działalności Zespół Pieśni i Tańca „Śląsk" wystawił „Wesele na Górnym Śląsku" Stanisława Ligonia. To stylizowany na potrzeby sceny autentyczny obrzęd górnośląski wiejskiego wesela z początków XX wieku. Stanisław Ligoń odtwarza w nim wszystkie elementy tej barwnej i jedynej w swym rodzaju ceremonii. W „Weselu na Górnym Śląsku" jest wszystko to, co tworzy dobry obraz Śląska – pochwała rodzimych tradycji, wiary w Boga i etosu pracy. To bogactwo rodzimej gwary i śląskiego humoru. Premiera tego obrzędowego widowiska uświetniła uroczystą Galę z okazji 85-lecia Radia Katowice. Prezes Radia Katowice, Henryk Grzonka, powiedział wówczas, że jest przekonany, iż gdyby Zespół „Śląsk" istniał już w 1929 roku, to właśnie dla niego Ligoń napisałby ten utwór.

W programach zespołu „Śląsk" można odnaleźć inspiracje ludowych pieśni i tańców, które stały się pożywką dla największych polskich nowożytnych kompozytorów. Pieśń powstańcza z okresu trzech powstań śląskich z lat 1919-1921 o przyłączenie Śląska do Polski, zatytułowana „Kajze mi się podzioł mój synocek miły", którą w swym repertuarze ma Zespół Pieśni i Tańca „Śląsk" i którą polecił kompozytorowi związany ze „Śląskiem" badacz folkloru prof. Adolf Dygacz, stała się motywem III Symfonii Pieśni Żałosnych Henryka Mikołaja Góreckiego. Mieszkający na Śląsku, a urodzony we Lwowie w roku 1930 Wojciech Kilar w latach 60. z inspiracji Stanisława Hadyny specjalnie dla „Śląska" napisał lub opracował około 30 utworów z gatunku muzyki ludowej. Kilar mówi, że bez nich nie powstałby słynny poemat symfoniczny „Krzesany" ani nie mniej znana „Orawa" czy „Siwa mgła". W 2000 roku zespół „Śląsk" połączył te wczesne utwory Kilara w jeden program z najbardziej znanymi utworami kompozytora – „Krzesanym", „Orawą" i Polonezem z filmu „Pan Tadeusz" Andrzeja Wajdy. Tak powstało widowisko „Kilar" dedykowane kompozytorowi z okazji przypadających wówczas jego 70. urodzin. Program okazał się rewelacją sezonu i do dziś pozostaje w repertuarze „Śląska".

Śląskie pieśni i tańce stały się podstawą repertuaru Zespołu „Śląsk". Jednak każdy, kto choć raz zetknął się z tym zespołem, wie, że jego repertuar jest znacznie szerszy. W ofercie „Śląska" jest kilkanaście różnorodnych programów prezentujących nie tylko bogaty folklor ziemi, od której zespół przyjął nazwę, ale i folklor większości regionów Polski. Są także tańce narodowe, pieśni i utwory wokalne, chóralne i oratoryjne kompozytorów polskich i światowych. Bardzo ważną pozycją w repertuarze „Śląska" jest też muzyka sakralna – od kolęd po pieśni maryjne, od oratoriów po msze żałobne. Pieśni religijne i klasyka sakralna zagościły w repertuarze „Śląska" wraz z upadkiem ideologii komunistycznej i powrotem do zespołu Stanisława Hadyny. Dziś połowa programów zespołu „Śląsk" jest oparta na muzyce religijnej. I wiele z koncertów, jakie daje „Śląsk", odbywa się w przestrzeni sakralnej.

Oddana po remoncie w 2002 roku zamkowa kaplica w Koszęcinie jest od dekady kameralną salą koncertową „Śląska", miejscem wydarzeń artystycznych takich jak polska prapremiera „Wielkiej Mszy Żałobnej" Francoisa Josepha Gossceca – do tej pory nie znanego w Polsce utworu, na którym wzorował się Mozart pisząc swe „Requiem". Prawykonanie tego utworu artyści „Śląska" przygotowali w hołdzie Janowi Pawłowi II. Odkąd razem ze Stanisławem Hadyną, w sierpniu 1991 roku, podczas Światowego Spotkania Młodzieży na Jasnej Górze, poprosili papieża z Polski o przyjęcie ojcowskiego patronatu honorowego nad Zespołem, czuli szczególną więź z Ojcem Świętym. Wielokrotnie dedykowali Mu swe koncerty, a największego zaszczytu dostąpili podczas Narodowej Pielgrzymki Wielkiego Jubileuszu Roku 2000

do Rzymu. W obecności Ojca Świętego „Śląsk" zaśpiewał i zatańczył – zwykle wykonywanego na finał każdego publicznego występu, a niezwykle żywiołowego – krakowiaka. Jan Paweł II z uśmiechem, wystukując dłonią rytm tańca na poręczy fotela, podziwiał koszęcińskich artystów. Wydarzeniem był też koncert „Śląska" w Auli Pawła VI w Watykanie, w której „Śląsk" dał koncert upamiętniający zarówno 750-lecie śmierci św. Jacka, jak również 29. rocznicę wyboru Jana Pawła II na tron Piotrowy. Po raz pierwszy aula ta była świadkiem polskiego koncertu.

W 2008 roku przygotowany został program „Santo Subito!", a rok później zespół „Śląsk" dał cykl stu koncertów poświęconych osobie Jana Pawła II. To swoista modlitwa, którą „Śląsk" wznosi po dziś dzień, w czasie przygotowań do wyniesienia papieża – Polaka do chwały ołtarzy.

Instytucja kultury samorządu wojewódzkiego

Cezurą w historii zespołu stała się data 1 stycznia 1999 roku. Tego roku zespół „Śląsk" z państwowego stał się zespołem samorządowym. W tym samym dniu zmarł Stanisław Hadyna, założyciel i długoletni dyrektor zespołu „Śląsk".

Zakończyła się wówczas pewna epoka. „Śląsk", autorskie dzieło życia Profesora Hadyny, musiał poradzić sobie bez udziału tego znakomitego twórcy. Stygmat twórczości Stanisława Hadyny pozostał jednak żywy – dzięki tym, którzy po nim zaczęli nieść odpowiedzialność za dalszy byt i rozwój artystyczny zespołu „Śląsk". Godzi się tu ich wymienić. To: Adam Pastuch, następca Stanisława Hadyny, dyrektor zespołu „Śląsk" do 2010 roku, Jerzy Wójcik – dyrektor artystyczny w latach 1999-2008, którego pracę przerwała przedwczesna śmierć, Izabela Migocz – solistka zespołu, która była kierownikiem artystycznym w latach 2008-2011, a także Zbigniew Cierniak, artysta, który w zespole pracował od dwudziestu lat, pełniąc także różne inne funkcje, w tym będąc zastępcą dyrektora i który dyrekcję Zespołu, wraz ze swym zastępcą Tomaszem Janikowskim, objął w 2011 roku. Po tej zmianie kierownictwo artystyczne Zespołu przypadło Kazimierzowi Ratajczakowi, tancerzowi i choreografowi, którego trzon kariery stanowi ćwierćwiecze spędzone w „Śląsku", a kierownictwo baletu – Jarosławowi Świątkowi, który także karierę tancerza i choreografa rozpoczynał w zespole „Śląsk". W gronie najbliższych współpracowników dyrektora Zbigniewa Cierniaka pozostali: Krzysztof Anczyk – kierownik chóru od 2009 roku i Danuta Smyła – kierownik orkiestry od 2006 roku. To osoby, które nadały artystyczny kształt ostatniej dekadzie zespołu „Śląsk".

Choć rezerwuar polskiego, w tym śląskiego, folkloru zdaje się być niewyczerpany, zespół „Śląsk" stara się sięgać także po inspirowaną folklorem twórczość wybitnych polskich kompozytorów. A idea mariażu tradycji i współczesności, którą symbolizują koncerty „Śląska" z Goranem Bregoviciem czy Józefem Skrzekiem – przyświeca pracy artystycznej zespołu „Śląsk" i pozwala zdobywać coraz to nowe kręgi publiczności. Co trzeba szczególnie podkreślić: „Śląsk" działa od ponad dekady na wielu płaszczyznach, obok działalności koncertowej, prowadzi działalność promocyjną regionu i Polski i szerzy edukację regionalną.

Nie tylko koncerty

Przy Zespole Pieśni i Tańca „Śląsk" w Koszęcinie działa bowiem Śląskie Centrum Edukacji Regionalnej. Ideę Centrum sformułował Adam Pastuch, jego kierownikiem jest Michał Mazur. Działalność Centrum jest bardzo wyraźnym odwołaniem do nowoczesnych, praktykowanych w Europie, form aktywności instytucji kulturalnych. Podczas warsztatów i seminariów kształcą się nauczyciele specjalizujący się w tematyce regionalnej, instruktorzy amatorskich zespołów artystycznych, animatorzy kultury. W ramach Letniej Szkoły Artystycznej na warsztaty wokalne, choreograficzne i taneczne przyjeżdżają młodzi artyści z Polski i Europy, a nawet zza Oceanu. Dzięki działalności Centrum poszerzyło się grono odwiedzających koszęciński pałac, rozrósł się krąg odbiorców warsztatów wokalnych i tanecznych skierowanych do dzieci i młodzieży, polonijnych i zagranicznych grup artystycznych.

Podczas ostatniej dekady rozkwitła działalność wydawnicza. Sukces dwunastopłytowej „Złotej Kolekcji Śląska" mierzy się Złotymi i Platynowymi Płytami właśnie tej serii. W ramach „Officina Silesia" dokumentowana jest historia Zespołu, wydawane są książki o śląskim dziedzictwie kulturowym, a niektóre z wydawnictw – jak „Sztuka i rękodzieło ludowe w Europie" prof. Barbary Bazielich – są ważnymi dokonaniami dokumentującymi dorobek naukowy Ślązaków. Warto też wspomnieć o najnowszej inicjatywie – produkcji filmów dokumentalnych o działalności zespołu „Śląsk" i jego twórców. Kinotekę otwiera film poświęcony Stanisławowi Hadynie, a w przygotowaniu jest kolejny – o Elwirze Kamińskiej.

W ostatniej dekadzie rozszerzono ofertę artystyczną zespołu „Śląsk". Pod jego auspicjami odbywa się corocznie od 2009 roku „Śląski Ogród Sztuk", w ramach którego do Koszęcina zapraszani są artyści z różnych stron, parający się różnymi dziedzinami sztuki. W ten sposób w północnej części województwa śląskiego, w Koszęcinie, w siedemnastowiecznym zespole pałacowo-parkowym – siedzibie zespołu „Śląsk" powstała swoista enklawa artystyczna, promująca w przepięknym otoczeniu przyrodniczym i kulturowym „to, co na Śląsku najlepsze, to, co dla Śląska najlepsze".

„Śląski Ogród Sztuk", „Święto Śląska", „Piknik Country w Leśnej Dolinie", „Cietrzewisko", przeglądy, konkursy, warsztaty, wycieczki edukacyjne, zajęcia fakultatywne w szkołach, dni otwarte w Zespole – wszystko to służy zachęcie do czynnego udziału w kulturze. Od kilku lat kwitnie w siedzibie Zespołu turystyka kulturalna. W 2014 roku, kiedy zakończy się jej, wsparta unijnymi pieniędzmi, rewitalizacja – powstanie tu jedno z najważniejszych turystycznych miejsc województwa śląskiego.



Fot. Agnieszka Sikora

Zespół Śląsk pod dyrekcją Krzysztofa Dziewięckiego (w zmniejszonym składzie) uświetnił swoją obecnością jubileuszową 40. edycję Śląskiej Nagrody im. Juliusza Ligonia. (18. IV. 2013).

Latem 2010 roku zostałem poproszony o spisanie kilku myśli na temat Chorzowa w ramach cyklu realizowanego w miesięczniku „Śląsk" pod szyldem „Zwiad kulturalny". Powstały w lipcu artykuł ukazał się w numerze wrześniowym. I chociaż wcześniej publikowałem na łamach „Śląska", jednak to tamtemu tekstowi (zatytułowanemu *Archipelag hut*) zawdzięczam trwającą do dziś przyjaźń z miesięcznikiem.

JACEK KUREK

Miasto jak powieść

Można zatem rzec, że jej siłą sprawczą była refleksja o rodzinnym mieście, które – jak wtedy to ująłem – dobrze się czyta, mieście, które jest jak powieść o niejednoznacznym zakończeniu, po przeczytaniu której niczego nie można być pewnym do końca… Mieście, które – zwłaszcza, dodałbym dziś, w bolesnym ubożeniu – przedziwnie intryguje i staje się zadziwiająco żyzną glebą dla literackich narracji, miejscem akcji albo znaczącym dla niej tłem w powieściach coraz bardziej zauważalnych, a związanych z Chorzowem, autorów.

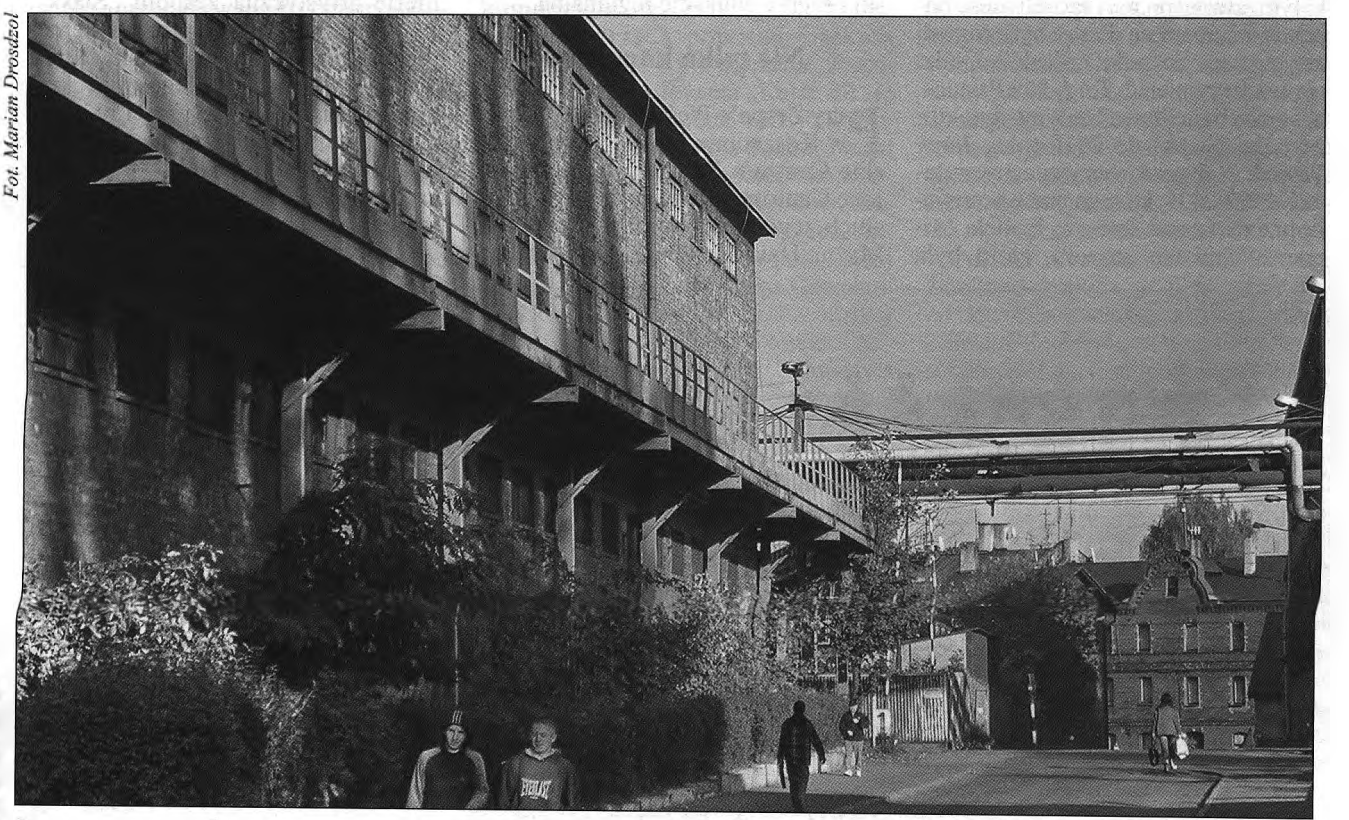
Książki te nie traktują bezpośrednio o Chorzowie, nawet jeżeli ich fabuła w nim właśnie się rozgrywa. Chorzów to raczej dekoracje, scenografia… albo też źródło, garść wspomnień, punkt wyjścia, nieraz zaledwie pretekst do wysłania zaszyfrowanej wiadomości, zarzewie pomysłu, początek skojarzeń…, a zarazem przestrzeń bardzo konkretna i bezpretensjonalnie łatwa do precyzyjnej lokalizacji.

Jak się kochają, czyli *Miłość w Königshütte*

Dramaturg Ingmar Villqist (Jarosław Świerszcz) – którego czasem spotkać można oczekującego na pociąg na pierwszym peronie stacji Chorzów Batory – wydaną w 2004 roku powieść *Archipelag Wysp Pingwinich* silnie naznaczył swoim rodzinnym miastem – Chorzowem. Nazwisko fikcyjnego Graffa Heiduka przywołuje na myśl dzielnicę, w której Villqist mieszkał i w której chodził do szkół – podstawowej i średniej. Dziś także nietrudno spotkać go nie tylko na wspomnianym dworcu, ale na przykład w drodze do znajdującej się nieopodal pracowni malarskiej szkolnego kolegi Piotra Naliwajki. W powieści mowa też o Klimsovskim Lesie, a Klimzowiec – to chorzowska dzielnica zaczynająca się paręset metrów od domu autora i graniczącą z Hajdukami. Rodzinne miejsce kilka lat później zaistniało w głośno komentowanym dramacie Villqista *Miłość w Königshütte*. Sztuka – w pierwotnym zamyśle scenariusz filmowy – miała premierę 31 marca 2012 roku w Bielsku Białej, a niespełna dwa miesiące później zobaczyli ją widzowie Chorzowskiego Centrum Kultury. Rozgrywająca się w 1945 roku akcja *Miłości…* dotyka zagadnienia tak powszechnie dziś poruszanej śląskiej krzywdy. Jest w tej opowieści i obóz na świętochłowickiej Zgodzie, i typowo śląskie małżeństwo Bainerów, jest rosyjski oficer, który mniej interesuje się śląskimi sprawami, a bardziej powrotem do domu, i tak charakterystyczna dla śląskiej rzeczywistości postać nauczycielki skierowanej tu właśnie do pracy, dramatycznie próbującej się odnaleźć w nowym miejscu. Jest w końcu Hans Schneider – lekarz zacny, choć słaby… Po premierze sztuki przeważały głosy, że chociaż wyjątkowej okazji, jaką stwarza ważny śląski temat powojennej rzeczywistości, autor dramatu nie zdołał w pełni wyzyskać, to jednak jako pionier postawił zauważalny pierwszy krok. Villqist na dobre przylgnął do wątków śląskich, z konsekwencją eksponując je jednak jako problemy uniwersalne, czego dowodem jest kręcony w niedalekich od Chorzowa lipińskich plenerach film *Ewa* (2011) wyreżyserowany wraz z Adamem Sikorą, z poruszającymi kreacjami aktorskimi Barbary Lubos-Święs i Andrzeja Mastalerza. W filmie rolę Leona zagrał przez lata związany z Chorzowskim Teatrem Rozrywki Robert Talarczyk, który to jako dyrektor Teatru Polskiego w Bielsku Białej sprawił, że *Miłość w Königshütte* w reżyserii Villqista znalazła się w przestrzeni publicznej. I dla operatora Sikory, i dla dramaturga Villqista był to reżyserski debiut filmowy. Wspólnie też napisali scenariusz.

Heidi z ogonkiem albo wojna o ujście Rawenty

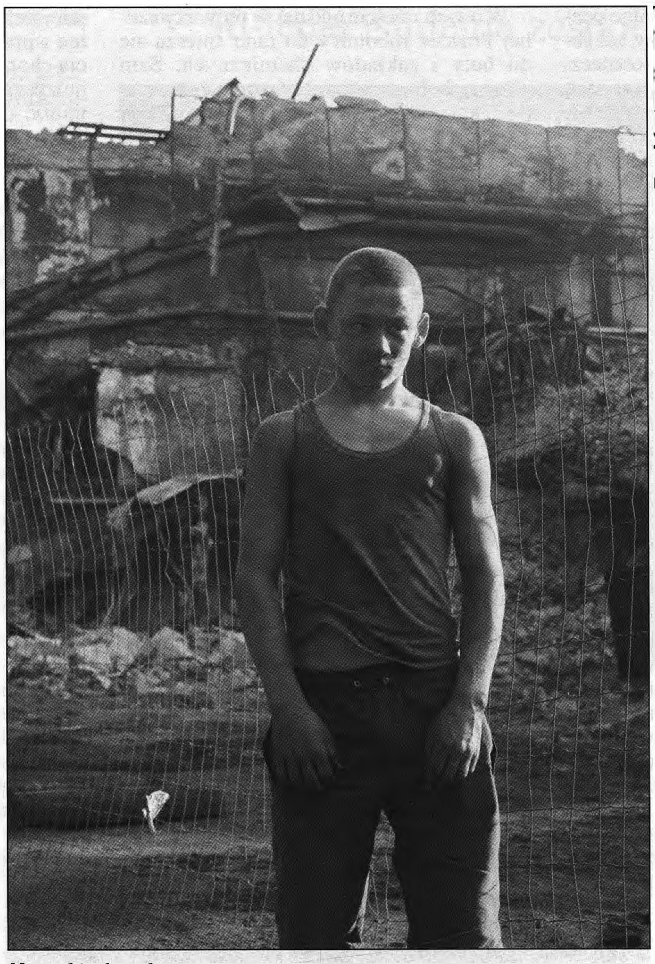
Awracając do Królewskiej Huty, to w rzeczy samej dopiero w 1934 roku stała się Chorzowem, włączając w swój obszar wieś



Fot. Marian Drosdzol

Droga na Biadacz, ul. Żelazna.

o tej właśnie nazwie i inną jeszcze gminę – Nowe Hajduki, a w roku 1939 także Wielkie Hajduki. W czasie II wojny światowej Niemcy przywrócili nazwę „Königshütte". Od Hajduk oddzielała ją Rawa, zwana niegdyś Roździanką – w XXI wieku wstydliwie ukryty pod ziemią ściek, pozbawiony już od lat własnego źródła. Rawa płynęła nieopodal domu Villqista. Jej rozliczne zapachy musiał zapamiętać, bo raz poznawszy, zachowuje się je w pamięci na zawsze. Bohaterowie *Archipelagu Wysp Pingwinich* walczą na kartach powieści z Republiką Sydonii o ujście… Rawenty, a ich nazwiska to echo do dziś żywego na chorzowskich podwórkach języka... von Deckell, Schua, Zokke, Binder, Antryj, Befey, Scholka, Tyj-Tyjova, Kreppel czy Aschenbeher – powieściowy minister oświaty. No i słodka Heidi – przewrotna dziewczynka z ogonkiem, uczennica Królewskiego Gimnazjum Żeńskiego. Powtarzając jej imię, trudno oprzeć się hajduckim skojarzeniom… Villqist pisze tu zainspirowany nie swoją, ale inną zupełnie mocno sfeminizowaną w jego czasach chorzowską szkołą średnią. Obecne IV Liceum Marii Skłodowskiej-Curie było bowiem od zarania aż po rok 1962/1963 żeńskim i nawet dziś w drugiej dekadzie XXI wieku dziewczęta zdecydowanie przeważają w gronie około pięciu setek uczniów.



Fot. Marian Drozdzol

Na archipelagu hut...

W Chorzów z kart powieści wpisany jest, zadziwiająco jak na Villqista daleki od mroku jego dramatów, humor. Jeden z bohaterów powieści – dyrektor Królewskiego Muzeum Narodowego prof. Hauser – każdego dnia idąc do pracy, odbywał zdaje się podobną drogę, którą Jarosław Świerszcz przemierzał z domu do liceum: „Osiedle jeszcze uśpione, lecz już za chwilę zacznie się z wolna budzić, by wreszcie otrząsnąć się ze snu wraz ze śpiewnym buczeniem hutniczych syren, które pojękując i melodyjnie zawodząc, otulają tą prostą, ale prawdziwie człowieczą partyturą malownicze domki, zadbane ogródki, chlewiki i strzeliste konstrukcje drewnianych gołębników. Otwierać się zaczną, tu i ówdzie, okiennice, a opuchnięte snem twarze spoglądać będą tęsknie w stronę martenowskich pieców, gdzie między kominami unosić się będzie czerwona, gorejąca tarcza wschodzącego słońca…".

Domy w środku huty

Ta droga istnieje do dziś, choć nie słychać już na niej „pojękiwań i melodyjnych zawodzeń". Jest tam teraz rondo spowalniające strumień bez końca przejeżdżających samochodów z A4 na Drogową Trasę Średnicową i odwrotnie. Póki co to jedyny szlak prowadzący z autostrady do Chorzowa. Nadal jednak idzie się tu nieomal jak w tunelu między obiektami dawnej Huty Bismarck (Batory) i pod grubymi rurami łączącymi nad drogą dwie jej części: tzw. Zakład Górny i Zakład Dolny. Ten właśnie szlak Villqist przemierza, chcąc odwiedzić pracownię Piotra Naliwajki. A nieopodal, po drugiej stronie ulicy, zaczyna się Biadacz – jedyna w swoim rodzaju enklawa wewnątrz Hajduk i zarazem (kiedyś) wewnątrz huty, z przylegającymi do niej ogródkami… Tam także i mnie przypadło przemieszkać kilka dziecięcych lat. Biadacz pojawił się niedawno na kartach wydanej w 2013 roku powieści ks. Jarosława Naliwajki *Zero*, na której okładce widnieje obraz jego brata Piotra – *Pierwszy i ostatni*. Autor to krakowski jezuita, który wraz z bratem – malarzem wychował się niedaleko stąd, z drugiej strony huty na tzw. Starym Osiedlu, wybudowanym w latach 50. XX wieku. Idąc wzdłuż granicy huty, w kilkanaście minut docierało się ze Starego Osiedla na Biadacz… A potem dalej jeszcze w okolice katowickiej Kolonii Mościckiego, gdzie starszy z braci Naliwajków z kolegami szukał mocnych wrażeń w nieistniejącym dziś tunelu kolejowym. Chłopcy ukryci we wnękach tunelu doznawali pędu przejeżdżających tamtędy z wielką prędkością pociągów, a wypadając potem na tory, za każdym razem ryzykowali życie (nie mogli wszak w tej ciemności i hałasie wiedzieć czy z przeciwnej strony nie nadjechał właśnie inny pociąg). Okolica ta, bliskość huty i kolei, zdeterminowała wyobraźnię pisarzy, którym dane było spędzić w tej przestrzeni dzieciństwo. Również u Villqista w scenariuszu *Miłości*... finałowe sceny miały rozegrać się między wiaduktem i tunelem. W swojej debiutanckiej powieści Jarosław Naliwajko pisze: „Poranne spacery mają swój urok. Dopiero teraz odkrywam swoje miasto. Pewnie to nie przypadek. Bo wcześniej nie wolno mi było nigdzie się oddalać. Zacząłem od najbardziej fatalnej części. Domy mieszkalne w środku huty. Pomiędzy młotami hutniczymi, suwnicami, rusztowaniami. Mury, płoty, bocznice i wagony przetaczające się. Najbardziej tragiczne w tym kontekście nazwy: Leśna, Zawiszy Czarnego, Wieniawski. Czytałem o zmianach genetycznych u dzieci na skutek obecności tlenowni, azotowni, drgań młota pneumatycznego. Regularna produkcja hutnicza za oknem. Dziś już w uśpieniu. Tym wyraźniej ujawnia się groza tych miejsc". Autor *Zera* nie zmienił nawet nazw ulic. Zupełnie jak Wojciech Kuczok w słynnym, wydanym po raz pierwszy w roku 2003, *Gnoju*, pisząc np. o dobrze znanej w Chorzowie ulicy Cmentarnej (najbliższej okolicy jego miejsca zamieszkania).

Kuczok to maturzysta tej samej szkoły, do której wcześniej chodzili Świerszcz i obaj Naliwajkowie, ale także np. poeci Piotr Zaczkowski i Krzysztof Karwat albo „synek z Biadacza" – krakowski filozof Jan Kiełbasa. Ten ostatni w latach 1977/1978 został laureatem III miejsca olimpiady z literatury i języka polskiego, a trzydzieści lat później stał się głównym tłumaczem *Bytu i nicości*, ostatniej z poważnych i wcześniej na język polski nieprzetłumaczonych książek Sartre'a. Wszyscy chodzili do III LO u schyłku lat 70. albo w pierwszej połowie lat 80. W 1980 roku robiła tu maturę Alina Pawłowska-Zampino. Drugi, włoski człon nazwiska zawdzięcza małżonkowi. Dziś rzymianka, tłumaczka m.in. *Konklawe* Roberta Pazziego (2007), *Mistrza bladych świętych* Marca Santagata (2008), *Samotności liczb pierwszych* Paola Giordana (2010) czy *Gomorry* Roberta Saviana, także utalentowana flecistka, członkini włoskiej Associazione Scuola Orchestra... Kilka lat później i ja kończyłem to liceum, by jako nauczyciel historii na krótko jeszcze do niego powrócić i spotkać Wojtka Kuczoka (syna chorzowskiego malarza, grafika, rzeźbiarza i twórcy witraży Andrzeja). Wojciech przyszedł tu już jako czwartoklasista, by po paru miesiącach zdać w 1993 roku maturę (tę z historii napisał z bezapelacyjnie w oczy rzucającym się pisarskim talentem). W *Gnoju* pokazał swoje miasto (lat osiemdziesiątych XX w.) dosłownie, raczej mrocznie, i jak Jarosławowie – Naliwajko i Świerszcz – osiągnął efekt uniwersalny. Pisarz-jezuita w swojej pierwszej powieści *Zero* (gotowych do druku jest już kilka kolejnych) napisał: „Źle się czuję w kościołach z łukami. Taki miałem w dzieciństwie. Gotycki, potężny, największy w okolicy. W środku była rozpięta siatka metalowa nad całym sufitem. W prezbiterium, w ogromnym przedsoborowym ołtarzu, na całej ścianie Matka Boska, piękna kobieta. I ogromne postacie na drodze krzyżowej, rzeźby na postumentach. W przedsionku u góry była postać Boga Ojca z otwartymi rękami. Z kolegą raz rzucaliśmy Mu czapkami i moja została na zawsze na drewnianej półce nad drzwiami. Do dzisiaj nikt nie wie"... Bardzo precyzyjny to opis starohajduckiego kościoła Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny.

Naliwajko napisał powieść o alienacji, o trudnych relacjach, czy wręcz ich braku, o księdzu jako Innym, jako kimś desperacko szukającym miejsca pośród ludzi, miejsca, którego być może nawet nie sposób w istocie znaleźć. To pierwsza taka powieść w polskiej literaturze, refleksja gorzka, choć nie

pozwalająca na jednoznaczne moralne oceny. Nie ma w niej ani gładkich słów, ani łatwych recept. To zapis uczciwy. *Zero* ostatecznie jest powieścią o samotności. Tym samym opowieścią uniwersalną. Naliwajko raz po raz w pamięci odwiedza ulice, skwery, opuszczone połacie, miasto, w którym spędzał dzieciństwo i w którym wraca do rodzinnego domu. Starszy z braci czyni to obrazem, młodszy – słowem. „Chodziłem po okolicy rodzinnego miasta – czytamy na jednej ze stron *Zera*. – Widzę pierwszy raz taką jednostajność mojego miasta. Cztery kopalnie, dwie huty, zakłady chemiczne, azotowe, konstrukcji metalowych, elektrownia, rzeźnia, kluby sportowe, stadiony, hipermarkety, szkoły, kościoły, zbór protestancki, nawet miejsce po synagodze, niedawno brat mi powiedział. Wszystko jakby zatrzymało się w moim wnętrzu". Pisał: „[…] źle się czuję w kościołach z łukami". Ów hajducki, neogotycki z lat 1898–1901, ten który pamiętał z dzieciństwa, który mógł pomieścić i 5 tysięcy ludzi, jego parafialny (zanim wybudowano na osiedlu w latach 80. XX w. nowy pw. Jezusa Chrystusa Dobrego Pasterza) musiał przywodzić na myśl finezję średniowiecznych świątyń, w których wyciągnięcie zaledwie paru cegieł groziło zburzeniem całej misternej konstrukcji… Może dlatego tak ważna jest dla niego czuła tkanka pamięci, dbałość o każdy jej element, o każdy szczegół, drobiazg. Wyjęcie zaledwie paru z nich grozi… Strach pomyśleć…

Na tej samej ulicy, na której znajduje się szkoła wymienionych pisarzy mieszka Józef Gördziałek, chorzowski nestor słowa pisanego o literaturze. Urodzony w 1928 roku. Właśnie wydał tom esejów *Kantory graniczne* (2012), wcześniej były książki: *Mała galeria pogranicza* (1997), *Dialogi śląskie* (2002), *Portrety spotkań* (2009). Wszystkie traktowały o pograniczu i wszystkie ujmowały je inaczej. Tym natomiast, co książki te łączy jest… literatura. Najnowszą książkę Gördziałka rozpoczyna tekst *Literatura na Śląsku*, będący próbą podjęcia, jak sam autor pisze „charakterystyki dorobku katowickiego środowiska twórczego"... Ale to już przecież osobna opowieść, o innym „mieście jak powieść".

Harrar

O innej książce rodem z Chorzowa pisał Roman Herrmann. W jednym z numerów ukazującego się w Chorzowie miesięcznika „Hajduczanin" czytamy: „W dorobku pisarskim Radosława Kobierskiego na szczególną uwagę zasługują dwie opublikowane w pięcioletnich odstępach czasu powieści. Akcja wydanej w 2005 roku powieści *Harrar* – jak napisał jeden z niewątpliwie stołecznych krytyków – rozgrywa się: »gdzieś w prowincjonalnej Polsce«. Uważna lektura opisywanych zmagań nauczycielsko-sędziowskiej rodziny z problemami zdrowotno-bytowymi oraz rozterek i lęków głównego bohatera pozwala bardzo precyzyjnie zlokalizować miejsce akcji.

W owym mieście »gdzieś w prowincjonalnej Polsce« robotnicy co rano spieszą się do huty i zakładów chemicznych. Sam główny bohater i jego siostra uczęszczają do Szkoły Muzycznej, która mieści się obok gmachu ZUS. Policealne Studium Zawodowe mieszczące się w budynku Centrum Kształcenia Ustawicznego to miejsce, w którym główny bohater kontynuuje swą edukację po pomyślnie zdanej maturze. W drodze na zajęcia w budynku CKU musi on przechodzić obok zakładu pogrzebowego znajdującego się *vis-à-vis* wielkiego sklepu spożywczego i mijać narkomanów kręcących się przy pobliskim Szpitalu Zakaźnym. Natomiast jego ojciec po przebytym wylewie ze szpitalnego okna spogląda często na kościół pod wezwaniem Świętego Antoniego". Warto nadmienić, że w tzw. Antoniku (intrygującym architektonicznie kościele z lat 30. XX w.) miały wedle pierwotnych założeń scenariusza filmowego odbyć się ostatnie sceny *Miłość w Königshütte*. I raz jeszcze Hermann o książce Kobierskiego: „Gdyby jednak jeszcze ktoś miał wątpliwości, gdzież to »w prowincjonalnej Polsce« bohater *Harraru* zmaga się z retrospekcjami trudnego dzieciństwa i gdzie broni się przed dorosłością i jej konsekwencjami, to wzmianka o restauracji McDonald's zbudowanej w miejscu, gdzie stała kiedyś synagoga, oraz o ekshumacji cmentarza żydowskiego powinny te wątpliwości ostatecznie rozwiać".

Ileż tu znów wierności w opisie… Ten szpital, wokół którego tylu narkomanów, to miejsce, gdzie umarł Ryszard Riedel, tyszanin wprawdzie, ale w pierwszych latach życia chorzowianin z ulicy Truchana. A ową muzyczną szkołę kończyli m.in. muzycy tej miary, co Tomasz Kałwak, Adam Szewczyk, Adam Buczek, Piotr Buczek, a także już wspomniana Alina Pawłowska-Zampino…

Z Norwegii albo z Francji…

Wydaną w 2007 roku książkę *Huta* Grzegorza Kopaczewskiego pewna siemianowiczanka przywiozła mi kiedyś z Tuluzy. Nie nabyła jej ani we Francji, ani w rodzinnych Siemianowicach, ani w Chorzowie, gdzie kończyła tyle razy wspominane już tu III LO, ale w Skandynawii. Tam w jednym z miast pracowała na rybnym targu. Przypomina się norweski Fjaerland, w którym mieszka 350 osób, a jest w nim 12 antykwariatów… Książki stoją w witrynach okien albo przy drodze na półkach. Niepilnowane, ale nie bezpańskie… Sięgając po tom lub tomik, widzi się wodę i góry tuż za nią…

O *Hucie* Kopaczewskiego pisałem wówczas w 2010 roku, że usytuowana być może „gdzieś między *Gnojem* a *Archipelagiem Wysp Pingwinich*, pomiędzy werystycznie przedstawioną nostalgią a naznaczoną sarkazmem fantazją o inklinacjach surrealistycznych". Jej akcja toczy się w najbliższej okolicy Chorzowa, w wymyślonej przez autora dzielnicy na obszarze niegdyś należącym do Huty Baildon.



Piotr Naliwajko, „Młodsi", szkic olejny, 2001

Horyzont

Zaledwie kilka lat i tyle powieści, coraz więcej… Z wypiekami na twarzy mogą czytać je chorzowianie, ale też przecież wszyscy inni, gdziekolwiek książki te trafią, bo – choć opis to rzeczywisty miejsca – przecież nim nie znieważa, nie ogranicza, nie czyni opowieści niezrozumiałą, zaściankową. To w gruncie rzeczy historie o niezliczonych podobnych miejscach i tysiącach ich mieszkańców niekoniecznie tylko gdzieś „w prowincjonalnej Polsce". Owszem, mroczne, inne zatem aniżeli obraz *Das Eisenwalzwerk* (1875) Adolpha von Menzla, który przyjechał do Königshütte w latach 70. XIX wieku i namalował jej wzniosłą alegorię. Także pełna światła jest ta, która powstała 150 lat później w pracowni Piotra Naliwajki, a dziś zdobi *foyer* Chorzowskiego Centrum Kultury. To obraz *Blisko, najbliżej*... Malarze zawsze widzieli światło tego miasta…

Chorzów – miasto stali i węgla, ognia i ciemności… Takim było do niedawna… Jednak paradoksalnie żyzna okazuje się gleba poindustrialnego nieszczęścia i biedy. Ów pejzaż wraków, ruder, ruin… Ujawnia się w prozie i poezji, w fotografii, malarstwie i dramacie, także w muzyce… Miasto widziane oczami artystów, miasto, które ich zrodziło, miasto, które powtórzę, co już dawniej pisałem, niebezpiecznie się starzeje i które pozbawione klasycznej urody, z trudem przedziera się ku przyszłości, wciąż jednak nie tracąc jej z horyzontu. ■



Fot. zbiory zespołu

Poziom 600, rok 2007, od lewej: Piotr Cybułka, Piotr Rut, Randy Jackson i Daniel Cybułka

O takich, co grali rocka spod ziemi

ELŻBIETA PIERSIAKOWA

Równo 30 lat temu zdobyli nagrodę na festiwalu piosenki w Opolu i zakosztowali sławy. Nieraz miała ona gorzki smak, bo byli tylko grającymi górnikami. Czy dlatego nie wszystko wyszło? Być może. *Poziom 600* wciąż jednak istnieje i jest obecny na muzycznym rynku. I to niezależnie od tego, że z pierwszego składu zespołu, który zasłynął w Polsce graniem rocka spod ziemi, został jedynie lider Piotr Cybułka.

Gra na gitarze basowej, jak niegdyś, i śpiewa. – Andrzej Gawliczek, wokalista, jest emerytowanym górnikiem, mieszka w Wodzisławiu, grywa po weselach i należy do nielicznych śpiewających perkusistów. Mirosław Kubica teraz nazywa się Kubitza, mieszka w Niemczech i wciąż gra. Krzysztof Stencel najpierw wyjechał do Austrii, potem do RPA, gdzie pracował w kopalni złota, aż osiadł w Chinach. Jest tam zawodowym gitarzystą i producentem telewizyjnym. Janusz Adamczyk, ten z walizką w Opolu, od 25 lat mieszka w Essen, gdzie pracuje jako logistyk w dużym koncernie. Gra w dosyć znanej w środowiskach polonijnych akustycznej grupie Nomedia – wylicza Piotr Cybułka. Nie wiadomo jedynie, co dzieje się z Olkiem Tichonowem, perkusistą, z którym zresztą kapela rozstała się dość szybko.

Młodość i doświadczenie

On potem grywał po weselach, zajmował się handlem, jeździł tirami. – Ostatni raz widziano go z 15 lat temu na pogrzebie mamy, a później słuch po nim zaginął. Jego brat też nic nie wie, a rozmawiałem z nim na początku tego roku – przypomina sobie Piotr Cybułka, który siłą rzeczy stał się łącznikiem między dawnym i obecnym *Poziomem 600*, choć, jak zaznacza, niechętnie wraca do przeszłości, ponieważ w kontekście dnia dzisiejszego ona jest jakby mniej ważna. Ale to dzięki niej *Poziom 600* jest legendą śląskiego podziemnego rock'n'rolla i obchodzi 30-lecie istnienia. Muzycy mówią, że ich zespół łączy w sobie młodzieńczy wdzięk (gra w niej kolejne pokolenie – przyp. autorki), rzetelny warsztat i doświadczenie.

Repertuar stanowią głównie własne piosenki – od ballad poczynając, na bluesie, reggae i rocku kończąc – śpiewane nawet po śląsku, a kierowane do słuchaczy w każdym wieku. Teksty opisują otaczającą nas rzeczywistość. A jubileusz sprawia, że wraca się pamięcią do czasów, kiedy *Poziom 600* zaczynał być marką, która przez nazwę i muzykę była kojarzona i ze Śląskiem, i z górnictwem. Szerszej publiczności stała się znana jeszcze przed Opolem i wciąż zyskiwała nowych fanów. Dowodzą tego choćby prasowe recenzje z tamtych lat. – Nie jest łatwo występować przed ośmiotysięczną widownią. Najlepsze wrażenie pozostawia *Poziom 600*. Spodek na chwilę zapomina o TSA i podchwytuje piosenkę „Czarny rynek" – pisała np. „Walka Młodych" w marcu 1983 roku. A potem był XX Krajowy Festiwal Piosenki Polskiej w Opolu i nagroda, która otworzyła kapeli drzwi do wielkiej popularności.

Jeden rozdział

Jeden rozdział tej historii zaczął się w roku 1972, kiedy z Ruśca Łódzkiego (między Wieluniem a Bełchatowem) po maturze do Cieszyna przyjechali dwaj koledzy: Piotr Cybułka i Marian Półka. Uczyli się na nauczycieli muzyki w filii Uniwersytetu Śląskiego, mieszkali w akademiku, grali na trąbkach jako Spółka – Półka i Cybułka (także hejnały na zawodach sportowych), śpiewali w chórze Harmonia i zespole pieśni dawnej, otwierali Cieszynalia, czyli cieszyńskie juwenalia. Po studiach Marian wrócił w rodzinne strony, a Piotr trafił do Domu Kultury kopalni Dębieńsko w Czerwionce-Leszczynach. Był instruktorem. Tam poznał przyszłą żonę Lucynę (tańczyła w Zespole Pieśni i Tańca „Dębieńsko"), a mieszkał w hotelu robotniczym.

Po jakimś czasie awansował na szefa Domu Kultury kopalni Marcel w Radlinie, a w 1980 roku przyszło do niego czterech młodych górników: Krzysztof Stencel, Mirosław Kubica, Andrzej Gawliczek i Aleksander Tichonow. – Chcieli grać rock'n'rolla, ale brakowało im basisty. Pomysłodawcami zespołu byli Olek i Andrzej. Zapytałem tylko, czy potrafią improwizować, a oni przynieśli mi starą gitarę, no i ruszyliśmy. Kapela przyjęła nazwę *Hej*, co wiele znaczy w rockowym środowisku. Graliśmy w całej okolicy: w różnych klubach, na dyskotekach czy rockotekach. Próby odbywały się w moim gabinecie, gdzie stała wielka szafa, z której później wyciągnąłem stroje i ubrałem nas na festiwal w Opolu – opowiada Piotr Cybułka.

Przerwany przegląd

W 1981 r. pojechali na I Przegląd Śląskich Zespołów Rockowych „Silesian Rock" do Bytomia. – Impreza zaczy-

nała się 12 grudnia, więc zastał nas tam stan wojenny. Dowiedzieliśmy się w niedzielę rano, jak spakowaliśmy sprzęt w hotelu i ruszyliśmy do klubu, gdzie już stało wojsko z karabinami. Ulice były jak wymarłe, telefony nie działały, tymczasem w Radlinie, gdzie już wtedy mieszkałem, została żona z malutką córeczką Agatką. Martwiliśmy się, jak dojechać do domu. Już nie pamiętam, czym, ale wróciliśmy. No i zamknęli dom kultury na Marcelu, a mnie przenieśli do kopalni, gdzie przez trzy miesiące wypisywałem górnikom bilety miesięczne na przewozy pracownicze – wspomina frontman *Poziomu 600*.



Fot. Magdalena Kowolik

Koncert „50 lat R'N'R w Jastrzębiu", rok 2013. Piotr i Daniel Cybułka

Niebawem wyrzucili go z pracy, bo Wojskowa Rada Ocalenia Narodowego zażyczyła sobie pokoju w górniczym przybytku kultury, a on rzekł: wynocha. Ostatecznie wylądował w DK kopalni Borynia w Jastrzębiu, ale z cząstką pierwszego zakładu pracy, co zaowocowało zmianą nazwy kapeli na *Poziom 600*. – Wzięło się to stąd, że w Dębieńsku znałem górników, co pracowali na poziomie 600. Opowiadali, że jest tam tak gorąco i wilgotno, że wytrzyma się jedynie w batkach i gumiakach. Mnie skojarzyło się to z naszą muzyką, zwłaszcza że chłopcy byli górnikami, choć strasznie się tego wstydzili. Stąd też nasze logo jest czarno-żółte, bo to dwa najbardziej kontrastujące ze sobą kolory, stosowane w barwach znaków ostrzegawczych – konkluduje Piotr Cybułka.

Trzy przeboje

W owym czasie napisał i skomponował trzy piosenki: „Czarny rynek", „Kochajcie lokomotywy" i „Mowa słowa". Wystartowali z nimi w kilku przeglądach i trafili do Opola, gdzie zdobyli trzecią nagrodę za pierwszą z nich. – Zaskoczyliśmy wszystkich swoim wyglądem. Ja wystąpiłem w mundurze z okresu Księstwa Warszawskiego, a Andrzej Gawliczek w kontuszu. Później dowiedziałem, że Maria Koterbska, która zasiadała w jury, stwierdziła, iż jest to zjawisko i trzeba je nagrodzić – wspomina Piotr Cybułka. Stroje nawiązywały do treści piosenki, bo opowiada ona o katowickim bazarze, który istniał obok dworca PKS. Urzędowali tam handlarze i cinkciarze. Kto chciał kupić sobie jakąś płytę albo ciuch, żeby lepiej wyglądać, w sobotę rano wsiadał do pociągu albo autobusu i jechał właśnie tam.

Teren był ogrodzony, co chwilę rozlegało się wycie milicyjnych syren, bo przecież nie mogło obejść się bez nalotów. – Taki był ten czarny rynek. Teraz śmieję się, że przepowiedzieliśmy gospodarkę rynkową – wspomina lider *Poziomu 600*. Gwoli prawdy należy dodać, że piosenka wywołała sporo kontrowersji. Niektóre gazety publikowały nawet listy czytelników zirytowanych po transmisji z Opola. – Jak sięgam pamięcią, w Opolu nie było piosenki o Katowicach. No i się pojawiła, o zlikwidowanym ostatnio szaberplacu. Dziwię się owym górnikom, że jeśli już śpiewają i grają (co chwalebne), to sięgają po czarne strony naszego życia. Przecież Katowice zasługują na jakąś ładną piosenkę, a bazary z nielegalnym handlem są w całym kraju – napisała pewna pani do „Dziennika Zachodniego".

Dobre recenzje

Jednak prasa była przychylna *Poziomowi 600*. „Panorama" np. napisała, że zespół zachwycił publiczność niekonwencjonalnymi strojami i melodyjną muzyką. – To nie imitacja i szpan. To autentyczna osobowość i prawdziwy czad – oceniło z kolei „Echo Krakowa". No i zaczęły się większe koncerty, festiwale, warsztaty, nagrania, występy w telewizji i radiu, współpraca z Katarzyną Gaertner i innymi sławnymi kompozytorami. – Ale tak wyglądały tylko soboty i niedziele, kiedy byliśmy artystami, bo już w poniedziałek rano musieliśmy iść na szychtę. Ja to jeszcze pół biedy, ale chłopcy zjeżdżali na dół. W dodatku do domu kultury przyszedł nowy dyrektor i zaczęły się korowody z instrumentami, ponieważ trzeba się było nimi dzielić – wspomina Piotr Cybułka.

Wymyślił wtedy koncerty promujące pracę w kopalniach, które tak naprawdę były koncertami werbunkowymi. I muzycy z *Poziomu 600* zaczęli występować w domach kultury w całej Polsce, po poligonach i innych dziwnych miejscach, ale dzięki temu górnictwo kupiło im nowy sprzęt i instrumenty, przydzieliło autobus, dało po dwa dni wolne w tygodniu – na próby, ale nie zwolniło z obowiązku zjeżdżania na dół. I choć skład się zmieniał (kapela rozpadła się m.in. po dwumiesięcznym tournée po Wybrzeżu w 1985 roku, z którego zebrała doskonałe recenzje), *Poziom 600* trwał. I był w na tyle dobrej kondycji, że przygotował materiał na pierwszą płytę, którą miały wydać Polskie Nagrania. Miała jej towarzyszyć promocja w TVP 2, spotkania w empiku, były wydrukowane plakaty, nalepki z logo, itd.

Poziom 600 to mnóstwo przebojów i koncertów (do 1989 roku jedynie w Polsce i tzw. krajach demokracji ludowej, potem także w Europie Zachodniej). Jak wyliczył Piotr Cybułka, w ciągu tych 30 lat przez zespół przewinęło się 27 muzyków. Niektórzy (jak np. Piotr Rut, obecnie w zespole *Blend*, a to półfinalista polsatowskiego programu „Must the be Music") zagrali z nim na koncercie jubileuszowym. Z kapelą związane były także dwie córki lidera: starsza Agata śpiewała w chórkach i grała na flecie, a młodsza Marysia, choć jest wiolonczelistką, również śpiewała w chórkach. Agata od pięciu lat pracuje w Anglii, a Maria niedawno pojechała do Stanów Zjednoczonych razem z mężem Randy Jacksonem, (też zresztą grywał z *Poziomem 600* na perkusji), żeby pokazać wnuki jego rodzicom. Nie wiadomo, kiedy wrócą. Warto przypomnieć, że swego czasu *Poziom 600* nagrał piosenkę „Jeden mamy świat", co zapoczątkowało serię koncertów towarzyszących akcji Sprzątanie Świata w Polsce.

Nowy etap

Niestety, nic z tego nie wyszło. Był rok 1987. – Na stadionie w Jastrzębiu mieliśmy przygotować nagłośnienie młodzieżowego festiwalu orkiestr dętych. Mirek Kubica puścił tam utwór niemieckiej grupy Accept, który zaczynał się od bawarskiej przyśpiewki „Heidi. Heida", a to nic innego jak pierwowzór hitlerowskiego „Heili, heilo". Dwa dni po tej imprezie zostałem zwolniony w pracy. Jako zespół zdążyliśmy jeszcze pojechać do Jarocina, gdzie pierwszy raz byliśmy w 1983 roku, a ostatni w 1991 roku, a potem powoli zaczęliśmy ewakuować się z domu kultury. Kończył się pewien etap, ale nie *Poziom 600* – stwierdza Piotr Cybułka. I nie minęło wiele czasu, a kapela dobitnie przypomniała o swoim istnieniu, organizując Przegląd Śląskich Zespołów Rockowych „Rock Tłok" w Jastrzębiu. Był to rok 1990.

Głównym sponsorem były nieistniejące już dziś Zakłady Mięsne w Rybniku. Piotr Cybułka jest pewien, że gdyby wtedy miał obecną wiedzę i inne możliwości, impreza stałaby się cykliczna i zyskała nie mniejszą rangę niż Rawa Blues. Inna sprawa, że zostały po niej nie tylko wspomnienia. – *Poziom 600* to jeden z najbardziej udanych comebacków sezonu. Twórcy „Czarnego rynku" powrócili minionego lata przebojową kasetą „Światła aut" (Rock Tłock) i takimi hitami jak „Więcej piwa", „Tu mówi Warszawa" czy „Tylko tak". W muzycznych plebiscycie grupa otrzymała miano Talent '91 – napisała „Panorama" w grudniu 1991 roku. A kilka miesięcy wcześniej „Gazeta Festiwalowa" Jarocin '91 donosiła, że *Poziom 600* to chluba całej południowo-zachodniej Polski.

Pomysł na zespół

Lata 90. i późniejsze to były już jednak inne czasy. – Z tego powodu zacząłem tworzyć muzyczne programy edukacyjne o tematyce m.in. profilaktycznej i antyuzależnieniowej. To był pomysł na zagospodarowanie zespołu, bo on musi gdzieś funkcjonować, i zrobienie czegoś dla młodego pokolenia. Jest tam wątek poświęcony kilku gwiazdom rocka, które zmarły z powodu alkoholu czy narkotyków. To Jimmy Hendrix, Jim Morrison z *The Doors*, Kurt Cobain, lider grupy *Nirvana*, ale także Rysiek Riedel z zespołu *Dżem*, z którym mieliśmy kontakt na festiwalu w Jarocinie. On nawet chciał z nami coś zrobić, wejść do studia, niestety, nie zdążył. Dziś gramy piosenkę „Nad twoją głową", na końcu której zakładam kapelusz na gitarę stojącą na scenie. To opowieść o spotkaniu w Jarocinie – wyjaśnia Piotr Cybułka.



Fot. zbiory zespołu

Poziom 600, lata 80, od lewej w pierwszym rzędzie: Piotr Rut, Jacek Wocka i Mirosław Kubica, za nimi Piotr Cybułka i Robert Szuter, ostatni Andrzej Kruk

Kto, prócz oczywiście niego, tworzy dziś *Poziom 600*? Koncert „50 lat R'N'R w Jastrzębiu" zagrali 3 maja w składzie: Łukasz Bizoń (gitara, współpracował już z *Poziomem*, występował z Paulą), Robert Szuter (perkusja, grał już w drugim składzie). W zespole występuje także 21-letni syn Piotra Cybułki. To student. Ma na imię Daniel, gra na gitarze i saksofonie oraz śpiewa. Jego tata w regionie jest znany nie tylko jako lider kapeli, ale także jako dyrektor Ogniska Pracy Pozaszkolnej w Radlinie (od 18 lat) i radny powiatu wodzisławskiego, stale w opozycji, jak mówi o sobie. I ostatnio rykoszetem uderzyła w niego ta działalność polityczno-publiczna. Mieszka na Śląsku już 41 lat, nigdy nie odczuł tego, że nie pochodzi stąd, bo też już myśli po śląsku, aż tu nagle w czasie wyborów ktoś nazwał go gorolem.

Co boli

To zabolało. – Tym bardziej że w ognisku organizuję przegląd widowisk bożonarodzeniowych „Radlińskie Betlejki", bodaj największy w Polsce, który odbywa się również po śląsku, a kiedy się zaczynał, nikt nie mówił o pielęgnowaniu gwary. Chciałbym też zrobić użytek ze śpiewnika „Pieśni ludu polskiego na Górnym Śląsku" Juliusza Rogera. Boję się tego budzenia demonów przez niektóre środowiska – wyjaśnia. I zwraca uwagę, że to on, w zasadzie jedyny nie-Ślązak z kapeli, opisał śląską rzeczywistość. Na pytanie, czy *Poziom 600* coś stracił, odpowiada, że i tak, i nie. – Faktem jest jednak, że zaraz po Opolu zacząłem szukać menedżera, ale go nie znalazłem, bo byliśmy tylko grającymi górnikami. Antoni Kopff, ten kompozytor wielkich przebojów, powiedział mi wprost, że jak chcemy być zawodowymi artystami, to mamy zwolnić się z pracy, wziąć rozwody i jechać do Warszawy. Nie przyszło mi do głowy powtórzyć tego chłopakom – wspomina.

Jak dodaje, nikt z *Poziomu 600* nie czułby się na siłach utrzymać z muzyki. – Mógłbym oczywiście powiedzieć, że czegoś szkoda, że nie miałem szczęścia, że na marne poszło mnóstwo pracy nad kilkoma materiałami na płyty. Mógłbym narzekać, że trzy razy mieliśmy przygotowany program do telewizji, który nie poszedł. Raz dlatego, że przedłużyła się transmisja z pielgrzymki Jana Pawła II, ale nie wpadłbym na to, żeby mieć jakieś pretensje. Wcześniej na Borynię przyjechała ekipa Polskiej Kroniki Filmowej, by zrobić materiał na 1 maja o grających górnikach, a my zagraliśmy im piosenkę „Pracuj", znaną też pod tytułem „Arbajt". Niestety, cenzura skierowała ją na półkę... Boli mnie jednak, że *Poziom 600*, owszem, ma swoje dema czy krążki kompaktowe, ale do tej pory nie doczekał się profesjonalnie wydanej płyty. I bardzo chciałbym, żeby udało się ją nagrać. To jedna z najważniejszych rzeczy, a jest ich wiele, które mam jeszcze do zrobienia – wyjaśnia Piotr Cybułka.

Co odtworzyć

Człowiek, bez którego *Poziom 600* z pewnością ani by nie powstał, ani by nie przetrwał, na stronie internetowej zespołu napisał, że jego rockowa droga była wyboista, kręta i często pod górkę. – Przeżyłem chwile godne zapamiętania i takie, o których lepiej nie wspominać. Mimo wielu przeciwności losu nadal trzymam w garści gitarę i gram! Nadal wykrzykuję do mikrofonu to, co leży mi na sercu, również ten refren: *kamień życia toczy się, mija dzień za dniem, nasze życie ogniem jest, i paliwem też.* Nadal kręci mnie każda próba, a każdy koncert gram tak, jakby był ostatnim – pisze o sobie Piotr Cybułka. Refren pochodzi z jego piosenki „Kamień życia", która nigdzie nie została nagrana. Kiedy przyjdzie ją odtworzyć, a miejmy nadzieję, że tak, trzeba będzie robić to z pamięci autora...



Fot. zbiory zespołu

Poziom 600, rok 1991, od lewej: Piotr Cybułka, Piotr Rut, Robert Szuter i Robert Czech

TOMASZ JEDZ

Tomasz Jedz (1968 Racibórz). Debiutował jako licealista w tygodniku „Tak i Nie". Ukończył Akademię Muzyczną na Wydziale Wokalno-Aktorskim we Wrocławiu w 1996 roku. Śpiewak operowy, tenor. W tym samym roku debiutował partią Ismaela w operze „Nabucco" G. Verdiego na scenie Teatru Wielkiego w Łodzi, z którym był związany na stałe przez 10 lat. Gościnnie występował na scenach polskich i za granicą. W swoim repertuarze posiada wiele partii, od Kandyda L. Bernsteina przez Don Jose w Carmen G. Bizeta, Alfreda w Traviacie G. Verdiego po Księdza Rewolucjonistę w Ca Ira R. Watersa czy Jezusa w Jerry Springer the opera R. Thomasa. Prezentowane wiersze pochodzą z przygotowanego do druku tomu.



Rys. Wojtek Łuka

* * *

dosyć tego
widowiska

przestańcie
się gapić

to krępujące

zamykajcie trumnę

zostawilem wam
zdjęcia
filmy
kalendarze

chcę mieć wreszcie spokój

podaj gwóźdź

dobranoc

desperacja

no i już

stało się

odjęli mi nogę

świetnie teraz
będę wyglądał na scenie

wielki tenor
na jednej nodze

kariera pójdzie do przodu

bocceli może się schować

baba z brodą
połykacz ognia
pogromca dzikich zwierząt

i ja

może
jeszcze
utnę sobie ręce

głos zostanie

i dusza

* * *

cierpienie
uszlachetnia

tylko
po co
mi tyle

tej szlachetności

* * *

życie
nie daje mi
żyć

albo mogę napisać
życie dało mi w rzyć

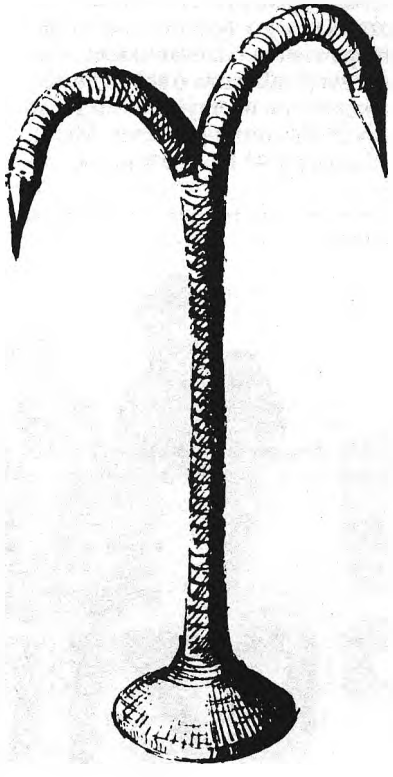
mieszkam teraz na śląsku

mój przyjaciel
powtarzał często

ach życie życie
gdybyś ty dupę miało
jakbym cię kopnął

miał chore serce

nawet nie wie
że umarł



Rys. Wojtek Łuka



Rys. Wojtek Łuka

* * *

po co komu
takie święta

bez miłości

w samotności

bóg się rodzi
moc truchleje

ja się boję

modlitwa

ojcze nasz
któryś jest w niebie

anieле stróżu
mój

zdrowaś mario
łaski pełna

święty antoni padewski
obywatelu niebieski

święta rito
patronko rzeczy
trudnych i beznadziejnych

obudźcie się

pozwólcie zasnąć

* * *

ciągle pada

deszcz

grad

śnieg spadł

łza

samolot nawet

padam z nóg

nie spada kamień

spać nie mogę
jeść nie mogę

żyć nie mogę

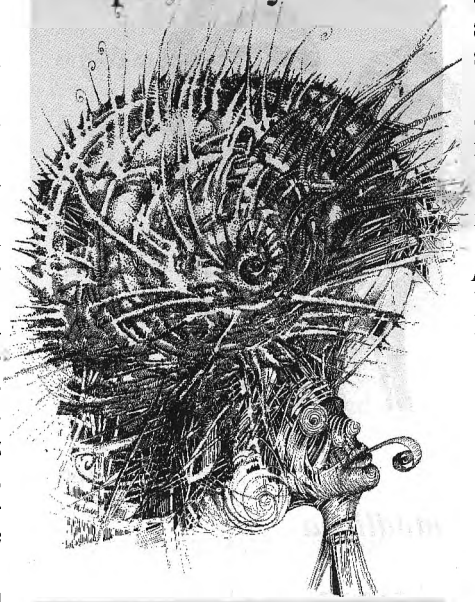
iść do pracy

piszę
w ogień

krzyczę
w niebo

tłumaczę

TOMASZ JEDZ



JAN MIODEK

Przedsia

„Ciekawe, czy papieże Benedykt XVI i Franciszek I będą się często spotykać, czy raczej będą żyć przedsia" – powiedziałem zupełnie spontanicznie do żony w któryś z rodzinnych wrocławskich wieczorów i uświadomiłem sobie, że to *przedsia* – „samodzielnie, samemu, osobno" – należało w moim tarnogórskim domu do form bardzo często używanych. Znajduję je w „Małym słowniku gwary Górnego Śląska" Bożeny Cząstki-Szymon, Jerzego Ludwiga i Heleny Synowiec z r. 2000 – z przykładem „Jo sie wola przedsia miyszkać", stosunkowo rzadko natomiast – tak mi się wydaje – jest ono przywoływane przez uczestników konkursu gwarowego „Po naszymu, czyli po śląsku", któremu poświęciłem dwa ostatnie odcinki.

Nietrudno wytłumaczyć, czym jest – zupełnie nieobecne w polszczyźnie standardowej i nierejestrowane przez ogólne słowniki języka polskiego – *przedsia*. Pochodzi ono od prymarnego brzmienia *przedsie//przedsię* – „przed siebie", które w staropolszczyźnie było też wariantem *przecież* („Śmiałby się, wiedz przedsię" – Szymon Szymonowic 1558-1629). Dziś obecne jest w czasownikach *przedsiębrać, przedsięwziąć* – najpierw pisanych jako dwa oddzielne wyrazy *przedsię brać, przedsię wziąć* – dosłownie „przed siebie brać", „przed siebie wziąć", a realnie znaczących tyle, co „przystępować (przystąpić) do wykonania czegoś, (z) decydować się na wykonanie czegoś". Z postaci *przedsię*, w XIV wieku wymawianej z wygłosowym „a nosowym", w polszczyźnie śląskiej zrobiło się odnosowione *przedsia* (por. typowo gwarowe *widza ta krowa* „widzę tę krowę"), a ewolucja znaczeniowa przebiegła od „przed siebie" do „samodzielnie, samemu, osobno".

Nierejestrowany jest również przez słowniki – zarówno dawniejsze, jak i współczesne – bardzo popularny na Śląsku *mamlas* – „człowiek niezaradny, flegmatyczny, płaczliwy; mazgaj, oferma" (Bożena Cząstka-Szymon, Jerzy Ludwig, Helena Synowiec: „Mały słownik gwary Górnego Śląska", Katowice 2000, str. 142), wywiedziony niewątpliwie od dźwiękonaśladowczego *mamlać* – „żuć powoli, obracając pokarm językiem, śliniąc się; mamleć, memłać, międlić", „mówić niewyraźnie, niezrozumiale, jak gdyby się coś miało w ustach; mamrotać, mamleć" („Uniwersalny słownik języka polskiego" pod red. prof. Stanisława Dubisza, Warszawa 2003, tom 2, str. 755). Do *mamlasa* dołączyć jeszcze można – za „Małym słownikiem..." – przymiotniki *mamlasiaty, mamlasty* o znaczeniu „mazgajowaty, płaczliwy".

Kiedy o często używanym na Śląsku *mamlasie* powiedziałem przed paroma miesiącami w telewizyjnym „Słowniku polsko@polskim", dostałem – nie po raz pierwszy – niezwykle interesujący list od Pana Ryszarda Kaźmierczaka z węgierskiego Szombathely, który poinformował mnie, że w języku węgierskim „niezdarę, niedołęgę, gamonia, niedorajdę, fujarę" określa się najczęściej słowem... *mamlasz* (czyt. *momlos* – z samogłoskowymi dźwiękami pośrednimi między „a" i „o"). Jakże więc niezwykłe powinowactwa odkryć można między językami, w tym wypadku – między formą znaną w jednym kraju wszystkim, a w drugim – praktycznie tylko mieszkańcom jednego regionu.

Równie często jak *mamlas* używany jest na Śląsku *leber* – i jako „próżniak, śmierdzirobótka, leń, nierób", i jako przezwisko, obraźliwe określenie: „Te chopcy to takie lebry, niy chycóm sie żodnyj roboty", „Z takim lebrym jak ty niy byda sie kolegowoł", „Ty lebrze, chyć sie roboty!" („Mały słownik...", str. 119).

Oczywiście, oprócz przezwiska *leber* słyszy się – pochodzące z niemieckiego *die Leber* „wątroba" – takie formy, jak *leberka, lyberka, lyjberka, leberwuszt, lyjberwurszt*, będące określeniami *wątrobianki, pasztetówki:* „W tyj naszyj masarni robióm dobro leberka", „Ukrój mi kónsek lyjberki", „Poszmaruj mi żymła leberwusztym", „Tyn lyjberwurszt jest za tusty" (tamże, str. 119).

Wracając zaś do przezwiska *leber*, trudno pominąć jego brzmieniową tożsamość z niemieckim rzeczownikiem znaczącym tyle, co „wątroba". Ale dlaczego akurat ten wewnętrzny organ uruchomił taki mechanizm metaforyzacyjny?! Germaniści pytani o stylistyczny status rzeczownika *Leber* w języku niemieckim nie znajdowali w złożach swej pamięci użyć odpowiadających naszemu śląskiemu *lebrowi*. Nie ma takiego zastosowania tegoż rzeczownika również w niemieckich wydawnictwach poprawnościowych[1]. Syn podsunął mi natomiast taki oto szczegół z dialektów Nadrenii: *leeprich, leper – zu leicht gebaut, nicht solide, zu locker*[2] [*leeprich, leper* – za lekko zbudowany, niesolidnie, zbyt luźno]. Może więc ów popularny w gwarach śląskich *leber* jest wtórnie utożsamiony ze słowem *Leber* „wątroba", natomiast u jego źródeł stoi postać z bezdźwięcznym „p" – *leper*, znaczeniowo lepiej się motywująca, bo określająca stany oceniane negatywnie?

■

[1] http://www.duden.de/suchen/dudenonline/leber [31.4.2013].

[2] http://www.mitmachwoerterbuch.lvr.de/liste.php [31.4.2013].

Luftwafe i piwnice KW PZPR



Kierowniczka Oddziału Teatralno-Filmowego MHK Katarzyna Gliwa z Wojciechem Szwiecem, autorem książki o śląskich filmowcach amatorach.

Kiedy tylko wszedłem do mieszkania Barbary i Stanisława Ptaków przy ul. Kopernika 11, gdzie teraz znajduje się Oddział Teatralno-Filmowy Muzeum Historii Katowic, miałem wrażenie, że wróciła przeszłość. I że znowu przyszli „wszyscy", czyli filmowcy-amatorzy, krytycy i miłośnicy kina, których znałem z przeglądów i festiwali, przede wszystkim zaś ze spotkań w Śląskim Towarzystwie Filmowym. Nie mogło być inaczej, skoro już za progiem wpadłem na Zygmunta Dusia, autora słynnych *Ścinków*, a zaraz potem odbyłem krótką konferencję z Jankiem F. Lewandowskim, wieloletnim prezesem ŚTF, a potem witałem wielu innych „ludzi z branży". Trochę to trwało zanim dotarło do mnie, że to już nie my – chłopcy z tamtych lat. Głowy siwe albo łyse, laseczki wspierające zużyte stawy, które zbyt długo musiały dźwigać „mdłe ciała". Pozostało jedno, co nas łączy nie tylko ze względu na upływ czasu – miłość do filmu, kina, ruchomych obrazków. (Nie było też „wszystkich", na próżno szukałem Józka Kłyka; chciałem się z nim umówić na nagranie w Radiu Katowice, bo już wiem, że skończył swój kolejny śląski western.)

Wystawę przy Kopernika 11 zatytułowano *Stara Gwardia Celuloidu. Początki kina niezależnego na Górnym Śląsku.* Było kilka fimów fabularnych opowiadających o PIONIERACH, którzy kolonizowali Dziki Zachód, jeździli w samochodowych rajdach, wzbijali się w przestworza samolotami – byli „szalejący". Ta *Stara Gwardia Celuloidu* to także PIONIERZY, to historia niezwykłych ludzi, którzy musieli być scenarzystami, reżyserami, czasem „aktorami" – jak wspomniany już Józek Kłyk, natomiast zawsze montażystami, a jeszsze wcześniej – chemikami, którzy potrafią „celuloid" wywołać i utrwalić.

Coś tam w życiu nieudolnie sfotografowałem, kamery filmowej nigdy nie miałem (i słusznie) w ręku, byłem natomiast zawsze na widowni, więc podziwiałem tych pasjonatów „ósemki" czy „szesnastki", którzy nie tylko dokumentowali tzw. rzeczywistość, ale porywali się również na realizację filmów fabularnych, jak np. Kłyk, czy Franciszek Dzida (nawiasem mówiąc sam Krzysztof Zanussi był kiedyś akaefowcem). A nobilitował tę pasję Krzysztof Kieślowski swoim znakomitym filmem *Amator.*

Wróćmy jednak do samej wystawy. Na zdjęciach tam zaprezentowanych widzimy rzeczywiście „Starą Gwardię Celuloidu", która była stąd – z Górnego Śląska. Ona też zdominowała polskie kino amatorskie, ponieważ tu nie tylko rodzili się pasjonaci, ale też powstały dogodne warunki do rozwoju podobnej aktywności twórczej. Skończyła się wojna. Edward Poloczek oraz Norbert Boronowski (użyliśmy jego imienia w ŚTF dla nazwania nagrody dla amatorów). Oni byli z „fotograficznych" rodzin, marzyło im się jeszcze kino, mieli też w domu całą „chemię" do obróbki.

Fascynująca jest historia filmowców-amatorów. Z kuluarowych rozmów wynika, że tu, na Śląsku, rozwój amatorskiego kina zawdzięczamy... niemieckiej armii i komunistom. Pierwsze bowiem po II wojnie światowej kamery pochodziły z piwnic gmachu Komitetu Wojewódzkiego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej w Katowicach. Właśnie w tych podziemiach schowała swoje lotnicze kamery Luftwafe, a w latach 50. udostępnili je amatorom „towarzysze", (pod pewnymi warunkami jednak). Wręcz matematycznie określonymi. 30 proc. ideologii, 10 proc. afirmacji zakładu pracy, 10 proc. – „róbta sobie, co chceta", 50 proc. – klasa robotnicza (węgiel się sypie, surówka leje itd.), Przypomniał o tym jeden z weteranów amatorskiego fimowania, dziś nobliwy pan Maćkow. On sam oraz inni starsi panowie z uwagą przyglądali się prezentowanym na wystawie zdjęciom, na których rozpoznawali siebie i kolegów sprzed lat.

Rozkwitowi Amatorskich Klubów Filmowych na Śląsku sprzyjał też fakt, że to tutaj istniały duże i wtedy bogate zakłady przemysłowe. One to kupowały zapaleńcom sprzęt, drogą filmową taśmę, oraz potrzebne do jej obróbki chemikalia. Nie było to oczywiście bezinteresowne. Młodzi filmowcy musieli dokumentować życie swoich macierzystych przedsiębiorstw zgodnie z „duchem epoki". Za to dyrektorzy kopalń, hut i zakładów chemicznych, uwiecznieni na taśmie na czele pierwszomajowych pochodów, pozwalali łaskawie amatorom na realizowanie własnych pomysłów. Po zdjęciach taśmę trzeba było wywołać, a potem szły w ruch nożyczki i klej, czyli następował montaż. Filmy powstawały w jednej kopii, dlatego wiele z nich przepadło bezpowrotnie. Na początku taśmy pojawiały się malejące liczby oraz litera „X". Kiedy się pojawiała kinooperator wiedział, że ma wcisnąć przycisk magnetofonu stojącego obok projektora, aby ruchomym obrazkom towarzyszyła „ścieżka dźwiękowa". Ten romantyczny czas skończył się wraz z rozwojem techniki. Najpierw pojawiły się kamery wideo i kasety VHS, potem rejestracja cyfrowa. Wielu dawnych filmowców-amatorów, których nazywano później nieprofesjonalnymi albo offowymi, uważało jednak dalej, że to już nie to, że nie ma jak to film „istniejący fizycznie", który da się oglądać klatka po klatce.

Wernisażowi towarzyszyło jeszcze jedno ważne wydarzenie. Kierowniczka Oddziału Teatralno-Filmowego Katarzyna Gliwa, po przywitaniu gości, poprosiła o zabranie głosu Wojciecha Szwieca, który napisał książkę *Filmowe Południe. Kino amatorskie na Górnym Śląsku.* Ten urodzony w 1974 roku kulturoznawca (a także filmowiec-amator) wykonał naprawdę dobrą robotę – opisał „romantyczne" początki nieprofesjonalnego ruchu filmowego na Śląsku, przeprowadził wiele wywiadów z PIONIERAMI, zebrał fascynujący materiał ilustracyjny. O amatorskim ruchu filmowym w regionie nakręcił także dwa filmy. To zdokumentowanie historii śląskich filmowców-amatorów jest niezwykle cennym wkładem w dzieje życia kulturalnego regionu.



Zdjęcia: Piotr Sobański

Byli „wszyscy"

BOGDAN WIDERA

Flamenca to niekoniecznie flamenco

MAREK BRZEŹNIAK

Już od samego startu, pierwszych Mikołowskich Dni Muzyki w 1991 r. – wtedy nie opatrzonych owym numerem, pewności, że odbędą się następne najwidoczniej nie było – organy grały istotną rolę. Z recitalami wystąpili wtedy Julian Gembalski, którego na tych łamach przedstawiać szerzej nie trzeba i szwedzki organista Nils Larsson.

Powody były co najmniej dwa. Po pierwsze, Mikołów nie ma „prawdziwej" sali koncertowej, co dziś brzmi nieco paradoksalnie – wszak chodzi o miasto, w którym od 23 lat corocznie odbywa się najważniejszy festiwal muzyki poważnej w naszym regionie. A więc korzysta głównie z gościnności kościołów, a w kościołach jak wiadomo prawie zawsze są organy. No i drugi powód – współorganizatorem festiwalu i od wielu lat jego dyrektorem artystycznym jest mikołowianin Władysław Szymański, organista kościoła św. Wojciecha (przed 5. laty świątynia otrzymała tytuł Bazyliki mniejszej), wtedy „tylko" pedagog katowickiej Akademii Muzycznej, a obecnie profesor klasy organów i dziekan Wydziału Wokalno-Instrumentalnego na tejże uczelni.

Organy tej świątyni, najważniejsze mikołowskie organy, to wspaniały, liczący już ponad 150 lat, instrument, który doczekał się nagrań w wykonaniu Władysława Szymańskiego (trzy krążki CD) i Juliana Gembalskiego, a recitale na nim są stałym elementem Mikołowskich Dni Muzyki.

Rzadziej na koncertach bywają wykorzystywane organy mikołowskiego kościoła ewangelickiego, również zresztą bardzo cenne. Skromniejsze możliwości tego instrumentu rekompensuje za to rewelacyjna akustyka świątyni, zwłaszcza dla mniejszych zespołów kameralnych, chyba nawet bijąca swymi walorami akustykę dwu prestiżowych „studiów" katowickich: Polskiego Radia i Akademii Muzycznej.

W tym roku festiwalowy gród wzbogacił się o kolejne, trzecie już historyczne organy, świetnie zresztą brzmiące. Sprowadzono je z nieczynnego już kościoła w Szwarzwaldzie w Niemczech (z szafą z połowy XVIII wieku i mechanizmem z 1979 r., wzorowanym na barokowych konstrukcjach) i usytuowano w świątyni noszącej dwie nazwy – Matki Bożej Śnieżnej i starego kościoła św. Wojciecha; jest położona w pobliżu wspomnianej wyżej ogromnej bazyliki. Na 23. festiwalu instrument ten zabrzmiał po raz pierwszy – organista włoskiego Apulia Baroque Ensemble wykonał na nim Preludium i fugę C-dur BWV 545 Bacha.

Wracając do instrumentu w bazylice w tym roku grali na nim Przemysław Kapituła z Warszawy, adiunkt katowickiej Akademii Witold Zaborny i bawarski organista Josef Miltschitzky związany ze słynnym opactwem benedyktynów w Ottobeuren. Dwaj ostatni zaprezentowali mikołowskiej, a więc śląskiej publiczności, m.in. dzieła niemieckiego Ślązaka Moritza Brosiga, ur. w 1815 r. koło Paczkowa we wsi noszącej dziś nazwę Lisich Kątów i zmarłego w 1887 r. we Wrocławiu, gdzie głównie działał.

Obaj organiści towarzyszyli także śpiewakom – Zaborny śląskiemu basowi Bartoszowi Araszkiewiczowi a Miltschitzky swej żonie Susanne Jutz-Miltschitzky. I tylko dzięki ich koncertom tegoroczny festiwal uczcił 200. rocznicę urodzin dwu wielkich twórców operowych: Giuseppe Verdiego i Richarda Wagnera. Araszkiewicz zaśpiewał dwie arie Verdiowskie, a Milschitzky zagrał Chartfreitags-Musik (Muzykę na Wielki Piątek).

Największym dziełem jubilatów, w tym przypadku Verdiego, miał być jego Kwartet smyczkowy, zapowiedziany przez muzyków najbardziej mikołowskiego zespołu, bo Lasoń Ensemble – Kameralistów Mikołowa. Jednak artyści zamiast tego utworu wykonali, zresztą porywająco, Kwartet smyczkowy F-dur Antonina Dvořaka. Dyrektorzy festiwalu okazali się dość łaskawi dla podopiecznych zgadzając się na ową zamianę, choć właśnie w tym przypadku najłatwiej byłoby „swoim" powiedzieć: nie.

Kwartet F-dur, wspólnie z Kwintetem smyczkowym Es-dur i IX Symfonią „Z Nowego Świata" tworzą tzw. amerykański tryptyk Dvořaka, który przez trzy lata pełnił obowiązki dyrektora konserwatorium nowojorskiego. Tak się złożyło, że cały ten komplet został zaprezentowany na tegorocznym festiwalu. Kwintet (ale nie z dwiema altówkami, jak chciał Dvořak, lecz z kontrabasem) zagrał Filharmoniczny Kwintet Smyczkowy z Berlina, a Symfonię Orkiestra Filharmonii Bohuslava Martinů ze Zlina. Wszystkie te wykonania okazały się znakomite a dodatkową, wizualną, atrakcją w Symfonii był taniec prowadzącego czeską orkiestrę Rosjanina Mishy Katza przed pulpitem dyrygenckim.

Obok Kwartetu Dvořaka Lasoń Ensemble w składzie Krzysztof i Elżbieta Lasoniowie – skrzypce, Elżbieta Mrożek-Loska – altówka i Stanisław Lasoń – wiolonczela zagrali kwartety smyczkowe małżeństwa kompozytorskiego Justyny Lasoń-Kowalskiej (II Kwartet „A Light exist in Spring", którego prawykonanie odbyło się na koncercie młodych kompozytorów towarzyszącym XIX Mikołowskim Dniom Muzyki) i Aleksandra Lasonia (VIII Kwartet „Dla Ciebie Oni Śpiewają i Tańczą" prawykonany na tegorocznym festiwalu; tytuł utworu został zaczerpnięty z wiersza amerykańskiego poety Walta Whitmana).

Kolejnym tegorocznym prawykonaniem była prezentacja nagrodzonego II nagrodą (I nie przyznano) na ubiegłorocznym VI Konkursie Kompozytorskim w Mikołowie psalmu De profundis na organy i bas (Witold Zaborny i Bartosz Araszkiewicz) Anny Ignatowicz-Glińskiej z Warszawy. Z niedawno powstałych dzieł odnotujmy też wykonanie napisanego zaledwie przed rokiem Concertina na flet Janusza Bieleckiego – w Mikołowie towarzyszyła Łukaszowi Długoszowi nie orkiestra jak podczas prawykonania w Zakopanem, lecz jedynie pianista Andrzej Jungiewicz.

No i przejdźmy do najważniejszego – pierwszego polskiego wykonania w obecności kompozytora (tak brzmiała oficjalna nazwa tego wydarzenia) Duo concertante Krzysztofa Pendereckiego na skrzypce i kontrabas (Jakub Jakowicz i Jurek Dybał). Utwór powstał dla sławnej skrzypaczki Anne-Sophie Mutter, która po raz pierwszy zaprezentowała go wraz ze swoim stypendystą Romanem Patkoló przed dwoma laty w Hanowerze. Wykonanie to odbyło się na uroczystym koncercie jubileuszowym z okazji 80. lat Krzysztofa Pendereckiego (dokładnie rocznica przypadnie 23 listopada), na który przybyli obok burmistrza Mikołowa prezydenci Katowic i Zabrza oraz trzech rektorów – aktualny i dwóch poprzednich – katowickiej uczelni muzycznej. Wieczór ten odbywał się zresztą w sali koncertowej tej placówki, jako jedyny koncert festiwalowy zorganizowany poza granicami Mikołowa.

Z dorobku mistrza usłyszeliśmy ponadto, w wykonaniu Sinfonii Varsovii, nie-

koniecznie kojarzące się z duchem muzyki Pendereckiego Trzy utwory w dawnym stylu – pastisz muzyki barokowej do nakręconego w 1964 r. filmu „Pamiętnik znaleziony w Saragossie", a także Sinfoniettę per archi, utwór który ta sama orkiestra prawykonała w 1992 r. w Warszawie, oraz błyskotliwe interpretacje Symfonii „Klasycznej" Sergiusza Prokofiewa i Uwertury do „Włoszki w Algierze" Gioacchina Rossiniego. Wymieniony już wyżej Jakub Jakowicz i Jurek Dybał „poszybowali" z cudowną lekkością (zdumiewającą na kontrabasie) w prezentacji Gran duo concertante nieco zapomnianego już XIX-wiecznego kontrabasisty i dyrygenta Giovanniego Bottesiniego. Świetnie znany festiwalowej publiczności Jurek Dybał był nie tylko solistą, ale także dyrygentem i jeszcze na dodatek prelegentem koncertu (uff!).

Było to niewątpliwie najbardziej oblegane, interesujące i artystycznie i towarzysko wydarzenie festiwalowe. Natomiast biorąc pod uwagę wyłącznie stronę artystyczną na pierwszym miejscu postawiłbym występ belgijskiej Capilli Flamenca (Kapeli Flamandzkiej), mogącej się pochwalić aż 40 krążkami CD i prestiżowymi za nie nagrodami. Jej nazwa pochodzi od historycznego chóru kapeli królewskiej Karola V i nie ma niczego wspólnego z hiszpańskim canto flamenco, choć zapewne niejeden ze słuchaczy sądził, że przychodzi na spotkanie z folklorem andaluzyjskim.

Najważniejszym punktem programu była Msza Alexandra Agricoli (ok. 1446 – 1506) z dodatkami improwizacyjnymi zarówno utrzymanymi w stylu epoki renesansu, ale też nawiązującymi do współczesności. Mszę i antyfonę „Salve Regina", także Agricoli, wykonało czterech śpiewaków i... akordeonista. W jakimś sensie melanż ten przypominał sensację płytową sprzed 20 lat, na której pieśni sakralne XIV i XV wieku w wykonaniu sławnego kwartetu The Hilliard Ensemble zderzono z jazzowymi improwizacjami saksofonisty Jana Garbarka.



Festiwal zainaugurowali Chór Świętego Efraima i Budapesztańska Kameralna Orkiestra Smyczkowa pod dyr. Tamása Bubnó.

W słuchaniu długich cykli wokalnych publiczność mikołowska, która ma już poza sobą Pasję według świętego Jana Arvo Pärta (2001) i Nieszpory maryjne Claudia Monteverdiego (2006), jest świetnie zaprawiona. Co do genialnej, wręcz zjawiskowej, precyzji i intonacji „Capilla Flamenca" mogła konkurować z występującą w 2007 r. rosyjską grupą „Swetilen", aczkolwiek oba zespoły poruszają się w odmiennych obszarach harmonicznych.

Swoją drogą interesujące, że właściwie językowo bliższe są nam utwory w starocerkiewno-słowiańskim (przed wojnami światowymi, przy obowiązkowej łacinie w szkołach było zapewne inaczej), natomiast harmonicznie i melodycznie bardziej „swojskie" wydają się nam kompozycje z kręgu liturgii łacińskiej. Agricola pisał swą Mszę w mieszance starofrancusko-łacińskiej, a poprzedziła ją dawna flamandzka pieśń „Dla mej radości".

Starocerkiewno-słowiańskie teksty mieliśmy zresztą okazję słuchać już pierwszego dnia festiwalu. Przywiózł je z sobą, goszczący już po raz drugi w Mikołowie, znakomity węgierski Chór Świętego Efraima (Szent Efrém Korus) specjalizujący się w muzyce cerkiewnej, prowadzony przez Tamása Bubnó.

Umiłowanie Węgrów do tego repertuaru jest zrozumiałe, jeśli weźmiemy pod uwagę, że przez wieki ich północna granica (nawiasem mówiąc z naszym krajem) przebiegała w Karpatach zamieszkałych po obu stronach przez ludność wyznania wschodniego w obrządku grekokatolickim. Uwzględniając polski wątek dodajmy, że urodzony w 1751 r. w Głuchowie na terenie dzisiejszej Ukrainy i działający później na dworze petersburskim Dmitrij Bortnianski, którego 6 Koncert religijny na chór a cappella „Sława wo wyszich Bohu", otwierał XXIII Dni, był z pochodzenia Łemkiem.

Już jedynie szkicowo odnotujmy wykonania Koncertu D-dur Johannesa Brahmsa przez znanego skrzypka czeskiego Ivana Ženatego, występ zwycięzcy aż 19 konkursów gitarowych Marcina Dylli, któremu towarzyszyła Mikołowska Orkiestra Festiwalowa pod dyr. Sławomira Chrzanowskiego oraz godne najwyższego uznania starania małżeństwa fletowego Agaty i Łukasza Długoszów w przywracaniu do życia dzieł Franciszka (Ferenca) Dopplera, rodowitego lwowiaka działającego głównie w obu stolicach monarchii habsburskiej – Budapeszcie i Wiedniu.

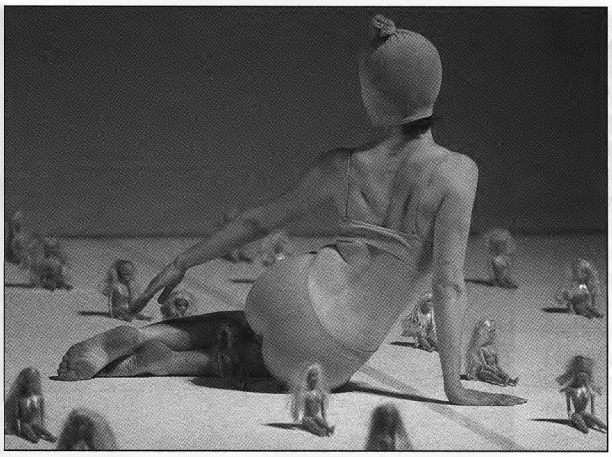
Popularniejszym akcentem na tegorocznym festiwalu był koncert piosenek żydowskich w wykonaniu Izabelli Tatarczuk wraz z zespołem instrumentalnym. Były to dawne przeboje śpiewane w języku jidysz i po polsku, jak i późniejsze piosenki poetyckie o tematyce żydowskiej. Trochę szkoda, że zabrakło zróżnicowania ich interpretacji. Miejscem tego koncertu, licznie oblężonego przez słuchaczy była Biblioteka Miejska, budynek stojący zaledwie kilka kroków od zburzonej w 1972 r, synagogi. To duża strata, gdyby nie ten akt mikołowianie mogliby się dziś szczycić jedyną ocalałą w naszym regionie bóżnicą, która przetrwała II wojnę światową.



Zdjęcia: Paweł Pluta

Lasoń Ensemble po prawykonaniu VIII Kwartetu smyczkowego Aleksandra Lasonia. Kompozytor po prawej.

Spektakle z pogranicza teatru tańca i teatru ciała zdominowały tegoroczną odsłonę katowickiego A Partu, który po raz kolejny udowodnił, że sztuka teatru to nie tylko słowo.



Spektakl „Showcase Trilogy" Compagnie Etantdonne

Ciało, ruch... teatr!

FESTIWAL

Na czym polega teatr? – pytanie, które publiczność tegorocznego A Partu usłyszała od aktorów czeskiego Divadlo Continuo, z pewnością nie znajdzie jednej, właściwej odpowiedzi. Twórcy katowickiego festiwalu oraz ich goście potwierdzają jedynie fakt, że teatr można robić na wiele sposobów, wykorzystując przy tym rozmaite tworzywa sceniczne. Tym, z którego w zdecydowanie najmniejszym stopniu korzystają artyści zapraszani na A Part jest słowo. Festiwal stworzony przez Marcina Hericha w 1994 roku od początku swego istnienia miał bowiem zrzeszać artystów reprezentujących przede wszystkim nurt teatru niewerbalnego – teatru ciała, ruchu i gestu. Formułę tę poszerzono z czasem o różnorodne odmiany sztuki performance, szczególnie zaś tej wykorzystującej elementy plastyczne i muzyczne.

Tegoroczną edycję Międzynarodowego Festiwalu Sztuk Performatywnych zdominowały zjawiska artystyczne z pogranicza teatru tańca i teatru ciała, choć nie zabrakło też widowisk plenerowych oraz performansów muzycznych.

W ten drugi gatunek doskonale wpisał się inaugurujący festiwal koncert czeskiej wokalistki, skrzypaczki i kompozytorki Ivy Bittovej. Charyzmatycznej artystce za pomocą głosu i skrzypiec udało się nie tylko zahipnotyzować katowicką publiczność, ale też wejść z nią w żywą interakcję, przekraczając przy tym sztywne ramy sceny. Koncert Bittovej uznać można za niezwykle udany wstęp, a zarazem zapowiedź kolejnych festiwalowych propozycji, w których muzyka odegrała w tym roku niebagatelną rolę.

Dwa najbardziej wyczekiwane spektakle tej edycji bez muzycznej oprawy właściwie nie mogłyby istnieć, bowiem to właśnie ona wzmacnia cielesną ekspresję, na której się opierają. Mowa o pantomimicznej interpretacji *Czekając na Godota* w wykonaniu Compagnie Dos à Deux oraz złożonym z trzech etiud tanecznych *Showcase Trilogy* zaprezentowanym przez Compagnie Étantdonné. Choć oba francuskie przedstawienia wykorzystują podobne środki ekspresji, takie jak opowiadanie za pomocą ciała, ruchu, gestu i tańca, to jednak są osadzone w zupełnie odmiennych estetykach.

Compagnie Dos à Deux założona została przez dwóch aktorów-mimów brazylijskiego pochodzenia, którzy spotkali się we Francji w 1997 roku i od tamtej pory wspólnie realizują kolejne projekty. Podczas A Partu obejrzeć mogliśmy wznowienie ich pierwszego spektaklu *Dos à deux. Akt drugi*, odświeżonego i wykonanego w nowym składzie, jednakże z zachowaniem tej samej choreografii, która niegdyś przyniosła grupie światową sławę. *Dos à Deux (Plecami do siebie)* to pantomima z elementami tańca oparta na sztuce *Czekając na Godota* Samuela Becketta. Na scenie widzimy więc parę trampów, czekających na kogoś, kto nigdy się nie zjawi. Czas oczekiwania wypełniany jest serią pantomimicznych gagów, które, podobnie jak dramat Becketta, w niektórych momentach śmieszą, w innych poruszają. Tym jednak, co najbardziej urzeka w przedstawieniu *Dos à Deux* jest niezwykła precyzja ruchu i gestu, znakomicie zsynchronizowanych ze zmieniającą się nieustannie warstwą dźwiękową oraz światłem.

Tego rodzaju harmonii i zestrojenia celowo unikają w swym przedstawieniu aktorzy Compagnie Étantdonné – choreografia *Showcase Trilogy* pełna jest bowiem zgrzytów, pęknięć i napięć. Trzy etiudy taneczne, z których składa się spektakl stanowią refleksję nad trzema tematami-ideami: piękna, czasu i pustki. Towarzyszą im znane tematy muzyczne zaczerpnięte z klasycznego repertuaru: *Święto wiosny* Igora Strawińskiego, *Bolero* Maurice'a Ravela oraz *Jezioro łabędzie* Piotra Czajkowskiego. Poszczególne tematy rozegrane zostają przez trzech tancerzy – dwie kobiety i mężczyznę, którzy nieustannie wymieniają się rolami, błyskawicznie przechodząc z jednej sceny w drugą. Choreografie pełne są jednak zakłóceń –tancerze Compagnie Étantdonné świadomie igrają z konwencją i tradycją, nadając zupełnie nowy rytm i kontekst najważniejszym dziełom baletowym w historii muzyki. Ich układy charakteryzuje groteskowość, fragmentaryczność i pozorna niespójność – spod luźno zestawionych scenek wyłania się jednak sieć ukrytych znaczeń, nawiązujących do pewnych obszarów życia współczesnego człowieka i kulturowych szablonów, z którymi mierzy się na co dzień.



Pantomimiczna interpretacja „Czekając na Godota" S. Becketta w wykonaniu Compagnie Dos a Deux

Blisko współczesnej codzienności pozostaje też spektakl *Now...?* pochodzącego z Pragi międzynarodowego zespołu teatralnego Divadlo Continuo. Ich kameralne przedstawienie to teatralny



Spektakl „Now...?" międzynarodowej grupy teatralnej Divadlo Continuo



„Ziemia Gomo" Teatru A Part, reż. Marcin Herich

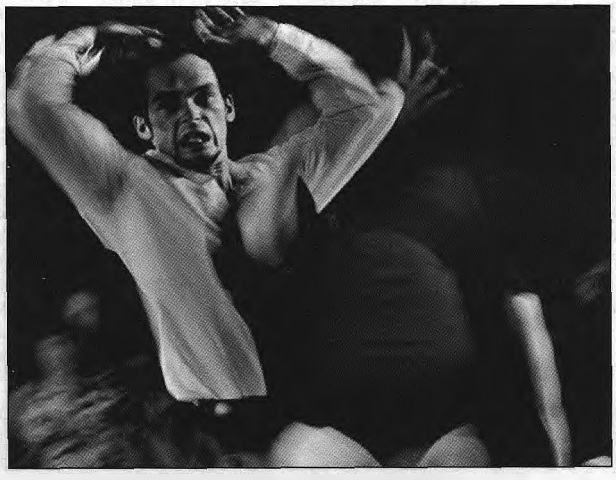
Fot. materiały organizatorów

eksperyment, w którym materiałem scenicznym stają się codzienne przeżycia i doświadczenia członków grupy – od tych najbardziej trywialnych, jak poranne czytanie gazety, słuchanie radia, palenie papierosa, po te głębsze, związane ze sferą uczuciową, jak miłość, pożądanie, rozpacz, złość i zagubienie. Poszczególne emocje wyrażane są tu za pomocą rozmaitych środków – słowa, gestu, tańca, a także określonych rekwizytów. Eksperyment, jaki proponują widzom aktorzy Divadlo Continuo polega na próbie zniesienia granicy pomiędzy tym, co rzeczywiste, prawdziwe, a tym, co jest jedynie sprawą teatralnej iluzji. Rozmaite działania sceniczne prowadzone przez poszczególnych członków trupy z jednej strony podkreślają więc umowność teatralnego świata, z drugiej zaś badają wytrzymałość jego granic. Trudno rozstrzygać o tym, czy eksperyment powiódł się, czy też nie – bez wątpienia jednak intymny i posługujący się najprostszym zestawem środków spektakl Divadlo Continuo stanowił mocny punkt tegorocznej edycji.

Wśród zaproszonych zespołów teatralnych nie zabrakło reprezentantów rodzimej sceny alternatywnej, w tym stałych bywalców festiwalu. Jak co roku, w licznym gronie stawili się poznańscy artyści – Teatr Biuro Podróży zaprezentował swój legendarny spektakl *Carmen Funebre*, grupa Usta Usta Republika teren dawnego dworca w Katowicach-Szopienicach przemieniła w interaktywną *Ambasadę*, zaś szczególnie zaprzyjaźniony z A Partem Teatr Porywacze Ciał przywiózł do Katowic swój najnowszy autorski projekt *Partytury rzeczywistości*.

Gospodarz imprezy, katowicki Teatr A Part pokazał w tym roku dwa przedstawienia – znanego śląskiej publiczności *Fausta* oraz najnowsze widowisko – inspirowaną lokalnym kolorytem *Ziemię Gomo*. Premiera nowego spektaklu Marcina Hericha oraz jego zespołu odbyła się jesienią ubiegłego roku w hali dawnego Kina Słońce w Katowicach-Janowie – w tej też przestrzeni przedstawienie pokazane zostało podczas festiwalu. *Ziemia Gomo* jest drugim (po *Cyrku Bellmer*) spektaklem nawiązującym do krajobrazu i kultury Górnego Śląska. Akcja przedstawienia rozgrywa się w ciemnych korytarzach kopalni – jest to jednak kopalnia widziana przez pryzmat sztuki naiwnej, nieco zdeformowana, surrealistyczna i pełna symbolicznych, opartych na przeciwieństwach obrazów. Tytułowa *Ziemia Gomo* staje się miejscem mitycznym, usytuowanym na pograniczu dwóch światów – świata żywych i świata umarłych. Można w niej odnaleźć szereg nawiązań do twórczości malarzy związanych ze śląską Grupą Janowską – to świat, w którym erotyka splata się z metafizyką, zbudowany z prostych, ale alegorycznych zarazem motywów, figur i wyobrażeń. Poza licznymi cytatami wypełniającymi spektakl, nie brakuje w nim środków charakterystycznych dla Teatru A Part – narracja oparta jest na języku ciała, gestu, metaforycznych obrazach i towarzyszącej im muzyce.

XIX Międzynarodowy Festiwal A Part zakończył występ znanej eksperymentalnej grupy Komuna/Warszawa, która wykonała swój muzyczny performans o przewrotnym tytule *Muzyka jest lepsza*. Aktorzy zastanawiają się w nim nad rolą muzyki w widowisku i życiu codziennym, i choć wnioski, do których dochodzą mogłyby stanowić podstawę do zanegowania teatru, to jednak całość przedsięwzięcia zachowuje swój performatywny charakter, a zatem wciąż sytuuje się w kręgu sztuk przedstawieniowych. Zarówno projekt Komuny/Warszawa, jak i inne zaprezentowane podczas A Partu zdarzenia artystyczne, podkreślają niezwykłe bogactwo świata sztuk performatywnych, a także ich wzajemne przenikanie się, które nieustannie inspiruje do przekraczania granic i poszukiwania nowych form wyrazu.



Spektakl „Faust" Teatru A Part, reż. Marcin Herich

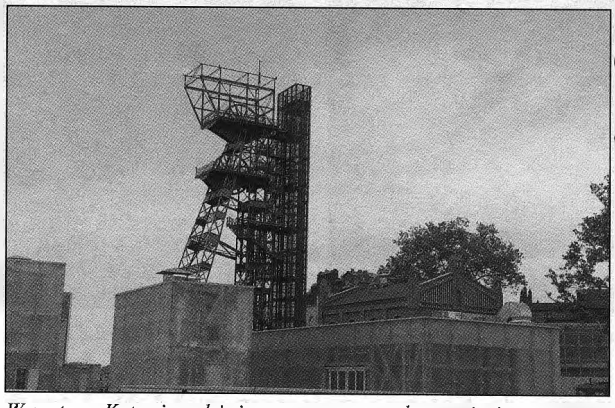
MAGDALENA FIGZAŁ

XIX Międzynarodowy Festiwal Sztuk Performatywnych A Part Katowice: 15-25 czerwca 2013 r.

Przestrzeń po przemyśle

Śląska przestrzeń po przemyśle jest dziś równie trudna do ogarnięcia jak ćwierć wieku temu. Niby porządkowana, wymyka się statystykom i spod kontroli. Bo ciągle się zmienia.

Wraz z pejzażami rozszabrowywanych ruin, z zabytkowymi obiektami, czekającymi na zawalenie lub ratunek. Z tlącymi się górniczymi hałdami, z nagle pojawiającymi się zanieczyszczeniami wód podziemnych, spływającymi ze skażonych powierzchni czy jej bezustannymi deformacjami. Niezidentyfikowana do końca, ciągle odkrywa swoje drugie dno.



Fot. Zbigniew Sawicz

W centrum Katowic rodzi się nowy, poprzemysłowy pejzaż....

23 czerwca br. w Sosnowcu nagle zapadła się ziemia. Pod blokiem, tuż przy placu zabaw dla dzieci. Głębokie pogórnicze zapadlisko powstało w miejscu zapomnianego szybu wentylacyjnego jednej z kopalń, fedrującej w XIX wieku.

Nie był to jednostkowy incydent. To śląska codzienność. Skutek wielkich zaniedbań na początku transformacji ustrojowej. Nie stworzono wówczas w Polsce, jak np. w Czechach, funduszu wspomagającego kompleksowe porządkowanie terenów poprzemysłowych. Choćby wspieranego ze składek pracujących zakładów państwowych i z majątku tych likwidowanych (po tych ostatnich wszystko co dało się wykorzystać, zostało na Śląsku rozszabrowane!)

Do dziś nie wypracowano też jednego, spójnego systemu odzysku terenów po likwidowanym przemyśle. Ich ponowne zagospodarowanie pozostawiono grze wolnorynkowej, choć było oczywiste, że nowi inwestorzy na swoją działalność wybiorą tereny czyste, a nie te, obciążone wiekowymi zanieczyszczeniami.

Także prawo jest dla takich terenów barierą. Jest pokrętne. Jego zapis o tym, że „spadkobiercą" szkód wyrządzonych przez nieistniejące już przedsiębiorstwa państwowe jest Skarb Państwa, jest fikcyjny.

Największe i najbardziej groźne dla środowiska szkody po działalności przemysłowej zakładów, których już nie ma, usuwane są głównie ze środków unijnych, wsparcia Narodowego i wojewódzkich funduszy ochrony środowiska i gospodarki wodnej oraz budżetów samorządowych.

Tak jak w przypadku likwidacji najgroźniejszego dla środowiska składowiska toksycznych odpadów po Zakładach Chemicznych „Tarnowskie Góry". Zagroziły one skażeniem rezerwuaru wód pitnych dla znacznej części regionu. To przedsięwzięcie już pochłonęło setki milionów złotych i dokończyć go nie można, bo prawo nie zapobiegło w porę spekulacyjnemu wykupowi od Agencji Mienia Wojskowego działek, na których nadal zalegają odpady po tych zakładach. Nie musi ich unieszkodliwiać obecny właściciel terenu, bo to nie on je wyprodukował. Nie może też Skarb Państwa, bo już do niego nie należą.

Ostatecznie, 200-letnia spuścizna po uciążliwym przemyśle na Śląsku najbardziej obciąża gminy. Nawet jeśli, tak jak w województwie śląskim, skażone tereny poprzemysłowe zajmują znaczną część ich powierzchni.

Kolejną, poważną przeszkodą w jej oczyszczeniu i odzyskaniu dla potencjalnych inwestorów, jest niepełna wiedza o aktualnym stanie i stopniu ich degradacji.

Obecnie naukowcy z Głównego Instytutu Górnictwa pracują nad stworzeniem ogólnodostępnej platformy informacji o terenach poprzemysłowych, prowadzonej na nich działalności i ich wpływie na środowisko. Będzie ona integralną częścią Regionalnego Systemu (pełnej) Informacji Przestrzennej. Systemu niezwykle pomocnego w porządkowaniu zaszłości.

Na razie bilans tego porządkowania jest skromny. Nikt nie liczy na stworzenie programu na miarę IBA Emscher Park w Zagłębiu Ruhry, który kosztował bogate Niemcy ponad pięć miliardów marek. W tym niedoścignionym dla nas wzorcu, nie tylko oczyszczono krajobraz po ciężkim przemyśle. Zachowano w nim dziedzictwo przemysłowe, kulturowe, historyczne i przyrodniczo. Stworzono funkcjonalną, atrakcyjną dla ludzi przestrzeń publiczną.

Zdaniem znawczyni tej problematyki, dr inż. arch. Justyny Gorgoń z Instytutu Ekologii Terenów Uprzemysłowionych w Katowicach, każde działanie porządkujące tereny poprzemysłowe w województwie śląskim jest pozytywne. Jest wiele interesujących, pojedynczych, już zrealizowanych projektów. Brakuje jednak w tych działaniach najważniejszego narzędzia. Spójnego, kompleksowego systemu i stabilnego prawa. Dziś zagospodarowywanie takiej przestrzeni jest w Europie integralną częścią zrównoważonego rozwoju miast i regionów. W takich dziedzinach jak oszczędne wykorzystywanie przestrzeni, gospodarka, ochrona środowiska, potrzeby społeczne i jakość życia. To standardy także dla Śląska.

Niestety jeszcze nieosiągalne. Z powodu rozproszonych działań, barier prawnych, własnościowych, informacyjnych i finansowych. Nadal więc znikają z przestrzeni Śląska cenne obiekty z jego przeszłości. Te odrestaurowane bez pomysłu na wykorzystanie, jak dworzec kolejowy w Chebziu, ponownie zdewastowane. Dalej też tykają ekologiczne bomby, doskonale rozpoznane przez naukowców z GIG-u i IETU np. w Jaworznie. Nie ma pieniędzy na ich likwidację.

Tylko wznoszony, w dużej części na terenach po kopalni, w centrum Katowic, kwartał kultury i biznesu (z podziemnym muzeum, gmachem WOSPR i Centrum Kongresowym), jest nadzieją na godny wartości Śląska, przyjaźniejszy ludziom i środowisku, krajobraz po nie istniejącym już przemyśle.



Fot. Z archiwum Nadleśnictwa Katowice

Potężne zapadliska topią śląskie lasy

JOLANTA MATIAKOWSKA



Ciekawy pejzaż z hutniczym zwałowiskiem



Hałda górnicza brzegiem Bytomki

180 zabrzańskich hektarów

Zabrzańska malarka Halina Schiwujowa lubiła malować kwiaty. Do czasu, aż kiedyś nocą, w gęstym od zanieczyszczeń, drażniącym oczy i gardło powietrzu, nie mogła dojrzeć „Concordii". Wyłaniającą się ze złowieszczej, brudnej otchłani umieściła więc na swoim obrazie. Ta koksownia z połowy XIX wieku, rozpadła się sama, ze starości. Tak mówiono po jej zamknięciu w 1984 roku. Ale w świadomości ludzi żyła dalej. Jako prekursorka i symbol, powstałej kilka lat później ministerialnej listy największych trucicieli środowiska. Ich los był przesądzony. Wyrokiem o likwidacji. Tylko co po niej? Odpowiedzi rządowej nie było...

Dlatego industrialne cmentarzyska opanowały śląski krajobraz. Jak choćby ten po ogromnej, rudzkiej koksowni „Walenty". Przez lata jeszcze „żywiła" nie tylko zwykłych zbieraczy złomu. Strach było się tam zbliżyć bez obstawy.

Ten problem nie ominął też Zabrza. Miasta z jednym z najstarszych, przemysłowych rodowodów, które ceni sobie to dziedzictwo. Najbardziej ze wszystkich w górnośląskiej aglomeracji. Wpisuje je w przemysłowy szlak unikatowej turystyki. Podziemnej i tej na powierzchni.

To nie tylko fascynujące, ale trudne i kosztowne przedsięwzięcie. Szczególnie na niezagospodarowanych dotąd terenach po przemyśle. Tkwią one w tym mieście wszędzie. W każdej jego dzielnicy. Na obrzeżach głównie hałdy. W samym środku miasta za fasadą Centrum Handlowym „Platan", ukrywa się prawdziwe poprzemysłowe cmentarzysko. Z zapadliskami i zalewiskami, hałdami i zabytkowymi ruinami, oczekującymi przynajmniej na swój lifting.

Takie miejsca, zanim cokolwiek na nich powstanie, trzeba obowiązkowo oczyścić z toksycznych, pozostałości po starej produkcji. Do poziomu zero. Czyli do samej powierzchni terenu, odzyskiwanego dla nowej, funkcjonalnej przestrzeni miasta.

To trudne, uciążliwe i kosztowne operacje dla śląskich gmin. Niechętnie je podejmują bez konkretnego inwestora, zainteresowanego zniszczonym gminnym terenem. Nawet wówczas, gdy w unijnym Programie Operacyjnym „Infrastruktura i Środowisko" pojawiły się na ten cel duże pieniądze. W zakładce pt. „Przywracanie terenom zdegradowanym wartości przyrodniczych i ochrona brzegów morskich". Jak „ulał" pasującej do Śląska. I ... długo chętnych nie było. Mimo że Wojewódzki Fundusz Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w Katowicach dysponował pieniędzmi z tego programu, po regulaminowym czasie musiał przekazać je na potrzeby innych regionów.

Trafiły na Hel. Szybciej niż Urząd Morski się spodziewał. Też dobrze, bo jest tam co ratować i chronić.

Na szczęście Śląsk się obudził. Dokładnie 2 czerwca 2012 roku przedstawiciele Zabrza podpisali z Narodowym Funduszem Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w Warszawie (pełni on rolę jednostki wdrażającej unijny Program Operacyjny „Infrastruktura i Środowisko" dla zadań o wartości przekraczającej 25 mln złotych) umowę na zaakceptowany wcześniej projekt, przywracający terenom zdegradowanym wartości przyrodnicze.

Kryje się za nim „Rekultywacja terenów w rejonie rzeki Bytomki na obszarze gminy Zabrze", na powierzchni 180 hektarów. Mieści się na nich osiem poprzemysłowych, mocno zdegradowanych terenów i tych z zachowaną, cenniejszą przyrodą. Ich zagospodarowanie ma kosztować 48 mln złotych. Ponad 40 mln pochodzi z unijnego Funduszu Spójności, reszta z budżetu miasta.

Zdegradowane miejsca trzeba zobaczyć z bliska, by mieć wyobrażenie, jak karkołomne to zadanie. Szczególnie w dwu przypadkach.

Pierwszy to prawie 20. hektarowe zwałowisko hutnicze przy ulicy Bytomskiej i Hagera. Daje o sobie znać zapachem hutniczego spieku, zanim jeszcze, przez gęste chaszcze się do niego dotrze. To teren niebezpieczny, ale... zaskakująco ciekawy, z wyjątkową rzeźbą. Różnice w poziomach to 42 metry! Niebezpieczne, rozległe doły, głębokie zapadliska. To one odsłoniły miejscami przekroje, składowanych tutaj warstwowo przez pół wieku odpadów hutniczych. Tworzą dziś ciekawy pejzaż. Z księżycową architekturą i ścianą zieleni. Posprzątanie, niwelacja, zabezpieczenie, rewitalizacja i zaaranżowanie od nowa tego miejsca, będzie kosztować najwięcej.

Jak sobie poradzą wykonawcy prac na terenie po „Concordii" (to kolejne siedem hektarów) z rejonu ulicy Hagera? To miejsce z piekła rodem. Od drogi widać zniszczenia stare i nowe. Zaśmiecony, zasypany gruzem krajobraz po firmie Agrob Eko. Padła, po nagłej zmianie przepisów gospodarczych, zanim rozwinęła ekologiczne skrzydła. Nie pomogła w porządkowaniu rumowiska po koksowni, częściowo hucie i kopalni. Dziś ich zanieczyszczenia, skryte w ziemi i w bujnej zieleni, trudno nawet ogarnąć. Już samo przejście przez ten teren wymaga odwagi. By poznać rozmiary zniszczeń, zobaczyć resztki poprzemysłowych ruin, baterię koksowniczą czy ciekawą wieżę strażacką, brnie się przed grząski teren w smole. Po niepewnym gruncie, z ukrytymi przeszkodami, dołkami i gruzem, mocno zarośniętym po letnich deszczach i upałach. Nie dziwią mijane po drodze jakieś zmutowane konwalie, ślimaki czy samosiejki platanów. Podobno łamią się one jak zapałki, gdy ich korzenie dotrą do smoły. A są jej tam potężne ilości. Jeszcze po koksowni. W nieszczelnych zbiornikach zakopanych pod ziemią i na powierzchni. Rozlane w glebie. Trzeba ją oczyścić, a miejscami wymienić. Bo już niedługo w tym miejscu zostaną wytyczone szlaki turystyczne, ścieżki rowerowe i dydaktyczne. Urosną nowe drzewa, które nie utopią się w smole.

Największy teren do przyrodniczej rewitalizacji to ponad 95-hektarowy obszar z urokliwymi stawami zapadliskowymi w rejonie ul. Tarnopolskiej. Kolejny, znacznie mniejszy to Ruda, hałda pogórnicza, która już czeka na nową, zieloną szatę. Tak jak tereny z przepływającą przez nie Bytomką, czystszą niż przed laty. Doda ona uroku i zrekultywowanemu zwałowisku przy ulicy Trębackiej, i po rewitalizacji nieużytkowi w Maciejowie. Inny nieużytek z tej dzielnicy, oczyszczony z odpadów, zazieleniony i zadrzewiony zostanie oddany do dyspozycji mieszkańców. A i zabrzański Ogród Botaniczny, sąsiadujący z zawodnionym wyrobiskiem po eksploatacji gliny zyska po zagospodarowaniu, odpowiednie dla siebie sąsiedztwo.

Te miejsca dobrze są znane zabrzanom. A i turystów z przemysłowego szlaku bardzo ucieszą, gdy po wędrówce będą mogli w pobliżu odpocząć.

JOLANTA KARMAŃSKA

Dofinansowano ze środków Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w Katowicach

EKOLOGIA

„Wierzącemu w cuda wieśniakowi nie uszło uwagi, że jego bydlęta po całodniowym wypasie na soczystych i kwiecistych łąkach, wieczorem w drodze do domu zawsze jeszcze z własnego popędu zbaczały i udawały się do doliny porośniętej dziko karłowatymi dębami i jodłami, by pić wodę z tamtejszego źródła, zazwyczaj nie używanego przez mieszkańców. Trwało to tak przez wiele lat, dzięki czemu krowy pozostawały zdrowe i karmiły się doskonale, a chłopu czcili to cudotwórcze źródło w dzikim, romantycznym zakątku doliny Jastrzębia" – tak pisze w 1879 r. doktor David Weissenberg o początkach „Jodobromowego uzdrowiska solankowego Jastrzębia Zdroju na Górnym Śląsku" [w niemieckim oryginale tytuł brzmi „Das Jod-und Bromhaltige Soolbad Königsdorff-Jastrzemb in Ober-Schlesien"].

U zdrojowych wód Jastrzębia

GRZEGORZ SZTOLER

Początki każdego uzdrowiska są cudowne lub też cudowne powinny być. Legenda ułatwia późniejszą promocję takich miejsc. Po krowach kąpać się w jastrzębskiej wodzie zaczęli też i ludzie, którym również służyła.

„W końcu kilku rozumniejszym miejscowym udało się odsłonić rąbek tajemnicy tego przesądu i właściwie wytłumaczyć błogie działanie cudownego źródła – ciągnie dalej doktor Weissenberg. – Ustalili bowiem, że zwykle czysta woda miała bardzo słony posmak. Ta właściwość przywabiała bydło z daleka, ułatwiała mu trawienie i utrzymywała je tym sposobem przy zdrowiu. Później także chłopi z Jastrzębia i okolicy wielokrotnie stosowali wodę doświadczalnie na najróżniejsze dolegliwości".

Tłumów chętnych do skorzystania przybywało, a sława niewielkiego rozlewiska zataczała coraz szersze kręgi. Dowiaduje się o niej hrabia Feliks von Königsdorff, sprzedaje swe włości w Ślęży i Bielanach i w 1860 r. kupuje owe cudowne miejsce w Jastrzębiu Dolnym. Ryzykuje – chce wybudować tu uzdrowisko. Ryzykuje, bo w całych Niemczech pełno jest renomowanych kurortów. Trudno podejrzewać, że możni porzucą uzdrowiska w Karlsbad, Ems, a nawet w Kudowie, czy Dusznikach, by skorzystać z jakiegoś tam Jastrzębia, w którym niedawno jeszcze kąpały się krowy. Jednak atutem nowego miejsca są niezwykłe walory lecznicze solanki – wyrażają się o niej z uznaniem nawet lekarze z wrocławskiej metropolii.

Szukali czarnego złota

Jednak te solankowe kąpiele bydląt, na które zwrócili później uwagę ludzie, nie były cudem, ale wypadkiem przy pracy. Bowiem w Jastrzębiu w połowie XIX stulecia szukano węgla, a nie cudownej wody. Wnikliwie rekonstruuje to Tomasz Sikora:

„W 1859 roku ówczesny właściciel Jastrzębia Dolnego i Cetnarowca, baron Emil von Schlieben, rozpoczął poszukiwania złóż węgla. W czasie wierceń w dolinie Szotkówki, na głębokości ok. 124 metrów, przypadkowo natknięto się na słabe źródło solne. Dalsze wiercenia doprowadziły do odkrycia na głębokości 146 metrów pod ziemią kolejnego, bardziej wydajnego źródła. Pruskie władze skonfiskowały odwiert baronowi Schliebenowi i przekazały go Urzędowi Fiskalnemu, który miał uruchomić warzelnię soli. Spodziewano się bowiem, że wraz z solankami występować tu będą pokłady soli. Podjęto dalsze wiercenia, które przerwano po osiągnięciu 189 metrów. Nie natrafiono na złoża soli, a zasolenie źródeł było zbyt niskie, by opłacało się założenie warzelni. Odwiert oddano prawowitemu właścicielowi, baronowi Emilowi von Schliebenowi".

To, co nie opłacało się pruskim władzom wykorzystała natura. Wypływająca z odwiertów woda rozlewała się po okolicznych łąkach, a teren stawał się coraz bardziej podmokły. Najpierw zdrowotne właściwości tutejszej solanki dostrzegły krowy i miejscowi chłopi, którzy zaczęli z nich korzystać.

Uzdrowisko, czyli przemysł

„Słusznie nazywają Śląsk perłą korony pruskiej – donosi w 1865 r. warszawski »Tygodnik Ilustrowany« – bo skarby tego kawałka ziemi są niezmierne, lubo dotąd jeszcze całkowicie nie zbadane. Dowodem tego między innymi jest powiat rybnicki, gdzie jakby różdżką czarodziejską wywołane, zjawiły się wody lekarskie, w skutkach swych tak zbawiennie działające, że coraz więcej zwracają na siebie uwagę lekarzy i znacznej, niestety, liczby cierpiących, przy zdrojach wyleczenia, albo przynajmniej ulgi szukających. Punktem do którego od kilku lat chorzy udają się, w nadziei odzyskania tam zdrowia straconego, jest wieś Jastrząb, (dziś Königsdorf), już w r. 1467 znana, która w krótkim stosunkowo czasie, staraniem dziedzica teraźniejszego, hrabiego Königsdorfa, z nędznej wioszczyzny górnoszląskiej, zamieniła się na powabne miejsce, zaopatrzone w to wszystko, czego gość w kąpielach żądać ma prawo".

Rzeczywiście, nowy właściciel Jastrzębia, hrabia Feliks von Königsdorff przekonuje się naocznie, że jastrzębska woda posiada lecznicze właściwości. Przekazuje próbki jastrzębskich solanek do analizy składu chemicznego

do renomowanych laboratoriów w Berlinie i Wrocławiu. Wyniki badań sprzyjają inwestorskim zapędom hrabiego, którego ambicją staje się założenie własnego kurortu. Zdrojowa solanka, w której kąpały się krowy, zawiera chlorki potasu, sodu, wapnia, baru i strontu, jodek i bromek magnezu oraz śladowe ilości boranu sodu i fluorku wapnia.

Zaczyna się więc budowa Zdroju. W kwietniu 1861 r. powstaje tu pierwszy pawilon uzdrowiskowy, tzw. „szwajcarka", czyli dwukondygnacyjny, drewniany budynek wyposażony w cztery kabiny do kąpieli solankowych i salkę do picia wody. Uzdrowisko otwarto z pompą miesiąc później. Potem powstaje budynek za budynkiem. Cztery lata po otwarciu, goście nowego uzdrowiska – jak pisze „Tygodnik Ilustrowany" – „mają do wyboru między 300 pokojami dobrze urządzonemi, nie licząc w to dwóch hotelów dla przyjeżdżających przeznaczonych". Pacjentom szykowano łazienki „na wzór najsłynniejszych zagranicznych" i sprowadzono też „kilku zdolnych, doświadczonych lekarzy". W rekordowym 1863 r. „ilość gości kąpielowych doszła już do 864 osób", w kolejnym zanotowano spadek – 700 chętnych, ale „takiż sam ubytek miał miejsce i w innych kąpielach [jak zwano wtedy uzdrowiska], pierwszego nawet rzędu, bo skutkiem ciągłej niepogody wszystkie mniej jak zwyczajnie były odwiedzane". „Zdroje w Jastrzębiu, co do ilości jodu w nich zawartego, podobne są do słynnych Wildegg, Adelheidsquelle, Krakenheil i Kreutznach, ale korzystnie od tychże odróżniają się małą ilością zawartej w nich soli kuchennej, co pozwala używać ich bez rozcieńczenia, tak do kąpieli jak i do picia". Przybywający tu więc mogli liczyć, że jastrzębska solanka pomoże im – tak jak dopomogła miejscowym krowom. Leczono jastrzębską wodą choroby kobiece, naskórne, skrofuliczne [gruźlica węzłów chłonnych szyi] i paraliże. Cudowność tej zdrojanki dociera nawet za Ocean do Ameryki. W 1864 r. rozlano ją aż do 10 241 butelek. Wydajność źródła solankowego osiąga 2800 litrów wody na godzinę, a w ciągu całego dnia zapewnia 742 kąpieli.

Uzdrowiska położone na pruskim Śląsku widać cieszą się estymą redaktorów polskich gazet. „Odkryciem



Parkhotel

zdrojowiska w Jastrzębiu uzupełnia się szereg szląskich wód lekarskich, a mieszkańcy nie tylko prowincyi samej, ale i krain na wschód od niej położonych, (między niemi i Polska), nie potrzebują już odbywać dalekich i kosztownych podróży do kąpieli czeskich lub nadreńskich" – zachwalają. Wysłannik cytowanego tu kilkakrotnie „Tygodnika Ilustrowanego", Jan Mikołaj Fritz, gości w Jastrzębiu ponownie, dwa lata po pierwszej prasowej relacji, w 1867 r. Pisze krytycznie, ale z uznaniem o rozmachu towarzyszącym tutejszemu Zdrojowi: „Liczba rodzin i osób pojedynczych, używających tu kuracji, z końcem lipca [a więc w połowie sezonu] doszła do 300 przeszło, a grono kąpiele, składające się przeważnie z kobiet narodowości niemieckiej i polskiej, tudzież z roju dzieci, wspierają pomocą lekarską dwaj doktorzy miejscowi [...]. Orkiestra, prawdę mówiąc, nie należąca do pierwszorzędnych, grywa dwa razy na dzień, a tak zwane »reunions« odbywające się co dwa tygodnie w sali dostatecznie wielkiej, ale nader niskiej nastręczają miłośnikom tańca sposobności do popisu".

Dwa lata później, w 1869 r. widzimy w Jastrzębiu wysłannika „Dziennika Poznańskiego" – a z jego słów wynika, że bywa w śląskich kurortach – który zwierza się z wrażeń: „Źródło tutejsze, pomocne w reumatyzmach, skrofułach, nerwowych i niewieścich chorobach, nie jest jeszcze nawet bardzo nawiedzane, do Szczawnicy przybywa najmniej trzy razy tyle, a jednak śmiało można powiedzieć, że wygody pobytu w tych dwóch miejscach są w odwrotnym stosunku do tej proporcji. Trudno odmówić w tym względzie uznania zasługom byłego właściciela Jastrzębia hrabiego Königsdorffa, który w roku 1862 większą część potrzebnych budynków i domów własnym kosztem wystawił, nowe ulice wytknął i całą miejscowość zrobił prześlicznym, dobrze utrzymanym parkiem."

Upadek

Przez kolejne dwie dekady jastrzębski Zdrój, który zdążył już sobie wypracować dobrą markę wśród kuracjuszy, wyraźnie podupadł. Złożył się na to cały szereg przyczyn, które wystąpiły niezależnie od siebie – jednocześnie. Niewątpliwie uzdrowisku zabrakło dobrego, odpowiedzialnego gospodarza – takiego jakim był hrabia Königsdorff. Dociekliwy badacz historii jastrzębskiego Zdroju, Tomasz Sikora, ocenia to jednoznacznie: „Nieumiejętne zarządzanie i częste zmiany właścicieli kurortu doprowadziły do utraty zdobytej już wysokiej pozycji wśród uzdrowisk europejskich. Do upadku Bad Koenigsdorff-Jastrzemb przyczyniły się także zawirowania polityczne, a w szczególności wojna prusko-francuska. Nie bez znaczenia była też antypolska polityka kulturkampfu prowadzona przez Bismarcka, co powodowało, że polscy kuracjusze z Kongresówki stanowiący dotąd większość gości, wybierali inne modne uzdrowiska."

Dofinansowano ze środków
Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska
i Gospodarki Wodnej w Katowicach

Polityka wyraźnie przeszkadzała interesom – nie po raz pierwszy.

Zdrojowy renesans

Odrodzenie świetności nadchodzi na przełomie XIX i XX stulecia, kiedy to berliński bankier, Juliusz Landau, odsprzedaje jastrzębskie uzdrowisko doktorowi Mikołajowi Witczakowi, który pracuje tu od 1890 jako lekarz zdrojowy i zna je od podszewki. To on wspiera działania Niemca, który zamierzał przekształcić jastrzębski Zdrój w dziecięcy ośrodek leczący reumatyzm. I Jastrzębie – podobnie jak współcześnie Rabka Zdrój – staje się takim dziecięcym kurortem. Działają tu niezależnie od siebie katolicki, żydowski i ewangelicki zakład lecznicy dla dzieci. Doktor Witczak i jego spadkobiercy byli właścicielami jastrzębskiego uzdrowiska aż do chwili jego nacjonalizacji w 1946 r. Przez ten czas – i to mimo burzliwych czasów – Jastrzębie systematycznie rośnie…

„Podwaliny dla dzisiejszego zakładu kąpielowego stworzył i nadał właściwy kierunek jego dalszego rozwoju dopiero w ostatnich latach ub. stulecia młody ówcześnie, energiczny lekarz, Polak dr Witczak, jako nowy właściciel Zdroju – przyznaje w latach 20. dwudziestego stulecia kolejny uzdrowiskowy doktor, Stanisław Typrowicz. – Wybudował on z dużym nakładem środków nowy dom łazien z wziewalnią i działem wodoleczniczym, ulepszył pijalnię, urządził park zdrojowy i skłonił odpowiednie instytucje do budowy i urządzenia okazałej Lecznicy Spółki Brackiej dla górników i Lecznicy Zakładu Ubezpieczeń Społecznych. Czasy wojny światowej i okres walk powstańczych o wolność Śląska z natury rzeczy wstrzymywały dalszy rozwój zakładu wyrządzając dość poważne szkody w urządzeniach zdrojowych i mieszkaniowych, jednakże już wkrótce po przyłączeniu Śląska do Macierzy zaznacza się dalszy, szybki postęp i rozbudowa, powstanie nowych zakładów i domów…”

W drugiej Rzeczypospolitej ranga Jastrzębia wzrasta – o ile dawniej było ono jednym z wielu niemieckich uzdrowisk, teraz staje się jednym z najważniejszych, największych zdrojów na polskim Śląsku. Liczba kuracjuszy rośnie do pięciu tysięcy rocznie. Przybywają tłumnie – poza Ślązakami – Wielkopolanie i Warszawiacy. Nie bez powodu jastrzębskie uzdrowisko reklamuje się w 1938 r. jako „perła uzdrowisk śląskich”. Rozwojowi Jastrzębia sprzyjają dobre połączenia kolejowe z najważniejszymi miastami w Polsce. Do stolicy docierało się stąd w sześć godzin i czterdzieści sześć minut.

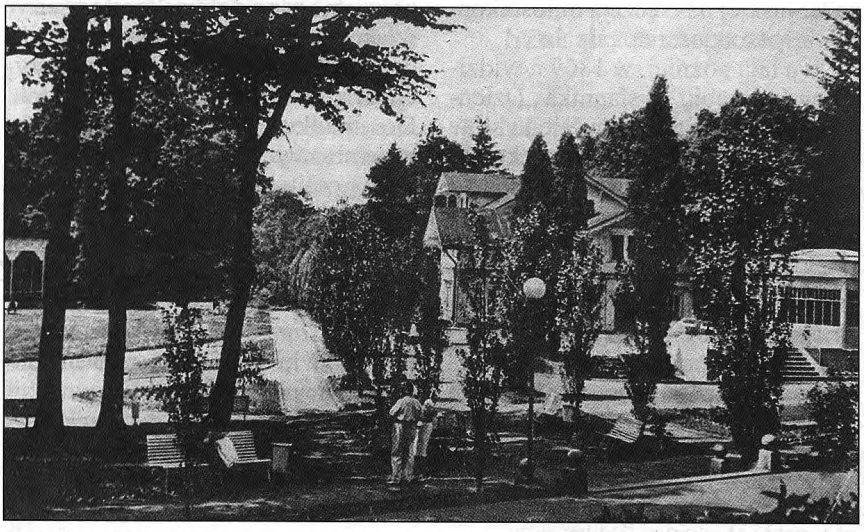
„Dwudziestolecie międzywojenne było najlepszym okresem w historii jastrzębskiego Zdroju – podsumowuje Tomasz Sikora. – Po odbudowaniu zdewastowanych w czasie I wojny i powstań urządzeń i budynków uzdrowiskowych, zarząd kurortu inwestował w jego rozwój. Dzięki staraniom właścicieli Jastrzębia zbudowano urządzenia wodociągowe i kanalizacyjne oraz oświetlono i wyasfaltowano główną ulicę uzdrowiska. Uzdrowisko miało nawet swoją własną elektrownię. Jastrzębie Zdrój stawało się coraz bardziej cenionym kurortem.”

Jak wygląda taka codzienna, zdrojowa sielanka? Po kąpielach solankowych zmęczeni kuracjusze wypoczywają w Parku Zdrojowym słuchając koncertów zdrojowej orkiestry. W Domu Zdrojowym (Kasynie) działa klub towarzyski, czytelnia gazet i czasopism wraz z biblioteką oraz pokój brydżowy. Dla gości codziennie urządzane są dancingi. Ale chyba największym wzięciem cieszą się sporty konne. Tor jeździecki znajduje się koło Willi „Europejskiej”. Popularne są kajaki i tenis ziemny, a tutejszy Klub Tenisowy organizuje zawody o mistrzostwo uzdrowiska. Także szermierka ma swoich wielbicieli. Jest i pierwszy w okolicy odkryty basen z wieżą do skoków, otoczony piaszczystą plażą. Urządzane są wycieczki w malowniczy Beskid Śląski.

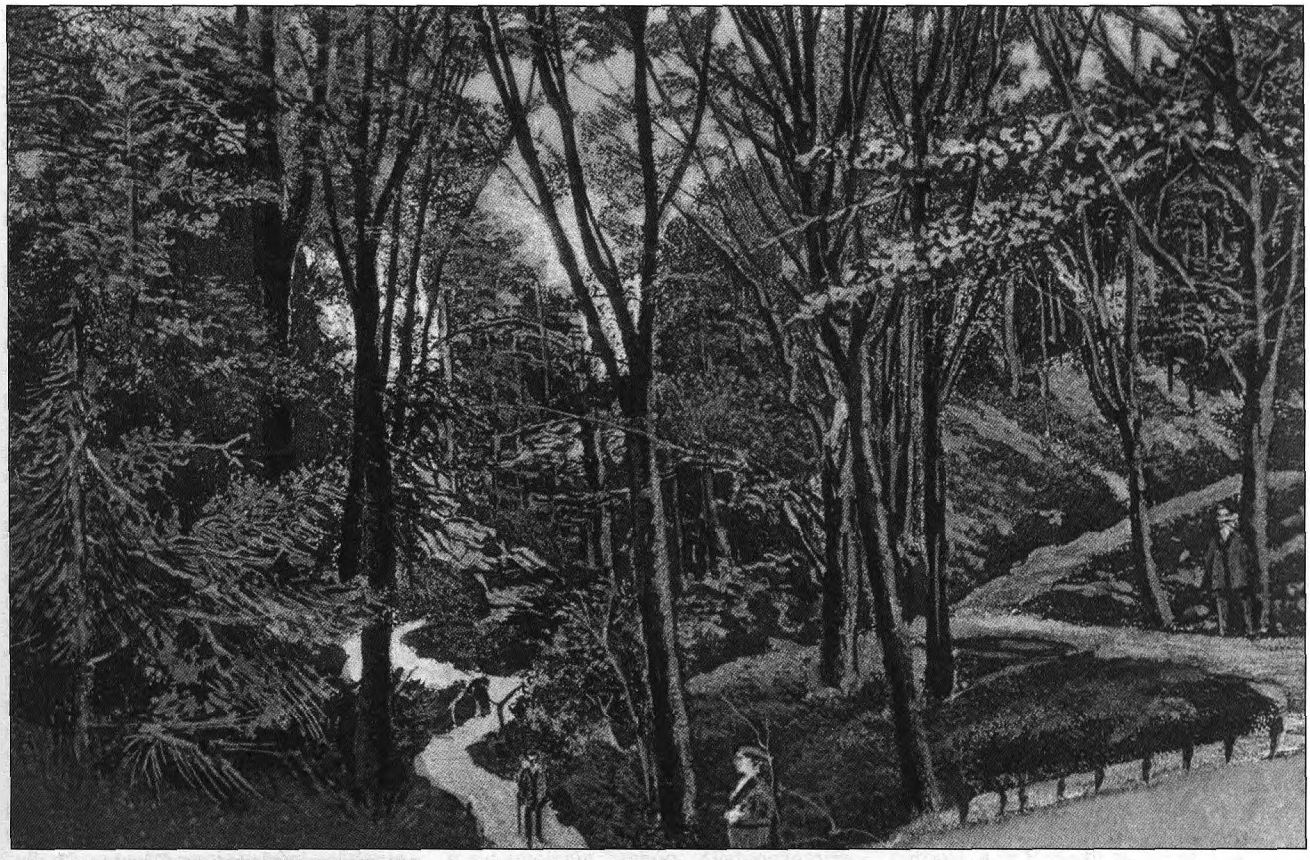
Agonia Zdroju

To czarne złoto, dzięki któremu cudowna woda z ziemskich głębin rozlała się na powierzchnię przyczyniając się do powstania jastrzębskiego zdroju, po latach, za PRL-u, stało się jego przekleństwem. „Wprawdzie po wojnie zrazu wyglądało na to, że najważniejsze zdrojowisko śląskie ma przed sobą wielkie perspektywy, ale już plan sześcioletni przekreślił te nadzieje, zaś następne plany pięcioletnie obróciły je w niwecz – podsumowuje zwięźle upadek jastrzębskiego Zdroju Ryszard Kincel w książce „U szląskich wód. Z dziejów śląskich uzdrowisk i ich tradycji polskich”. – Kraj bowiem przede wszystkim potrzebował węgla, więc radoczynnych solanek jodo-bromowych poszukiwa no gdzie indziej, gdzie z nimi nie konkurowało »czarne złoto«. Tedy nastała agonia Jastrzębia Zdroju”.

Dostojne, zdrojowe obiekty z biegiem lat pustoszeją. Sanatoria i gabinety, w których stosowano dotąd z powodzeniem jastrzębskie i zabłockie solanki, zostają zamknięte. Do tego kopalnie przyczyniają się do zaniku cudownych podziemnych wód, w któ-



Park – Łazienki



Dolina Mikołaja

rych dawniej kąpały się krowy, a następnie – przez dekady – kuracjusze. Ludowa władza „przenosi" w końcu działalność jastrzębskiego uzdrowiska do Ustronia. W 1994 r. likwidacji uległy ostatnie, działające w Jastrzębiu Zdroju zakłady uzdrowiskowe, a w 2007 r. miasto na mocy rządowego rozporządzenia oficjalnie utraciło status uzdrowiska.

Solanki – powrót?

Nie wszyscy pogodzili się ze śmiercią jastrzębskiego Zdroju. W Parku Zdrojowym – po latach starań – ma zostać przywrócona solankowa fontanna przy której będzie można się – jak niegdyś – inhalować. W jastrzębskich szkołach już teraz instaluje się przy grzejnikach specjalne pojemniki z solanką, która parując „uzdrawia", a właściwie to „joduje" dzieciaki – i to lepiej niż bałtyckie powietrze.

Szkoda, że historia jastrzębskiego zdroju nie potoczyła się, tak jak tego z sąsiedniej Karviny. To zadziwiające podobieństwo obu tych miast zauważa nawet strona urzędowa Jastrzębia Zdroju: „Karwina to pod wieloma względami odpowiednik naszego miasta po drugiej stronie granicy – przemysł górniczy, zabytkowe dzielnice z okazałymi obiektami zabytkowymi oraz uzdrowisko. Wyjątkiem jest jednak fakt, że w Karwinie, a dokładnie w Darkowie działa ono po dziś dzień. Lázně Darkov, czyli Darków Zdrój to obecnie część miasta, która znana stała się dzięki założonemu w 1866 zakładowi lecznictwa uzdrowiskowego".

Pod Karviną dalej fedrują, a mimo to mają tam „swój zdrój", niewiele młodszy, właściwie – równy wiekiem jastrzębskiemu [polecam jego historię www.darkov.cz/o-nas/historie]. Czemu nie udało się ocalić jastrzębskiego uzdrowiska?

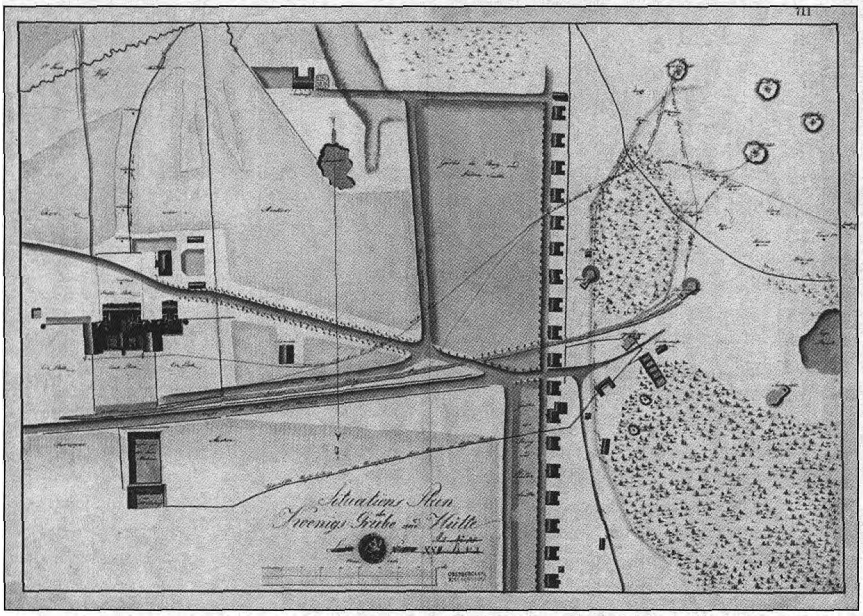
Secesyjny kapelusz babci

Wydaje się, że uzdrowisko to piękna karta w historii Jastrzębia i powinna wszystkich cieszyć. Nie do końca tak jest. Okazuje się, że dalej ściera się tu „czarne złoto", którego żyje współczesne Jastrzębie, z uzdrowiskiem, Zdrojem, przeszłością, której – podobno – nie da się pogodzić [www.tmzj.org]:

„Na krótką historię miasta wpływ Zdroju jest znikomy – twierdzi Marian Górny, prezes TMZJ. – To poszukiwanie węgla spowodowało odkrycie solanki jodobromowej, to węgiel decydować będzie przez najbliższe dziesięciolecia o kondycji ekonomicznej Jastrzębia-Zdroju. [...] Niezaprzeczalnie dzielnica Zdrój jest jego ozdobą. Można o byłym uzdrowisku mówić z nostalgią, dbać o jego estetykę, zachwycać przeszłością, lecz dla naszych potomków ma to samo znaczenie co piękny, secesyjny kapelusz babci".

Ten zdrojowy kapelusz ma już co prawda ponad 150 lat, ale nadal jest piękny. Górnicze Jastrzębie, 50-letnie miasto, z blokowiskami, rozkopanymi ulicami nie może pochwalić się piękniejszą kartą historii niż ta – uzdrowiskowa. Zdrój niewątpliwie dodaje mu uroku.

■



Plan kopalni „Król", od której zaczął się Chorzów-Zdrój (obok teren huty „Królewskiej").

Chorzów Zdrój

BEATA TOMANEK

Kiedy pomyślę „Chorzów", w mojej głowie uruchamiają się obrazy z dzieciństwa. Widzę ogromne języki ognia, groźne, ale ujarzmione. Przykuwające spojrzenia i pojawiające się w towarzystwie całych fajerwerków iskier. Najlepiej takie widowisko prezentowało się po zmierzchu, kiedy wokół było już ciemno. Wsiadałyśmy wtedy z moją koleżanką z podwórka do tramwaju nr 6 jadącego do Bytomia, zajmowałyśmy miejsca przy oknie i przygotowywałyśmy się na ten przejazd obok „piekła", żeby z krótkich chwil przejazdu wchłonąć jak najwięcej wrażeń. Fascynował nas ten roziskrzony, rozżarzony potężny ogień. Dopiero kilka lat później pomyślałyśmy z podziwem też o tym, że w otoczeniu tego ognia pracowali ludzie, którzy „ciężką pracą wykuwali nasz dostatni los". To były lata 70-te ubiegłego wieku, a widowiskowe języki ognia można było zobaczyć przez ogromne okna „Huty Kościuszko".

Przede wszystkim przemysł ciężki

Właśnie tak kojarzy nam się Chorzów, niegdyś Królewska Huta. Jednak należy wiedzieć, że przed hutą powstały tutaj kopalnie. W 1787 roku Ludwik Bojarski, miejscowy proboszcz, odkrył pokłady węgla kamiennego i przyczynił się do powstania pierwszej kopalni, którą nazwał „Księżna Jadwiga", należała ona do parafii. W 1791 roku uruchomiono kolejną kopalnię „Król" (późniejsza „Prezydent"), a dopiero w 1799 z inicjatywy hrabiego Redena powstała „Królewska Huta". Pierwsza kolonia robotnicza powstała przy dzisiejszej ulicy Teodora Kalidego. Jest datowana na rok 1800. I tak wokół huty i kopalń zaczęło rozwijać się przyszłe miasto Chorzów. Jedno z najbardziej zadymionych, zakurzonych, zanieczyszczonych miast górnośląskiej aglomeracji. W latach 70-tych, które wspominałam, normy zanieczyszczeń dopuszczalnych pyłów zawieszonych, dwutlenku węgla i siarki przekraczane były nawet tysiąc razy. Sytuacja diametralnie zmieniła się po zmianie ustroju politycznego i gospodarczego w 1989 r. Już w pierwszych latach transformacji ustrojowej ustanowiono nowe, bardziej restrykcyjne prawo. W 1991 r. weszła w życie ustawa o Inspekcji Ochrony Środowiska. Od tego czasu stan czystości powietrza znacznie się poprawił, chociaż eksperci z Komitetu Ekologii Polskiej Akademii Nauk stwierdzili, że z całą pewnością zawiera ono oprócz swoich naturalnych składników jak: azot, tlen, dwutlenek węgla i śladowe gazy szlachetne także trucizny, widniejące w zestawie 54 toksycznych substancji, za których emisję resort ochrony środowiska pobiera kary. Naukowcy sporządzili precyzyjny zestaw substancji występujących w powietrzu w największym stężeniu. Jest w nim dwutlenek siarki, pył, tlenki azotu, węglowodory aromatyczne, tlenki węgla, wodór, fluor i kadm. Do najbardziej zanieczyszczonych miast w kraju należą: Katowice, Zabrze, Chorzów, Dąbrowa Górnicza, Bytom i Ruda Śląska.

Takie dane nie dziwią nawet dzisiaj, przecież mieszkamy na Górnym Śląsku, epicentrum ciężkiego przemysłu, konsekwencje rozwoju którego odczuwamy do dzisiaj. Temu przemysłowi jednak zawdzięcza Chorzów również lata rozkwitu, którego pozostałości można dostrzec i dzisiaj. Dociekliwy spacerowicz wędrujący niespiesznie po komercyjnej ul. Wolności, nie tylko będzie miał okazję być zaskoczonym historią Chorzowa, ale też zdziwić się i to nie raz.

Od zadziwienia do zdziwienia

Ten spacer odbyłam kilka lat temu w towarzystwie pana Romana Liczby, honorowego chorzowianina z 2000 roku, autora „Nietypowego przewodnika po mieście dla dzieci i dorosłych". W Chorzowie jest deptak zwany „Wolką", który znakomicie nadaje się do chodzenia połączonego z podziwianiem i poznawaniem historii. Wystartowaliśmy z rynku. Zostawiliśmy w tyle remontowany wiadukt, rozkopy i ratusz. Spojrzeliśmy jeszcze na stylowy budynek Teatru Rozrywki, niegdyś elegancki hotel.

– Hotel Graf Reden był reklamowany jako ekskluzywny, najlepszy hotel na Śląsku i jeden z najnowocześniejszych w Niemczech. Wybudowany za pół miliona marek, miał 23 pokoje, centralne ogrzewanie, linię telefoniczną! W rok po otwarciu, w 1911, otwarto w nim salę widowiskową, w której urządzane były bale, imprezy charytatywne i spektakle teatralne. Jednorazowo mogło się w nim bawić 2500 osób! – pan Roman rozpoczął swój plan zadziwiania faktami z dziejów tego wydawałoby się głownie przemysłowego miasta. – Czy pani wie, że w Chorzowie, w niedalekim sąsiedztwie tego eleganckiego hotelu „Graf Reden", nieco powyżej znajdował się warsz-

tat, w którym bracia Soporowie, dzisiaj zupełnie zapomniani, konstruowali i produkowali własne samoloty? Nadali im nazwę „Silesia" z kolejnymi numerami. Powstało tu około 10 maszyn. Czy ktoś dzisiaj o tym wie? A działo się to w tym samym czasie, kiedy do hotelu „Graf Reden" przyjeżdżali ekskluzywni goście na początku XX wieku.

Minęliśmy zwracający na siebie uwagę piękny budynek Poczty Głównej przy ul. Wolności 2 wzniesiony w latach 1891/1892 i otwarła się przed nami prawie 2 kilometrowa prosta jak drut droga z pięknie odnowionymi mieszczańskimi kamienicami po obu stronach. Ta ulica od samego powstania pomyślana była jako centrum usługowo-handlowe i administracyjne. Wzdłuż niej powstawały sklepiki, kawiarenki, kina...

– Ulica Wolności jest zwierciadłem dziejów miasta – mówił mój przewodnik, pan Roman – te kamienice powstałe na przełomie XIX i XX wieku są dzisiaj świadectwem świetności i bogactwa Królewskiej Huty. Zachowały się prawie wszystkie, prawie niezmienione. Jedynie tutaj – w tym momencie zatrzymaliśmy się przy McDonaldzie – tutaj niegdyś wznosiła się żydowska synagoga wybudowana w latach 70-tych XIX wieku. Zburzyli ją hitlerowcy w 1940 roku. Najstarszym zaś budynkiem przy tej ulicy jest ten na rogu Wolności i Żeromskiego, pochodzi z 1871 roku.

Idziemy niespiesznie w górę, w kierunku miejsca, w którym powstały pierwsze zabudowania, zanim jeszcze została poprowadzona ulica Wolności. Zalążki dzisiejszej ulicy pojawiły się wraz z powstaniem kolonii Erdmannswille, która była budowana od 1826 do 1834 roku.

– To też ciekawa sprawa, gdyż była to prywatna kolonia robotnicza założona przez przedsiębiorcę Erdmanna Sarganka. Dzisiejsze centrum Chorzowa powstało w wyniku połączenia wielu kolonii robotniczych w jedną całość. Przemysł wydobywczy, powstanie Królewskiej Huty w 1802 roku przyczyniły się do rozwoju miasta. Niebagatelna była tutaj działalność Fryderyka Redena, dyrektora Wyższego Urzędu Górniczego we Wrocławiu i ministra w rządzie pruskim, zasłużonego dla rozwoju przemysłu Górnego Śląska. Tylko przemysł i przemysł przewija się w naszej rozmowie, a przecież chciałem panią zaskoczyć zupełnie inną przeszłością Chorzowa. Już się do niej powoli zbliżamy.

W kierunku kanału Suez

– To niedaleko stąd, w okolicy zbiegu ulic Hajduckiej i Powstańców – prowadził mnie mój przewodnik Roman Liczba. – Na starych zdjęciach wygląda malowniczo, ten egzotycznie nazwany kanał. Zielone zagajniki, wysokie drzewa to niedaleka przeszłość. W ogóle tu, gdzie jesteśmy, jeszcze 200 lat temu rósł gęsty las! A właściwie nie las, tylko bór.

Próbuję sobie wyobrazić ten las w dzisiejszym centrum miasta. Dowiedziałam



Graf Friedrich Georg Reden, założyciel kopalni „Król".

się, że na wzniesieniach dominowały lasy sosnowe i świerkowe, a niżej dębowe. Zostały zlikwidowane z powodu... wojny o wyzwolenie Stanów Zjednoczonych. Przez nią Europa została odcięta od dostaw drzewa z brytyjskich kolonii. Już pod koniec XVIII wieku większość lasów z terenu Górnego Śląska została wycięta.

– Dzisiaj malowniczy kanał Suez płynie rurą i jest zakryty – wraca do rozmowy Roman Liczba. – Ten kanał to odnoga Rawy, równie zanieczyszczona i cuchnąca. Nie dojdziemy tam, gdzie kiedyś płynął, skręcimy w ulicę Zjednoczenia, żeby trafić do miejsca, w którym trysnęło źródło.

Wycieczka po centrum Chorzowa zaczyna być coraz bardziej intrygująca. Z niedowierzaniem przyjęłam wiadomość, że mogła gdzieś tutaj trysnąć źródlana woda. Minęliśmy liceum im. Juliusza Słowackiego i sąsiadujące z nim kolejne im. Marii Skłodowskiej-Curie, następnie planty wraz z pomnikiem Fryderyka Chopina i zatrzymaliśmy się u wylotu brukowanej alejki biegnącej pomiędzy Szpitalem Zakaźnym z jednej i cmentarzem miejskim z drugiej strony.

– To ulica Starego Zdroju – kontynuował swą opowieść pan Roman. – Nazwa wyraźnie nawiązuje do tradycji Chorzowa-Uzdrowiska, choć zdrój trysnął w Królewskiej Hucie, wówczas niezależnej dzielnicy, dopiero dzisiaj stanowiącej śródmieście Chorzowa. W 1791 roku w kopalni „Król" (aktualnie w jej miejscu znajduje się stacja kolejowa Chorzów-Miasto) podczas głębienia pierwszego szybu, niespodziewanie na głębokości 50 metrów trysnęło źródło „kwaśnej wody" (tak nazwali go górnicy ze względu na wyrazisty smak). Od razu jego właściwości zaczął badać tutejszy lekarz, dr Banerth, który z miejsca stał się entuzjastą leczniczych właściwości odkrytych wód. Stwierdził, że jest to woda żelazowo-kwaso-węglowa. Na jego zlecenie przeprowadzono też bardziej szczegółową analizę chemiczną u znanego, tarnogórskiego aptekarza Cochlera i określono jej skład. Zawierały się w niej: siarczany, tlenki wapnia i magnezu, kwaśne węglany sodowe, sole amonowe, kwasy organiczne i związki żywiczne. W każdym razie ta chemiczna mieszanka była bardzo skuteczna przy leczeniu chorób kobiecych i skórnych oraz przy schorzeniach reumatycznych i artretyzmie. Dosyć powszechne to dolegliwości, toteż rychło powstało uzdrowisko wokół „kwaśnej wody", które przeszła do historii jako

Śląskie Baden Baden czyli „Źródła Banertha".

Powstało uzdrowisko na miarę Dusznik, Kudowy czy Świeradowa. Nie ma w tym porównaniu żadnej przesady. Przybywali do Chorzowa tłumnie bogaci kuracjusze z różnych stron Polski, by poddać się leczniczej działalności wód. Kierownictwo kopalni „Król" zdecydowało się nawet zainwestować w specjalną pompę do wydobywania wody, poruszaną maszyną parową, a dr Banerth zachęcał do korzystania z uzdrowiska na łamach „Schleisische Provinzialblatter" pisząc, że nie są to „tylko jakieś kąpiele przy wielkich piecach i hałdach żużlowych". Efekty takich działań były bardzo wymierne. W 1830 roku w uzdrowisku Królewska Huta przebywało 68 gości, w tym 21 z Królestwa Kongresowego. Udzielono 1322 kąpieli w wannach, 144 parowych oraz 231 natryskowych. Władze Uzdrowiska wspaniałomyślnie udzieliły 166 kąpieli bezpłatnie i 452 po zniżonej cenie. W tym samym czasie w sławnej Kudowie przebywało ponad 200 kuracjuszy, a w Cieplicach około 100, głównie z Austrii i Rosji. Należy mieć na uwadze przy tych statystykach, że był to pierwszy rok działalności Domu Kąpielowego „Amalienbad" czyli Łazienek Amalii. Znajdowały się one przy dzisiejszym pomniku Chopina, który minęliśmy po drodze do alei Stary Zdrój. Sława uzdrowiska rosła. Przy dzisiejszych ulicach: Wolności i Jagiellońskiej, na skraju zdrowego, relaksująco szumiącego, gęstego lasu umieszczono Dom Zdrojowy i uzdrowiska czyli domy wczasowe, zaś przy ulicy Sienkiewicza, w pobliżu budynku byłego już Teatru Miejskiego stała Muszla Koncertowa i niski parterowy domek, w którym mieściły się biura uzdrowiska. Od 1830 roku Królewska Huta figurowała w rejestrze śląskich uzdrowisk. Dzisiaj po tych obiektach nie pozostał żaden ślad. Tylko nazwa deptaka „Stary Zdrój" przypomina o istnieniu słynnych, leczących „źródeł Banertha", które tak jak nagle się pojawiły w historii Królewskiej

Huty, tak nagle zniknęły. Zarówno do jednego i drugiego zdarzenia przyłożyli swoje ręce górnicy. Otóż w wyniku działalności przemysłowej w połowie XIX wieku, zwłaszcza zaś wydobywania węgla doszło do zaniku wód gruntowych i wysychania studzien. Mieszkańcom zaczęło brakować wody do tak prozaicznych czynności jak zaspokajanie pragnienia i utrzymywania higieny, więc szkoda było ją marnotrawić na taki luksus jak kąpiele lecznicze. W książce „Polska Droga Chorzowa" Rajmunda Hankego czytamy, że „w 1863 roku w czasie wizyty ministra handlu Itzenplitza ludzie skarżyli się, że zamożniejsi muszą wodę kupować, biedniejsi muszą już w nocy zasadzać się przy studniach, aby zdobyć trochę wody". Potwierdzeniem tych kłopotów z wodą w Królewskiej Hucie może być też notatka z 1884 roku, opublikowana w „Gazecie Górnośląskiej": „Sprowadzenie wody z Tarnowskich Gór kosztowało 700 000 marek. Rur spotrzebowano do tego urządzenia 5000 sztuk, które ważą 22 224 711 kg. O sprowadzenie wody postarał się tutejszy król. zarząd górniczy na koszta fiskalne". Dawnej świetności jako kurortu i uzdrowiska Królewska Huta nigdy już nie odzyskała. Jednak powiedzenie

„co komu pisane..."

odnosi się najwyraźniej też do miejsc na Ziemi. Epizod dzisiejszego Chorzowa jako uzdrowiska trwał ok. 50 lat. Minęło jeszcze kolejnych 100 lat i Chorzów znów stał się enklawą zieloności, kultury i wypoczynku na Śląsku. W latach 50-tych ubiegłego stulecia ówczesny wojewoda katowicki Jerzy Ziętek zarządził budowę na kilku tysiącach hektarów ziemi, ogromnego parku, w którym Ślązacy mogliby odpoczywać i oddawać się rozrywkom po znojnej pracy. Od 1967 roku Park Kultury i Wypoczynku w całości mieści się w granicach administracyjnych miasta Chorzowa. Ze względu na rozliczne atrakcje przyjeżdżały do tego „zielonego serca Śląska" wycieczki z całego kraju. Na wszystkich największe wrażenie najpewniej robi kraina tysiąca róż, czyli Rosarium. Już latem można tam spacerować i chłonąć zapach, który odrywa od trosk rzeczywistości i przenosi gdzieś na „planetę małego księcia". Oczywiście tych, którzy mają wyobraźnię i przychodzą do Rosarium, żeby odpocząć. Spacerowałam kiedyś między rabatami wraz z panem Łukaszem Drozdem, który opiekował się tymi wszystkimi, przepięknymi, kolorowymi okazami. Wiem od niego, że rośnie w tym miejscu ponad 30 tysięcy krzaków róż w 280 odmianach. Dzięki temu jest to największe rosarium w Polsce oraz jedno z największych w Europie i w świecie. Powstało z inicjatywy Polskiego Towarzystwa Miłośników Róż. W 1965 wykonano prace ziemne, rok później dokonano nasadzeń, a w 1968, dokładnie 24 czerwca otwarto Rosarium. Wówczas róże zostały rozsadzone do 84 komórek w kształcie plastrów miodu. Dzisiaj jest tych komórek 284, uzupełniają je większe rabaty w kształcie soczewek. Kto o tym wie? Jeżeli ktoś lubi spacerować, dojdzie z Rosarium do Ogrodu Zoologicznego, a tam wypatrzy przedziwną roślinę kwitnącą zimą – miłorząb japoński. Śląskie ZOO to prawie 48 ha zielonych terenów, z oryginalnymi i rzadkimi gatunkami roślin. Średnio co roku spaceruje w tym miejscu ok. 300 000 osób. Można tu zobaczyć mini ZOO oraz jedyną na taką skalę kotlinę Dinozaurów. Kiedyś nad egzotycznymi zwierzętami można było podróżować „Elką". Stara kolejna została rozebrana, ale już w budowie jest jej następczyni. Znakomitym miejscem do spacerowania i poznawania dziejów naszego regionu jest Skansen Górnośląski. Organizowane są w nim zajęcia edukacyjne, lekcje szkolne, a także atrakcje rekreacyjne. Aż trudno uwierzyć, że teren, na którym powstał dzisiejszy Park Śląski, w 75 proc. pokryty był hałdami, odpadami pogórniczymi, zapadliskami, bagnami, wysypiskami i biedaszybami. Reszta to były pola i pojedyncze karłowate drzewa. Była to pionierska w skali kraju a nawet Europy próba przywrócenia życia środowisku zdewastowanemu przez przemysł. Budowę rozpoczęto w 1951 roku, a tworząc nowy krajobraz przemieszczono ok. 3,5mln m^3 ziemi i dowieziono dalsze 0,5mln m^3 torfu i ziemi rodnej. W pierwszych latach budowy wysadzono ponad 3,5mln drzew i krzewów w 70 gatunkach. Sadzono głównie topole, wierzby, brzozy, czeremchy, bez czarny, które odznaczają się odpornością na zanieczyszczenia przemysłowe i stosunkowo szybko rosną. Dążono również do wytworzenia mikroklimatu optymalnego dla gatunków wrażliwszych. W miarę jak park zmieniał swe oblicze, tworząc specyficzne warunki bioklimatyczne, popularne gatunki drzew zastępowane były gatunkami szlachetnymi, takimi jak: lipy, dęby, buki, klony i jesiony oraz drzewami iglastymi: świerkiem, cisem, modrzewiem, jodłą, sosną, które początkowo nie miały szans przeżycia ze względu duże zanieczyszczenie środowiska naturalnego na Górnym Śląsku. Dzisiaj każdy z nas ma w swojej pamięci wspomnienia ze spacerów w parku ze swoimi rodzicami, dziadkami, a potem ze swoimi pociechami. Równolatkowie Parku są dzisiaj również dziadkami i prowadzą do Wesołego Miasteczka wnuczęta. Niestety, karuzele w Wesołym Miasteczku najbardziej pokazują potrzebę odremontowania i unowocześnienia Parku, który już ma swoje lata i wymaga większego zainteresowania i troski. Brakuje środków na jego utrzymanie i modernizację. Największy Park w centrum miasta w Europie jest piękną kartą w historii Chorzowa. Jest przeszłością. Jednak od kilku lat powstaje na obrzeżach Chorzowa inna inwestycja, która otwiera nowe perspektywy oraz drogę rozwoju miasta jako centrum naukowo-edukacyjnego. To właśnie tutaj Uniwersytet Śląski postanowił umieścić część swojego Wydziału Matematyki Fizyki i Chemii i rozpoczął kilka lat temu prace nad supernowoczesnym centrum nauki, gdzie badacze mogliby pracować bez żadnych zakłóceń i przeszkód. Spokój, natura wokół oraz brak hałasu, wysokich budynków, linii energetycznych, arterii komunikacyjnych, które dotąd zniekształcały wyniki badań. Projekt Śląskiego Międzyuczelnianego Centrum Edukacji i Badań Interdyscyplinarnych (SMCEBI) został zrealizowany w Chorzowie przy ul. 75 Pułku Piechoty. Teren inwestycji znajduje się w zachodniej części miasta i składa się z działek o łącznej powierzchni 167 626 m^2. Usytuowanie SMCEBI jest zgodne z koncepcją zagospodarowania przestrzennego terenu przeznaczonego na Chorzowski Kampus Uniwersytetu Śląskiego oraz zgodnie z planem zagospodarowania przestrzennego dla miasta Chorzowa. Projekt zagospodarowania obejmuje propozycję przekształceń funkcjonalnych i przestrzennych całego terenu, z uwzględnieniem kompleksu budynków naukowo-dydaktycznych, w tym budynku SMCEBI oraz obiektów usług komercyjnych – sala sportowa, siłownia, fitness, aquapark (zespół basenów krytych, odkrytych, sauny, hydroterapia) oraz kręgielnia, bowling, boiska sportowe – piłka ręczna, siatkowa, tenis, rynna deskorolkowa, zespół szatni i zadaszonych trybun dla boiska piłkarskiego i rollareny. Te ostatnie są dopiero w planach, ale budynek główny, w którym od roku odbywają się już zajęcia dla studentów został w 2011 roku uznany za budowę roku. Wokół można spacerować, piknikować, a przy okazji podziwiać nowoczesną, wręcz futurologiczną architekturę nowego centrum. Teren, na którym zlokalizowano SMCEBI był niegdyś wojskowy. Od lat funkcjonuje na nim już Szkoła Zarządzania Uniwersytetu Śląskiego. Sąsiedztwo centrum, w którym młodzi uczą się najnowszych technologii i myślą naukową wybiegają w przyszłość oraz miejsce, gdzie uczą się zarządzać, zapewne nie jest przypadkowe i zrealizuje dla Chorzowa nowe pomysły na inne niż przemysłowe drogi rozwoju. Bliższe naturze, w której rozkwitać będzie nie tylko przyroda, ale też myśl, ta naukowa, racjonalizatorska.

Zamyślona, nawet nie zauważyłam, że spacerowym krokiem wraz z moim towarzyszem odkrywczego spaceru po Chorzowie – Romanem Liczbą, zbliżyliśmy się do głównych ulic śródmieścia. Coraz głośniejszy stawał się gwar. Coraz większy tłum mknął w pogoni za swoimi sprawami, nie podejrzewając nawet, jak urocze i romantyczne spotkania kuracjuszy przybywających do tutejszych wód, mogły mieć miejsce w tych handlowo-usługowych pasażach, jak blisko natury żyje to pozornie „czarne miasto Śląska". ■

Do górniczego zapadliska w Leśnictwie Panewnik jedzie się miejscami wyboistą drogą. Przez Katowice, Chorzów i Rudę Śląską, więc...Nie wiadomo, kto ma ją remontować? Ale to nie jej stan techniczny, ani nawet cała gęsta sieć dróg, która poszatkowała las aglomeracji katowickiej na140 części, jest największym problemem Nadleśnictwa Katowice.



Fot. z archiwum Nadleśnictwa Katowice

Zalewisko w Leśnictwie Panewnik

Las po zawałach...

JOLANTA MATIAKOWSKA

Ten las rośnie na eksploatowanych złożach węgla. Fedruje pod nim aż dziesięć kopalń. Na zawał. Z wszelkimi tego konsekwencjami dla powierzchni. Tej leśnej i tej zabudowanej.

Dzięki restrukturyzacji górnictwa ilość czynnych kopalń zmalała, ale i tak ich wpływ na tereny leśne jest ogromny. Szkody górnicze na trwałe wpisały się w kruche życie lasu. Ten rosnący na węglu bezustannie osiada. Obniża się, zawadnia, a bywa, że miejscami mocno zapada się i obumiera.

Pod wpływem działalności górniczej jest aż 12,7 z 14,5 tysiąca hektarów, na których gospodaruje jedno tylko Nadleśnictwo Katowice. Jego tereny osiadają na ponad siedmiu tysiącach hektarów powierzchni. Na znacznej części są zalewane. Zawodnienia obejmują obecnie trzysta leśnych hektarów.

Przy ciągłym wydobywaniu węgla, tego zjawiska opanować nie sposób. Deformacje terenu zakłócają stosunki wodne. Powodują obniżenie poziomu wód gruntowych lub ich całkowity zanik. Powodują też ich podnoszenie, jeśli trafią na nieprzepuszczalne podłoże. Wówczas powstają bagna i bezod-



Leśnictwo Czułów – obiekt małej retencji

pływowe zapadliska z lustrem wody na powierzchni.

Z zalewiskami

Jednym z takich jest głębokie na blisko dwadzieścia metrów, 24-hektarowe zalewisko w Leśnictwie Panewnik. Powstawało od lat siedemdziesiątych ub. wieku w wyniku eksploatacji kopalni „Śląsk", dziś połączonej z kopalnią „Wujek". Zakłócony został wówczas naturalny spływ wód z lasu do rzeki Kłodnicy. Wkrótce też rozpoczęło się zalewanie lasu.

Zalewisko byłoby jeszcze większe (Kopalnia „Wujek-Śląsk" ma koncesję na wydobycie ważną do 2020 roku), gdyby nie zainstalowane przez sprawcę szkody, pompownie. Pracują bez przerwy, by utrzymywać obecny poziom wody, zapobiegać powiększaniu się zalewiska i chronić kolejne, sąsiadujące z nim drzewostany przed zalaniem.

W słonecznym prześwicie zza drzew, panewnickie zalewisko wygląda urokliwie i niewinnie. To tylko złudzenie, któremu na krótko ulegają niewtajemniczeni, oglądający śląski las na węglu z bliska. Bywa dla nich zaskakująco ciekawy. Zwłaszcza latem, gdy jest w pełni życia, a jego bujne paprocie, dobrze maskują deformacje terenu. Do czasu.

Na eksploatację węgla na zawał pod lasami, bez podsadzania stropów, jest urzędowa zgoda. To najtańszy sposób wydobywczy. Do czasu pojawienia się szkód. Dlatego kopalnie przed przystąpieniem do eksploatacji, przedstawiają śląskim nadleśnictwom plany wydobywcze wraz z prognozami osiadania terenu. I zgodnie z prawem zobowiązują się do ich naprawy czyli przywrócenia na zdeformowanych terenach leśnych, stanu poprzedniego. Niestety, w przypadkach dużych szkód, jak ta w Leśnictwie Panewnik, często po kilkudziesięciu latach czyli po zakończeniu eksploatacji.

Niespójne prawo

To bardzo obciąża gospodarkę leśną. Sprawiedliwiej byłoby przekwalifikować grunty leśne, objęte szkodami górniczymi i na specjalnych zasadach wyłączyć je czasowo z użytkowania, skoro nie przynoszą dochodów, a wręcz przeciwnie, generują straty.

Tymczasem ustawa o ochronie gruntów rolnych i leśnych wszystkie lasy: te rosnące na bezkonfliktowych terenach i te zagrożone niszczycielskimi szkodami górniczymi, traktuje jednakowo.

Problemu szkód w lasach nie łagodzi też „Prawo geologiczne i górnicze", które wprawdzie nakazuje, by po zakończeniu eksploatacji sprawca szkody górniczej ją usunął, zrekultywował grunt i zagospodarował teren, zgodnie z zasadami ochrony środowiska, ale...

Czy zawsze jest to wskazane?

Górnicze zbiorniki zapadliskowe, zalewiska po latach zamieniają się w śródleśne, żywe stawy stawy i jeziora czy trwałe bagienne. Co zrobić wówczas z nową ich roślinnością, nowymi gatunkach flory i fauny: rybami, płazami czy ptakami, dla których te miejsca stały się ostoją?

Sztuczkami technicznymi można odprowadzić z tego terenu wodę. Można też głębokie zapadliska czy powstałe bagna zasypać odpadową skałą płoną. I likwidować w ten sposób powstałe deformacje terenu.

Tylko co się stanie z chronionymi roślinami jezior i bagien, które w nich zadomowiły się na dobre? Co z płazami, ptakami, skoro sama przyroda stworzyła dla nich najlepsze miejsca lęgowe? Czy w imię prawa geologicznego i górniczego trzeba łamać przepisy ochrony środowiska i ochrony przyrody? Kto ma decydować, które prawo jest ważniejsze? Czym się kierować? Czy można zdrowym rozsądkiem?

Tak właśnie postąpili autorzy sposobu rekultywacji szkody górniczej, jaką wyrządziła w Leśnictwie Czułów kopalnia „Mysłowice-Wesoła".

Kilkanaście lat temu w okolicach rzeki Mlecznej na powierzchni dziesięciu hektarów zaczął osiadać zdrowy las. Kopalnia zareagowałal natychmiast. Wyprzedzająco zabezpieczyła teren leśny. Podtopień jednak nie udało się uniknąć. Poziom wód gruntowych podniósł się. Zatopił leśne runo.

Dwa scenariusze w jednym

Specjaliści z Głównego Instytutu Górnictwa, któremu kopalnia powierzyła przygotowanie projektu naprawy szkody i przywrócenie zniszczonemu terenowi zdolności do odradzania się lasu, wywiązali się z tego zadania we współpracy z leśnikami, znakomicie. Udało się w tym przedsięwzięciu pogodzić dwa scenariusze przyrody. Ten sprzed zaist-

nienia szkody, gdy rósł typowy dla tego terenu las i ten nowy, nakreślony przez naturę, która suchy leśny teren zamieniła w mokradła. Przyniosło to znakomity efekt przyrodniczy i ekologiczny.

Wodę z zalanego terenu zamiast wypompowywać, odprowadzono do pogórniczych zagłębień – stawów i do zaaranżowanych rowów o niewielkim spadku podłużnym (w języku technicznym to obiekty małej retencji i tzw. parowniki). Woda w nich gromadzona jest zawsze ratunkiem dla roślin w czasie długich susz. Stworzono więc na stałe możliwość powolnego odprowadzania nadmiaru gromadzonych wód. Z kolei żyzna, leśna gleba, pozyskana z ukształtowania stawów retencyjnych została wykorzystana do podniesienia rzędnej terenu pod odnowienia leśne na ponad siedmiu hektarach wcześniej zalanego terenu. Posadzono na nim sadzonki drzew z zakrytym systemem korzeniowym, by lepiej się przyjęły. Wśród nich jednoroczne sosny oraz dwuletnie olchy, dęby i brzozy. Nowe nasadzenia zabezpieczono ogrodzeniem ze specjalnej siatki, z pozostawionymi w niej korytarzami dla przemieszczania się leśnych zwierząt.

Ten las, powraca... Bajkowo już wyglądają czyste stawy w tle starego drzewostanu, który ocalał, i bagienne, ukwiecone latem łąki.

Jeszcze przez co najmniej kilka, może kilkanaście lat to urokliwe miejsce będzie chronione. Jak większość połaci leśnych Nadleśnictwa Katowice, które w bardzo trudnych warunkach prowadzi prawie normalną gospodarkę i udostępnia go mieszkańcom.

Turystyczny, choć poszkodowany

To przecież las miejski. Las z przepływającą Wisłą, której koryto podtrzymuje górniczy filar. To także miejsce wypoczynku, turystyki i edukacji. Las zaglądający ludziom do okien. Dlatego trzeba chronić go wspólnie.

Na jeden jego kilometr kwadratowy przypada statystycznie 1500 osób! Bo w zasięgu administrowania Nadleśnictwa Katowice mieszka prawie dwa miliony ludzi. Najwięcej w stolicy Śląska, która dzięki lasom (lesistość Katowic już przekracza 42 proc., bez parków i skwerów) zalicza się do najbardziej zielonych miast w kraju.



Leśnictwo Czułów – staw parownikowy

Dotąd wytyczono w nim 120 kilometrów szlaków turystycznych, trasy rowerowe o długości kilkudziesięciu kilometrów, dukty do jazdy konnej i ścieżki dydaktyczne. W Nadleśnictwie Katowice są one częścią edukacyjnego kompleksu multimedialnego. Z „zaczarowaną" dla najmłodszych interaktywną salą, gdzie przez cały rok, w wirtualnym świecie można zobaczyć, usłyszeć a w przypadku dzieci niewidomych także dotknąć „żywego" lasu, w którym toczy się normalne życie.

Zachowały się w nim bezcenne obszary naturalnej przyrody. Fragmenty rzek, ogromne zielone, naturalne przestrzenie leśne o wielkiej wartości, rzadkie w zniszczonym krajobrazie, okazy flory i fauny.

Z bezcenną przyrodą

Można je poznawać w Murckach, w rozległym obniżeniu Kotliny Mlecznej czy w obszarach Rowu Kłodnicy. I podziwiać choćby starodrzew bukowy i dostrzeżony na początku lat osiemdziesiątych ubiegłego roku, obecnie rezerwat florystyczny „Ochojec" z kolonią reliktowych na Górnym Śląsku roślin górskich. Także Kłodnicę ze swoim źródłem i naturalną roślinnością w runie łęgowego fragmentu lasu murckowskiego oraz jej dolinę w Starym Panewniku z meandrami rzecznymi. Te chronione przez las skarby przyrody przetrwały w lesie, rosnącym na pokładach dobrego węgla. I odrodziły się wyraźnie po zapaści przestarzałego przemysłu surowcowego.

Górnictwo nie oszczędza powierzchni, nie tylko w katowickim nadleśnictwie. Szkody nie omijają ani okazałych, pełnych bogactw przyrody lasów kobiórskich, tych z okolic Rybnika, Siewierza czy Brynku.

Nagłe wstrząsy, pojawiające się po tąpnięciach zapadliska, rowy, szczeliny, dziury w ziemi, nie od razu zauważalne, las przyjmuje w ciszy. Małe rany zabliźnia sam. Gdy w obniżeniach terenu pojawia się coraz więcej wody, jest bezsilny. Ale przyroda nie znosi pustki. W śródleśnych zbiornikach zapadliskowych rodzi się nowe życie przyrody; na terenach podmokłych, jeszcze bogatszy, bardziej różnorodny ekosystem.

I tak już w śląskich lasach pozostanie. Przynajmniej do czasu, aż wybierzemy spod nich cały węgiel. Czy zatem nie pora, by do natury lasu ze statusem ochronnym, dostosować wreszcie niespójne prawo? ■

Dofinansowano ze środków Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w Katowicach

Ekomiasteczko Siewierz Jeziorna



Fot. z mat. TUP S.A.

Tak ma wkrótce wyglądać Jeziorna.

Za zielonym wzgórzem

Pod Siewierzem powstaje miasteczko ekologiczne. Jadąc od strony Katowic skręcamy przed Zalewem Przeczyckim w lewo, w ostatnią asfaltową drogę – to ulica Jeziorna. Z popularnej Gierkówki placu budowy nie widać, ukryty jest za wzniesieniem. Pracują koparki. Wielkie ciężarówki zwożą materiały budowlane. Muszą się spieszyć – terminy gonią. Boją się tylko ulewnych burz i zbyt wielkich upałów. Kiedy patrzę na rozkopany plac budowy – a przed oczami mam ciekawie zaprojektowane miasteczko z rynkiem, uliczkami, kamienicami, domkami jednorodzinnymi, placami zabaw, boiskami, kościołem, przedszkolem, sklepami, kliniką medyczną, mariną, a wszystko tonące w zieleni parków i ogrodów – trudno mi uwierzyć w zakładany termin zakończenia tej imponującej inwestycji. Pozostaje trzymać kciuki za powodzenie.

Według twórców tego niezwykłego projektu proekologiczne są tutaj nie tylko rozwiązania techniczne, czy dobór materiałów. Całość ma spełniać kryteria eko. W materiałach reklamowych przyszli mieszkańcy zachęcani są do ekologicznego, świadomego życia, także poprzez partycypację w procesie decyzyjnym. Dlatego też m.in. zorganizowano warsztaty urbanistyczne *charrette* (dosłownie wózek) – można to tłumaczyć: jedziemy na jednym wózku, zarówno architekci, jak i przyszli mieszkańcy i inwestorzy. Tu nasuwa się analogia ze słynnym Konstancinem (także) Jeziorną, gdzie bodaj po raz pierwszy przeprowadzono takie właśnie otwarte dla wszystkich zainteresowanych stron spotkania. Lokalna społeczność została włączona w proces projektowania miasteczka. Decydowano o układzie ulic, rozmiarach działek, komunikacji pieszej i zaspokojeniu podstawowych, codziennych potrzeb w odległości pięciu minut od domu. Bardzo ważne dla zmiany trybu życia jest sąsiedztwo pięknych terenów zielonych i rekreacyjnych, co zachęca do pozostawienia samochodów w garażu, a w konsekwencji do aktywności fizycznej (rowery) oraz obniżenia emisji dwutlenku węgla. Niezwykle ważna jest także wspólnie przedyskutowana wstępna prognoza skutków finansowych zaproponowanych rozwiązań.

Autorzy cieszącego się coraz większym zainteresowaniem projektu ekomiasteczka Siewierz Jeziorna podkreślają: *Dbamy o jakość życia mieszkańców, szanujemy wodę i wdrażamy rozwiązania efektywne energetycznie. Usytuowanie budynków względem stron świata, dobór materiałów budowlanych, w tym właściwej izolacji, a także wyposażenia naszych domów w rekuperację, sprzyjają ochronie klimatu i obniżeniu kosztów utrzymania nieruchomości, dodatkowo proponujemy także montaż pomp ciepła i kolektorów słonecznych. Obniżamy zużycie wody dzięki rozprowadzeniu wód opadowych i wykorzystaniu ich do celów komunalnych. Dla mieszkańców przygotowaliśmy 16 hektarów parku, już dziś wpisanego w Studium Uwarunkowań i Kierunków Zagospodarowania Przestrzennego dla tego terenu.* Temu wszystkiemu należy jedynie przyklasnąć i życzyć pomyślnej realizacji założeń, jak bowiem uczy doświadczenie, kiedy na początku coś zapowiada się tak wspaniale to potem rzeczywistość skrzeczy...

Na placu budowy rzuca się w oczy góra granitowej kostki brukowej. Od PKP zakupiono bowiem prawie 500 ton kostki pochodzącej z rozbiórki placów przy ulicy Armii Krajowej w Opolu, wykorzystywanych przez szereg lat jako zaplecze terenów kolejowych. Bruki powstały około roku 1900, równocześnie z budynkiem dworca kolejowego Opole Główne. Kostka jest w świetnym stanie. Częściowo została wykorzystana w Opolu na miejsca parkingowe i tam można obejrzeć jak prezentuje się po odświeżeniu. – *Jakość tej nawierzchni przekonała nas, że dokonaliśmy właściwego zakupu* – uważają w spółce „Chmielowskie", która tę zabytkową kostkę kupiła. W Siewierzu Jeziornej zostanie ułożona wzdłuż ulic, z przeznaczeniem, tak jak w Opolu, na miejsca parkingowe, oraz na alejkach i placach w parkach. To dobry i bardzo ekologiczny pomysł. Przeraża mnie betonowanie i asfaltowanie wszystkiego wokół, a potem zdziwienie: dlaczego woda deszczowa nie może przedostać się do gruntu?

Do niedawna inwestorem miasteczka była Firma TUP S.A. W czerwcu Walne Zgromadzenie Akcjonariuszy TUP przyjęło strategię rozwoju spółki na lata 2013–2020 i zgodnie z nią skupi się w najbliższych latach na budowie pierwszego zrównoważonego miasta w Polsce – Siewierz Jeziorna. To dobrze wróży tej oryginalnej inwestycji. Podjęto również decyzję o zmianie nazwy firmy na Alta S.A. (od 1 sierpnia 2013 r.). i pod nią spółka będzie notowana na Giełdzie Papierów Wartościowych.

Koncepcja urbanistyczna i architektoniczna powstała w pracowni MAU Mycielski Architecture & Urbanism, zaś projekt budowlany i wykonawczy w katowickiej pracowni AiM. Jak podkreślają twórcy projektu: – *Styl architektury zaproponowany w Siewierzu Jeziornej*



Fot. Witold Kociński

Na razie pracują tu koparki...



Fot. Witold Kociński

Zabytkowa kostka brukowa przyjechała z Opola.

nawiązuje do tradycji miast-ogrodów i jest wzorowany na tradycyjnej polskiej architekturze miasteczek i wsi. To pierwsze założenie urbanistyczne w Polsce realizowane według zasad Nowej Urbanistyki.

Coraz częściej przyjeżdżają podglądać postępy prac zainteresowani zamieszkaniem w ekomiasteczku – z Sosnowca, Bytomia, Katowic, ale przede wszystkim z Siewierza. Opuszczam plac budowy, który ze zrozumiałych względów nie jest atrakcyjny, z mieszanymi uczuciami. Dookoła jest jeszcze pięknie i zielono. Zamykam oczy i widzę wizualizację – uspokajam się, mam nadzieję, że będzie jeszcze piękniej.

(wk)

Sentymentalny spacer po Siewierzu

Historyczny, sympatyczny, ekologiczny...

WITOLD KOCIŃSKI

Aż trudno uwierzyć, jak bardzo Siewierz wypiękniał w ciągu ostatnich lat. Urokliwy rynek z odnowionymi kamieniczkami, smacznym jadłem w Jędrusiowej Izbie, radosnym (bardzo udanym) pomniczkiem Panien Siewierskich autorstwa Agnieszki Świerzowicz-Maślaniec i Marka Maślańca. Panny, które zdobią fontannę na rynku, to bohaterki powszechnie znanej i do dzisiaj śpiewanej przez zespół „Śląsk" (i nie tylko) piosenki: *„Od Siewierza jechał wóz, malowane panny wiózł, wszystkie pięknie wystrojone chciałbym jedną mieć za żonę".*

Wypiękniał słynny siewierski zamek, siedziba władców Księstwa Siewierskiego. Dla mnie to szczególnie sentymentalne miejsce. Wiele weekendów spędzałem w Siewierzu u przyjaciół rodziców, państwa Buchaczów, którzy prowadzili wówczas słynącą ze znakomitych wypieków, daleko poza granicami miasteczka, cukiernię. Takiego tortu grylażowego nigdy już potem nie jadłem – był robiony na specjalne zamówienie biskupa częstochowskiego. Po zamkowych ruinach i zwałach kamieni biegaliśmy jako dzieci nie zważając na niebezpieczeństwo. Mieliśmy swoje sekretne przejścia, choć oficjalnie nie wolno było wchodzić na zamek. Dla nas był bezpieczny i uczył kochać historię. Dzisiaj jest wzorowo zabezpieczoną ruiną, dzięki Bogu nikt nie zechciał go rekonstruować. Pouzupełniano ubytki w murach, odkryto zasypane gruzem piwnice, gdzie mieści się ciekawa ekspozycja muzealna, ostatnio skomputeryzowana! Dzięki wirtualnemu przewodnikowi możemy przenieść się w czasy największej świetności grodu nad Czarną Przemszą. Dziedziniec zamieniono w bajkową salę widowiskową pod gwiazdami. Od 6 do 7 lipca odbył się tutaj Międzynarodowy Festiwal „Blues na Siewierskim Zamku". Budowla błyszczy niczym perła, zawsze czeka tutaj na turystów profesjonalny przewodnik i każdy jest witany jak najmilej oczekiwany gość – dzięki pasjonatom z Fundacji Zamek Siewierski im. Księstwa Siewierskiego, która włodarzy tym pięknym pomnikiem narodowej kultury.

Godnych uwagi zabytków jest w Siewierzu znacznie więcej. To przede wszystkim trzy wspaniałe świątynie. Najważniejszą z nich jest kościół pw. św. Jana Chrzciciela na siewierskim cmentarzu. To jeden z najstarszych zabytków sakralnych w Polsce. Podręcznikowy przykład architektury romańskiej. Wzniesiony został prawdopodobnie około 1140 r. przez Piotra Własta Dunina. Do XV wieku był kościołem parafialnym. Po runięciu sklepienia w 1639 r. wzmocniono ściany przyporami i podwyższono szczyt. W 1696 r. wzniesiono barokową wieżyczkę, wykonano drewniany sufit i dobudowano kruchtę. W latach pięćdziesiątych ubiegłego stu-

Dofinansowano ze środków Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w Katowicach

lecia przeprowadzono prace konserwatorskie, odtwarzając sklepienie kolebkowe oraz usuwając elementy osiemnastowieczne, co pozwoliło przywrócić świątyni pierwotny wygląd. Najpiękniejszy natomiast jest niewątpliwie kościół parafialny pw. św. Macieja Apostoła. Znajduje się blisko rynku, przy ulicy T. Kościuszki. Powstał w drugiej połowie XIII wieku wraz z lokacją miasta Siewierza. Prezbiterium było wówczas murowane, a nawa drewniana. Przed 1598 r. drewnianą nawę zamieniono na murowaną. Następnie w latach 1647–1657 kościół przebudowano. Obecny kształt świątynia otrzymała w latach 1782–1784, po rozbudowie przeprowadzonej przez biskupa krakowskiego Kajetana Sołtyka. Kościół uzyskał wygląd barokowo-klasycystyczny. Zachwyt budzi przykościelna brama paradna dla najważniejszych gości świątyni. Ileż trudności musieliśmy jako dzieci pokonać, by dostać się do jej wnętrza i z góry obserwować przechodzących ludzi. W tamtych odległych latach najbardziej lubiłem modlić się przy kościele pw. ś.ś. Barbary i Walentego. Był najbardziej tajemniczy, ciągle zamknięty na cztery spusty. To kościół szpitalny, a wiadomo, że medycyna sprzed wieków rzadko zdrowie przywracała, pomagała raczej spokojnie opuścić ten padół niedoli, no to gdzie, będąc dziećmi, mieliśmy szukać zabłąkanych duchów, jak nie tutaj właśnie? Kościół powstał w 1618 r. staraniem i z funduszy mieszczan siewierskich. W XVII–XVIII wieku odbywały się w nim sejmiki szlachty Księstwa Siewierskiego. Samodzielna parafia szpitalna istniała do 1840 roku. Kościół jest murowany i otynkowany, zbudowany na rzucie prostokąta, zamkniętego od południa półkolistą absydą. Pora by wreszcie nabrał pełnego blasku i stał się kolejną wielką atrakcją turystyczną miasta. Można o siewierskich zabytkach bez końca. Jeśli chcecie wiedzieć więcej, to skontaktujcie się z Arturem Rokiem z fundacji Zamek Siewierski, on jest chodzącą skarbnicą wiadomości o dziejach tej ziemi.



Panny Siewierskie na rynku.

Dawno temu z poprzednim burmistrzem Siewierza objechałem miasto w poszukiwaniu... śmieci. To był przerażający widok – okoliczne lasy i zagajniki zamienione na wysypiska i wszędzie te najohydniejsze z pozostawianych przez ludzi w lesie odpadów – plastykowe butelki. Wierzę, że nowa ustawa śmieciowa wdrażana również tutaj, a świetnie propagowana przez obecnego burmistrza Zdzisława Banasia, zda egzamin i wszystkie dzikie wysypiska znikną. To jednak zależy od mieszkańców a także od przyjeżdżających tu gości, sam burmistrz, choćby chciał jak najlepiej, nic nie wskóra.

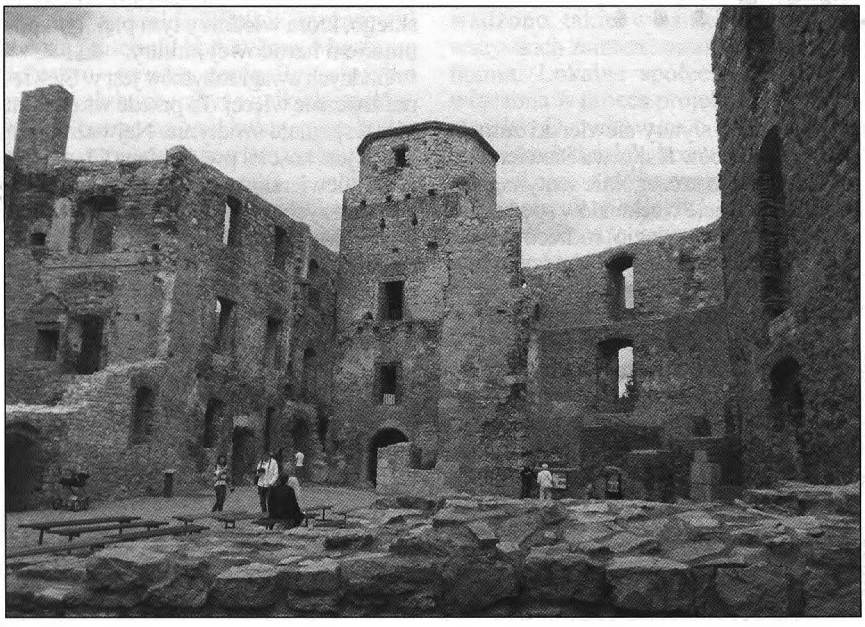
Czego już w Siewierzu nie ma? Przede wszystkim dobrego pieczywa. Nabrałem się ostatnio na słynny niegdyś siewierski chleb foremkowy i kupiłem pozbawiony smaku, podstarzały gnieciuch o bardzo ładnym... wyglądzie i to w sklepie na rynku w miejscu, gdzie jeszcze niedawno sprzedawano najsmaczniejsze w promieniu wielu kilometrów bochenki. Szyld się zmienił na atrakcyjniejszy a w sklepie: *pożal sie Boże*. Nawet „oponki" już nie te. Gdzie się podziały piękne tradycje tutejszych piekarzy – Pichlaków i Rzepeckich? Smaczny chleb siewierski można jeszcze kupić daleko od tego miasta, ale w Siewierzu – nie. Gęsi siewierskie, a zwłaszcza żołądki i żurek (teraz paskudnie tłusty) nie są już rozkoszą dla podniebienia, jak tamte doprawiane mistrzowską ręką starszej pani Kubikowej. A na dodatek obecne ceny zwalają z nóg.

Wielu wspaniałych ludzi pochodzi z Siewierza, choćby Bernard Sołtysik (kompozytor, aranżer, pedagog), dr Grażyna Rzepecka (oddany lekarz – internista, diabetolog), no i Renata Niedbał-Witta, czyli... popularna piosenkarka Mona Lisa.

Wielkim plusem miasteczka jest czyste powietrze. Nie tak dawno tabuny samochodów ciągnące przez rynek, zwłaszcza w niedzielne popołudnie, kompletnie korkowały miasto i truły wyziewami. Bywało szaro od spalin a smród nie pozwalał oddychać. Odkąd została otwarta obwodnica w kierunku Zawiercia, ta największa zmora mieszkańców znikła. Natomiast na parkingach zrobiło się tłoczno – zatrzymują się tylko ci, którzy pragną tu zajrzeć, odpocząć, napić się, zjeść, zrobić zakupy i zwiedzać, zwiedzać, zwiedzać... Czysty zysk dla mieszkańców i to pod każdym względem.

Na koniec drobiazg, ale jakże ważny dla dobrego samopoczucia odwiedzających miasteczko gości. W pobliżu rynku, przy budynku starej gminy, czynne są czyste, pachnące, bezpłatne ubikacje. Kiedy chciałem dać sympatycznej pani monetę, uśmiechnęła się i godnie powiedziała: *Mnie gmina płaci*. Niby niedużo a tak bardzo wiele. Warto więc wybrać się na ekologiczno-historyczny spacer po starym, książęcym grodzie – dla zdrowia i ducha. ■

ZDjęcia: Witold Kocinski



Wypiękniał zamek – siedziba władców Księstwa Siewierskiego.

Olsztyn szuka nowych atrakcji

Fot Jerzy Ordon



W 2006 roku olsztyński zamek święcił swoje 700. urodziny.

Geotermalne źródła pod Sokolimi Górami

MARIA SZTUKA

Jurajski krajobraz wabi magią niezwykle malowniczych zakątków a „Szlak Orlich Gniazd" z fantastycznie wtopionymi – w kolonie wapiennych ostańców – ruinami zamków, pamiętających czasy króla Kazimierza Wielkiego przyciąga nie tylko miłośników historii granicznych fortyfikacji ale także wszystkich, którzy pragną ukoić zszargane nerwy. W przyjaznych jurajskich borach królują majestatyczne buki, wiecznie zielone sosny, rozłożyste jodły, popielatokore graby, niebosiężne modrzewie a ich spokój od wieków uwodził artystyczną cyganerię, inspirował poetów i pisarzy.

Od Częstochowy po Kraków, od Olsztyna po Grzbiet Tenczyński co nuż rozkładają swoje sztalugi malarze, dla których jurajski szlak zdaje się być plenerem nieskończonym. Trudno się dziwić, że zjeżdżają tu filmowcy a w najbardziej ustronnych zakątkach mnożą się niewielkie pustelnie i niestety coraz częściej odstraszające nowobogackie pseudo-pałace. W zaciszny Potoku Złotym Zygmunt Krasiński odnalazł upragnioną ciszę i wenę twórczą i gdyby nie tragiczna śmierć jego 4-letniej córki Elżbietki powstałoby tu zapewne niejedno dzieło wielkiego romantyka. Nie ma najpiękniejszej jurajskiej ścieżki, tak jak nie ma najpiękniejszej warowni, wszystkie są wyjątkowe, jedyne i niepowtarzalne. Każda oczarowuje i pozostaje na zawsze w pamięci.

Olsztyńskie wzgórze może poszczycić się największym na Wyżynie Częstochowskiej rezerwatem przyrody – „Sokolimi Górami". Dziewięć gęsto zalesionych wapiennych pagórków, wśród których góruje Pustelnica (399,4) kryje nie lada niespodzianki, znajduje się tu największe na tym terenie skupisko jaskiń i schronisk skalnych (jest ich blisko pięćdziesiąt). Najgłębsza z nich to Studnisko (77,5 m), ale równie piękne i wciąż tajemnicze to jaskinie: Olsztyńska, Pod Sokolą Górą, Koralowa, Wszystkich Świętych... Góra Pustelnica, jak głosi legenda, słynie z corocznych spotkań zastępów szatanów, które raz w roku, w dniu nikomu wcześniej nieznanym, zbiegają się zewsząd, czyniąc hałas na całą okolicę. Biada nieszczęśnikowi, który się im nawinie. Ponieważ jednak biegnąc w szalonym pędzie drą się niemiłosiernie, jest więc dosyć czasu, aby zejść im z drogi.

W 2006 roku olsztyński zamek święcił swoje 700. urodziny. Wprawdzie w wielu przewodnikach znajdziemy informację, że pierwsza wzmianka o zamku pochodzi z 1349 r. za panowania Kazimierza Wielkiego, ale w 1306 arcybiskup gnieźnieński Jakub Świnka wytoczył proces biskupowi krakowskiemu Janowi Muskacie i dzięki tej sprawie sądowej zachowały się dokumenty, w których jest mowa o zamku w Przemiłowicach (późniejszym Olsztynku a następnie Olsztynie). Kto by jednak upierał się przy spornych pięćdziesięciu latach. W XV wieku, i ten fakt pozostaje już bezsporny, był to jeden z najbardziej warownych zamków na pograniczu śląsko-małopolskim. W 1488 r. Kazimierz IV Jagiellończyk nadał Olsztynkowi magdeburskie prawa miejskie a w 1532 roku miasto zostało uprawnione do organizacji jarmarków i targów, czyniąc z niego na przestrzeni najbliższych wieków centrum administracyjno-sądownicze dla całego regionu. Zawieruchy wojenne, najazd Szwedów w 1655 r. i pożar w 1719 r., który doszczętnie strawił miasto zapoczątkowały jego upadek, który przypieczętowała decyzja administracji rosyjskiej w 1870 r. odbierająca mu prawa miejskie.

Historia jurajskiego grodu i jego warowni pełna jest burzliwych i dramatycznych wydarzeń. Ataki książąt śląskich, natarcie wojsk austriackich arcyksięcia

Maksymiliana, pretendenta do tronu polskiego, najazd Szwedów... II wojna światowa także pozostawiła tu tragiczne ślady. Za miastem w pobliskim lesie na cmentarzu-mauzoleum, zwanym Jurajskimi Palmirami spoczywa blisko 2000 ofiar – partyzantów i okolicznych mieszkańców rozstrzelanych przez SS i żandarmerię, grzebanych tu nocą po kryjomu. Wstrząsające wydarzenia upamiętnia na cmentarzu 18 symbolicznych grobów i płaskorzeźba przedstawiająca scenę rozstrzelania. W mogiłach spoczywają głównie Polacy, przywożeni samochodami z częstochowskich i radomskich więzień a także z akcji pacyfikacyjnych. W latach 1942–1943 z lagrów w Częstochowie trafiali tu także wycieńczeni żołnierze radzieccy, których hitlerowscy oprawcy dobijali strzałem w tył głowy. Po wojnie dokonano ekshumacji zwłok. Przy największej mogile postawiono dębowy krzyż. O pomordowanych przypomina pomnik przy drodze do Kusiąt.

Ktokolwiek zwabiony urokiem olsztyńskiego zamku odwiedzi ten niezwykły zakątek nie może ominąć także barwnie zdobionej stuletniej zabytkowej chałupy, gdzie mieści się autorska galeria Jana Wewióra, twórcy unikatowej szopki bożonarodzeniowej, *Mistrza Mowy Polskiej* za rok 2007. Bajeczne zastępy radosnych aniołów, wyrzeźbionych przez pana Jana przypominają o istnieniu przy tutejszej parafii Bractwa Aniołów Stróżów a uśmiechnięty anioł stał się drugim, po zamku, symbolem miasta.



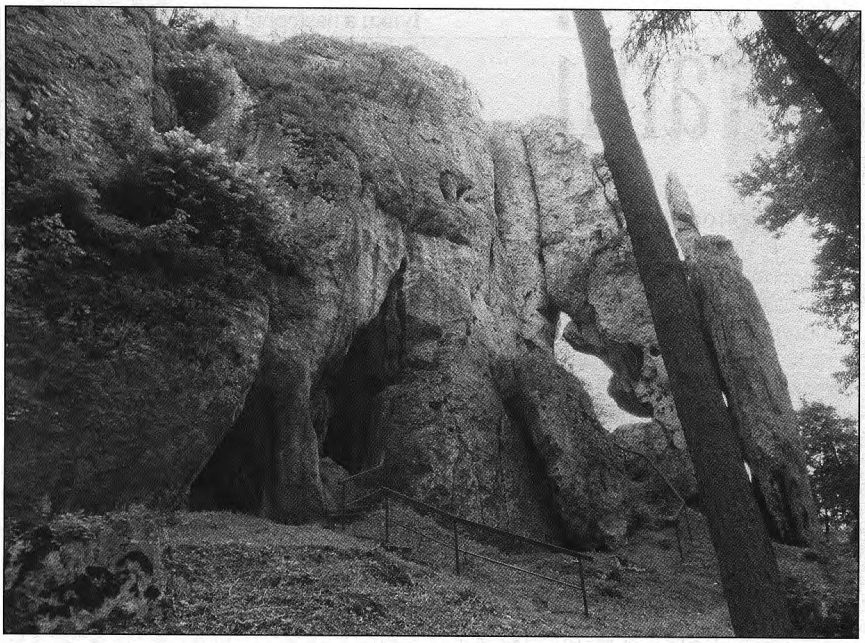
Fot. Maria Sztuka

W zacisznym Potoku Złotym Zygmunt Krasiński odnalazł upragnioną ciszę. Na zdjęciu dworek wieszcza.

Na podzamczu, zza majestatycznych lip (pomników przyrody) wyłania się osiemnastowieczny kościół pw. św. Jana Chrzciciela, do którego warto wstąpić, w świątyni także anioły rozpościerają swe skrzydła. Jak głosi legenda, na jednym z obrazów anioł odbił swoje nieziemskiej urody oblicze. W kościelnej krypcie spoczywają trzy trumny. W jednej leżą bardzo dobrze zachowane zmumifikowane zwłoki oficera w mundurze wojska polskiego z okresu Konfederacji Barskiej, w drugiej kobiety w czarnym czepcu, a w trzeciej księdza Joachima Myszkierskiego.

Kto lubi spotkania z historią, na pewno nie ominie zabytkowego, drewnianego spichlerza galeriowego, zbudowanego w 1783 roku na zlecenie Franciszka Paciorkowskiego w Borownie (gmina Mykanów). Burzliwe dzieje obiektu, z prokuratorskimi oskarżeniami pod adresem zajmujących się zabytkiem historyków w tle, to temat na zupełnie odrębną opowieść. Wystarczy powiedzieć, że po rozbiórce trafił on do Olsztyna, gdzie w 2007 roku pod ruinami zamku został ponownie złożony i zrekonstruowany. Dziś ta perła drewnianej architektury znakomicie wkomponowuje się w pejzaż podzamcza.

Nieurodzajna, piaszczysta gleba, znaczna odległość od szlaków handlowych spowodowały, że Olsztyn miał niewielkie szanse na rozkwit. A jednak znany jest nie tylko w Polsce a tłumy turystów ściągają tu każdego roku. Jak obliczają włodarze gminy rocznie gości tu milion osób. Olsztyńska warownia należy do najbardziej rozpoznawalnych, dzięki m.in. *Hrabinie Cosel* wyreżyserowanej przez Jerzego Antczaka, *Rękopisowi znalezionemu w Saragossie* Wojciecha Hasa, *Zemście* Andrzeja Wajdy. Także tutaj nakręcono wiele scen do *Demonów wojny wg Goi* Władysława Pasikowskiego. Ścieżki olsztyńskich szlaków pojawiają się także w *Młynie i krzyżu* Lecha Majewskiego. W 1973 r. zagościł tu również plan filmowy „Czarnych chmur", reżyser serialu telewizyjnego Andrzej Konic wiele awanturniczo-przygodowych wątków



Fot. Maria Sztuka

Ozdobą Jury są wapienne ostańce.

przeniósł właśnie na olsztyńskie pagórki.

Przypadkowy przybysz nie musi sięgać po przewodniki, wystarczy, że przespaceruje się po przepięknym rynku, którego rewitalizacja zakończyła się w październiku 2012 r., liftingowi poddane zostały również okoliczne uliczki. W jednym z narożników rynku, o granitowej powierzchni, róża wiatrów wskazuje najciekawsze atrakcje okolicy, m.in.: zamek, rezerwaty przyrody Sokole Góry i Zieloną Górę, Góry Towarne i oddalony zaledwie o 12 km Klasztor Jasnogórski. Inwestycja pochłonęła ponad 6 mln zł, 85 proc. środków gmina pozyskała w ramach Regionalnego Programu Operacyjnego Subregionu Północnego Województwa Śląskiego.

Wójt Tomasz Kucharski ma dalsze rozlegle plany: zapowiada odnowienie domu kultury, najcenniejszego i najokazalszego budynku na rynku. Gmina ma też obiecane unijne dofinansowanie z puli na lata 2014–2020 na odwiert do wód geotermalnych. Może więc już wkrótce, niczym do Bad Waltersdorf w Austrii ciągnąć tu będą miłośnicy gorących kąpieli.

Geolodzy z krakowskiego oddziału PAN potwierdzili możliwość dotarcia do wód geotermalnych pod Sokolimi Górami. Gmina dysponuje projektem odwiertu, przygotowanym przez Państwowy Instytut Geologiczny w Warszawie górnośląski oddział w Sosnowcu i raportem o oddziaływaniu inwestycji na środowisko. Powołana została „Geotermia Olsztyn" – spółka, której zadaniem jest przygotowanie pierwszego odwiertu badawczego.

Naukowcy zapewniają, że około 500 metrów pod ziemią znajdują się naturalne zbiorniki wody, która nie jest na tyle gorąca, aby ją wykorzystać do celów grzewczych, ale do kąpieli w basenie albo nawet w parku wodnym zupełnie wystarczy. Być może dalsze badania pozwolą na wykrycie wód o znacznie wyższej temperaturze.

Pomiary geologiczne wskazują, że nawet 80 procent powierzchni Polski posiada odpowiednie warunki do budowy zakładów pozyskujących energię geotermalną. W dobie poszukiwania alternatywnych źródeł energii to temat niebagatelny. Wody te bowiem mogą być wykorzystane zarówno w celach ogrzewczych, jak i do produkcji energii elektrycznej. Od wieków wykorzystywano gorące wody podziemne w celach leczniczych. Kąpiele nie tylko obniżają stres, relaksują i poprawiają komfort psychiczny, ale w zależności od nasycenia wapniem, sodem, chlorem, potasem, siarką, magnezem, chromem czy innymi minerałami wspomagają także leczenie chorób układu krążenia, wzmacniają układ sercowo-naczyniowy, łagodzą podrażnienia i obrzęki, redukują bóle stawów.

Według naukowców z Państwowego Instytutu Geologicznego w Warszawie w rejonie gminy Olsztyn można spodziewać się pozyskiwania wód o temperaturze w granicach 22-25 stopni C, na głębokości ok. 900-1000 m nieco cieplejszych, do 32 stopni C. Dopiero poniżej 1800 m temperatura wód osiąga 50 stopni C. Jak na razie są to jednak poziomy, do których dotarcie jest niezwykle kosztowne i musi być poprzedzone znacznie dokładniejszymi badaniami. Głębokość 500 m, która zapewnia dostęp do wód o temperaturze 24 stopni C jest dostatecznie atrakcyjna i finansowo przystępna. Przy wykorzystaniu specjalnych systemów pomp ciepła, wody te mogą być wykorzystane do celów energetycznych, do podgrzewania gruntów w tunelach foliowych, do hodowli ryb ciepłolubnych, mogą być także zagospodarowane do ogrzewania basenów kąpielowych. A to otwiera drogę do inwestycji typu spa, rozległych kąpielisk i szeroko rozbudowanej bazy rekreacyjnej. Olsztynianie liczą na sukces. Miłośnicy wędrówek po jurajskich szlakach pewnie chętnie zatrzymają się w jurajskich termach, liczą jednak, że wielowiekowa rzeźba terenu pozostanie nienaruszona, że nie ucierpi także na tym przedsięwzięciu 1600 gatunków roślin naczyniowych, szczególnie niepowtarzalne endemity i relikty, których pozostało jeszcze około sześćdziesięciu reprezentantów a dwieście gatunków ptaków, czternaście – płazów, siedem – gadów i pięćdziesiąt – ssaków żyć będzie sobie nadal w komfortowych warunkach i upajać się zaciszem jurajskich borów.

■

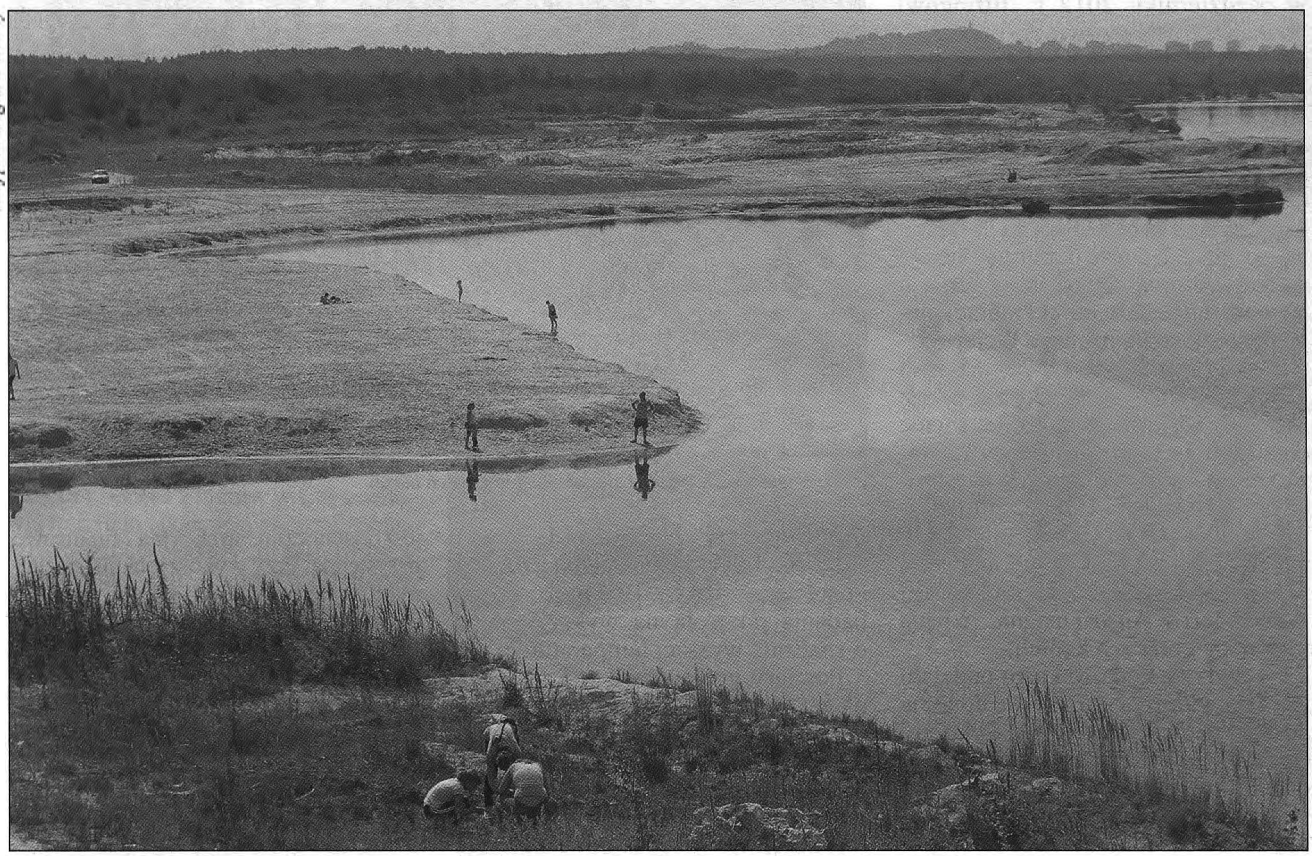


Fot. Maria Sztuka

Obyśmy nadal mogli upajać się zaciszem jurajskich borów.

Wody termalne występują na obszarach współczesnej lub przeszłej aktywności wulkanicznej a ich źródła nazywa się cieplicami. W Cieplicach Śląskich-Zdroju temperatura wody osiąga 44 stopnie C, w Ciechocinku 38 stopni C. Wody termalne wykorzystywane są w lecznictwie uzdrowiskowym, ogrzewaniu mieszkań m.in. w kotlinie Nowotarskiej w Tatrach i produkcji energii a także w celach rekreacyjnych. Jeden z największych w Polsce i Europie Środkowo-Wschodniej kompleks rekreacyjno-uzdrowiskowy z wodami termalnymi znajduje się w Bukowinie Tatrzańskiej, wody czerpane tam są z głębokości 1540-1620 m i osiągają 87 stopni C.

Balneologia (z łac: *balneum* – łaźnia, z grec: *lógos* – słowo, nauka) – jedna z najstarszych dziedzin medycyny uzdrowiskowej zajmująca się badaniem właściwości leczniczych wód podziemnych i borowin oraz zastosowaniem ich w lecznictwie, zwłaszcza w terapii chorób przewlekłych.



Zdjęcia Olgierd Górny

Kuźnica Warężyńska gromadzi stosunkowo czyste wody.

Oazy życia na „Pojezierzu Dąbrowskim”

IWONA KOLASIŃSKA

Naturalne jeziora w Polsce mają co najmniej kilkanaście tysięcy lat, natomiast zbiorniki antropogeniczne, które zostały utworzone przez człowieka, pojawiły się w krajobrazie stosunkowo niedawno. Kompleks czterech akwenów „Pogorii” w Dąbrowie Górniczej, tworzących największą powierzchnię sztucznych zbiorników wodnych na Wyżynie Śląskiej, jest dla naukowców ciekawym obiektem badań, dla mieszkańców regionu miejscem rekreacji, a dla wielu gatunków roślin i zwierząt nowym domem.

Przemysłowy krajobraz naszego regionu jest najlepszym przykładem ingerencji człowieka w ukształtowanie powierzchni Ziemi. Stworzyliśmy go w całości, a wymiar zmian jakich dokonaliśmy określiły warunki ekonomiczne. Obecnie nie sprzyjają one industrialnemu charakterowi regionu, a my dostajemy kolejną szansę na przeobrażenie jego krajobrazu. Wzorem dobrych praktyk transformacji obszaru przemysłowego może być Zagłębie Ruhry z pięknym parkiem krajobrazowym, gdzie industrialnym zabudowaniom towarzyszą setki gatunków dzikich krzewów, a schronienie znajduje około 60 gatunków ptaków. Kontynuacją procesu odnowy jest renatulizacja dolnego odcinka Emscher, niegdyś najbrudniejszej rzeki Europy. Nie jest to proste, gdyż ze względu na duże znaczenie gospodarcze Emscher, jej rewitalizacja obejmuje obszar, w którym szczególnie ostro ścierają się interesy ekonomiczne i ekologiczne.

Choć transformacja Zagłębia Ruhry może być punktem odniesienia dla działań podejmowanych na polskich obszarach przemysłowych, to właśnie w naszym województwie zrealizowany został jeden z pierwszych projektów krajobrazowego zagospodarowania terenu. Już w latach 60. XX w. na obszarze 600 hektarów pokrytych hałdami, zapadliskami i wysypiskami śmieci powstał Wojewódzki Park Kultury i Wypoczynku w Chorzowie. Dziś w skali

regionu wyróżnia się kompleks czterech akwenów „Pogorii" w Dąbrowie Górniczej, tworzących największą powierzchnię sztucznych zbiorników wodnych na Wyżynie Śląskiej.

„Pogorie" to zalane wyrobiska piasku podsadzkowego wydobywanego niegdyś dla okolicznych kopalń węgla. Ich utworzenie wiązało się z potrzebą retencjonowania wód do celów komunalnych i gospodarczych, z czasem stały się miejscem rekreacji mieszkańców regionu. Dzięki ich harmonijnemu zagospodarowaniu niektóre uzyskały status obszaru chronionego krajobrazu, gdzie możemy podziwiać różnorodny świat roślin. Znajdziemy tu zbiorowiska roślin wypuszczających nad wodę pędy kwiatowe, zakorzenionych w dnie, których liście pływają po jej powierzchni. Jeziora są siedliskiem licznych gatunków ryb, a na terenach przybrzeżnych można spotkać liczne płazy i gady. Stały się domem wodno-błotnych ptaków, m.in. perkoza rdzawoszyjnego, trzciniaka, zaganiacza, zimorodka czy kuliczka piskliwego. Wiele gatunków nie występowało tu jeszcze kilkadziesiąt lat temu. Z kaskadą jezior bezpośrednio związane są trzy użytki ekologiczne: „Pogoria I", „Młaki nad Pogorią I" i „Pogoria II".

Poligon badawczy naukowców

Dla mieszkańców województwa akweny są miejscem rekreacji, dla samorządu mają znaczenie promocyjne, dla inwestorów ich wartość ma wymiar ekonomiczny. Jakie znaczenie mają dla naukowców?

– Już od kilkudziesięciu lat są wdzięcznym obiektem badań – mówi prof. Mariusz Rzętała z Zakładu Hydrologii i Gospodarki Wodnej Obszarów Urbanizowanych Wydziału Nauk o Ziemi Uniwersytetu Śląskiego. – Limnologią, czyli badaniem wód zbiorników śródlądowych, zajmowali się na naszym uniwersytecie m.in. profesorowie Józef Szaflarski, Jan Trembaczowski czy Andrzej Jankowski. Naturalne jeziora w Polsce mają co najmniej kilkanaście tysięcy lat, natomiast zbiorniki antropogeniczne, które zostały utworzone przez człowieka, pojawiły się w krajobrazie stosunkowo niedawno. Tu pole do organizowania i realizowania badań mają przedstawiciele bardzo różnych dyscyplin naukowych. Dla nas obszar „Pogorii" jest szczególnie interesującym poligonem badawczym w związku z występowaniem kaskady trzech jezior poeksploatacyjnych, przez które przepływa ciek Pogoria. Jest to jedyny taki układ dużych akwenów w regionie. Umożliwia poznanie znaczenia krajobrazowego poszczególnych jezior i całego ich zespołu.

Wachlarz problemów badawczych podejmowanych przez naukowców Zakładu jest bardzo szeroki. Obejmują one m.in. morfogenezę i hydrogenezę, czyli sposoby powstawania zbiorników i pochodzenie znajdującej się w nich wody, bilans wody i jej jakość, co jest niezwykle istotne w regionie uprzemysłowionym, zamieszkałym przez bardzo dużą grupę ludności. Bada się tu właściwości fizyko-chemiczne wód, osadów dennych, śledzi przemiany morfologiczne, obserwuje procesy brzegowe. Takie badania są niezwykle ważne, gdyż jak twierdzi prof. Rzętała Polska jest krajem, w którym deficyt wody będzie coraz bardziej odczuwalny. Pod względem zasobów wodnych znajdujemy się na końcu listy krajów europejskich. W przeliczeniu na jednego mieszkańca są one niższe niż w krajach sąsiednich oraz niższe od średniej europejskiej.

– Maksymalne zużycie wody w naszym regionie przypadało na lata 70. ub. wieku, obecnie zapotrzebowanie to jest najmniejsze – mówi profesor. – Jeszcze kilkanaście lat temu pobieraliśmy w województwie śląskim prawie 800 mln m^3 wody rocznie, dziś potrzeba zaledwie 400 mln m^3. Jednak większość osób zajmujących się gospodarką wodną twierdzi, że żyjemy w obszarze deficytu wód. Możemy to m.in. argumentować uwarunkowaniami przyrodniczymi, obszar w którym żyjemy jest położony na granicy dorzeczy Wisły i Odry, gdzie przebiega tzw. strefa wododziałowa, cechująca się ubóstwem wody. Z pewnością mamy deficyt wód czystych i to jest największą bolączką regionu.

Jak pomóc przyrodzie

Z ekologicznego punktu widzenia jeszcze kilkadziesiąt lat temu mieliśmy w Kotlinie Dąbrowskiej krajobraz zdewastowany. W ciągu kilkudziesięciu lat przy niewielkiej pomocy człowieka nastąpiła spontaniczna regeneracja przyrody. – Koncepcji zagospodarowania wyrobisk pokopalnianych jest bardzo dużo – mówi prof. Rzętała. – To karygodne, ale w latach 70. ub. wieku niektóre wyrobiska wypełniano odpadami. Obecnie modne jest twierdzenie, że najlepszym sposobem rekultywacji jest pozwolenie przyrodzie na spontaniczną regenerację. Czyli jak nie mamy pieniędzy, to możemy wykorzystać moce przerobowe przyrody. To nie jest dobre rozwiązanie, rekultywacja musi się odbywać przy udziale człowieka, a utworzenie zbiornika wodnego w wyrobisku jest chyba najtańszą, najszybszą i najbardziej przyjazną ekologicznie metodą.

Pierwszy zbiornik o powierzchni 75 ha, otoczony lasami, pensjonatami i hotelami powstał w 1943 r. Tu koncentruje się życie żeglarskie regionu. Akwen ma głównie znaczenie rekreacyjne, ale w jego południowej części gniazdują rzadkie gatunki ptaków wodnych, a na znajdującym się na wschodnim brzegu użytku ekologicznym Młaki rosną chronione gatunki roślin. Pogoria II otoczona jest wyjątkowo bujną roślinnością. Mamy tu geosystem o największej bioróżnorodności. Pogoria III, rezerwowe ujęcie wody dla byłego kombinatu Huta Katowice, jest ważnym miejscem dla nurków, którzy przyjeżdżają tu z całej Polski. Na terenie Kotliny Dąbrowskiej występują kompleksy leśne zdominowane przez sosny z domieszką dębu, buku, grabu i modrzewia. To ubogie świadectwo obecności pierwotnych zbiorowisk leśnych zasiedlających obszar bogaty w nadrzeczne olsy i łęgi, lasy bukowo-jodłowe i bory sosnowe.

Co wyróżnia Kuźnicę Warężyńską

W 2005 roku powstał czwarty zbiornik Kuźnica Warężyńska, popularnie nazywany Pogorią IV. Prace nad jego przygotowaniem trwały 22 miesiące. – Kuźnica jako wyrobisko głębokie automatycznie było pretendowane do powstania zbiornika wodnego – mówi prof. Rzętała. – Widać to już w koncepcjach zagospodarowania tego terenu opracowywanych w latach 70. ub. wieku, czyli w początkach eksploatacji piasku. Rekultywacja w kierunku leśnym prawdopodobnie by się nie udała, najpewniej podpływające wody podziemne uniemożliwiłyby realizację takiej koncepcji. Na etapie tworzenia zbiornika w prasie pojawiały się niezbyt prawdziwe opinie, że to największe sztuczne jezioro w Polsce. Tymczasem w grupie zbiorników poeksploatacyjnych naszego regionu, które powstały przez zalanie wyrobisk, plasuje się na miejscu trzecim po Dzierżnie Dużym i Dziećkowicach.

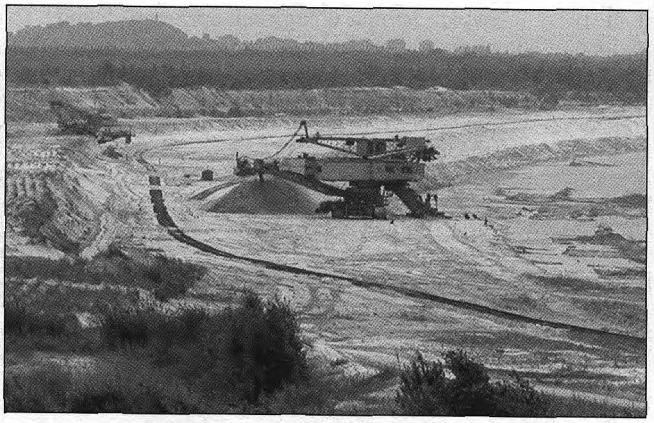
Zbiornik o powierzchni ok. 560 ha ciągnie się od jazu piętrzącego wodę od okolicy Pogorii III aż po odległe o 5 km



Windsurfing stał się ulubionym sportem mieszkańców, zawody cieszą się ogromną popularnością.

Dofinansowano ze środków Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w Katowicach

Wojkowice Kościelne. Ma silnie wydłużony z południa na północ kształt, maksymalna głębokość w części północnej wynosi około 23 m. Znajdują się na nim liczne wysepki, z których największa o powierzchni kilku hektarów jest oddzielona od zachodniego brzegu jedynie wąskim kanałem. Gniazdują tu rzadkie gatunki chronionych ptaków, które z racji piaszczystych wysp znalazły tu środowisko zastępcze. Zbiornik powstał w miejscu kopalni, w której wydobywano piasek przez 30 lat. Mogą być do niego kierowane wody Czarnej Przemszy oraz Trzebyczki. Co jeszcze go wyróżnia?



Przemysłowy krajobraz naszego regionu jest najlepszym przykładem ingerencji człowieka w ukształtowanie powierzchni Ziemi.

– Kuźnica Warężyńska gromadzi stosunkowo czyste wody. To zbiornik nowy, oligotroficzny, czyli ubogi w substancje organiczne – wyjaśnia prof. Rzętała. – Z każdym kolejnym rokiem będzie zwiększał swoją żyzność, bo immanentną cechą ewolucji jezior i zbiorników wodnych jest ich zarastanie. Chcemy wiedzieć, czy będzie zwiększać swoją żyzność powoli, czy szybko, i jaką rolę w tym procesie odegra człowiek.

Obecnie w Kotlinie Dąbrowskiej najbardziej zanieczyszczone są wody Pogorii I. Jednak jak nas poinformowano w Urzędzie Miejskim Dąbrowy Górniczej zgodnie z projektem „Uporządkowanie gospodarki wodno-ściekowej w gminie Dąbrowa Górnicza" na osiedlu przy Zbiorniku Pogoria I zostanie wybudowana kanalizacja sanitarna. Inwestycja powinna się zakończyć 30 marca 2014 roku.

Nowe życie lipiennika Loesela

Centra handlowe skutecznie eliminują przyrodę z propozycji weekendowych. Tylko nieliczni potrafią odczuć bogactwo życia natury, większość z nas zna ją tylko z telewizji. Zmieniamy krajobraz, ale nie śledzimy skutków naszych działań, choć mogą nas miło zaskoczyć. Czy wiemy na przykład jak wygląda lipiennik Loesela, zagrożony wymarciem drobny storczyk, lub mięsożerny tłustosz? Pierwszą roślinę możemy zobaczyć po wschodniej stronie Kuźnicy Warężyńskiej, w miejscach gdzie w wyniku eksploatacji piasku przecięte zostały warstwy wodonośne i ukształtowały się wysięki oraz strumienie czystej wody. Powstały tu stanowiska jednej z największych znanych populacji ginącego gatunku lipiennika. Zagrożony wyginięciem tłustosz pospolity dwubarwny rośnie w południowo wschodniej części jeziora wśród obficie tu występujących skrzypów pstrych. Akwen stał się miejscem życia dla wielu unikatowych gatunków roślin, m.in. rosiczki okrągłolistnej, widłaczka torfowego, rukwi wodnej. Walory naturalne zadecydowały, że wydzielono trzy obszary cenne przyrodniczo – „Lipienniki pod Ujejscem", „Tłustosze nad Kuźnicą Warężyńską" oraz „Rozlewiska i wyspy na Kuźnicy Warężyńskiej". Są one objęte ochroną Natura 2000. – Warto podkreślić, że zbiornik nie tylko kształtuje krajobraz, ale również warunki klimatu lokalnego – mówi prof. Rzętała. – Podwyższeniu ulega średnia dobowa temperatura, jeziora sprzyjają powstawaniu mgieł i zamgleń, zwiększa się prędkość wiatru oraz zmniejsza liczba cisz itd.

Spokój i kąpiele słoneczne

Kopalnia Piasku Kuźnica Warężyńska S.A. nadal wydobywa na ograniczonym obszarze piasek podsadzkowy. Akwen ma spełniać rolę przeciwpowodziową i przechwytywać ewentualną falę wezbraniową Czarnej Przemszy. – Zagrożenie od strony płynącej rzeki jest jak najbardziej realne, ale funkcje przeciwpowodziowe doskonale spełnia położny wyżej zbiornik Przeczyce – mówi prof. Rzętała. – Dla zbiornika Kuźnica Warężyńska przewidziano redukcję fali wezbraniowej, czyli zmniejszenie ilości wody, która może płynąć Czarną Przemszą z 60 m^3 na sekundę do kilkunastu m^3 na sekundę. Na pewno służy podniesieniu bezpieczeństwa niżej położonych miejscowości.

Kuźnica Warężyńska to bez wątpienia duża szansa dla rozwoju turystyki. Jego południową stroną przebiega jeden z licznych w tym regionie szlaków turystycznych. W promieniu niespełna 20 km leży Pustynia Błędowska, Park Krajobrazowy Orlich Gniazd oraz Szlak Warowni Jurajskich. Na razie zbiornik jest wykorzystywany rekreacyjnie w niewielkim stopniu, jeszcze do niedawna nie można było na nim pływać nawet kajakiem. Administrator akwenu, RZGW w Gliwicach, jest odpowiedzialny za gospodarowanie wodą, utrzymanie zbiornika oraz jego budowli. Zamontowanie ewentualnych przystani, kąpielisk itp. jest w gestii miejscowych samorządów. – Od ubiegłego roku mamy zgodę RZGW na korzystanie z łodzi żaglowych i wiosłowych – mówi Marcin Bazylak, pełnomocnik prezydenta Dąbrowy Górniczej. – Działa tutaj obwód wędkarski, a wody są zarybiane. Na razie najpopularniejszą formą wypoczynku jest jednak jazda na rolkach i rowerach, do czego doskonale nadaje się udostępniona przez RZGW droga serwisowa wokół jeziora. Po stronie zachodniej zbiornika mamy prawie dziesięciokilometrową drogę asfaltową wykorzystywaną jako ścieżkę rolkowo-rowerową i spacerową. Po stronie wschodniej od ulicy Unruga do Wojkowic wytyczony został terenowy szlak rowerowy o długości około siedmiu kilometrów.

Miasto organizuje tu duże imprezy sportowe, także rangi ogólnopolskiej. – Gościliśmy uczestników Maratonu Skandia MTB, Mistrzostw Polski MTB, międzynarodową obsadę Dąbrowskiego Półmaratonu, zawodników maratonów rolkowo rowerowych, imprez kolarskich – wymienia Marcin Bazylak. – Ze zbiornika korzystają żeglarze i widsurfingowcy. Obecnie z mieszkańcami Dąbrowy konsultowany jest projekt „miejscowego planu zagospodarowania przestrzennego miasta dla terenów położonych wokół zbiornika Kuźnica Warężyńska wraz z prognozą oddziaływania na środowisko". Przewidziano w nim wyodrębnienie terenów przeznaczonych pod infrastrukturę sportowo-rekreacyjną i wypoczynkową. – Do czasu przyjęcia planu nie możemy wprowadzać w tym rejonie żadnych zmian, bowiem aktualnym przeznaczeniem zbiornika wodnego w granicach Dąbrowy Górniczej jest eksploatacja złoża piasku podsadzkowego przez kopalnię Kuźnica Warężyńska S.A., która posiada koncesję na wydobycie do 31 grudnia 2013 roku. Wynika to z obowiązującego jeszcze planu zagospodarowania przestrzennego – mówi Marcin Bazylak. – Nie chcielibyśmy zamykać jeziora dla sprzętu motorowodnego, z którego tak chętnie korzystają turyści i mieszkańcy. Dopuszczamy taką możliwość w naszych koncepcjach, choć oczywiście kwestie te podlegałyby ścisłym uregulowaniom ze względu na sąsiedztwo obszarów prawnie chronionych. Ta sytuacja może generować konflikty, ale równie dobrze może stać się polem do współpracy. Władze miasta są pewne, że przyciągną nad jezioro turystów weekendowych nie tylko z terenu Śląska, a jednocześnie stworzą nowe miejsca pracy. Zatem fakt, iż obiekt może stać się kluczowym miejscem rekreacyjnym Śląska i Zagłębia wydaje się bezsporny. Na razie Pogoria IV może zaoferować coś, czego nie znajdziemy nad Pogorią I lub III. Spokój i kąpiele słoneczne z dala od zgiełku. ■

Fot. Andrzej Obalski



Rezerwat Łężczok po remoncie grobli i odnowie stawów, to dziś siedlisko dla ponad dwustu gatunków ptaków.

Siła zielonych funduszy

JOLANTA MATIAKOWSKA

Pomysły na stworzenie w Polsce optymalnego modelu finansowania ochrony środowiska rodziły się w latach największej zapaści gospodarczej i ekologicznej. Pierwszą instytucją, która powstała w tym celu w 1989 roku był Narodowy Fundusz Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej. Cztery lata później, na mocy ustawy sejmowej, utworzono Wojewódzkie Fundusze Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej. Pierwszy wspiera inwestycje o zasięgu ogólnopolskim i ponadregionalnym, szesnaście funduszy wojewódzkich – ochronę środowiska w swoich regionach. Te odrębne instytucje od 20 lat razem tworzą spójny system finansowania przedsięwzięć ekologicznych w kraju. Moc i skuteczność zielonych funduszy jest nie do przecenienia.

Od początku swego powstania w czerwcu 1993 roku wojewódzkie fundusze... przekazały swoim beneficjentom na proekologiczne zadania ponad 29 miliardów złotych. W sumie na 114 tysięcy zadań związanych między innymi z ochroną i poprawą jakości wód, gospodarką wodną, ochroną powietrza i ziemi, gospodarowaniem odpadami, ratowaniem i ochroną przyrody oraz profilaktyką zdrowotną.

Ich skalę najlepiej pokazują inwestycje wodne. Wybudowana z ich wsparciem sieć kanalizacyjna liczy sobie 60 tysięcy kilometrów długości czyli... wystarczyłaby do opasania kuli ziemskiej półtora raza. Dziesięć tysięcy nowych bądź zmodernizowanych oczyszczalni ścieków to rekord, ale potrzeba więcej. Długość odcinków odbudowanych i wyremontowanych koryt rzek, potoków i wałów przeciwpowodziowych to prawie 19 tysięcy kilometrów!

Skąd pieniądze

Od początku działalności budżety wojewódzkich funduszy... zasilane są opłatami za korzystanie ze środowiska, karami wnoszonymi przez przedsiębiorstwa za przekraczanie norm ekologicznych oraz zwrotami rat pożyczek z odsetkami, udzielanymi we wcześniejszych latach. To służy pomnażaniu każdej, pożyczonej złotówki, co najmniej dwukrotnie. Wypracowane w ten sposób zyski przeznaczane są na kolejne ekologiczne zadania.

Jako partnerzy samorządów, pełnią też wojewódzkie fundusze podstawową rolę w pozyskiwaniu unijnych środków pomocowych na cele ekologiczne. (By je uzyskać, potrzebny jest własny wkład finansowy, na który zaciągane są nisko oprocentowane, funduszowe pożyczki). Wartość zadań z programów takich jak np. PHARE, SAPARD, ISPA, Funduszu Spójności przekroczyła już sumę 20,5 miliarda złotych.

Wspólnie z Narodowym Funduszem Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej i te wojewódzkie pełnią funkcje instytucji wdrażającej projekty, finansowane z największego dla Polski unijnego Programu Operacyjnego „Infrastruktura i Środowisko 2007-2013".

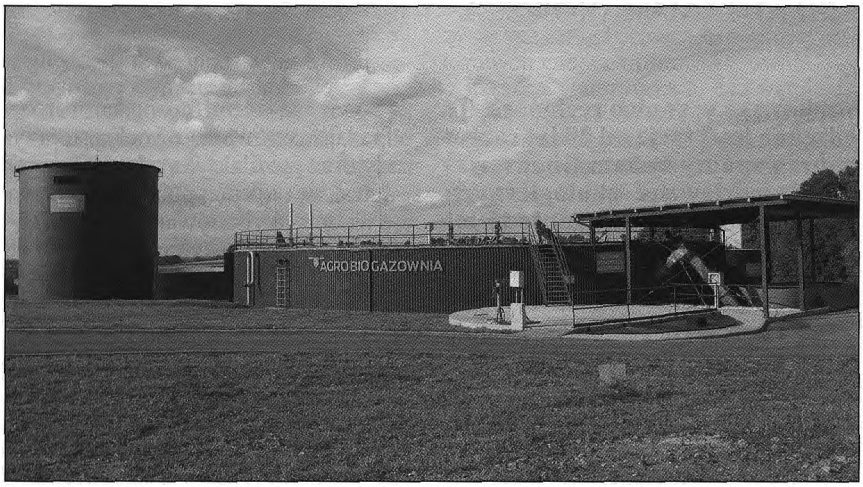
Współpraca Narodowego z wojewódzkimi funduszami to kolejny atut polskiego modelu finansowania ochrony środowiska. „Wspólna strategia działania Narodowego i wojewódzkich funduszy ochrony środowiska i gospodarki wodnej na lata 2013-2016, z perspektywą do 2020 roku" tylko ją potwierdza.



Gabriela Lenartowicz, prezes WFOŚiGW w Katowicach oraz Małgorzata Skucha, prezes Narodowego Funduszu... podpisują umowę dotyczącą programu „Region".

Ostatnio okazała się niezbędna. Powód? To wprowadzona niedawno ustawa o redukcji niektórych obciążeń administracyjnych w gospodarce, która wymusza zmiany w opłatach środowiskowych. Do tej pory przedsiębiorcy płacili je dwukrotnie w ciągu roku. Teraz będą płacić tylko raz w roku do 31 marca. Niedopłacone sumy w jednym roku, są zobowiązani wyrównać w kolejnym, ale... Mniejsze wpływy do funduszy już w tym roku, oznaczają niedobór środków na już zaplanowane zadania.

W tej sytuacji uruchomiono program Region, na który NFOŚiGW przeznaczył 500 mln złotych, zapobiegł zakłóceniom w wypełnieniu zobowiązań funduszy wobec beneficjentów. Podczas jubileuszowej uroczystości 20-lecia wojewódzkich funduszy ochrony środowiska i gospodarki wodnej, podsumowującej efekty ich działania, w warszawskim Pałacu Staszica, 19 czerwca br. podpisano pierwsze w tej sprawie porozumienia. Między innymi z WFOŚiGW w Katowicach.



Agrobiogazownia w Kostkowicach, wiodący obiekt w Centrum Energii Odnawialnych Zakładu Doświadczalnego Instytutu Zootechniki PIB w Grodźcu.

Katowicki w czołówce

Uroczystej konferencji w Warszawie towarzyszyły i inne zdarzenia. Ważne dla dzieci stolicy happeningi ekologiczne, przygotowane przez dwie znane nie tylko w Polsce pozarządowe organizacje ekologiczne z woj. śląskiego: Klub Gaja i Fundację Arka oraz wystawa fotografii, prezentująca wspierane przez zielone fundusze znaczące inwestycje we wszystkich regionach kraju.

WFOŚiGW w Katowicach, jest niewątpliwie liderem w tej dziedzinie. Wartość wsparcia finansowego, jakiego dotąd udzielił inwestującym we wszystkich sferach ochrony środowiska to ponad 5,5 miliarda złotych! Nie ma w województwie śląskim ważnej inwestycji ochrony środowiska, która powstawała bez pomocy finansowej katowickiego funduszu. Największe sumy pochłonęły te, związane z ochroną powietrza, wód i porządkowaniem gospodarki ściekowej. Następnie z gospodarką wodną, odpadami i ochroną powierzchni ziemi. Znaczna część środków przypadła na profilaktykę

zdrowotną dzieci i młodzieży, zamieszkujących mocno zanieczyszczone tereny oraz na ochronę przyrody i krajobrazu, edukację ekologiczną i zarządzanie środowiskiem w regionie, obciążonym historycznym spadkiem po przemyśle.

Województwo śląskie z sukcesem korzysta ze środków pomocowych Programu Operacyjnego „Infrastruktura i Środowisko", które wdraża Narodowy i Wojewódzki Fundusz Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w Katowicach. Łącznie będzie to trzydzieści projektów o wartości ponad 5,2 milarda złotych. Połowę tej sumy stanowią unijne dotacje.

Pozyskiwanie pomocy finansowej z WFOŚiGW w Katowicach na cele ekologiczne jest coraz łatwiejsze, uważa jego prezes Gabriela Lenartowicz. Szczególnie dla tych beneficjentów, którzy zapewniają osiąganie największych dla środowiska efektów, za najmniejszą cenę. A te, zdaniem G. Lenartowicz, osiąga się z pomocą innowacyjnych rozwiązań, które równocześnie służą rozwojowi nowoczesnej gospodarki.

Dorobek katowickiego Wojewódzkiego Funduszu... oceniany jest w krajowym systemie finansowania ochrony środowiska bardzo wysoko. Nie tylko wówczas, gdy przyłoży się do niego skalę od katastrofalnej klęski ekologicznej do osiągania unijnych standardów środowiskowych. Świadczy o tym coraz dłuższa śląska lista nowoczesnych, innowacyjnych rozwiązań, gwarantujących bardziej zrównoważony rozwój.



Śląski Ogród Botaniczny w Mikołowie odwiedzają całe rodziny.

Ekologiczne wizytówki

Na warszawskiej wystawie wśród ekologicznych „wizytówek" województwa śląskiego znalazła się m.in. jedna z pierwszych w Europie w pełni rolnicza biogazownia w Kostkowicach pod Cieszynem, należąca do Centrum Energii Odnawialnych w Zakładzie Doświadczalnym Instytutu Zootechniki Państwowego Instytutu Badawczego w Grodźcu. Obiekt ten, dofinansowany przez WFOŚiGW w Katowicach sumą ponad 6 mln złotych, pełną moc produkcyjną osiągnął w 2012 roku.

Unikatowa nie tylko w skali kraju agrobiogazownia wykorzystuje do produkcji energii wszystkie, nie tylko roślinne, odpady powstające w rolnictwie. Obok tradycyjnej kiszonki roślinnej, także obornik, gnojowicę, pozostałości po produkcji gliceryny, tłuszczów, osadów rzepakowych, resztek poubojowych, gorzelnianych, kuchennych i spożywczych. Z tego wsadu powstaje zielona energia.

Inny pokazany na warszawskiej wystawie nowoczesny obiekt to oczyszczalnia ścieków w Rybniku-Orzepowicach, która dzięki wybudowaniu nowoczesnej biogazowni i kotłowni, również wykorzystuje czystą energię.

Na tej ekspozycji pokazano też Śląski Szpital Reumatologiczno-Rehabilitacyjny w Ustroniu, produkujący na swoje potrzeby energię odnawialną. Dzięki niej zmniejszył emisję zanieczyszczeń do powietrza.

Nie zabrakło na niej chronionych skarbów natury i widowiskowej edukacji.

Katowicki Fundusz te dziedziny wspiera szczególnie. Objął niepisanym mecenatem najcenniejsze okazy przyrody w postaci rezerwatów, parków czy innych rzadkich miejsc, jak np. Śląski Ogród Botaniczny w Mikołowie z jego misją naukową, edukacyjną, rekreacyjną, a przede wszystkim zadaniem ocalenia ginących gatunków flory i fauny Wyżyny Śląskiej.

Wszechstronne starania katowickiego Funduszu... w coraz większym stopniu godzą potrzeby ekologii i nowoczesnej gospodarki. ■



Mobilne Centrum Edukacji Ekologicznej Arka pod Pałac Staszica przyjechało m.in. ze swoim zielonym kinem, „napędzanym" przez system rowerów i prądnic.

Malarskie eseje Lecha Kołodziejczyka

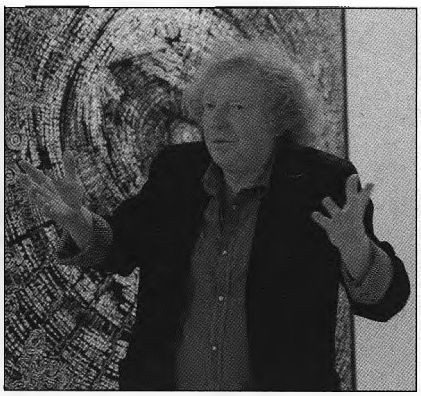


Foto. Krzysztof Lisiak

Tam, gdzie myśl czuje się bezdomnie, a wyobraźnia traci orientację rozpoczyna się sztuka. Artysta należy do tego rodzaju peryferyjnej bezdomności, w której prawo nie jest już kategorycznym, obowiązującym powszechnie imperatywem – pisze w eseju „Pod dalekim niebem Hellady. Artysta i jego czas" Tadeusz Sławek. W dalszej części swojego wywodu dodaje: *Praca artysty sięga zatem ciemnego fundamentu, który nigdy nie dopasowuje się do form przyjętych na powierzchni. Działanie artysty ma charakter „tektoniczno-geologiczny", a nie „architektoniczno-urbanistyczny". Odsłania nienaturalne podstawy tego, co naturalne; co nie „stroi" w doskonale harmonicznej pieśni. Jest tym, co „psuje śpiew słowika", It spoili the singing of the nightingale. Poza naturą i poza kulturą działa artysta.* Punktem wyjścia do estetycznych rozważań autora są wprawdzie „Listy o estetycznym wychowaniu człowieka…" F.F. Schillera, ale można je odnieść do sytuacji twórczej jednego z najciekawszych współczesnych malarzy Lecha Kołodziejczyka – artysty związanego ze Śląskiem, zajmującego się nie tylko tworzeniem obrazów, ale także poszukującego potwierdzenia swoich działań w sferze teorii sztuki i estetyce.

Inny malarz, eseista i teoretyk sztuki Roman Maciuszkiewcz pytał w jednym ze swoich esejów („Alchemia malarstwa, czyli na antypodach sztuki") jak pisać o malarzach […] *dla których malarstwo jest czymś więcej niż tylko zapełnieniem płaszczyzny kolorem, mniej lub bardziej uporządkowanym zestawem plam barwnych; jest czymś więcej niż próbą zinterpretowania otaczającej rzeczywistości, czymś więcej niż malarską dywagacją na temat przedmiotu – lub jego braku – w sztuce. Najpierw jest bowiem oglądem świata, później próbą opowiedzenia o nim, najpierw duchowym przeżyciem, później próbą znalezienia dla niego malarskiej metafory. Jest obrazem innego świata.*

Lech Kołodziejczyk w zasadzie nie tworzy pojedynczych obrazów. Wszystkie, od początku drogi twórczej, układa w cykle, które stają się wariacjami na jeden temat, na zadany sobie – nie do rozwiązania, ale do przemyślenia – problem. Kołodziejczyk maluje stale – czasem wraca do obrazów zdawałoby się dawno zamkniętych. Setki płócien, najczęściej sporych formatów, tworzą przestrzeń malarską otaczającą go ze wszystkich stron, wchłaniającą. Są jego wyimaginowanym światem, ale zanurzonym głęboko w świadomość, rzeczywistość, codzienność i podświadomość. Nie wystarcza mu wypowiedź w postaci jednego obrazu; kolejne są jak rozdziały książki, jak akapity eseju. Nie jest też tak, że nie wystarcza mu obraz, dlatego sięga po słowo. Bo trudno opisać rzeczywistość malarską, zamkniętą w określoną przestrzeń, chociaż sięgającą sfery doznań duchowych, psychicznych, także fizycznego dotknięcia otaczającej rzeczywistości. Płótno, farba, pędzel – ręka, gest artysty nadaje sens temu, co staje się efektem procesu twórczego. Słowo wyłącznie naprowadza odbiorcę, uściśla teren penetrowany przez artystę. Jak w *Kosmogonie* – najstarszy z cykli malarskich, który określa jako poszukiwanie właściwego sobie języka malarskiego, zaprzeczenie zastanym stereotypom, wychodzenie poza akademickość, to próba określenia siebie jako artysty. Kolejny cykl – *Księga Słońca* – to poszukiwanie światła „jako ekwiwalentu niewymierności", poznawanie napięć, jakie powstają pomiędzy kolorem i światłem. Przyznaje się do inspiracji witrażem najpiękniej i najdobitniej istniejącym w gotyckich katedrach, będącym w relacji nie tylko z wyobraźnią artysty ale nade wszystko ze sferą przeżyć duchowych, transcendentalnych. Powraca przy tym do archetypicznych motywów kręgu, koła, spirali, motywów solarycznych. Poszukuje równowagi między tym co zdyscyplinowane, nie poddające się przypadkowości a artystyczną dowolnością, to czas „światła wewnętrznego, stanowiącego emanację duchowego przeżycia".

Do najważniejszych cykli zalicza Lech Kołodziejczyk także *Głowy* oraz *Rytmy pamięci* i *Zapomniany Horyzont*. Pierwsze inspirowane dramatem zamachu na nowojorski WTC pokazują anonimowe, ujednolicone twarze, a raczej ich fantomy, o pustych oczodołach, bez emocji, bez wyrazu. Nieprzeniknione, nieodgadnione, jakby niczyje. Czy w tych gigantycznych *Głowach* jest miejsce na współczucie, na humanizm, czy tylko są wypełnione – jak roboty – myśleniem o osiągnięciu strategicznego celu, bez względu na konsekwencje. Ziejące pustką, często tylko domyślne, będące jakby częścią składową wielkiego zbiorowego procesu myślowego komórek zawieszonych w kosmicznej przestrzeni głowy, to nie bezmyślne machiny, ale odczłowieczone obiekty, przez które przenika niezliczona ilość myśli, odczuć, skojarzeń i pragnień.

Czy gdzieś po drodze zagubiły się Kołodziejczykowe *Nokturny*, *Wiosny*, *Ogrody ciemności, Luminofory* i *Księga Nocy?* Z pewnością nie, bo jeśli spojrzeć na twórczość Lecha Kołodziejczyka, to każda praca wynika z poprzedniej, zapowiada następną, przemyślenia znajdują swój ciąg dalszy w kolejnych. Mijające lata, doświadczenie, powodują, że najnowsze jego obrazy są kwintesencjami minionego. Można odnieść wrażenie, że artysta nie znajdując odpowiedzi na postawione pytania tworzy kolejne dzieła, próbując dopowiedzieć, przemalować i zmienić rzeczywistość malarską, którą pozostawił w minionym czasie. Poszukuje w sobie odpowiedzi na pytania o ludzką pamięć, o postrzeganie przeszłości, o identyfikację samego siebie. – W którym miejscu jestem? – zdaje się pytać samego siebie, czy jeszcze jestem, czy istnieję ja jako „ja", jeśli tak, to w jakiej rzeczywistości, co mnie z nią łączy?

Kiedy widzi się Lecha Kołodziejczyka w jego mateczniku, w pracowni, kiedy spotyka się go idącego ulicą – a postać to niezwykle charakterystyczna, nie sposób nie zauważyć jego fizycznej obecności, ale z pewnością duch i myśl pozostają w przestrzeni malarskiej, w realności kreowanej dzień po dniu, od lat. Czy znajdzie się zatem miejsce na jakąś inną rzeczywistość, niż ta malarska? To tam, w pracowni padają najważniejsze pytania i tam, pokonując kolejne płótna pospiesznie zbijane w całości poliptyków, poszukuje odpowiedzi. Słowo zatem ma być krótkim przewodnikiem po dziele, po wewnętrznym pejzażu jego samego.

Ale czy temu mają służyć jakby wyjęte z innej rzeczywistości postaci, które ostatnio zaczął umieszczać w swoich obrazach? Nie służą wychodzeniu poza horyzont, a stają się zgrzytem w przestrzeni, nad którą tak znakomicie panował twórca. We wcześniejszych obrazach idea była jasna i klarowna, nowy zamysł Lecha Kołodziejczyka nie przekonuje mnie. Może to eksperyment lub szkic do kolejnych prac, poszukiwanie nowego sposobu obrazowania tematu, który jeszcze nie do końca został sprecyzowany? „Nowy" Kołodziejczyk może będzie przekonujący, kiedy powstanie kolejny, przepracowany na wiele sposobów cykl.

Ale wystarczy czasem zatopić się w kolorystyczną feerię barw pojedynczego dzieła – bo Lech Kołodziejczyk, jak niewielu już dziś malarzy, jest znakomitym kolorystą, posługującym się zdecydowaną barwą, tworząc na obrazie przy pomocy grubo nakładanej farby faktury niczym płaskorzeźby, poprzez które lub ponad którymi balansuje światło – by próbować przeniknąć naturę jego autora. Z pewnością doprowadził do perfekcji łączenie w jednym obrazie ogromnej ekspresji z precyzją, pozornego chaosu z detalicznym przedstawieniem szczegółu. Jedna z bezimiennych *Głów* czy pojedynczy *Ogród ciemności,* bądź fascynujący fragment *Kosmogonii* mogą z zawartymi w nich emocjami istnieć autonomicznie.

I jeszcze inny element, jaki można zauważyć w dziełach Lecha Kołodziejczyka. Można je odczytywać jak wielkie barwne partytury, w których dźwięki na pięcioliniach lub poza nimi, zastąpione zostały barwnymi plamami. Pozorna dowolność ich odczytania, choć sterowana ręką mistrza, prowadzi do właściwej interpretacji. Obrazy te są jak główny temat złożonej symfonii: przetwarzany, konfigurowany, omawiany przez kompozytora w rozmaitych tonacjach, poddawany przeobrażeniom rytmicznym i harmonicznym. Obrazy jak dzieło otwarte, bez jednoznacznego zakończenia, sugerujące dalszy rozwój malarskiej materii. Bo czyż Kosmos z postawionym w jego centrum Człowiekiem, prócz swej niespokojnej świetlistości i ruchliwości nie jest jedną wielką symfonią, graną od nieskończonego początku do nieskończonego końca jak wielkie, poddawane kolejnym wariacjom *da capo al fine*?

WIESŁAWA KONOPELSKA

***Wyobrażalne – rzeczywiste* – Lech Kołodziejczyk, malarstwo. Galeria Piętro Wyżej Centrum Kultury Katowice. Wernisaż: 16 maja 2013 r.**

Fot. Krzysztof Lisiak



Fragment ekspozycji w galerii Centrum Kultury w Katowicach

Fot. Jerzy Pustelnik



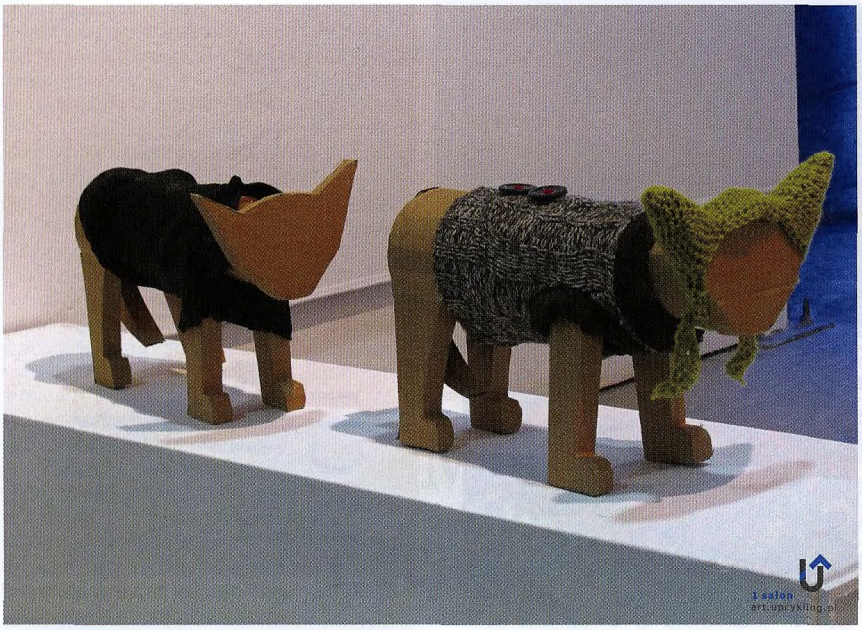
Z cyklu: „Kosmogonie", „Jesienna Kosmogonia II", olej, płótno, 140x200 cm, 1995



Fot. Krzysztof Lisiak

LECH KOŁODZIEJCZYK

Wyobrażalne – rzeczywiste



Ubranka na pieska ze starych ubrań, Copyright Konstancja Z. Tanjga

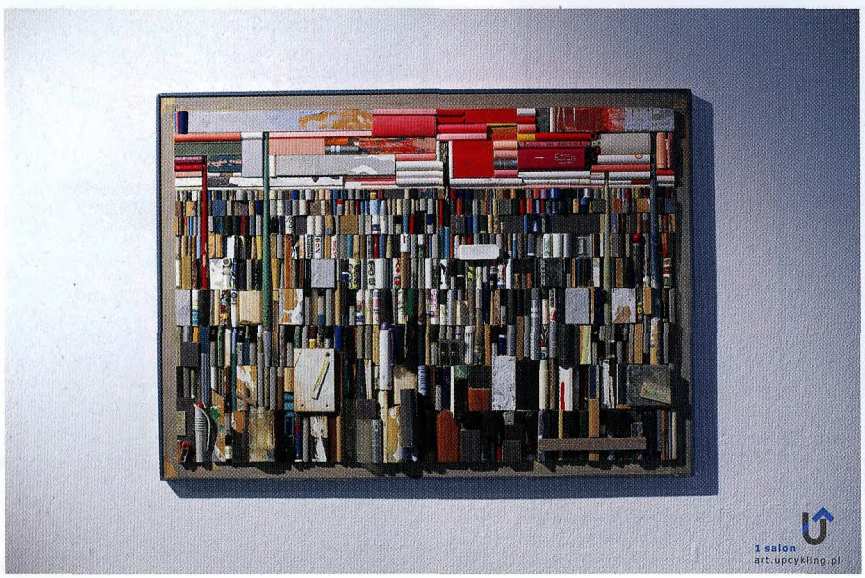


Naszyjniki z butelek PET
Copyright Ekoista



Krzesła z nart, Copyright UPdeco – Martyna Rusak i Krzysztof Lipiński





Obraz-relief z odpadów biurowych, Copyright Robert Dudek



Fotel z Beczki
Copyright Robert Pludra i Jakub Sobiepanek;
Wieszak ze słupa telegraficznego
Copyright Studio 6x6

Zdjęcia: z materiałów Rondo Sztuki



Fot. z materiałów Ronda Sztuki

Sztuka (z) odzysku

PLASTYKA

„W tamtych czasach (...) kupowało się różne rzeczy, ale niewiele po nich zostawało. Po cukrze zostawały papierowe torebki, które można było spalić w piecu albo użyć ich kolejny raz. Butelki po occie, oleju i wódce można było sprzedać w sklepie z całkiem poważnym zyskiem. Można też było ich użyć do przechowywania wiśniowych i malinowych soków wytwarzanych w domu. Patentowe butelki od oranżady i piwa, butelki ze sprężynowym zamknięciem z drutu i porcelany wykorzystywało się do przechowywania gazowanych orzeźwiających napojów produkowanych domowym sposobem z drożdży i cukru. Nie było właściwie plastiku, nie było folii, nie było kartonów powlekanych aluminium. Po jedzeniu nic nie zostawało. (...) Człowiek pozostawiał po sobie niewiele. Te resztki można było spalić albo oddać zwierzętom.(...) Nie było śmietników. Nie było śmieci. To pamiętam." – takim, nasyconym subtelną poetyką opisem dawnego życia obdarza nas Andrzej Stasiuk w swojej książce „Fado". Nie sposób po przeczytaniu tego fragmentu oprzeć się refleksji, jak wiele od tamtych czasów się zmieniło! Masowa produkcja, łatwość wymiany przedmiotów, machina reklamowa nakłaniająca do zakupu kolejnych wersji posiadanych już przez nas rzeczy – to wszystko sprawia, iż z beztroską pozbywamy się przedmiotów, które mogłyby posłużyć nam jeszcze przez wiele lat. Wciąż powiększające się wysypiska śmieci oraz sterty odpadów dryfujących po wodach oceanów i mórz stanowią realne zagrożenie dla środowiska. Ekolodzy alarmują od dawna. W tej sprawie każdy z nas ma dużo do zrobienia. Świadome życie, rozsądne otaczanie się przedmiotami i ich mądra eksploatacja to pierwszy krok do zmiany na lepsze. Z podpowiedzią jak „przedłużyć życie" niektórych przedmiotów przychodzi m. in. sztuka design. Mogliśmy się o tym przekonać w maju, podczas wystawy i warsztatów prowadzonych w ramach *1 salonu ART.UPCYKLING.PL* w katowickim Rondzie Sztuki.

Salon miał na celu zachęcenie zarówno twórców, jak i odbiorców do znalezienia kreatywnych sposobów na wykorzystanie odpadów. Jak przypominają organizatorzy wydarzenia, „upcykling" to spolszczona wersja terminu „upcycling", oznaczającego proces przetwarzania w produkty pełnowartościowe materiałów, odpadów i rzeczy zużytych lub niepotrzebnych, które zwykle trafiają na śmietnik. To umiejętność nadawania przedmiotom nowej funkcji użytkowej lub wartości artystycznej w stosunku do ich pierwotnego przeznaczenia. Ponadto upcykling może być również świetną zabawą, sposobem na rozwijanie wyobraźni i przełamywanie schematów.

Terminu tego po raz pierwszy użyto w 1994 r. Jego idea została później opisana przez Williama McDonougha i Michaela Braungarta w wydanej w 2002 r. książce pt. „Cradle to Cradle: Remaking the Way We Make Things". Autorzy tej publikacji przekonują, jak ważne jest zapobieganie marnowaniu potencjalnie użytecznych materiałów poprzez wykorzystywanie już istniejących. Udowadniają, iż upcycling może ograniczyć konsumpcję nowych, nieprzetworzonych surowców, co w rezultacie spowoduje redukcję zużycia energii, zanieczyszczenia powietrza i wody oraz emisji gazów cieplarnianych. Wystawa i warsztaty w Rondzie Sztuki zostały więc zorganizowane dla wszystkich, którym troska o środowisko nie jest obojętna, którzy w „upcyklingu" znajdują inspirację, pomysł na życie, pracę, twórczą ekspresję, czy po prostu sposób na ubarwienie sobie codzienności. Ekspozycja została przemyślana w taki sposób, aby stanowić atrakcję nie tylko dla dorosłych, ale również dla dzieci. W wystawie wzięło udział 40 artystów, projektantów. Mogliśmy zobaczyć m. in. ciekawą, iluzoryczną instalację sufitową wykonaną z odpadów technologicznych przez Aleksandrę Zaorską – rzeźbiarkę i projektantkę. Niezwykły efekt falującej, organicznej struktury został tu uzyskany przez multiplikację prostych elementów. Uwagę przyciągały również wielobarwne obrazy – reliefy Roberta Dudka, złożone z oprawionych w ramy zużytych mazaków, kredek i innych odpadów biurowych. Jak mówi artysta, powstały one z inspiracji poezją, muzyką, codziennością i pejzażem oraz z fascynacji „zdegradowanym i przebrzmiałym" przedmiotem. Ponadto dużym zainteresowaniem cieszyły się: rower, którego rama wykonana została z bambusowego drewna autorstwa Andrzeja Kani (Kite Design), fotel powstały ze starej budki telefonicznej zespołu CablePower, fotel z plastikowej beczki wykonany przez Roberta Pludrę i Jakuba Sobiepanka, skomplikowane kompozycje z odpadów biurowych autorstwa Roberta Dudka, fotel z siedziskiem i oparciem z nart Magdaleny Rusak i Krzysztofa Lipińskiego, „biomorficzne" struktury Tomasza Wójcika (Wytwórnia 21), wieszak wykonany z różnokolorowych obcasów przez Magdalenę Falkiewicz, różnorodne ciekawe kosze wyplatane z makulatury przez Ewę Michalską (StudioArtEmi) oraz wiele innych przykładów przedmiotów codziennego użytku, akcesoriów kuchennych, wyjątkowych lamp, biżuterii itd..

Wystawie towarzyszyła seria warsztatów skierowanych do dorosłych i dzieci. Odwiedzający wystawę mieli na przykład możliwość wzięcia udziału w warsztatach fotograficznych prowadzonych przez Artura Nyka, fotografa reklamowego, który podpowiadał, jak z odpadów lub z rzeczy niepotrzebnych skombinować aparat fotograficzny. Uczestnicy mogli konstruować aparaty i porównywać zdjęcia wykonane przy użyciu sprzętu profesjonalnego i upcyklingowego. W kolejnych warsztatach pokazywano niestandardowe metody tworzenia ubrań, biżuterii, a nawet fryzur. Podczas warsztatów prowadzonych przez DADA Warsztat Dziecięcej Twórczości, najmłodsi uczestnicy uczyli się, jak wykonywać torebki ze zużytych banerów reklamowych. A wraz z Ewą i Moniką Kłak (mamą i córką) dzieci i mamy zamieniały stare narzuty, poszewki i obrusy w fantazyjne fartuchy. Podobno powstał nawet jeden fartuszek w wersji mini dla ulubionego misia… Ponadto na spotkaniach towarzyszących Salonowi, naukowcy opowiadali o zjawiskach związanych z odpadami i o tym w jaki sposób sobie z nimi radzić, odbywały się projekcje filmów o tematyce upcyklingowej, a w Noc Muzeów wyemitowany został, nominowany do Oscara, dokumentalny film „Śmietnisko" reżyserek Lucy Walker i Karen Harley, opowiadający o wielkoformatowym projekcie artysty brazylijskiego pochodzenia, realizowanym na największym śmietnisku świata w Rio de Janeiro.

1 salon ART.UPCYKLING.PL zakończył się, ale wydaje się, iż zasiał pozytywny ferment. Pozostaje mieć nadzieję, że idea upcyklingu nie zostanie szybko zapomniana, a wręcz przeciwnie, zamieszka na dobre w naszych domach. Kolejna edycja Salonu w Rondzie Sztuki już za kilka miesięcy. Warto na zakończenie odwołać się do słów autorów projektu: *„Nie chodzi nam o to, żeby upcykling oglądać tylko w galeriach, choć jest bez wątpienia domeną artystów i ciekawym trendem w sztuce współczesnej. Chodzi nam o to, żeby zainspirować do życia zgodnie z tą ideą na co dzień. Jednego dnia szukamy na internetowych aukcjach czy w galeriach rzeczy, którym ktoś z polotem nadał nowe życie, a drugiego sami możemy być twórcami, złapać upcyklingowego bakcyla, a przy tym pomóc zaśmieconej planecie trochę odetchnąć. I przede wszystkim uwierzyć, że rzeczy mają duszę.*

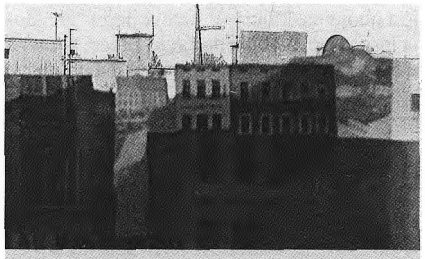
(...)

Mamy nadzieję, że 1 Salon ART.UPCYKLING.PL w Katowicach spełnił swoją rolę – uwrażliwił ekologicznie i wyzwolił drzemiące w każdym z nas pokłady kreatywności. I że czasem, w tym duchu – zamiast kupować kolejną rzecz – sami stworzymy coś pięknie użytecznego z tego, co już mamy. Zapraszamy do Ronda Sztuki jesienią!"

MICHALINA WAWRZYCZEK-KLASIK



Grafika: Wojciech Grabowski



ARCHI-TRAF

WOJCIECH GRABOWSKI

Postulaty wielkiego architekta Waltera Gropiusa, który chciał uczynić z fabryki miejsce przyjazne dla robotników, pozbawione monotonii produkcji – brzmią dzisiaj naiwnie. Fabryka nigdy nie będzie przyjazna. Czy zna ktoś przyjazną fabrykę? No, chyba że się całkowicie zautomatyzuje i zamiast setek ludzi pracujących na trzy zmiany, będzie w niej jedynie kilku inżynierów sprawdzających co pewien czas czy wszystko działa.

A jednak – chcę o poezji fabryk – molochów. Mam świadomość, że będzie to spojrzenie dziecka, pięknoducha, kogoś z zewnątrz, kto chłonie spektakl fabryczny z wygodnego fotela, nie myśląc o pocie i „blazach" na rękach ludzi tam pracujących.

Światło w halowym dachu wpadające nagle i tnące na ukos. Piony, poziomy, ukosy, konstruktywizm. Skończone piękno haka sunącego w górę. Kratownice z tysiącami szklanych prostokątów, a każde takie okienko inaczej zakrzywia przestrzeń. Cień wielkiej, sunącej, niewyraźnej suwnicy za tymi okienkami w zimnym świetle – jak te gigantyczne roboty kroczące w „Gwiezdnych wojnach". Można by długo.

Kiedy chodziłem do przedszkola, mama przeczytała mi książeczkę „Rozgniewany węgielek". Pamiętam tam przerażające czarno-bure ilustracje, od których nie mogłem się oderwać. A oglądałem książeczkę na czarnym od sadzy parapecie. Obrazki przedstawiały opustoszałe, zamarłe miasta, miasta zastygłe jak zimna lawa, ciemne, nieruchome i martwe fabryki. Obrażony przez dzieci węgielek (mówiły mu, że brudny) uciekł i pociągnął za sobą inne węgielki. A wiadomo było, że bez węgla nie można się obejść.

Ale był ratunek. Jechaliśmy w zimowy zmierzch przez Chorzów i nic nie mogło się równać z blaskiem spustu surówki tuż przy szybie. Cały tramwaj był jak prześwietlony! Ekstaza. Tylko tu – prawdziwe słońce w nocy. To było tak, jakby coś bardzo dalekiego stało się nagle bliskie, jakby człowiek znalazł się w kosmosie tuż przy rozpalonej gwieździe i nie płonął tylko patrzył. To był najlepszy spektakl, najlepszy film jaki widziałem w życiu. No, może oprócz filmów Felliniego. Właśnie. Czyż nie tym samym fascynował się Fellini, pokazując w nocnym Rzymie błyski światła od spawarek robotników naprawiających tory i wielkie, ujawnia-

jące się na ułamek sekundy cienie miasta, kontrasty oślepiającej bieli i czarnych zaułków?

Ten spektakl, ten teatr światła huty „Kościuszko" był całkowicie poza właściwą funkcją fabryki. To fascynowało, ale nie było po to, aby fascynować, tylko żeby wytworzyć jak najwięcej stali. Cały postęp, nowe technologie, gigantyczne hale miały zwiększyć wydajność produkcji. Gropius zdawał sobie z tego sprawę, pisząc na pocz. XX w. o fabrykach: „Nowoczesne materiały, takie jak stal i szkło, z ich przejrzystą, ażurową formą, zdają się przeczyć cielesności – jednej z cech samej architektury." Ale dodawał – „twórcza wola nawet w takim przypadku zdoła usunąć największe przeszkody i inspirowana sztuką nada wrażenie cielesności niematerialnym nawet substancjom".

Rury wielkich pieców kłębiły się i pięły ukosem w górę. Owijały w skomplikowanych układach kratownicową konstrukcję. Były cielesne! To jest architektura. Napisano tony utworów o potędze i wyrazie hut i kopalń i nie ma co się powtarzać. Artyści przychodzili, patrzyli i opiewali, albo byli przerażeni. Ale żaden nie przyszedł przed powstaniem fabryki (jak chciał Gropius) i nie przyłożył artystycznej ręki do tych skrajnie utylitarnych projektów. To robiło się samo, według wyliczeń inżynierów, rozrastało się samo. Z małymi wyjątkami, ale o tym za chwilę.

W latach siedemdziesiątych powstało w Paryżu Centrum Pompidou. Zachwyca do dzisiaj plątaniną rusztowań i rur, tak różną od dotychczasowych kształtów budynków muzealnych. Twórcy tego obiektu – Renzo Piano i Richard Rogers mówili, że zastosowanie elementów technicznych ma na celu stworzenie funkcjonalnej „machiny kulturalnej". Nie byli szczerzy. Chodziło o formę – tylko i wyłącznie. Ekscentryczna forma była tu najważniejsza. Pompidou – obiekt oryginalny, ale nieszczery z tymi doklejonymi rurami ukradzionymi jakby wprost z huty „Pokój" w Rudzie Śląskiej.

Teraz w XXI wieku nasze śląskie rury i kratownice nabierają nowego sensu. Kopalnie i huty, których kształt był całkowicie podporządkowany funkcji stają się w całości gigantyczną i ekscytującą formą w opustoszałym poprzemysłowym krajobrazie. Ciężka produkcja odpłynęła, jest gdzieś daleko, w egzotycznych krainach, a tu – pozostałości dawnych czasów rozbuchanego przemysłu, coraz mniej zrozumiałe dla kolejnych pokoleń.

Projektanci nowego Muzeum Śląskiego, które powstaje na terenie dawnej kopalni „Katowice" są bardziej uczciwi niż twórcy Centrum Pompidou. W ich wizji jest nawiązanie do architektury przemysłowej, do prostych fabrycznych form (kłania się Gropius ze swoimi przejrzystymi fabrykami), ale jest to założenie logiczne, skromne, schowane w ziemi, z naturalnym światłem wpadającym przez duże półprzeźroczyste powierzchnie. Nie ma przemysłu sztuki, ale jest wyeksponowanie szybu kopalnianego, który unieruchomiony zamienia się w dzieło sztuki.

Miało być o świadomym, artystycznym projektowaniu fabryki. W książce „Architektura współczesna" Adama Kotuli i Piotra Krakowskiego (wyd. 1967 r.) jest o chlubnych przykładach przemyślanej i udanej estetycznie architektury przemysłowej. „Wystarczy wymienić – piszą – elektrownię w Łagiszy, według projektu B. Uniejewskiego z zespołem (...)." Czy kogoś dzisiaj zachwyca architektura tej elektrowni? Czy ktoś się w ogóle zastanawia nad jej kształtem? Pojechałem tam w mroźny, słoneczny dzień. Z dwóch kominów wyrastały białe, wielkie i nieruchome kapusty dymu, a korpus fabryki był jak ekran, na którym wyświetlano właśnie abstrakcyjny film. Cała ta potężna ściana składa się z szachownicy wypłowiałych prostokątów pomalowanych na marchewkowo, niebiesko, seledynowo. Ten naprzemienny układ przywodził na myśl fasadę domu handlowego Zenit i w ogóle tamto radosne i uproszczone wzornictwo lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Nie ukrywam, byłem urzeczony tym widokiem i cieszyłem się, że pojechałem w taki mroźny dzień. Wszystko, łącznie z dymami i parą wodną z kolektorów było jakby zamarłe w swej potędze, w ogromnej kubaturze. I nie wiem, czy zadziałali tak sugestywnie Kotula i Krakowski, czy czarno-białe zdjęcie elektrowni w ich książce, wyglądające jak kadr ze starego, zapomnianego filmu SF, ale mam wrażenie, że w tym fabrycznym obiekcie jest cielesność, której chciał Gropius.

Ostatni spektakl przemysłowy, który zrobił na mnie wielkie wrażenie był w roku 2001. Pojechaliśmy z regionalnej telewizji robić reklamę huty „Katowice". Staliśmy mikroskopijni pod rurami wielkiego pieca. I operator Gatner filmował spust surówki, filmował jak za dawnych czasów, 20, 30 lat temu. Miał wprawę. Żartował, że mogę wziąć z archiwum jego spusty wcześniejsze, kręcone jeszcze na taśmie. Opiekował się nami zarośnięty inżynier – troglodyta w brudnych, zatłuszczonych okularach. Wyglądał tak, jakby w ogóle nie opuszczał huty. Filmowaliśmy w dyspozytorni i miało się wrażenie, że jest to mostek kapitański jakiegoś zapomnianego statku-widma, dryfującego po oceanach. Wśród aparatury, guzików i migających światełek stały niedopite szklanki kawy i herbaty. A tam, gdzie ich nie było – odbite na stałe brązowe kółka. Brudnozielony kolor metalowych szaf. Inżynier zaczął opowiadać, zapalał się, mówił o zarzuconym pomyśle kolejowego transportowania płynnej surówki w specjalnych termosach-cygarach. Te gorące składy miały jechać do Nowej Huty i tam być dalej przetwarzane. Coś roił o ścisłej współpracy wszystkich kombinatów i o nowoczesnej wielkiej produkcji na cały świat.

„To się jeszcze da zrobić" – powtarzał i dopijał zimną herbatę. Było jak w powieści fantastycznej, czułem się tak, jakbyśmy wpadli w inną odnogę czasu, w inny rodzaj przyszłości jak z wizji Adama Hollanka. W tej alternatywnej rzeczywistości ludzie łykają pastylki energetyczne zamiast schabowego, Ruscy i Amerykanie budują w zgodzie bazę na Marsie, a płynną surówkę wozi się pociągami.

Tydzień później, kiedy już zmontowaliśmy reklamę i nagraliśmy komentarz, jaki to jest nowoczesny zakład i ile może wyprodukować wysokogatunkowej stali, huta „Katowice" straciła płynność finansową. A potem przejął ją Mittal.

W jakim celu robiliśmy tę reklamę? Czy była to rozpaczliwa próba szukania klientów? A może po prostu konieczność wydania pieniędzy z marketingu przed zmianą właściciela? Nie wiem. Ciekawe, czy pracuje tam jeszcze inżynier – troglodyta, który tak ciekawie opowiadał o hermetycznych cygarach. ■

FABRYCZNA

Tygrys czy papuga?



Fot. Piotr Dłubak

„Amazonia" Michała Walczaka w reżyserii Tomasza Mana

Ostatnia premiera sezonu 2012/2013 w Teatrze im. Adama Mickiewicza w Częstochowie, *Amazonia* Michała Walczaka w reżyserii Tomasza Mana, podjęła wprawdzie temat kondycji aktora i sztuki, ale w perspektywie toposu świata teatru stawała się wypowiedzią o codziennych wyborach i pokusach czyhających na Każdego.

Sytuacja jest niezwykle współczesna (prapremiera odbyła się dwa lata temu) – co robić po studiach (aktorskich)? Wierzyć w Siebie, Ideały, Marzenia, Sztukę (wszystko pisane oczywiście wielką literą), zatrudnić się w kolejnym „nowym-naprawdę-polskim" serialu, którego podstawową i pożądaną wartością będzie zysk, a może przeczekać trudny czas, nosząc po ulicach makietę kufla piwnego? Wybór pozornie dość prosty i przedyskutowany wielokrotnie. Po jednej stronie jest serial, czyli zgoda na brutalne reguły show-biznesu z prostytucją włącznie, po drugiej – poszukiwanie własnej drogi, bardziej jednoznacznej etycznie, aż do występów w *Apokalipsie* przygotowanej przez nawiedzonego homoseksualistę Jerzego, nazwanego jednak „artystą grafomanem". Trudno wierzyć, by któraś z alternatyw prowadziła do Sztuki. Prawdziwa Sztuka to raczej postulat, więc na poziomie decyzji nigdy nie wiadomo, gdzie się ukrywa… Bohaterowie mogą wybierać między przemysłem rozrywkowym opartym na mechanizmach rynkowych (przede wszystkim prawie popytu i podaży), „zabijającym" czas wolny widzów (to jakieś popłuczyny baśni dla dorosłych albo opowieści mitologicznej, gatunków wciąż obecnych w rozważaniach nad kulturą popularną), oraz pseudo-sztuką, zmanierowaną i obrażoną na odbiorcę, choć domagającą się widowni inteligentnej i wyrafinowanej. Każda z możliwości definiuje świat, a odpowiedzi na pytania istotne prezentuje publiczności mniej lub bardziej nachalnie.

Tomasz Man korzysta w przedstawieniu z rozmaitych konwencji gry. Aktorzy serialowi – Aneta (Teresa Dzielska) i Krzysztof (Adam Hutyra) nadmiarem środków scenicznych stworzyli karykatury rysowane grubą i ostrą kreską. Tymczasem para druga: Franka (Sylwia Oksiuta) i Mundek (Robert Rutkowski), postawiła na naturalność. To jeszcze bardziej komplikuje spór – jakaś straszna konwencja kontra naiwność? Wyraźny kontrast tworzą również kreacje reżyserów: pierwszy z nich zaangażowany w *Amazonię*, ojciec pięciorga dzieci, zapewniający utrzymanie trzem rodzinom (Antoni Rot) gra niezwykle naturalnie i gdyby nie scena, w której wymusza na Anecie seks oralny, byłaby to postać niezwykle sympatyczna… Skupia się na emocjach widza, który tworzy słupki oglądalności. Tymczasem Jurek (Sebastian Banaszczyk), postać przerysowana aż do groteski, to mistrz, guru, postulujący rozwój aktora przez sztukę i wykorzystujący w tym celu rozmaite praktyki pochodzące z innych kultur, a przede wszystkim improwizację. Ważny okazuje się dla niego erotyzm (nie na darmo w akcie II trzymane przez niego wiosło kojarzy się z fallusem). Aktorzy i teatromani rozpoznają w nim rozmaitych reżyserów XX wieku…

Spektakl *Amazonia* to pojedynek o kształt sztuki i rząd dusz – widzów, ale przede wszystkim aktorów, którzy w rękach hochsztaplerów stają się nieporadnymi marionetkami. *Amazonia* a *Apokalipsa*, egzotyka a eschatologia… Spór można by także opisać metaforą zwierzęcą (kolejną w dramacie Walczaka) – tygrys albo papuga… I znów po jednej stronie byłaby koncepcja teatru jako dżumy, gdy istotą staje się odebranie widzowi poczucia bezpieczeństwa, prowadzącego aż do obojętności, po drugiej zaś potwierdzanie rozpowszechnionych wartości i kokietowanie odbiorców kolorowymi piórami… Do wyraźnego starcia dochodzi dwukrotnie – gdy Reżyser ocenia przedstawienie Jerzego (zarzuca mu brak anarchizmu i ugrzecznienie; jest przekonany, że istnieje sztuka codzienna (on) oraz sztuka rozwiązująca artystyczne dylematy, czyli Jerzy; i taki podział działa na niego kojąco), a następnie obecność Jerzego i Mundka (w kostiumie swojego ulubionego bohatera, Wiedźmina) w scenie seksualnej między Reżyserem a Anetą, co podkreśla jej ostateczny upadek. Jest jeszcze reżyser trzeci, wykształcony i zachowujący dystans… Kim chce być? Może wolałby tygrysem, ale przecież postać Jerzego chwilami trąci kabotyństwem. A może Man, znając śmieszność obu modeli, szuka złotego środka… albo stara się unieważnić (pozorny) spór…

Cechą wspólną przedstawianego świata jest wulgarność języka, tak jakby ludzie sztuki nie potrafili posługiwać się piękną polszczyzną, pewnie (zdaniem Walczaka) zbyt grzeczną i nierealistyczną. Ten chwyt chyba już nie działa, a media od jakiegoś czasu biją na alarm… Konfesyjny tekst środowiska artystycznego nie zawiera żadnej postaci pozytywnej (może naiwna i prosta Franka, dla której Sztuka jest naprawdę czymś ważnym)… poza tym ruja i porubstwo, konsumpcjonizm albo rozbuchane ego… W finale sytuacja prywatna bohaterów ulega zmianie. Pozornie każdy znajduje to, czego szuka – Aneta mimo ciąży z Mundkiem, wybiera z Krzysztofem kafelki do wymarzonego domu i kręci kolejną serię odcinków, Mundek mieszka z Franką, wielbicielką *Wiedźmina* – ale żadne z nich nie jest szczęśliwe.

To jeden z niełatwych spektakli, proponujących dyskusję zamiast rozrywki. Dla jednych będzie to próba zakwestionowania przyzwyczajeń mieszczańskiego teatru, dla innych niezbyt jasny przekaz, może nawet ujawniający strach przed dookreśleniem sensów. Podejmując temat zbyt osobisty, aktorom (a może i reżyserowi) towarzyszyła niechęć przed obnażeniem. Aby więc nie grać siebie, postanowili nałożyć zbyt ostry makijaż i obśmiać z publicznością przedstawiane dylematy; problem polegał jednak na tym, że publiczność nie podjęła tego śmiechu. Pojedyncze chichoty towarzyszyły poszczególnym scenom… Takie sztuki potrzebne są środowisku w celu oczyszczenia i przedyskutowania spraw istotnych; ważne, by zastanowić się, co jest problemem prawdziwym, a co tylko żartem…

Tytułowa Amazonia funkcjonuje na wielu poziomach i wprowadza ambiwalentne sensy – w serialu to miłość i egzotyka, dla Jerzego to natura nieskażona cywilizacją, więc jej namiastką będzie północny wschód Polski, gdzie zabiera aktorów, by odnaleźli siebie i odpowiednio przygotowali się do spektaklu. Ale tytułowa przestrzeń może być także niebezpieczną dżunglą, do której upodabnia się show-biznes, oraz wolnością i brakiem kompromisu w codziennej konfrontacji ze współczesnym światem (młodzi artyści). I jest wreszcie marzenie autora o Polsce kolorowej, odmiennej od codzienności, a może nawet tropikalnej…

Groteskę i pastisz wydarzeń wzmaga uboga scenografia (Anetta Piekarska-Man). Na pustej scenie wyłożonej zielonym suknem pojawiają się rekwizyty na kółkach jakby z amatorskiego teatrzyku (rysowane czarnym tuszem i pozbawione jakiegokolwiek realizmu). To tzw. green box, podkład pod scenografię komputerową; sygnał matrixu, który kwestionuje rzeczywistość. Działaniom aktorów towarzyszy popularna muzyka.

Ograniczenie kulturalnej menażerii do tygrysa i papugi jest na pewno dużym uproszczeniem. Istnieje przecież całe bogactwo form: małpy, krokodyle, węże, tukany… A z tą różnorodnością stworzenia musi poradzić sobie Człowiek, w którego nie można przestać wierzyć, nawet jeśli wątpimy, czy rzeczywiście jest panem świata…

JOANNA WAROŃSKA

Michał Walczak *Amazonia*. Reżyseria, opracowanie muzyczne – Tomasz Man, scenografia – Anetta Piekarska-Man. Premiera 27 kwietnia 2013 r. Scena kameralna, Teatr im. A. Mickiewicza w Częstochowie.

Bryk z Schillera



Fot. Krzysztof Lisiak

Zabiegi uwspółcześniające są wabikiem dla młodego widza.

Trzynaście lat temu Krzysztof Babicki wyreżyserował w Teatrze Śląskim „Intrygę i miłość" Fryderyka Schillera. Teraz wystawił „Zbójców" niemieckiego dramaturga – rzecz o synu marnotrawnym i rozpadzie rodziny. To ostatnia propozycja sygnowana przez Tadeusza Bradeckiego, który po sześciu sezonach pracy jako dyrektor artystyczny żegna się z katowicką sceną.

Kiedyś „Zbójcy" wywoływali ogromne emocje. Ponad dwieście lat temu dramat świetnie wpisał się w atmosferę „Sturm und Drang" i mógł być zapalnikiem rewolucyjnych dążeń. Po premierze „Zbójców" w Mannheim Schiller został aresztowany, a jego utwory objęto zakazem druku. Dziś podobne emocje mógłby ewentualnie wzbudzić Nergal targający na estradzie Biblię – a i ten wyczyn sąd uznał jedynie za mało istotny wybryk i do aresztu muzyk nie trafił. Wolność artysty jest na pewno większa dzisiaj niż w czasach Schillera, a sztuka w czasach zdominowanych przez popkulturę utraciła moc rewolucyjną.

„Zbójcy" to jeden z młodzieńczych utworów Schillera, wydany w roku 1781. Mimo że napisał go dwudziestodwuletni młodzian, student medycyny na akademii wojskowej, dramat zrobił światową karierę i nadal jest chętnie wystawiany, choć na polskich scenach bardzo rzadko. Niezależnie od upływu lat jest jakaś siła w dramacie Schillera, mimo kostiumu niesie on uniwersalne prawdy, jest buntem przeciw niesprawiedliwości świata, ale i przestrogą przed młodzieńczą naiwnością i zagrożeniami wypływającymi z nadużywania wolności.

Rok temu, Jan Klata wystawił „Zbójców" w Schauspielhaus Bochum w konwencji baśni przestawiającej walkę dobra ze złem, w której starał się postawić pytania o wolność jednostki. Krzysztof Babicki poszedł innym tropem.

Skupił się na więzach, jakie łączą rodzinę patriarchalną i na splocie intryg, która ją rozbije i zniszczy. To opowieść o synu marnotrawnym, ale bez obecnego w Nowym Testamencie *happy endu*. Na czele rodziny stoi Maksymilian, hrabia Moor – w tej roli Wiesław Sławik. Ma trzech synów, z czego jeden jest dzieckiem nieślubnym. Karol – najstarszy z nich, prawowity dziedzic, w tej roli Bartłomiej Błaszczyński, wskutek intryg swego młodszego rodzonego brata Franciszka – w którego wcielił się Dariusz Chojnacki – zostaje wydziedziczony przez ojca. W konsekwencji tej decyzji, nie mając środków do życia na dotychczasowej stopie, obejmuje przywództwo bandy grasującej w Lesie Czeskim. Staje się wyrzutkiem społecznym. Tymczasem Franciszek chce przejąć pełne przewodnictwo w rodzinie – próbuje zyskać względy dotychczasowej narzeczonej Karola – Amalii von Edelreich – w tej roli Natalia Jesionowska, a ojcu przekazuje nieprawdziwą wiadomość o śmierci wydziedziczonego brata i zamyka go w leśnej wieży. Gdy Karol pojawia się w przebraniu w zamku, Franciszek próbuje go otruć. Ostrzeżony o sytuacji, opuszcza zamek i uwalnia uwięzionego ojca. Franciszek popełnia samobójstwo, a hrabia Moor na wieść, że jego pierworodny jest przywódcą bandy opryszków, umiera. Gdy Karol chce ją opuścić, jego kumple, zbójcy, żądają, by wywiązał się z przysięgi i nadal im przewodził. Wtedy Karol stwierdziwszy, że znalazł się w sytuacji bez wyjścia, na prośbę kochającej go Amalii, zabija ją, a sam postanawia stawić się przed sądem. Tak skonstruowana intryga służy Babickiemu do opowieści o rodzinie, która popada w destrukcję, rozpada się. To rodzina, w której miłość jest reglamentowana w zależności od pozycji, jaką dany członek w niej zajmuje i od roli, jaką w przyszłości ma pełnić. Gdyby hrabia Moor nie faworyzował pierworodnego, gdyby kochał Franciszka tak samo jak Karola, być może nie doszłoby do tragedii.

O „Zbójcach" przyjaciel Schillera, Johann Wolfgang von Goethe powiedział: „Co napisał młody człowiek, najlepiej będzie przyjmowane przez młodych ludzi". Tę myśl Krzysztof Babicki, jak mi się zdaje, wziął sobie mocno do serca. Z góry określił więc potencjalnego widza – ma nim być głównie młodzież. Nie wiem, czy Schiller jest jeszcze w programie nauczania szkoły średniej, ale nadal należy do kanonu literackiego polskiego inteligenta. Babicki zaproponował więc młodzieży coś w rodzaju bryku z Schillera. Dobry bryk powinien być krótki, operować schematami i wskazywać jedyną możliwą interpretację – jak obecnie obowiązujący testowy egzamin maturalny z języka polskiego.

Pięcioaktowy dramat Schillera Babicki poddał więc wielu skrótom i przerobił zaledwie w półtoragodzinny spektakl. Zrezygnował też z realiów historycznych, starając się – z lepszym, czasem z gorszym skutkiem – przenieść opowieść we współczesne czasy. Trochę pomógł mu w tym dobry przekład Jacka Burasa – przynajmniej język, jakim posługują się bohaterowie „Zbójców", nie jest archaiczny. Co do kostiumu historycznego, to moim zdaniem nie do końca powiódł się zabieg zmienienia go na współczesne realia.

Zamiast zamku hrabiego mamy co prawda bliżej nieokreśloną posiadłość jakiegoś dzianego vipa, którego synowie spełniają się jako muzycy kapeli rockowej. Dawka ostrej muzyki jest na tyle silna, że na pewno już od pierwszej minuty spektaklu powinna przykuć uwagę młodej widowni, potem jest już trochę gorzej, no ale nie da się wszystkiego, co napisał Schiller, wyartykułować krzykiem na podkładzie gitar elektrycznych i perkusji. Jednak na tym koncertowym zabiegu właściwie kończy się inwencja reżysera starającego się uwspółcześnić dramat Schillera. O ile piraci jeszcze nadal działają na egzotycznych morzach, o tyle zbójców napadających na podróżnych na traktach i leśnych duktach już dawno nie ma – zastąpili ich członkowie gangów, którzy kradną samochody „na stłuczkę" lub wykradają torebki na skrzyżowaniach przy czerwonym świetle zapominającym o zablokowaniu drzwi kobietom za kierownicą. Nie udało się zatem zmienić Karola z herszta zbójców na szefa gangu, bo „Zbójców" nie da się po prostu wypreparować z kontekstu epoki, w którym powstali. Zabiegi uwspółcześniające są tylko wabikiem dla młodego widza – starszych będą irytować. Irytację łagodzi jedynie dobre aktorstwo. Tylko dlań warto „Zbójców" Babickiego zobaczyć.

DANUTA LUBINA-CIPIŃSKA

Fryderyk Schiller *Zbójcy*. Premiera w Teatrze Śląskim im. Stanisława Wyspiańskiego w Katowicach 24 maja 2013 r. Reżyseria: Krzysztof Babicki, scenografia: Marek Braun, kostiumy: Sławomir Smolorz, muzyka: Marek Kuczyński.

Teatr Zagłębia

Czechow leczy



Fot. Maciej Stobierski

Na zdjęciu od lewej: Andrzej Śleziak, Ryszarda Bielicka-Celińska, Adam Kopciuszewski i Wojciech Leśniak

Wielka radość i ogromna satysfakcja spotka każdego teatromana, który wybierze się do Sosnowca na „Zaćmienie", spektakl skomponowany z opowiadań (tych bardziej i tych mniej znanych) wielkiego Antoniego Czechowa. Celowo piszę skomponowany, bo w misternie budowanym nastroju znaleźć można pianissimo i forte, tu i ówdzie pojawiają się echa walca i tanga, ckliwych romansów a nawet zwariowanych galopek. Burzliwy rytm przecina od czasu do czasu wlokąca się sennie pauza... Jeśli dodam, że scenicznym działaniom towarzyszą świetnie dopasowane nuty Piotra Tabakiernika, to moje muzyczne skojarzenia będą usprawiedliwione. Autorem tej oryginalnej kompilacji tekstów Czechowa jest Igor Gorzkowski.

Gdy wokół nas wszystko powariowało i bezmyślność (*byle na chama, byle głośno, byle głupio*) stała się cnotą a kłamstwo prawdą, trudno jest poddać się niepowtarzalnemu urokowi genialnego obserwatora, któremu nigdzie się nie spieszy... Jednak warto! Teatry coraz rzadziej sięgają po arcydzieła Czechowa. Wierzę, że tylko chwilowo, przecież w końcu musimy wrócić do normalności i na nowo odkrywać napisane z psychologicznym mistrzostwem dramaty i rozkoszować się mądrością genialnego medyka. Czechow jest jak lustro, w którym każdy znajdzie swoje oblicze. Piętnuje on w sposób okrutny pogardę dla drugiego człowieka i nie znajduje usprawiedliwienia dla wykorzystywania władzy do niszczenia zwykłych ludzi, nie oszczędza łapówkarzy, dla których nie ma taryfy ulgowej, inne wady dobrodusznie ośmiesza. Nie wyszydza, nie obraża, prowokuje do zastanowienia. Wychodzimy z teatru lepsi i to jest wielkie zwycięstwo nieśmiertelnych dokonań rosyjskiego pisarza.

Czym jest zaćmienie? Każde dziecko wie, że to zjawisko astronomiczne polegające na tym, że cień jednego ciała niebieskiego pada na powierzchnię drugiego. Któż z nas nie obserwował zaćmienia Słońca? Często używamy także określenia *zaćmienie umysłu*, mając na myśli brak jasności myślenia, otumanienie, problemy z koncentracją. Astrologowie uważają, że podczas zaćmienia Słońca ujawniają się nasze pragnienia zmian i najłatwiej jest rozpocząć nowy etap w życiu... decydując się na ów krok, warto jednak spojrzeć wstecz i zrobić rachunek sumienia. Jeśli się zmieniać – to tylko na lepsze.

Kimkolwiek byś nie był, Czechow cię znał. Mało tego, opisał cię z pewnością w jednym ze swych niezliczonych opowiadań. Jest to jedna z przyczyn, dla której powinna być to lektura absolutnie obowiązkowa – mówią o najnowszym spektaklu Teatru Zagłębia w Sosnowcu jego twórcy. Ja wierzę, że Czechow to dobry i skuteczny lek na skołatane dusze. Czasem śmiejemy się z siebie, czasem z innych. Ale to nie jest głupi rechot, ale śmiech oczyszczający.

Reżyser i dramaturg Igor Gorzkowski (współzałożyciel Studia Teatralnego Koło), o którym niedawno było głośno z okazji XIII Festiwalu „Dwa Teatry" w Sopocie, gdzie został laureatem, kocha przenosić na scenę dzieła, o których niektórzy powiadają: „tego się zrobić nie da". Trudności go dopingują i z tych pozornie niescenicznych tekstów powstają świetne przedstawienia. Tak też stało się w Sosnowcu. Pozlepiać z opowiadań, co prawda genialnych, ale jednak... opowiadań, potoczysty, trzymający w napięciu spektakl to wielka sztuka. Bałem się tego eksperymentu, nie wyobrażałem sobie, że można opowiadania Czechowa przełożyć na język sceny i to z efektem wbijającym w fotel. Duże brawa! Jak on to zrobił? – *Nie znalazłem opowiadania* – mówi Igor Gorzkowski – *które mogłoby stanowić oś jak w wypadku moich wcześniejszych realizacji. Trzeba było szukać innego sposobu i okazało się nim znalezienie wspólnego miejsca i czasu. Miejscem jest letnisko, czasem – koniec wakacji, sierpień. To jest klucz do zbudowania osi adaptacji.*

Jak podkreśla Gorzkowski, praca nad „Zaćmieniem" była jego pierwszą przygodą z sosnowieckim teatrem, ale przygodą bardzo udaną. Zespół udowodnił, że chociaż działa na tzw. prowincji, to już nie jest teatrem prowincjonalnym, to po prostu dobry polski teatr. Do tego, żeby grać Czechowa jak należy nie wystarczy nawet najlepsza szkoła i perfekcyjnie opanowany warsztat, do tego konieczne jest doświadczenie, niekończące się lektury i ogromna wiedza. Nie wejdzie się prosto z ulicy w świat stworzony przez autora „Mewy". W tym miejscu muszę wymienić wspaniałych aktorów, dzięki którym Gorzkowskiemu udało się obudzić świat Czechowa. Przede wszystkim perfekcyjny w każdym geście i słowie Wojciech Leśniak – wykreowany przez niego *Griabow* to ochlaptus z tysiącem wad, ale jak go nie lubić? Adam Kopciuszewski jest partnerem doskonałym, jego *Otcow* ma charakterek zdecydowanie zły, taki ścichapęk, któremu nie udaje się ukryć największej głupoty, ale znakomity aktor broni go z całego serca. Grzegorz Kwas (*Czerwiakow, Paweł Iwanycz, Żuczkow, Szkałikow*) każdej z granych postaci nadał jakiś charakterystyczny rys – piękna rola. Jedyna kobieta w tym zacnym czechowowskim gronie Ryszarda Bielicka-Celińska nanizała sznur pereł z czterech ról – brakuje słów by to opisać, trzeba zobaczyć i podziwiać. Kiedy pojawia się na scenie, jak to kobieta, łapie wszystkich za twarz i nie puszcza – do niej należy ostatnie słowo. I jeszcze Andrzej Śleziak konsekwentnie farsowy, stłamszony przez szefa i małżonkę, przygarbiony od składania hołdów i ukłonów hipokryta. Popyskuje czasem, ale tak by nikomu nie podpaść. O takim typie zwykliśmy niezbyt elegancko mówić: stara pierdoła.

Na scenie są i młodzi: Agnieszka Bałaga-Okońska, Edyta Ostojak, Michał Bałaga, Agnieszka Bieńkowska – dobrzy, sprawni, piękni... Igor Gorzkowski znakomicie to wykorzystał. Stworzył współczesną kontrę dla opowiadanej historii. Szlachetny kamyczek do tej koronkowej, artystycznej budowli dorzucił Andrzej Rozmus (*Topielec, Zraczkow, Zapojkin, Sprzedawca Lasów*).

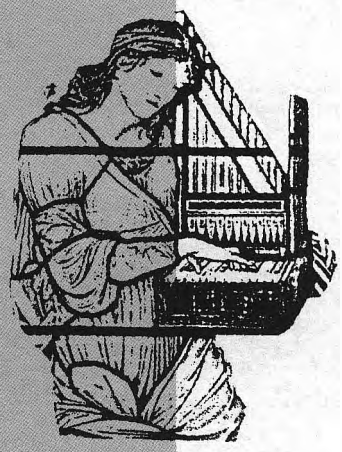
Doskonała w swej prostocie scenografia Jana Polivki, dzięki niezwykłemu oświetleniu, znakomicie oddaje zmiany nastroju, to przenosząc nas w świat radosnych uniesień, to znów w nostalgiczną zadumę, nie szczędzi nam nawet groźnych otchłani. Kostiumy Magdaleny Dąbrowskiej wpasowały się w owe zmiany nastrojów. Ruch sceniczny to niemal choreografia – świetna robota Iwony Pasińskiej.

– Zawsze marzyłem o zrobieniu Czechowa, to miała być pewna intelektualna przygoda i wiedziałem, że w Sosnowcu są aktorzy, którzy się załapią na tę przygodę. Spotkałem tutaj bardzo twórczy i bardzo otwarty zespół. To była bardzo fajna praca zwłaszcza dlatego, że są tutaj aktorzy pełni pasji – mówi Igor Gorzkowski.

To duża przyjemność komplementowanie pracy innych, zwłaszcza artystów. Jak powiada Antoni Czechow: *Jeśli chcesz być optymistą i rozumieć życie, to przestań wierzyć w to, co się mówi i pisze, a obserwuj sam i sam wnikaj w istotę rzeczy.* Idziemy więc do Teatru Zagłębia i... wnikamy w istotę rzeczy. Dobrej zabawy i mądrej zadumy nad naszą niedoskonałością i wadami innych, które od śmierci Czechowa w roku 1904, wcale się nie zmieniły.

WITOLD KOCIŃSKI

Antoni Czechow *Zaćmienie* (wg opowiadań autora), reżyseria i adaptacja: Igor Gorzkowski, scenografia: Jan Polivka, kostiumy: Magdalena Dąbrowska, muzyka: Piotr Tabakiernik, ruch sceniczny: Iwona Pasińska. Teatr Zagłębia w Sosnowcu, prapremiera: 14.06.2013 r.



Sofya Gulyak – zawsze w formie

29 maja w Studiu Koncertowym Polskiego Radia w Katowicach wystąpiła rosyjska pianistka Sofya Gulyak. Nie był to jej pierwszy występ w Katowicach. Organizator jej polskich tournée Juliusz Adamowski (towarzyszący też stale pianistce jako prelegent) zawsze uwzględnia nasze miasto na mapie jej trasy. Tegoroczny koncert wypełnił program bardzo zróżnicowany. Obchodzony obecnie Rok Wagnera skłonił artystkę zapewne do umieszczenia w nim dwóch fortepianowych parafraz z dramatów wagnerowskich. Były to parafrazy autorstwa Franciszka Liszta, z *Tannhäusera* (*Chór pielgrzymów*) i *Tristana i Izoldy* (*Śmierć Izoldy*). Obie te parafrazy znacznie różnią się stylistycznie – pierwsza ma tradycyjną postać „opracowania na temat" i sporo jest w niej rzeczy, które pochodzą z inwencji Liszta (przede wszystkim figuracyjne akompaniamenty), natomiast druga to niemal wierny przekład wagnerowskiej partytury na fortepian. Bardziej przyjazny do słuchania jest oczywiście *Chór pielgrzymów*, pianistka potrafiła jednakże sprawić, że słuchacze szczerze wzruszyli się śmiercią Izoldy.

Drugim punktem programu były dwie *Rapsodie* op. 79 Johannesa Brahmsa. Utwory te należą dziś w zasadzie do repertuaru szkolnego; są „dyżurnymi" elementami popisów rocznych i programów dyplomowych i nieco się nam już znudziły. W zestawieniu z Brahmsem i w zaproponowanej przez Sofyę Gulyak interpretacji – solennej i wylewnej, odzyskały wszakże swą cierpką niemiecką świeżość. Godne uwagi były eteryczne piana w ekspozycji drugiego tematu w *Rapsodii g-moll*.

Po Brahmsie artystka zaprezentowała utwór Chopina i było to dość szokujące. Usłyszeliśmy *Andante spianato i wielki polonez Es-dur* op. 22 – dzieło młodzieńcze, rozpoczęte jeszcze w Warszawie, zatem należące do stylu wczesnoromantycznego. Tę młodzieńczość i archaiczność artystka jednak potrafiła odsunąć na margines, odczytując utwór jako przykład „rasowego" fortepianowego wirtuozostwa. Grała dość szybko i niemal bez rubata. Potrafiła jednak zachwycić delikatnym, zwiewnym wykonaniem lirycznych pasaży ze wstępu oraz świetnym brzmieniem ustępu polonezowego.

Idiom wirtuozostwa nadał też kształt ostatniej wykonanej kompozycji – *Obrazkom z wystawy* Modesta Musorgskiego. Odegrała je Sofya Gulyak z pasją i zapamiętaniem, w żywych tempach, bez odstępów między poszczególnymi częściami (co zresztą zaprojektował sam kompozytor; większość pianistów jednak stosuje mniejsze lub większe pauzy, po to choćby, by przygotować rękę do realizacji odmiennych faktur każdej części). Słuchacze, wprowadzeni w treść pozamuzyczną cyklu, mogli sprawdzić skuteczność Musorgskiego jako malarza scen rodzajowych, a przede wszystkim delektować się jego pomysłami melodycznymi i fakturalnymi. *Rynek w Limoges*, *Samuel Goldenberg i Szmul*, *Taniec kurcząt w skorupkach* okazały się perłami muzycznego humoru, ponure *Bydło* było wręcz depresyjne, a finałowa *Wielka brama kijowska* wniosła iście rosyjską „bojaźń i drżenie". Sofya Gulyak okazała się świetną znawczynią „rosyjskich klimatów", co potwierdziło dodane na bis wykonanie *Preludium c-moll* Rachmaninowa. Okazała się również wspaniałą pianistką, będącą w doskonałej dyspozycji technicznej i mentalnej. Czekamy na kolejne koncerty.

25. rocznica śmierci Mariana Wallek-Walewskiego

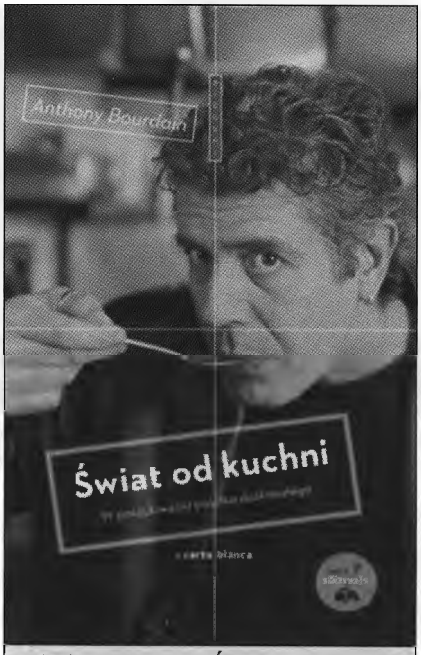
Wiosną tego roku minęła 25. rocznica śmierci wybitnego krytyka muzycznego i pedagoga związanego z Katowicami Mariana Wallek-Walewskiego. Ten nieodżałowanej pamięci muzyk i uczony, wywodzący się ze środowiska krakowskiego (był bratankiem – nie synem, jak twierdzi Wikipedia – znanego kompozytora Bolesława Wallek-Walewskiego), trafił do Katowic w latach 70. XX wieku. Związał się z katowicką uczelnią, nauczając tam historii muzyki oraz prowadząc seminarium krytyki muzycznej. Określenie „pedagog" raczej mało do niego pasuje. Był typem „człowieka renesansu", a jego zajęcia odbiegały od wszelkich schematów, dotykając nie tylko muzyki, ale i innych działów kultury, wymagały zgłębienia wyrafinowanych lektur, odświeżenia wiadomości z literatury, historii sztuki, czy nawet matematyki. Tematyka wiązała się oczywiście z aktualnymi zainteresowaniami Mariana – tak go nazywali wszyscy, łącznie ze studentami; drugie miano, które do niego popularnie przylgnęło to „MW2" (gra słów: inicjały imienia i nazwiska oraz nazwa popularnego wówczas krakowskiego zespołu wykonującego muzykę współczesną). Skojarzenie osoby Mariana z muzyką współczesną nie było przypadkowe, bowiem głównie nią się zajmował jako krytyk. Przybywszy do Katowic miał właśnie za sobą głośny spór z Krzysztofem Pendereckim – o kwestie ideologiczne i moralne (chodziło o suponowany przez Wallek-Walewskiego i szereg innych osób flirt kompozytora z władzą). Opromieniony sławą krytyka odważnego i bezkompromisowego (któż by się wtedy odważył spierać z Pendereckim?) zaangażował się w popieranie śląskiego środowiska kompozytorskiego, stawiając ostentacyjnie na awangardę, wówczas będącą pozornie w odwrocie. Drugi nurt jego działalności krytycznej odnosił się do wykonawstwa – głównie muzyki Chopina. Był stałym bywalcem festiwali chopinowskich w Dusznikach Zdroju, pisywał z nich – piórem ostrym i żarliwym – sprawozdania do ogólnopolskiego „Ruchu Muzycznego" i wrocławskiej „Odry". Część z nich doczekała się zbiorowej reedycji w postaci książki; są także prezentowane na stronach internetowych NIFC. MW2 pojawiał się także regularnie na festiwalach pianistyki polskiej w Słupsku – był jednym z głównych organizatorów i *spiritus movens* imprezy. Z tamtych lat zapamiętałam jego piękny gest: ofiarowanie w 1982 roku symbolicznego bukietu róż ofiarom stanu wojennego.

Na początku lat 80. Marian stał się jedną z czołowych postaci muzycznych Katowic. Objął mianowicie posadę dyrektora WOSPR. Dobrał sobie wspaniałe grono współpracowników, m.in. młodego, wielce obiecującego dyrygenta Jacka Kaspszyka. Za jego kadencji orkiestra zrealizowała wiele wspaniałych koncertów wypełnionych m.in. mało wówczas jeszcze w Polsce graną muzyką późnoromantyczną oraz kilka pamiętnych imprez wyjazdowych – całotygodniowych festiwali monograficznych poświęconych muzyce wybranego kompozytora (Brahmsa, Czajkowskiego i in.). Odbywały się one w Poznaniu, wśród dyrygentów był m.in. Jacek Kaspszyk, a publiczność składała się ze studentów wszystkich krajowych akademii muzycznych.

Mniej znana, bo dyskretna była działalność Mariana jako promotora młodych bądź nieznanych artystów. Młodym krytykom (a w tym i niżej podpisanej) umożliwiał debiuty w prasie śląskiej i ogólnopolskiej, młodym kompozytorom sam pisał pochlebne, mobilizujące recenzje. Zachęcał ich do pracy, dowodząc, jak świetnie rozumie muzykę – nawet tę jeszcze nie do końca „wyklutą" czy też „dorobioną". Jego ostatnim bodajże wielkim dziełem pomocowym było wypromowanie sztuki wielkiej śląskiej pianistki Klary Langer-Daneckiej. Za jego czasów kilkakrotnie pojawiała się na estradzie WOSPR i w Słupsku, zjawiskowo grając Beethovena, Rachmaninowa i Brahmsa. Wtedy, w latach 80. liczyliśmy na Mariana i myśleliśmy, że będzie wieczny. Odszedł, mając zaledwie 49 lat…

MAGDALENA DZIADEK

Życie na głodzie



Anthony Bourdain, *Świat od kuchni. W poszukiwaniu posiłku doskonałego*, tłum. Jacek Środa, wyd. Carta Blanca, Warszawa 2011.

Chyba do nikogo innego nie pasuje tak dobrze określenie, że „jest na głodzie". Ba, na wiecznym głodzie, bo Anthony Bourdain chyba nigdy nie ma dość. A i dwojako można to do tego odnieść. Niegdyś lekkoduch, odważnie eksperymentujący z różnymi używkami niekoniecznie z bogatego świata kulinariów, jest obecnie jednym z najbardziej charyzmatycznych kucharzy-podróżników, jakich widział świat. A świat przedstawiony Anthonego Bourdaina, to *Świat od kuchni. W poszukiwaniu posiłku doskonałego.*

Można go kochać lub nienawidzić i trudno powiedzieć, po której stronie stanie większość. Od narkotyków, do upajania się rozmaitymi przyprawami, od kokainy do zupę pho, Bourdain przebył długą drogę z najbardziej depresyjnych zakamarków dna do wyżyn najczystszych, najlepszych, najbardziej upragnionych smaków, jakie tylko można spotkać w kuchni. Prawdziwą miłość do jedzenia poczuł kosztując swoją pierwszą w życiu ostrygę, a później jego kariera już tylko nabierała tempa, rozpoczynając się od pomywania w restauracjach, a kończąc na kierowaniu ich kuchniami. Rozgłos przyniosła mu seria książek kucharskich i parakulinarnych oraz kryminałów i licznych tekstów w magazynach światowych formatów. Popularność zdobył także dzięki serii programów podróżniczych „Bez rezerwacji", w których opowiada o tym, co, gdzie i dlaczego warto zjeść, a także o kulturze jedzenia i kulturze danego miejsca w ogóle. Fala krytyki, głównie ze strony własnego środowiska, przyszła po publikacji książki *Kill Grill: restauracja od kuchni*, w której Anthony Bourdain obnażył wszystkie sekrety pracy kucharzy i politykę restauracji, a także przedstawił słodko-gorzkie portrety ludzi, którzy tworzą kuchnię i kuchenny klimat. Jego język, cięty, soczysty i sugestywny w doskonały sposób oddał nastroje, żargony i filozofie, jakie panują za kuchennymi drzwiami. I choć uznano to za swego rodzaju „zdradę stanu" – podróż Bourdaina dopiero się zaczynała…

Świat do kuchni. W poszukiwaniu posiłku doskonałego to pamiętnik z licznych podróży kucharza, który stara się zdefiniować pojęcie doskonałego, idealnego posiłku i – przede wszystkim – znaleźć go. Przemierzając setki kilometrów, poznaje ludzi, ich kultury, zwyczaje i tradycje, zawsze w kontekście kulinarnym. Często przybliża również historię miejsc, które odwiedza, przez co jego podróże stanowią socjologiczno-historyczno-kulinarne studia nad istotą bycia w świecie, sensem istnienia i, oczywiście, sensem jedzenia. Nie jest to jednak opowieść o wizytach w najlepszych restauracjach i ściskaniu ręki Gordona Ramsaya czy Kurta Schellera, o jedzeniu trufli i popijaniu kawioru szampanem. To opowieść o tym, jak smakować jedzenie, a tym samym życie, niezależnie od miejsca i warunków. Anthony Bourdain zje wszystko, zawsze i wszędzie, i ciągle ma apetyt na więcej, wciąż jest nienasycony, głodny, pragnący i szukający. A czy znajdzie posiłek doskonały i czy taki w ogóle istnieje…? Cóż, trzeba sprawdzić, jak wygląda świat od kuchni.

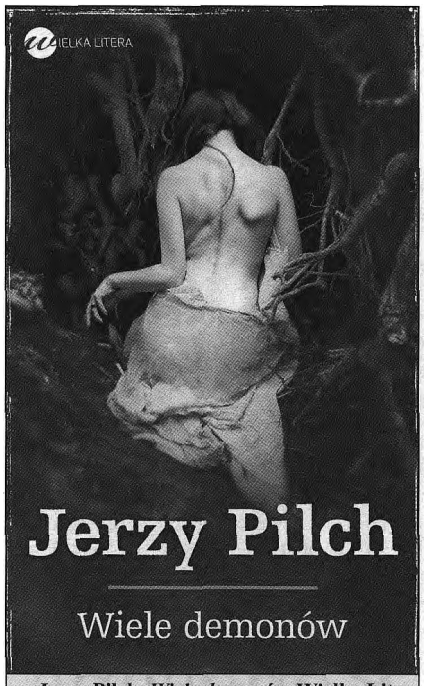
Czyta się wybornie, ze smakiem, z prawdziwą ochotą i szczerym zainteresowaniem. Trudno uwierzyć, że książka, niech będzie pamiętnik czy zbiór opowiadań, która zasadniczo traktuje o jedzeniu, może być tak porywająca. Jak zostało wspomniane, a co wymaga jeszcze głębszej analizy, Bourdain przedstawia portrety środowiskowo-społeczne zawsze w kontekście kulturalnym. Nie jest jednak tak, że wszystko, co go spotyka i co komentuje, kończy się na rozważaniach o jedzeniu. Można też powiedzieć, że wszelkie jego gastronomiczne przygody zawsze znajdują pewne socjologiczne zaplecze, stają się jedynie przyczynkiem do tego, by nawiązać dyskusję o kształtach świata, o którym niejednokrotnie wie się mniej, niż można się spodziewać. Być może więc nie próbuje znaleźć posiłku doskonałego, a przebywa już nie przysłowiową, a prawdziwą drogę przez żołądek do serca i pod przykrywką tych wszystkich foie gras, mangostanów, enchiladas i quesadillas pokazuje, co tak naprawdę jest w życiu ważne. Czasem podłoże kulinarne odsyłane jest na bok na rzecz poznania innych, pozasmakowych wartości, które mają równie pikantne, czasem kwaśne, a czasem słodko-gorzkie natury, szczere, łapane jakby z ukrycia, przedstawiane w relacji hedonisty, który po prostu potrafi dotrzeć do ludzi i słuchać ich, mimo dość osobliwego stylu bycia. Szybko zjednuje sobie ludzi, a w swoich relacjach często staje z boku, by dać dojść do głosu innym, świadomy tego, że nie jest jedyną gwiazdą swoich projektów. A do tego doskonale się bawi.

Trzeba przyznać, że siła nie tylko książki, ale i całej osobowości Anthonego Bourdaina, tkwi w jego naturalności. Żadnych gierek, żadnych zbędnych zachwytów i nieuzasadnionych nagan, mnóstwo wartościowania, ale wynikającego z rzeczywistego systemu wartości człowieka, który wiele w życiu przeszedł i wciąż idzie przed siebie. Nie tylko w poszukiwaniu doskonałego smaku, ale w poszukiwaniu smaku życia w ogóle. Soczysty język idzie w parze z niemalże wyczuwalnym w jego opisach aromatem potraw – pieprzny, zawsze szczery i prawdziwy, doskonale opisuje to, co widzi. *Świat od kuchni* Bourdaina to świat, który działa na zmysły w zupełnie prosty sposób – kusi zapachem, kolorem, konsystencją, a wreszcie smakiem. To świat, w którym każdy posiłek jest jak hostia, a jego uczestnik świadkiem prawdziwego cudu – cudu narodzin czegoś, co łączy ludzi i całe pokolenia, wyzwala emocje, pozwala poznawać niezwykłe historie, dzięki którym zmienia się postrzeganie otaczającego świata.

Czy jest w tym przesada? Cóż, nie można się obejść bez kokieterii, której mnóstwo zarówno w programach Bourdaina, jak i jego książkach, kokieterii, która nie wynika jednak z chęci podlizania się, a zabawy światem, jego czarowania, a czasem demitologizacji, bo kucharz, choć wydaje się być na wskroś pozytywnie nastawiony do wszystkiego, co spotyka, bywa też zawiedziony swoimi odkryciami, ale nie unika błędów, wręcz przeciwnie, popełnia je przekonany, że i to dodaje życiu odpowiedniego rytmu. Trzeba tu więc dodać trochę… smaczku, trochę dosłodzić, a czasem dosypać ostrego chilli, żeby odpowiednio oddać naturę książki i jej autora. Bourdain taki po prostu jest – pociągający, czasem drażniący, ale zawsze fascynujący, zupełnie jak miejsca, które zwiedza i smaki, które poznaje. Jego książka, *Świat od kuchni. W poszukiwaniu posiłku doskonałego*, buduje most między wieloma gatunkami literackimi, wrażeniami i zmysłami. I tu nie trzeba dalej szukać – doskonałość została osiągnięta.

ROKSANA KRYSA

W Wiśle rządzą demony



Jerzy Pilch, *Wiele demonów*, Wielka Litera, Warszawa 2013.

Najnowsza powieść Jerzego Pilcha ukazała się ponad rok po znakomitym *Dzienniku*, który przywrócił mi wiarę w ulubionego pisarza. Wcześniejsze powieści wydawane jeszcze przez Świat Książki, czyli *Miasto utrapienia* czy *Marsz Polonia* uświadamiały, że coraz mniej było Pilcha w Pilchu – mniej hrabalowskiego dowcipu, lekkości zmieszanej z luterską powagą, aluzji literackich. Przypominanie świetności polskiego futbolu czy ogrywanie narodowych mitów było raczej materiałem na opowiadanie niż na dłuższy tekst.

Przystąpiłam do lektury *Wielu demonów* bez lęku, poznawszy pierwszy rozdział na łamach *Tygodnika Powszechnego*, do którego autor wrócił po latach zataczając koło – wyszedł z krakowskiego pisma jako błyskotliwy felietonista, dobrze zapowiadający się późny debiutant lat dziewięćdziesiątych, aby powrócić jako pisarz, na którym niektórzy położyli kreskę, laureat Nike i autor wciąż dobrze się sprzedający, lecz jakby nieaktualny. Podobanie się lub nie – to nie jest kwestia, która jakoś szczególnie zajmuje Jerzego Pilcha, choć powrót w tak dobrym stylu cieszy. *Wypędził wiele demonów, ale nie pozwolił demonom mówić, bo go znały* – ten fragment Ewangelii św. Marka stanowi motto powieści. W zestawionych z nią przez Dariusza Nowackiego *Innych rozkoszach* tytuł również miał biblijne proweniencje, zresztą podobieństw jest więcej – tylko akcenty inaczej rozłożone. Wcześniejsza powieść rozpoczyna się przybyciem do Wisły aktualnej kobiety weterynarza Pawła Kohoutka, co zważywszy na jego żonę i konserwatywną rodzinę, może stanowić początek lawiny groteskowych sytuacji. Owo wtargnięcie zagraża przebiegowi urodzin Omy, tak jak Siglami wstrząsa wizyta córki pastora z katolickim narzeczonym w Wigilię. Bohater przypomina sobie makabryczno- śmieszne opowieści o nie do końca udanych pochówkach, podobnie w *Wielu demonach* gdzie ważną rolę odgrywa motyw zbyt szerokiej trumny. Historie zasygnalizowanych tam dziwactw zamkniętej społeczności, zyskały tym razem dopełnienie – odzierając czytelnika ze złudzeń idyllliczności pogodnego współistnienia wyznań i odporności na zło świata, które dopada mieszkańców choćby pod postacią koszmarnego obrazu przesłanego w prezencie córce pastora.

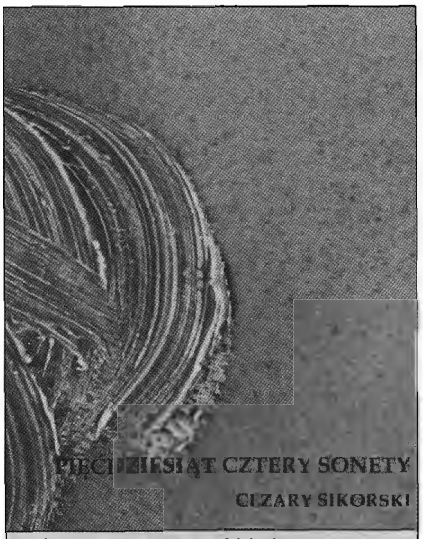
Demony nasze historie opowiadają – to zdanie pojawia się często i nie jest jedynie czczym frazesem. Opowieść rozpoczyna opis cudownych zjawisk, których sprawcą był siglański (czyli wiślański) listonosz Fryc Moitschek – przewidywanie przyszłości, także tej światowej, uzdrawianie itd. Wieloreligijna Wisła znosiła jego ekstrawagancje z niezwykłym spokojem, dzieląc się na zwolenników i przeciwników, nie żądających jednakże wzniesienia stosu. Spokój mieszkańców naruszały co rusz wielce ekscentryczne córki pastora Mraka- Julia i Aleksandra, zagorzałe czytelniczki książek z indeksu ksiąg zakazanych, maniaczki literatury, flirciary, podejrzewane o kontakty z diabłem, a przynajmniej demoralizację młodzieży. W tle krąży bardziej demoniczny towarzysz Goniec, reprezentujący wiadomy urząd kontrolujący życie Polaków lat pięćdziesiątych. Są jeszcze niestrudzone plotkarki i Kasandry wieszczące wciąż nowe katastrofy. Swoistą homeostazę przerywa tajemnicze zaginięcie niesfornej Oli Mrakówny. Poszukiwano jej wytrwale, bez rezultatów, jakby zapadła się pod ziemię, Julia Mrakówna pogrążyła się tymczasem w bezprzykładnej rozpuście z niejakim Kornelem. Jednym słowem działy się rzeczy bezbożne, dziwaczne i zawieszone w czasie. Z jednej strony mamy sugestię lat pięćdziesiątych, z drugiej – dziesięciolecia są zamazane, Sigla zaś zawieszona poza czasem, to wrażenie potęguje chaos narracji, mnogość opowieści i głosów monologujących na tematy prozaiczne i szalone bombastyczne polsko-niemiecko-czeskie nazwiska. Przykładem mylenia tropów jest na przykład wzmianka Moitschka o niewiarygodnie długich i splątanych korytarzach piwnic poczty, które powstały w bliżej nieokreślonym czasie i podobnie niejasnym celu, zaś urzędujący w nich demoniczny listonosz uczynił z nich przedsionek piekła.

Ponadto rozpoznajemy znanych już bohaterów – Naczelnika, jego żonę – babkę, pana Wzmożka (w którego konstrukcji odbija się część cech ojca pisarza – patrz słynna choćby z *Innych rozkoszy* – fraza *nadludzka praca w nieludzkich warunkach*), jego żonę – perfekcyjną Madame, kościelnego i syna – niedorajdę. To powieść rozpisana na wiele głosów, z ciągle zmieniającym się narratorem, często wszystkowiedzącym, ale czasem mówiącym głosem Fryca, czasem wnuka Naczelnika (częściowo utożsamiać można go z małoletnim bohaterem na przykład *Tysiąca spokojnych miast*), cytującego na przykład Kornela. Wątek poszukiwania Oli przeplata się z anegdotami dotyczącymi mieszkańców Sigli – okazują się one ważne dla dalszej akcji. I tak historia o obsesyjnym oszczędzaniu sznurków, tasiemek poprzez zaciekłe rozplątywanie, aby tylko nie rozcinać bawi setnie.

Zakończenie książki skręca w stronę kryminału, gdy dowiadujemy się, co się stało z Olą Mrakówną. Jeden z bohaterów wyrasta na pierwszoplanową postać, zyskując w oczach czytelnika nowe oblicze, no i wreszcie wyjaśnia się, o co chodzi ze sznurem samobójcy… Aby nie pozostawić wrażenia, że Pilch napisał kryminał z życia zamkniętej społeczności współbraci i innych różnej maści odszczepieńców, chcę zaznaczyć, że konwencja kryminału jest jednym z możliwych odczytań, interesującym dla czytelnika – wielbiciela tego gatunku, choć należałoby rzec – mniej ortodoksyjnego. Ci, przywiązani do tradycyjnej formy mogą oczekiwać jasnego wyjaśnienia motywów, najlepiej podczas konfrontacji podejrzanego z detektywem, wymierzenia kary. Sam autor choć kusił go podtytuł: *powieść luterańsko-kryminalna*, to przyznaje w rozmowie z Justyną Sobolewską: *Ja owszem czytuję kryminały. Ale bardzo nie lubię rozwiązań, nie spotkałem kryminału, gdzie rozwiązanie nie byłoby rozczarowujące. Podniesienie tajemnicy jest często tak niebotyczne, tak apokaliptyczne: to musiał być nieludzki potwór, nie człowiek, a potem okazuje się, że rany zadane nie z tej ziemi kłami uczynił za pomocą ołówka stolarskiego mieszkający w sąsiedztwie milkliwy student. Nieraz nie kończyłem kryminałów, żeby sobie nie psuć przyjemności.*

MIRELLA
SIEDLACZEK-MIKODA

Renesans sonetu



Cezary Sikorski: *Pięćdziesiąt cztery sonety*. Zaułek Wydawniczy Pomyłka. Szczecin 2012, s.120.

W ostatnim czasie sonet stał się na powrót gatunkiem ważnym i znaczącym, jakby słodka niewola formy sprawiała niezwykłą satysfakcję piszącym. Arcytrudne zadanie – za jakie uchodzi napisanie dobrego sonetu – podejmowane jest z sukcesem przez kolejnych poetów. W ostatnim czasie po dwóch znakomitych cyklach *Sonetów brynowskich* Tadeusza Kijonki, opublikowanych na łamach „Twórczości" (2009, 2012), i wybornych *Dziesięciu sonetach zapisanych na Półwyspie Tihany latem 2008 roku* Feliksa Netza z tomu *Trzy dni nieśmiertelności* (2009) – warto wgryźć się w materię *Pięćdziesięciu czterech sonetów* Cezarego Sikorskiego. Przyglądając się szerokiej gamie „sonetów" współczesnych, można za Piotrem Michałowskim dojść do wniosku, że utwory bezrymowe, asylabiczne, z wyraźną przerzutnią międzystroficzną to już nie sonety, a jedynie wiersze odwzorowujące ich charakterystyczny kształt. Czy jednak nie jest tak, że ów mimetyzm graficzny jest warunkiem wystarczającym, by czternaście wersów podzielonych na cztery części nazwać sonetem? Przyjrzyjmy się bliżej utworom szczecińskiego poety, który wbrew postmodernistycznym tendencjom skłania się ku tradycji gatunku.

Sikorski, urodzony w 1957 roku, zadebiutował późno, bo dopiero w 2009 roku zbiorem *Droga z Daulis do Delf*. Druga książka *Monadologia stosowana* ukazała się dwa lata później. Krytyka przyjęła ją ze sporą dozą entuzjazmu jako poetyckie rozwiniecie filozofii Gottfrieda Wilhelma Leibniza, przefiltrowane przez samotność i zmysłową dojrzałość mężczyzny. Wierszowana monadologia i dyskusyjna „kolistość czasu" już przez sam fakt, iż rzadko kto podejmuje te motywy w literaturze, stała się wyzwaniem, ale i zapowiedzią, że oto pojawił się nowy poeta intelektualny. Wiersze Sikorskiego są bowiem silnie osadzone w europejskiej tradycji literackiej i filozoficznej – zwłaszcza niemieckojęzycznej, zaś liczne odwołania do znanych myślicieli (sam autor jest doktorem filozofii) powodują, że chce się je zweryfikować z własnymi poglądami. Następna książka szczecińskiego poety *Szkice z życia materii martwej. Wyimki z Elegii duinejskich R.M. Rilkego* (2011) powstała w duecie z artystą malarzem Przemysławem Cerebież-Tarabickim, który opatrzył szkice i wiersze swoimi sugestywnymi obrazami.

Ta ostatnia publikacja stała się przyczynkiem do powstania cyklu 54 sonetów. *Wyimki z Elegii duinejskich R. M. Rilkego*, wchodząc w skład nowej książki, stanowią dziesięć kolejnych utworów, podejmujących tematy – kluczowe dla zrozumienia sensu ludzkich zmagań – miłości, odrębności, spełnienia. Jednocześnie stanowią dowód fascynacji Rainerem Marią Rilkem, u którego surowy rygor formy ujarzmia żywioły liryzmu, pragnień i wzruszeń. Sikorski, narzucając swym utworom krój sonetu, nie przestrzega jednak zbyt dokładnie jego podręcznikowych wyznaczników. Brak rymów, zakłócenie sztywnego podziału na część opisową i refleksyjną to główne odstępstwa. Przyjrzyjmy się wpierw jak z literackim pierwowzorem postępuje polski poeta. Oto fragment *Pierwszej elegii* Rilkego:

Kto, gdybym krzyczał, usłyszałby
mnie wśród zastępów anielskich?
i gdyby nawet któryś anioł nagle
przygarnął mnie do serca, umarłbym,
porażony jego potężniejszym
istnieniem. Piękno bowiem jest
jedynie
przerażenia początkiem, który
potrafimy jeszcze znieść,
i podziwiamy je, bo gardzi łaskawie
naszym unicestwieniem.
Każdy anioł jest straszny. (...)

Sikorski kondensuje i przekształca tę wizję, tworząc początek sonetu pt. *Z elegii pierwszej – o przerażeniu*:

Nie mógł usłyszeć mnie żaden anioł.
Gdyby mnie dotknął, musiałbym
umrzeć
w jego porządku. Bo przerażenie
jest bliskie pięknu i każdy anioł

jest straszny. (...)

Tam, gdzie styka się świat ludzi i aniołów, nie ma przestrzeni bezpiecznej, jest za to moc straszna, budząca lęk i tytułowe przerażenie. Anioł – symbol dobra i piękna – wyzwala uczucie grozy, bo nie jest z tego samego „porządku bytowego" co człowiek. Kondensując słowa Rilkego, autor *Wyimków* wydobywa najistotniejsze kwestie, które go bezpośrednio dotykają, nurtują – filozofię różnych bytów. Sonet wymuszając, by w kilku wersach zamknąć wybrany problem, tym samym wzmacnia sensy ukryte w rozległej elegii. Oczarowanie Rilkem jest jednak znacznie bardziej złożone, a wybór formy sonetu nieprzypadkowy, wiąże się ze słynnymi *Sonetami do Orfeusza*, których jest w sumie 55 – o jeden mniej niż utworów Sikorskiego.

Najnowszy zbiór szczecińskiego poety składa się z sześciu części, które otwiera wiersz pt. *Temat elegijny według Hölderlina*. Sikorski określa w nim miejsce wielkich poetów i filozofów:

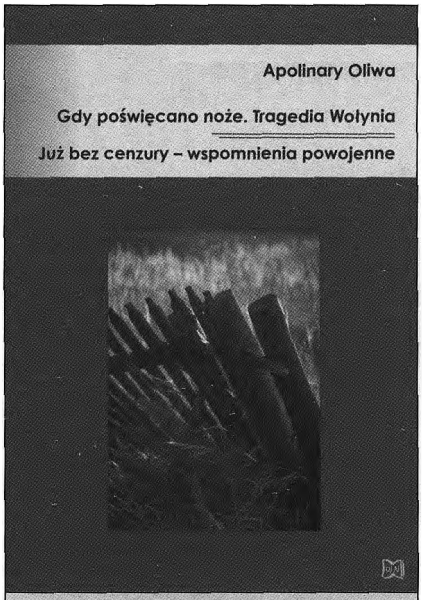
Emeryci pojęć. Odnaleźli spokój
w domach z aksjomatów. Z trudem
wspominają
właściwości świata. Tracą czucie
w myślach.
Gdy my, wciąż przytomni, blisko
skrzeku modlitw,

powielamy słowa, które są jak trawa.
W niej szukamy śladów. Wciąż
grzebiemy w ziemi
przerażeni pięknem. Świt jest późny,
ciemny.

Hölderlin – prekursor romantyzmu, a także wspomniany autor *Księgi godzin* oraz Martin Heidegger, który szukał u nich odpowiedzi na pytanie o rolę poety w czasie marnym, są bohaterami szkicu Sikorskiego pt. *Hölderlin, Heidegger i poezjomanie*. Fakt ten pozwala inaczej spojrzeć na kolejne z *Pięćdziesięciu czterech sonetów*, które są niejako potwierdzeniem, iż poezja jako kwintesencja mowy jest wciąż najważniejszą substancją ludzką. Co ważniejsze, poeta sprawdza w swych wierszach, czy zgodnie z odczytaniami autora *Bycia i czasu* możliwa jest jeszcze „roz-mowa toczona w pra-mowie (...) między bogami-pojęciami. W tej roz-mowie bogowie są słowami, a każde słowo pra-mowy jest bogiem. Słowo jest bowiem pierwsze i słowo w ostatniej chwili zamyka nasze oczy". Filozofia i poezja innych jest dla Sikorskiego przestrzenią sprawdzeń, rodzi się zatem pytanie, gdzie w tych lirycznych przypisach jest on sam? Jego utwory, pisane drobnym drukiem przy tekście głównym Mistrzów/Patronów, mogłyby umknąć, można by ich nie zauważyć, ale przecież w przypisach często mieszczą się najważniejsze słowa, znaczenia. Im bardziej Sikorski chowa się za parawanem wielkich nazwisk, tym bardziej pokazuje jak ważni, aktualni to twórcy, z jak podobnymi dylematami człowiek zmaga się dziś. Przeszłość tłumaczy teraźniejszość i rozjaśnia przyszłość, zaś poeta ma nie tylko składać hołdy, czy mierzyć się z poprzednikami, ale wciąż kreować, na nowo zgłębiać tajemnice i próbować zrozumieć. Autor *Pięćdziesięciu czterech sonetów* świetnie realizuje ten postulat zwłaszcza w części zatytułowanej *Sztuka fugi*, która jest dowodem na to, że sonet może być wciąż kunsztowny i dostojny, stroniąc jednocześnie od patosu czy banału typowo młodopolskich wypisów.

EDYTA ANTONIAK-KIEDOS

Wspomnienia wołyńskiego dowódcy samoobrony



Apolinary Oliwa, *Gdy poświęcano noże. Tragedia Wołynia*, Wydawnictwo Nowik, Opole 2013.

Książka o nader nietypowej konstrukcji – jak zaznacza wydawca, decydowała o tym sama historia, która miewa czasem edytorskie ambicje. Bo oto w 1973 roku ukazały się w Opolu wspomnienia Apolinarego Oliwy, dowódcy samoobrony w Rafałówce, strzegącej ludność przed ukraińskimi nacjonalistami. Były to jednak czasy, gdy niemożliwe było pokazanie dalszych dziejów autora, tych już powojennych. Pozostały także do opublikowania powstałe później, już po wymienionej edycji, dużej wartości wojenne relacje. Książka *Gdy poświęcano noże. Tragedia Wołynia* zawiera więc oprócz tekstu zmienionego pierwszego wydania również te nowe elementy. Opatruje ją esej Ewy Siemaszko, cenionej badaczki ludobójstwa dokonanego na wołyńskich Polakach w czasie II wojny światowej, co sprawia, że obraz powikłanej historii tych lat staje się dla czytelników, zwłaszcza tych młodszych, bardziej zrozumiały, pełniej prezentujący ogrom zbrodni popełnionych na Wołyniu.

Książka jest ważnym dokumentem zarówno tragicznych wydarzeń wołyńskich, czasów nienawiści, przelewu krwi, jak i niedobrych, ciemnych lat początków Polski Ludowej. Prostota i naturalność języka narracji jest tu szczególnym walorem – mamy przed sobą lekturę poruszającą, która przemawia do czytelnika niekiedy bardziej wyraziście niż wnikliwa analiza historyczna, a nawet przerażająco długi pochód wielkich liczb ofiar.

Najpierw o wojnie. W jednym ze wspomnień znajduje się krótka wzmianka o tym, co dostrzegł patrol:

Pewnej nocy sześcioosobowy patrol udał się do wsi Peposówki i Czemeryna, gdzie zauważył światełka. Podchodząc bliżej, stwierdził, że były to światła suteren cerkwi, gdzie odbywała się ceremonia święcenia noży, toporów i innych narzędzi, które po poświęceniu wręczane były czekającym tam bulbowcom.

Stąd tytuł książki: *Gdy poświęcano noże*. A więc czas, gdy nawet religia miała sakralizować niewyobrażalne bestialstwo: pod ciosami tych właśnie noży i toporów ginęły niemowlęta, kobiety w ciąży, starcy… Ceremonia przyzwolenia na rozpętanie piekła.

W pierwszej części mowa o odwadze i przedsiębiorczości uczestników samoobrony, warunkach przetrwania, jakim musieli sprostać mieszkańcy wsi – konieczności ukrywania się, życia pełnego nieustannej obawy i niedostatków. Nierzadko – głodu. Apolinary Oliwa, co podkreśla Ewa Siemaszko, oddał doskonale w swych wspomnieniach skomplikowaną sytuację Polaków: przymus lawirowania pomiędzy różnymi zagrożeniami (ze strony Niemców, Ukraińców i Sowietów). Bywała to niekiedy niemal farsa, ponura farsa: starano się stwarzać pozory dobrej komitywy z Niemcami, zyskać ich zaufanie, aby otrzymać od nich broń dla obrony przed nacjonalistami, tymi z poświęcanymi nożami i toporami. Niemców zapewniano, że owa broń ma odstraszać „ruskich bandytów", czyli partyzantów. Oczywiście, taka taktyka nie mogła być bezpieczna.

Autor opowiada o losach znanych sobie ludzi. Niezwykle przejmujące są dzieje mieszkańca Dermanki, Baltazara Trybulskiego. Znajduje się na strychu płonącego domu, ma karabin. Jego rodzinie udało się dom opuścić. Ale tam są już Ukraińcy. Widzi, jak zabijają jego żonę i czworo maleńkich dzieci. Groza i cierpienie powodują, że niczym dotknięty paraliżem nie jest w stanie zareagować. Większość osób, czytając o tym, prócz zdumienia odczuje także najprawdziwszy gniew, widząc w tym tchórzostwo, jakąś niewybaczalną bierność. „Tyle wiemy o sobie, ile nas sprawdzono" – jakże cenne są tu słowa Noblistki.

Ze ściśniętym gardłem czyta się utrwalone przez autora wspomnienia Stanisława i Grzegorza Marszałków – byli oni świadkami likwidacji getta w Ołyce. Ponad dwa tysiące Żydów uwięzionych w lochach zamku, cierpiących głód i pragnienie, zostało zamordowanych przez Niemców. Nie zmarnowano ich ubrań, odkładając je na stale rosnący stos, egzekucja była organizacyjnie bardzo sprawna – wykonywali ją przecież przedstawiciele tych, którzy chlubili się wysokim poziomem cywilizacyjnym swej nacji.

Opowiada o tych wydarzeniach także cytowany przez autora Jan Pięta. Prowadził on pamiętnik, aby ocalić obrazy tego, co widział i przeżywał. Pisząc o niemieckiej zbrodni w Ołyce, musiał doznać uczucia, że zwykłe słowa, które na co dzień mają nazywać to, co czujemy, myślimy, wyrażać poglądy, nie wystarczą! Bo najtrudniejsze jest, jak orzekł Norwid, „odpowiednie dać rzeczy – słowo". I oto Jan Pięta opisuje zagładę Żydów wierszem, jakby rymy były czymś odświętnym, bardziej godnym. Uroczystym. Cóż, nie jest to, mógłby ktoś kręcić nosem, dobra poezja, w innej sytuacji pchałoby się natrętnie określenie „grafomania". Ale tu wzrusza, i to bardzo wzrusza, intencja! I myślę, że należy także widzieć w tym swoisty hołd składany literaturze jako tej, która ma spełniać Norwidowskie przesłanie.

Czasy powojenne. Czytelnik wydanych uprzednio wspomnień Apolinarego Oliwy mógłby być zadowolony: no, wreszcie koniec wojny! Koniec prześladowań, ustawicznego lęku! Jest inaczej – ukazuje to druga część książki. Tego sobie nikt z tych zasłużonych w walce żołnierzy nie wyobrażał. Aresztowania. Język rosyjski? Tak, to NKWD. W powojennej Warszawie. Tortury, niepewność losu, upokorzenia. To spotkało akowców. Długo o tym pisać nie było wolno. Oprócz cierpień, uderzająca szpetota prymitywnych sposobów społecznej deprecjacji akowców: wynędzniałych więźniów, ubrudzonych czymś podrzuconym w ciemnej celi, pokazuje się ludziom – patrzcie, to są oficerowie AK, złapaliśmy ich w lesie, tak wyglądają! Albo: przewożąc aresztantów ciężarówką do innego więzienia, informuje się tłumy zbierające się na ulicach: to Niemcy, to oni was zabijali! Ale ludzie wiedzieli swoje – podawali chleb, płakali.

Również i ta część książki znakomicie oddaje klimat tamtych czasów. Opowieść pozbawiona patosu, ani krzty roztkliwiania się nad swoim losem, umiejętność szkicowania scen także tragikomicznych. I jak poprzednio – pełna naturalność, jakby słyszało się głos samego narratora.

IRENA WYCZÓŁKOWSKA

Harcerstwo gliwickie



***Z dziejów harcerstwa w Gliwicach*. Red.: Damian Recław, Joanna Januszewska-Jurkiewicz. Gliwice 2012, ss. 557.**

W zasłużonej serii monograficznej Muzeum w Gliwicach, jako tom 19. ukazało się opracowanie *Z dziejów harcerstwa w Gliwicach* pod redakcją Joanny Januszewskiej-Jurkiewicz i Damiana Recława. Jest to książka znakomita pod każdym względem, dopracowana merytorycznie, o przemyślanej kompozycji, bogata faktograficznie, a czarno-biała – ikonografia doskonale komponuje się z jej zawartością.

Zasięgiem chronologicznym praca sięga do lat dwudziestych, a nawet wcześniej do samych początków ruchu harcerskiego na ziemi gliwickiej, wiedzie poprzez czas powstań i plebiscytu, dwudziestolecie, gdy Gliwice znalazły się poza granicami państwowości polskiej, drugą wojnę światową, lata PRL, aż po transformację ustrojową. Ten szeroki zasięg czasowy pozwala ukazać imponującą dynamikę ruchu, wprawdzie zmienną w sile działań, ale niezamierającą i znakomicie wpisującą się w historię narodu i państwa. Każdy z okresów miał swoją specyfikę i ona odbija się nawet w tytułach rozdziałów.

Opracowanie posiada konstrukcję trójdzielną: część pierwsza zawiera rozprawy przeglądowe, dające całościowy pogląd na dzieje gliwickiego harcerstwa, część druga – to kilkanaście not biograficznych pokazujących ludzi, którzy w sposób znaczący wpłynęli na kształt ruchu harcerskiego w Gliwicach. Część trzecia – to wspomnienia harcerskie o znamiennej dla gatunku aurze, nasycone emocjami i przywracające klimat lat, które przeminęły. Całość zamyka wybór materiału źródłowego. Taka kompozycja jest logiczna i zasadna, harmonijnie prowadzi przez całość zagadnienia. Szkoda tylko, że zabrakło indeksu nazwisk, który pozwalałby na szybką orientację w całej zawartości tomu.

Książka jest wspólnym dziełem wielu autorów, z różnych pokoleń, jednak najczęściej harcerek i harcerzy i na tym też polega jej specjalna wartość, bo oprócz dobrego warsztatu naukowego twórcy wkładają w tekst swoje uczucia, fragment swego życia.

Całość otwiera obszerna rozprawa prof. Michała Lisa z Opola świetnie wprowadzająca w problem, wiążąc powstanie harcerstwa z przygotowywaniami do kampanii plebiscytowej na Śląsku. Autor pisze: „Na początku trzeba także podkreślić szczególne miejsce w dziele budowy na Górnym Śląsku harcerstwa polskiego – aktywu patriotycznego ziemi gliwickiej. Tu bowiem powstały pierwsze formy organizacyjne ruchu po I wojnie światowej" (s. 15). Ta konstatacja uświadamia specjalną rolę dzieła, nie mającego wymiaru lokalnego, ale sięgającego do korzeni ruchu, który na całym Śląsku miał się w przyszłości tak bujnie i znacząco rozwinąć. Prof. Lis tak prowadzi swą narrację, że biegnie ona nie tylko od wydarzenia do wydarzenia, ale także od człowieka do człowieka. Widać jak ruch zatacza coraz szersze kręgi, fascynuje, porywa a przy tym manifestuje się w kolejnych działaniach, których zwieńczeniem będzie udział w III powstaniu śląskim. Po podziale Górnego Śląska harcerstwo gliwickie znalazło się w kręgu wpływów Związku Polaków w Niemczech, w trudnych warunkach, pogarszających się w miarę zaostrzania się nazistowskiego terroru, przeszło pod znak Rodła. Tu narracja jest dość powściągliwa, a „krzyczą" przede wszystkim cyfry i fakty. Jeden z ostatnich akapitów warto przytoczyć: „Już zdobycie najniższego, trzeciego stopnia harcerskiego, wymagało od kandydata umiejętności czytania i pisania po polsku, znajomości tekstów »Roty« i »Mazurka Dąbrowskiego« oraz życiorysu patrona drużyny, a także przeczytania trzech lektur traktujących o dziejach Polski i jednej z książek wybranych autorów – Marii Konopnickiej, Henryka Sienkiewicza, Władysława Reymonta, Wiktora Gomulickiego, Władysława Umińskiego, Walerego Przyborowskiego lub jakiegoś innego pisarza polskiego" (s. 25). Takie wymagania dziś jeszcze budzą szacunek i podziw i dobrze świadczą o poziomie świadomości harcerzy z tamtych lat.

Przez dalsze dzieje gliwickiego harcerstwa prowadzi nas harcerka niezłomna, dr hab. Joanna Januszewska-Jurkiewicz z Uniwersytetu Śląskiego. Lata powojenne i cały PRL były kolejną próbą dla całego harcerstwa w Gliwicach. Wyszło ono z tego czasu obronną ręką, mimo oczywistych uzależnień wobec komunistycznego reżimu. Niezwykle interesujące, zresztą znane przez autorkę z autopsji, są te części, w których opisane zostały zmagania gliwickiego harcerstwa ze Służbą Bezpieczeństwa, zwłaszcza w latach osiemdziesiątych.

Bardzo cenne są harcerskie biogramy, w których spotykamy wiele osób ważnych dla śląskiego i polskiego harcerstwa z różnych okresów. Jest to cały poczet pięknych postaci druhen i druhów, osób wprawdzie związanych z Gliwicami, ale zasięg ich oddziaływania wielokrotnie przekraczał granice miasta i powiatu. To harcerze autentyczni, istotnie „Całym życiem pełniący służbę", a przy tym prawdziwi społecznicy. O każdym z nich chciałoby się obszernie napisać, ale tu trzeba poprzestać tylko na kilku wzmiankach. Jest więc niezapomniany Jan Paweł Grzbiela, jeden ze współtwórców śląskiego harcerstwa, Antoni Powiecka – pierwszy komendant Hufca Zabrsko-Gliwickiego, dalej Jadwiga Kupkowa – harcerka „z Bucza", Łucja Wolna – zaangażowana w harcerską akcję pomocy dla Oświęcimia i wiele innych osób. Dość szybko można dostrzec pewną prawidłowość. Oto obok harcerzy śląskich napotykamy cały szereg wybitnych postaci z Kresów, zwłaszcza ze Lwowa, to ekspatrianci, którzy trafili tu po drugiej wojnie światowej i jako miejsce swego zamieszkania wybrali Gliwice, często zasilając równocześnie kadrę naukową Politechniki Śląskiej. Ten sojusz śląsko-lwowski, sprawdzony już podczas powstań i plebiscytu i tym razem się potwierdził. Już w połowie września 1945 roku zaczęli się organizować i planować działania. Byli wśród nich Michał Affanasowicz, Stanisław Ciechanowski, Józef Opacki, Artur Feja i inni. Pięknie zarysowana została postać Zdzisława Dzięddzielewicza-Kirkina, wybitnego taternika, pioniera techniki hakowej w taternictwie, niezapomnianego „Dzięddziela". Nie sposób wymienić tu wszystkich, ich biogramy to jedna z największych wartości omawianej książki, gdyż z jej kart wychylają się ku nam żywi ludzie, „harcerze niezłomni", ze swoimi pasjami, namiętnościami, piękni w swej służbie, stanowiącej bezcenne przesłanie dla następnych pokoleń. Historia gliwickiego harcerstwa pisana ich życiorysami, wplecionymi często dramatycznie w meandry historii, jest żywa i porywająca.

Ta książka uświadamia, jak bardzo brakuje rzetelnej i pełnej historii całego śląskiego harcerstwa. Oby stała się inspiracją i wyzwaniem dla innych miast Górnego Śląska.

KRYSTYNA HESKA-KWAŚNIEWICZ

Rozmowa
z ELWIRĄ
KABAT-GEORGIJEWĄ,
dyrektorką Miejskiej Biblioteki
Publicznej w Sosnowcu



Fot z archiwum MBP w Sosnowcu

IX Sosnowieckie Dni Literatury

Otwarty salon

– Polacy czytają coraz mniej, według danych GUS 60 procent rodaków w ciągu ostatniego roku nie przeczytało żadnej książki. Jak się okazuje wyższe wykształcenie także nie gwarantuje przywiązania do czytania, w tej grupie w ubiegłym roku 34 procent nie miało kontaktu z książką. Tymczasem Sosnowieckie Dni Literatury cieszą się coraz większą popularnością.

– Po dziewięciu edycjach imprezy z satysfakcją mogę stwierdzić, że nasze działania wspierające czytelników w bardziej świadomym odbiorze dzieła literackiego, pobudzające ich do dyskusji i przemyśleń trafiają na podatny grunt. Sosnowieckie Dni Literatury znajdują liczne grono odbiorców, z całego regionu, zainteresowanych poznawaniem współczesnej literatury. Sprawdzonym sposobem, by osiągnąć ten cel, jest przybliżanie kolejnych fascynujących sylwetek pisarzy, nie zawsze z kanonu lektur, sięganie po coraz to nowe tematy i środki przekazu, a także bezpośrednia konfrontacja publiczności z plejadą polskich pisarzy i badaczy literatury. Przygotowując program, wsłuchujemy się w propozycje dotyczące zarówno listy gości, jak i zmian organizacyjnych. Śledząc nowości rynku wydawniczego, staramy się zaspokajać oczekiwania nie tylko tzw. przeciętnego odbiorcy. Nie obawiamy się trudniejszych propozycji dla bardziej wymagającego czytelnika. Po tegorocznej edycji pojawiła się sugestia zorganizowania Dyskusyjnego Klubu Książki, co oznacza, że bywalcy naszych spotkań odczuwają potrzebę bardziej aktywnego uczestnictwa, wymiany literackich doświadczeń.

– Jest pani autorką pomysłu, czy przed dziewięciu laty była pani pewna, że to początek długoletniego cyklu?

– Pewności nie miałam, ale biorąc pod uwagę wspomnienia z wykładów, projekcji filmowych, spotkań poetyckich i burzliwych dyskusji z czasów studiów polonistycznych właśnie tu w Sosnowcu, w gmachu, gdzie ma swą siedzibę Biblioteka Główna, liczyłam, że to przedsięwzięcie ma szansę powodzenia. Polonistyka, co prawda, dawno zmieniła swą siedzibę, ale pozostali silnie związani z tym miejscem znakomici wykładowcy, środowisko literackie i wymagająca publiczność. Program każdej, kilkutygodniowej edycji imprezy nie ogranicza się wyłącznie do spotkań autorskich. Inauguruje ją wystawa…

– W tym roku była ona poświęcona twórczości Franza Kafki i Brunona Schulza…

– Zatytułowaliśmy ją: *Kafka vs. Schulz: miejsca wspólne, miejsca własne*. Wystawie towarzyszyła multimedialna prezentacja, panel dyskusyjny „Pisarze o Schulzu" z udziałem Marcina Barana, Irka Grina, Wojciecha Bonowicza, a także przegląd filmów krótkometrażowych pod wspólnym hasłem „Kafka i Schulz: fascynacje, inspiracje, obsesje".

– Po tym silnym akordzie pojawiły się tradycyjne elementy.

– Salon literacki, „Czas na debiut", Akademia literatury, Warsztaty literackie…

– Dobór gości Salonu literackiego nie jest przypadkowy.

– Nasze zaproszenie jest najczęściej podyktowane ukazaniem się nowej książki, która wydaje nam się interesującą propozycją lektury, wzbudza zainteresowanie krytyków i publiczności. Zdarza się, że sosnowiecka Biblioteka jest miejscem premiery literackiej. Do takiego wydarzenia doszło w 2011 r., kiedy gościem specjalnym był Adam Zagajewski, promujący tom esejów *Lekka przesada*. Tego roku ogromną przyjemność swoim fanom sprawił Marcin Świetlicki lekturą wierszy z tomu *Jeden*, który drukiem ukazał się dzień później. Zdarza się, że gościmy twórców po raz kolejny. Z bardzo ciepłym przyjęciem publiczności ponownie spotkał się Jacek Dehnel i jego nowa książka pt. *Młodszy księgowy*, podobnie jak Eustachy Rylski i powieść pt. *Obok Julii*. Staramy się, by autorzy reprezentowali jak największą różnorodność stylów i gatunków adresowanych do dzieci i dorosłych czytelników. Naszymi gośćmi są zarówno uznani pisarze, jak i debiutanci stawiający pierwsze kroki w literaturze.

– Przymiotnik „sosnowieckie" zobowiązuje.

– Nie zapominamy o promowaniu twórców związanych z Sosnowcem i jego środowiskiem literackim. Wielokrotnie gościli u nas laureaci Nagrody Artystycznej Miasta, poeci: Jerzy Suchanek i Sławomir Matusz, w tej edycji również Karol Bajorowicz. W podwójnej roli wystąpił Wojciech Brzoska. W minionych latach z publicznością SDL spotkali się Jerzy Lucjan Woźniak, Jacek Durski, Paweł Barański i wielu innych. W przyszłym roku mamy nadzieję na ponowne spotkanie ze Zbigniewem Białasem, autorem głośnego, obsypanego nagrodami *Korzeńca*, który jesienią zapowiada premierę II części pt. *Puder i pył*.

– Od niedawna stałym elementem SDL stały się debiuty.

– Jednym z zadań instytucji kultury, w tym zwłaszcza samorządowej, jest wspieranie twórczości początkujących artystów, w tym wypadku ludzi pióra, a bezpośrednią inspiracją wpisania na stałe do programu imprezy „Czasu na debiut" stała się lektura prób literackich zamieszczanych w SOSNarcie. Nie ukrywam, że kierowała mną także chęć przyciągnięcia do Biblioteki kolejnych utalentowanych twórców młodego pokolenia stąd, poddania ich dorobku ocenie zarówno publiczności, jak i krytyków od lat współpracujących z naszą Biblioteką i wspierających ich rozwój. Mówiąc „stąd" mam na myśli nasz region, bez sztucznych podziałów na Brynicy, choć oczywiście pierwsze zaproszenia powędrowały do sosnowiczan: Ilony Kuli, Joanny Storczewskiej-Segiety, Eweliny Nakielskiej, a w tym roku do Adriana Witczaka, laureata Konkursu Jednego Wiersza w Mikołowie i uczestnika salonów poetyckich.

– Obyło się bez rozczarowań?

– Z przykrością muszę przyznać, że nastąpił spadek zainteresowania ze strony młodzieży i jej nauczycieli wykładami w ramach Akademii literatury, nad czym mocno ubolewam. Jeszcze do niedawna szkoły o wiele chętniej reagowały na nasze zaproszenia, zwłaszcza że staramy się, by ich tematyka była przystępna w formie, zbieżna z programem nauczania, za to umożliwiająca pogłębienie wiedzy na poziomie akademickim. Oczywiście nadal możemy liczyć na wiernych słuchaczy, także z innych grup odbiorców, zwłaszcza seniorów, ale znacznie ograniczyliśmy ich liczbę na rzecz innych propozycji programowych. W Akademii goszczą znakomici wykładowcy z Instytutu Nauk o Literaturze Polskiej im. Prof. Ireneusza Opackiego Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach, którzy potrafią skupić uwagę słuchaczy nie tylko za sprawą rozległej wiedzy, ale także nietuzinkowych osobowości, pięknej polszczyzny, stworzenia znakomitej atmosfery podczas wykładu. „Lekcje" z analizy czy interpretacji tekstów literackich są perfekcyjnie przygotowane, prowadzone w sposób komunikatywny, często z dużą dawką humoru. W ostatnich latach dbamy również o wątki dotyczące Zagłębia. Stanowią idealne uzupełnienie procesu dydaktycznego, przygotowania do egzaminów maturalnych, edukacji regionalnej. Dostosowaliśmy się do wszelkich sugestii dotyczących terminów wykładów, które są prowadzone zarówno w godzinach przedpołudniowych, jak i popołudniowych, a mimo to zainteresowanie nauczycieli i młodzieży spada. A szkoda.

– A warsztaty?

– Tu odnotowujemy frekwencję na bardzo dobrym poziomie. Może właśnie dlatego, że obecnie obowiązujący system edukacji bardzo małą wagę przywiązuje do kształcenia umiejętności pisania rozbudowanych form literackich w rodzaju samodzielnej rozprawki, eseju, recenzji itp. Nauczyciele przygotowują młodzież do wypełniania testów maturalnych, które ograniczają wyobraźnię i kulturę literacką młodych ludzi, nierzadko hamują rozwój ich literackich uzdolnień. Zajęcia warsztatowe z poetami i prozaikami, dziennikarzami i krytykami, redaktorami pism, wydawnictw, audycji radiowych i portali literackich cieszą się zatem niezmiennym powodzeniem. Poza tym uczestników warsztatów przyciąga naturalna w młodym wieku, choć przecież nie tylko, skłonność do próbowania własnych sił w materii literackiej, zwłaszcza poezji. I oczywiście bliski kontakt z autorytetami, kolegami po piórze.

– Czym nas zaskoczy 10. jubileuszowa edycja?

– Gdybym zdradziła, nie byłoby niespodzianki, a ta pojawi się na pewno, mogę jedynie zadeklarować, że postaramy się zaskoczyć naszych odbiorów czymś wyjątkowym.

– Zatem do zobaczenia za rok...

– W Bibliotece stale dzieje się coś ciekawego, zapraszam więc do śledzenia naszych propozycji na stronie www.biblioteka.sosnowiec.pl.

Rozmawiała
MARIA SZTUKA

Andrzej Czyżewski: *Murka*. Wyd. Muzeum Miejskie w Tychach, Tychy 2013, s. 76.

Panią dyrektor Muzeum Miejskiego w Tychach Marią Lipok-Bierwiaczonek znam już ładnych parę lat. Wiem więc, że jest wielką tyską patriotką, co można stwierdzić m. in. śledząc muzealne wydawnictwa poświęcone historii powstawania miasta po roku 1950, budowie nowych osiedlli oznaczonych kolejnymi literami alfabetu. Te Nowe Tychy projektowali konkretni ludzie. W ubiegłym roku ukazała się publikacja poświęcona Kazimierzowi Wejchertowi. Teraz wyszła książeczka o Marii Czyżewskiej – Murce, jak nazywali ją bliscy i przyjaciele. Jej życie prywatne i zawodowe opisał mąż, Andrzej, który sam „budował" Tychy jako architekt. To wspomnienie bardzo osobiste, momentami wzruszające, ilustrowane zdjęciami z rodzinnego archiwum pokazującymi Murkę od dzieciństwa, prawie zawsze z ujmującym uśmiechem. Uzupełnieniem publikacji jest wykaz jej projektów oraz realizacji architektonicznych a także kalendarium z najważniejszymi faktami z biografii. Część albumową wypełniają fotografie obiektów, które Murka zaprojektowała.

***Świat naszych przodków. Tradycje zimowego cyklu obrzędowego*. Wyd. Miejski Dom Kultury w Czechowicach-Dziedzicach, Czechowice-Dziedzice 2012, s. 356 plus 12 nlb.**

Miejski Dom Kultury z Czechowic-Dziedzic słynie z różnych ciekawych inicjatyw (m. in. filmowych, operowych, plastycznych). Dla mnie jednak istotne jest to, że ta placówka umiała zaangażować młodzież w dokumentowanie regionalnych tradycji. Niedawno ukazała się druga już książka z cyklu *Świat naszych przodków*, tym razem poświęcona lokalnym obrzędom zimowym. Zima, czyli oczywiście Wigilia, Boże Narodzenie, Sylwester, Nowy Rok. Różne regionalne odmiany elementów obchodzenia tych dni, jakieś specyficzne przepisy kulinarne... Myślę jednak, że niewielu już wie, że istniały obyczaje, czy obrzędy związane ze świętą Agatą, świętym Błażejem albo Świętymi Młodziankami. Dlatego tak cenne wydaje mi się ocalenie tych tradycji, uchronienie ich od zapomnienia. Jednak najważniejsze jest zaangażowanie w tę sprawę młodzieży, która bardzo sumiennie spisuje opowieści „babć i dziadków" pamiętających dawne czasy. Zachęcam do naśladowania.

***Zagłębiowskie szkice mongraficzne. Historia – Kultura – Oświata*. II (2012). [Red. Bolesław Ciepiela, Jan Kmiotek], Wyd. Klub Kronikarzy Zagłębia Dąbrowskiego im. Jana Przemszy-Zielińskiego, Stowarzyszenie Autorów Polskich Oddział w Będzinie, Będzin 2013, s. 136.**

Książka zawiera materiały z XIII już Sympozjum Zagłębiowskiego. I jest to już drugi tom serii Szkiców. Jak się wydaje z opóźnieniem, ale jednak zadomowiła się u nas panująca od wielu lat w Europie moda na badanie i promowanie „małych ojczyzn". Ludzi coraz bardziej interesują ich korzenie, poszukują też własnej tożsamości. Myślę, że tym właśnie zajmuje się Klub Kronikarzy. W jego najnowszej publikacji znajdziemy takie m.in. teksty jak: *Sosnowiczanie w powstaniach śląskich, Twórcy kultury duchowej i materialnej oraz przykłady starań o zachowanie ich spuścizny,* czy *Uwarunkowania tożsamości Zagłębia Dąbrowskiego. Niektóre referaty mają wymiar ponad regionalny, jak choćby tekst Zagłębiowskie drogi Józefa Piłsudskiego.*

Książkę zamyka informacja o autorach tekstów oraz spis członków Klubu Kronikarzy i Stowarzyszenia Autorów.

Jerzy Truszkowski: *Post partum post mortem. Artyści awangardowi w społeczeństwie socjalistycznym w Polsce 1968-1988. (od Jacka „Krokodyla" Malickiego do Jacka Mikołaja Rydeckiego)*. Wyd. Galeria Bielska BWA, Bielsko-Biała 2013, s. 248.

Książka mówi o awangardowych twórcach z czasów PRL od ważnego roku 1968. Nie był to czas na rozmaite eksperymenty w sztuce, choć dużo wcześniej pożegnaliśmy socrealizm. Ale czy dziś społeczeństwo kapitalistyczne w III RP inaczej by się odniosło do dokonań artystów awangardowych? Myślę, że tak jak wcześniej by tę sztukę ignorowało. Natomiast dobrze się stało, że Truszkowski stworzył swoisty leksykon twórców awangardowych tamtego czasu. Poznajemy historię „sztuki bezinteresownej", szerzej nieznaną. Nie tylko teoretyczną. Książka bowiem w dużej części składa się ze zdjęć, dokumentujących awangardowe poszukiwania. Przecież głównie były to akcje (nazywane w zależności od czasu „hapeningami", „perfomansami", obecnie zaś „iwentami"). Warto podkreślić, że poza aspektem estetycznym istniał też polityczny. Takich artystów PRL po prostu nie lubił.

Zdenek Sverak: *Ucieszki Cieszka*. Tłum. Dorota Dobrew. Ilustracje Eva Stiasna. Wyd. DWIE SIOSTRY, Warszawa 2013, s. 144.

Zdenek Sverak, bohater oskarowegp filmu *Kola*, napisał książkę dla dzieci, co odkryłem szukając prezentu urodzinowego dla małoletniego Krzysia. Kupiłem ją, przeczytałem sam, zachwyciłem się, polecam rodzicom, którzy chcieliby w czasie wakacji wywołać u swoich pociech potrzebę czytania. Tytułowy Cieszko naprawdę ma na imię Boguszek (Bohouszek), ale swojej „ksywki" dorobił się, bo co wieczora mówi: „Tośmy się znowu nacieszyli dniem" – choćby nawet ten dzień zaczynał się od wielkiego deszczu. Ciepły humor, fantazja, poezja napisana wprawdzie prozą – to zalety tej książeczki o Cieszku, jego rodzicach-ogrodnikach, przyjaciółce Katarzynce w okularkach, psie Kwiku i „łobuzisku" imieniem Hugo. W opisie bibliograficznym nieprzypadkowo umieściłem nazwisko autorki ilustracji, bo dopełniła tekst efektownymi rysunkami a także malowidłami, które można by było pokazywać w galeriach sztuki. Z niecierpliwością czekam na przekład opowiadań Zdenka Sveraka dla dorosłych.

Wojciech Ossoliński: *40 nespravnych basni o mem mesteczku. 40 niepoprawnych wierszy o moim miasteczku*. Tłum. Libor Martinek. Wyd. Mesto Krnov, Krnow 2013, s. 148.

Libor Martinek, opawski członek naszego Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego i współpracownik Śląska, nie ustaje w przybliżaniu Czechom polskiej poezji. Tym razem przełożył wiersze Wojciecha Ossolińskiego, poety i satyryka (może przede wszystkim satyryka) mieszkającego w Prudniku. Tłumacz nie miał tym razem łatwego zadania, bo autor np. parafrazuje *Lokomotywę* Tuwima, albo piosenkę *Raz piesek wpadł do kuchni*. Dlatego Martinek się zastrzega, że czasem sięga po przekład dosyć wolny, czy nawet tworzy na temat jakiegoś utworu wariację. Satyry na miasteczko, mieszkańców, ale też szerzej – polską rzeczywistość są zjadliwe, można by nawet użyć określenia „pisane żółcią". Nie zawsze też autor potrafi się zmieścić w granicach tzw. dobrego smaku. Dużo w tych wierszach prawdy, jednak nagromadzenie takiej ilości mentalnej brzydoty ludzkiej, głupoty, chamstwa sprawia, że w pewnym momencie lektura staje się nużąca.

Anegdoty

HENRYK BZDOK

To nie był dobry tydzień w Zakopanem. Nie było gór, nie było słońca, nie było widoków meteorologicznych na poprawę, a te się sprawdzały...

Dobre się nie realizują, nigdy...

Próby przemieszczania się pod suchymi chmurami, bywały mało udane. Udanych za to wiele mam fotek, z niebem pochmurnym odbijającym się na mokrym asfalcie.

Złymi wieściami niekoniecznie się trzeba dzielić z tymi co w lepszych klimatach żyją, ale przyjaciołom wyślę – pomyślałem – radosne pozdrowienia z rozświetlonych Tatr.

Są takie widokówki.

Tam gdzie są do nabycia, znaczków nie ma, to byłoby za proste, trzeba iść na pocztę.

Drobiazg, idę.

Widzę dwa okienka, przed jednym ktoś, przed drugim nikt... do pustego podchodzę:

– Cztery kartki i znaczki, zagraniczne, Europa, priorytet poproszę, o te...

– Numerek...

– Jaki? aha, tam przy drzwiach...



Lecę, wybieram usługę, naciskam, mam... 303. Wracam. Zauważam nad okienkiem, przed którym stałem numer „101", patrzę na bilet, „Sala B", znaczy nie tu.

Jest za winklem.

Przed dwoma okienkami po jednej osobie, obsługiwanej, obsługiwanej, obsługiwanej... i jedno puste, w którym, panienka przekłada na stojaku widokówki.

– Można u pani widokówkę bez numerka? Tam tak to trwa...

– Nie można!...

Wracam, patrzę „numer 301" nadal obslugiwany a z głośnika jak na dworcu w Koluszkach:

– Numer 102, proszony jest o podejście na stanowisko do sali „A".

No, ten to już odjeżdża. A ja? Stoję i dalej stoję, bo tamci to chyba służbowe hurtem nadają....

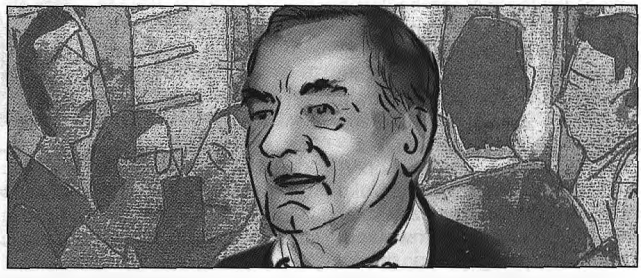
Moja cierpliwość się kończy. Mnę bilet z numerem 303, trafiam z metra do kosza i wychodzę.

Nie zarobi na mnie poczta (podobno i tak już plajtuje), przyjaciołom nie zachwalę Zakopanego „pozdrowieniami ze słonecznej zimowej stolicy Polski" wyślę im MMS-y, z fotkami z deszczem w tle.

A poczcie w Zakopanym polecam wplatanie pomiędzy kolejne komunikaty o podejściach do okienek, nastrojowych utworów muzycznych umilających oczekującym czas postoju... ■



Rys. Henryk Bzdok



Einstein – fizyk, grał na skrzypcach, Churchill – polityk, malował, Komeda – medyk, komponował, Boy Żeleński, medyk – pisał, każdy z nich poza swą profesją w humanizmie szukał odskoczni i dodatkowego spełnienia.

Jest i Aleksy Kuźnik, inżynier z wykształcenia, (bo tak chciał Tata) ale humanista z umiłowania.

Na studiach przezywano go „Formalistą", bo każde powierzone zadanie wykonywał w sposób perfekcyjny, zgodnie z obowiązującymi regułami.

Aleksy był Dyrektorem Ośrodka Rzeczoznawców Stowarzyszenia Elektryków Polskich OZW w Katowicach, nigdy nie przestającym obcowania ze sztuką a szczególnie plastyką. Bywał na wernisażach, i oprowadzał grupy o podobnych mu zainteresowaniach po aktualnych wystawach.

Nim go jeszcze dobrze poznałem, przybył na moją do Muzeum Śląskiego, ja zaś jako autor poproszony zostałem o przybliżenie im swej twórczości...

Inżynier, już w stanie spoczynku wciąż jest aktywny w swym Stowarzyszeniu, na ulicy Podgórnej w Katowicach, gdzie wciąż bywa, dyżuruje, od czasu do czasu (ale regularnie) zaprasza swych przyjaciół artystów, którzy wcześniej współpracowali z SEP: Staszka Holeckiego, Zygmunta Stuchlika i mnie, bywali też inni jak na przykład Witold Pałka. Schodzimy się tam, na znakomitą kawę lub równie wyborną herbatę, by pogwarzyć o sztuce i tematach przyległych.

Kuźnik jest mistrzem w pisaniu wyjątkowych barokowych laudacji, dedykacji, życzeń i innych tekstów chwalebnych, to też bez przesady przezwano go Aleksym Złotoustym.

Kiedy ostatni raz zasiedliśmy za stołem „przed wielkanocnym", na którym nie zabrakło jajeczek przepiórczych i kanapeczek na krakersach, a po stuknięciu się jajkiem i złożeniu sobie życzeń, było i „coś tam, coś tam" (jak mawiała pewna pani polityk o lotnym nazwisku), co przypomniało Aleksemu pewne podobno brzmiące powiedzenie, i rzekł:

– Wiecie Kochani, kiedyś po próbie, członkowie orkiestry Zakładów Cynkowych w Katowicach zebrali się w pobliskiej knajpce przy herbatce z prądem i przechwalali się swymi w większości miniony mi sukcesami erotycznymi, każdy coś tam opowiadał, tylko Gustlik siedział cicho...

Naciskany przez kolegów i pytany wielokrotnie, czy też jakieś miał przygody miłosne, po dłuższej namysłu chwili odrzekł:

– Dyć tam, dyć tam... jakżeż tyż, tam... to żech, tyż tam... – Ale teraz... już tam... to tam... to tam. ■



Mozaika na budynku MBP w Świętochłowicach i współczesne logo książnicy

Pod skrzydłami Pegaza

65 lat MBP w Świętochłowicach

Tradycje biblioteki powszechnej w Świętochłowicach sięgają 1900 r., kiedy to powstawały księgarnie i agendy czasopism, a także placówki Towarzystwa Czytelni Ludowych i „Naszej Czytelni". Po odzyskaniu niepodległości starano się reaktywować bibliotekę. Rozpoczęto społeczną zbiórkę książek. 4 maja 1948 r. utworzono Bibliotekę Zarządu Miejskiego w Świętochłowicach. W chwili otwarcia posiadała 3460 tomów i 28 miejsc w czytelni. Jej pierwszym kierownikiem został Teofil Pieczyk. 18 miesięcy później przemianowano ją na Miejską Bibliotekę Publiczną w Świętochłowicach. 26 lutego 1976 r. Bibliotece nadano imię Juliusza Ligonia, działacza narodowego i górnośląskiego poety.

W ciągu 65 lat działalności Miejskiej Biblioteki Publicznej w Świętochłowicach niejednokrotnie zmieniały się lokalizacje i liczba filii – część przeniesiono do innych lokali, niektóre zamknięto, by w niedługim czasie utworzyć w ich miejsce nowe. Obecnie w mieście działa Biblioteka Centralna oraz pięć filii, rozmieszczonych w poszczególnych dzielnicach. Wszystkie placówki zostały w ciągu ostatnich kilku lat wyremontowane i wyposażone w niezbędny sprzęt komputerowy. W każdej z nich udostępniany jest Internet. Z księgozbioru, liczącego 164 032 woluminy, korzysta 8400 osób. W maju tego roku uruchomiono elektroniczny katalog, który można w dowolnym momencie przeglądać i sprawdzać dostępność poszukiwanych książek w Bibliotece Centralnej i filiach.

Współczesne logo Biblioteki przedstawia Pegaza, rozwijającego swoje skrzydła znad kart książki. Nie jest to wcale przypadek. Skrzydlaty koń towarzyszy działalności świętochłowickich bibliotekarzy już od 1975 r., kiedy na budynku przy ul. Świerczewskiego 1d, w którym otwarto nową Bibliotekę Centralną, artysta plastyk Henryk Goraj wykonał mozaikę przedstawiającą właśnie Pegaza.

Pegaz – symbol natchnienia poetyckiego, przemiany – to rozpoznawczy znak świętochłowickiej książnicy. Książka stale towarzyszyła mieszkańcom miasta bez względu na warunki polityczne i gospodarcze. Biblioteka zaś zawsze była miejscem, w którym nie tylko wspierano edukację, zapewniano szeroki dostęp do informacji, ale także inspirowano do twórczego myślenia. Placówki biblioteczne służą wszystkim, którzy chcą skorzystać ze zbiorów, a także przyjemnie i pożytecznie spędzić czas, bądź poszukują miejsca do zaprezentowania szerszej publiczności swoich talentów i pasji.

Bibliotekarze podejmują różnorodne inicjatywy kulturalne i edukacyjne, które służą promowaniu książki oraz czytelnictwa. W świętochłowickiej książnicy realizowane są m.in. takie przedsięwzięcia, jak: Bookcrossing, Wystawa Zwierząt Hodowanych przez Czytelników czy Światowy Dzień Pluszowego Misia. Największą popularnością cieszą się niezmiennie spotkania autorskie. W ostatnich latach w MBP gościli m.in.: Marian Piegza, dr Jerzy Gorzelik, Elżbieta Okupska, Piotr Kardasz, Wioletta Piasecka, Elżbieta Wasiuczyńska, Piotr Pilawa, Krystian Gałuszka, Ewa Prochaczek i Ryszard Til.

Do najciekawszych inicjatyw należał z pewnością cykl wykładów włoskich „Italia w Świętochłowicach". Dr Guido Lauro Parisi, prezes Katowickiego Komitetu Stowarzyszenia Dante Alighieri, przez dwa lata prowadził wykłady skierowane do osób zafascynowanych kulturą, historią i obyczajami Italii. Prelekcje były wygłaszane w języku włoskim i angielskim (w obecności tłumaczki Urszuli Andrejewy).

W działalności Biblioteki szczególne znaczenie ma praca z młodym czytelnikiem. Przygotowywane są konkursy, gry, zabawy, wystawy, przedstawienia teatralne. Coraz większym powodzeniem cieszą się Klub Gier Planszowych Pionek oraz Klub Młodego Artysty Plastuś w Filii nr 1 w Piaśnikach.

W październiku 2011 r. świętochłowicka książnica wraz z Centrum Nauczania Języka Angielskiego dla Dzieci i Młodzieży metodą Helen Doron w Chorzowie rozpoczęła akcję czytania dzieciom po polsku i po angielsku. Działania te objął patronatem prezydent Świętochłowic Dawid Kostempski.

Również w 2011 r. Biblioteka realizowała przedsięwzięcie „Czytaj z radością, słuchaj z przyjemnością – działania aktywujące młodych czytelników". Dzięki dofinansowaniu ze środków Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego możliwe było zorganizowanie m.in. spotkań z Ewą Stadtmüller – autorką książek dla dzieci i Łukaszem Zabdyrem – ilustratorem oraz z Martą Fox – autorką popularnych powieści dla młodzieży. Odbyły się również warsztaty teatralne dla uczniów szkoły podstawowej, prowadzone przez instruktorki i plastyczkę z Agencji Artystycznej TeArt z Zabrza. Uczestnicy przygotowywali inscenizację bajki Janoscha *Świerszczyk Muzykant i Kret* – na podstawie scenariusza Marii Popławskiej. Proponowane przez MBP działania były doskonałą okazją do integracji dzieci pełnosprawnych z wychowankami jednej ze szkół specjalnych w Świętochłowicach. Zaproszono także młodzież gimnazjalną, dla której przygotowano warsztaty socjoterapeutyczne „Twoje życie to Twoje wybory".

Zwieńczeniem projektu było seminarium „Bądź przewodnikiem dla dziecka po świecie literatury – o biblioterapeutycznej roli literatury i nie tylko", skierowane do bibliotekarzy, nauczycieli i wszystkich osób pracujących z dziećmi i młodzieżą.

Świętochłowickim bibliotekarzom nie brakuje pomysłowości i inwencji w organizowaniu ciekawych spotkań i zajęć dla każdej grupy wiekowej i społecznej. W zeszłym roku przeprowadzono tu warsztaty dla młodych rodziców i dzieci „Ja, Mama i Tata – razem uczymy się świata Małolata". Warsztaty prowadziła Aleksandra Zdebik – pedagog i tyflopedagog, zajmująca się wczesnym wspomaganiem rozwoju dziecka.

Pomyślano także o seniorach. Wirtualny Klub Seniora – utworzony w marcu 2012 r. – to cykl warsztatów komputerowych, podczas których uczestnicy mieli okazję zapoznać się z nowoczesnymi technologiami, a także nabyli umiejętności z zakresu obsługi komputera. Kurs cieszył się tak dużym zainteresowaniem, że na kolejną edycję zapisy zakończyły się na długo przed rozpoczęciem pierwszych zajęć.

Od wielu lat bibliotekarze organizują zajęcia dla osób niepełnosprawnych. Filia nr 2 w Chropaczowie współpracuje z Grupą Terapeutyczno-Zajęciową, działającą w Szkole Podstawowej Specjalnej nr 10 im. Janusza Korczaka w Świętochłowicach. W Bibliotece Centralnej zaś prowadzone są spotkania z uczestnikami Warsztatów Terapii Zajęciowej Towarzystwa Przyjaciół Dzieci. Odwiedzają ją również członkowie miejskiego koła Polskiego Związku Niewidomych – w ramach cyklu muzyczno-poetyckich spotkań.

Od 2000 roku działa Stowarzyszenie Przyjaciół MBP w Świętochłowicach, które wspiera finansowo książnicę (m.in. poprzez zakup nowości wydawniczych czy sprzętu komputerowego). Członkiem Stowarzyszenia może zostać każdy czytelnik.

AGNIESZKA LUCHOWSKA



Fot. z archiwum MBP w Świętochłowicach

Zajęcia dla przedszkolaków podczas obchodów Tygodnia Bibliotek



Fot. Zbigniew Sawicz

Akt erekcyjny podpisany...



Fot. Zbigniew Sawicz

... i zamurowany przez prezydenta Katowic Piotra Uszoka

Wmurowano kamień węgielny

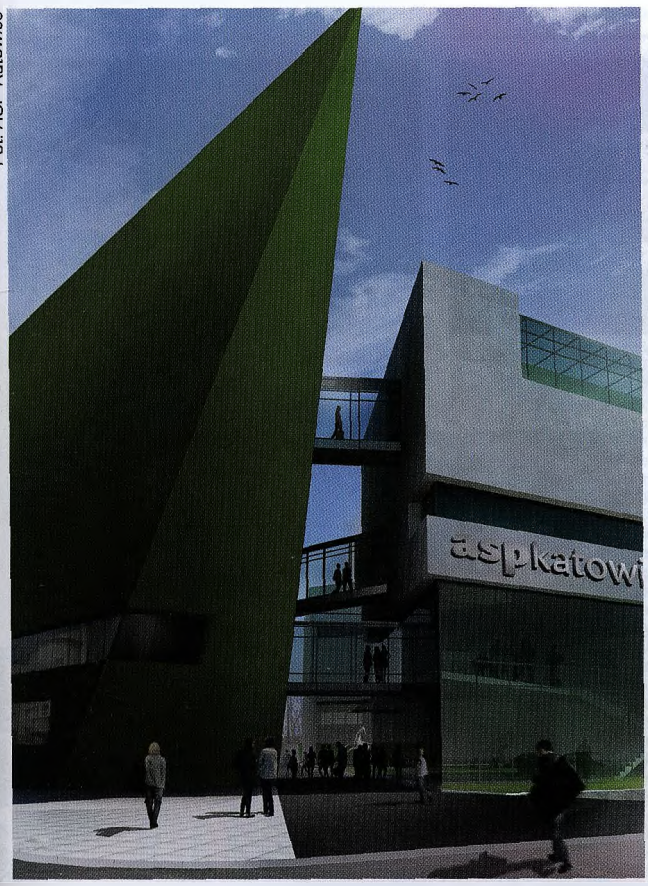
ZNAKI I TWARZE MIASTA

KATOWICE

Na terenie budowy nowego budynku dydaktycznego Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach, między ulicami Raciborską a Koszarową, w miejscu dawnych koszarów wojskowych odbyła się 18 maja br. uroczystość wmurowania kamienia węgielnego. Na historycznym akcie erekcyjnym swoje podpisy złożyli: Wiktor Jędrzejec – dyrektor Departamentu Szkolnictwa Artystycznego i Edukacji Kulturalnej Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego, prof. Michał Kliś – rektor pierwszej kadencji Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach, Mariusz Kleszczewski – wicemarszałek województwa śląskiego i Piotr Uszok – prezydent Miasta Katowice. – *12 marca br. rozpoczęły się prace budowlane, był to dzień, na który wszyscy czekaliśmy bardzo długo, ponieważ plan rozbudowy Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach, to pomysł wcale nie nowy* – mówił podczas uroczystości rektor katowickiej ASP prof. Antoni Cygan.

Obecnie ASP w Katowicach działa w trzech budynkach: dwa znajdują się przy ulicach Raciborskiej oraz Koszarowej. Kolejny, w którym odbywają się zajęcia na kierunku malarstwo, znajduje się przy ul. Dąbrówki.

Projekt gmachu to dzieło architektów z gliwickiej pracowni An Archi Group. Zakłada, że siedzibę stworzą trzy połączone ze sobą bryły z wewnętrznym dziedzińcem, o powierzchni 12,5 tys. m kw. Oprócz sal wykładowych i pracowni malarskich, rysunku, rzeźby, fotografii i wzornictwa w budynku będą także sala kinowa, galeria i biblioteka z mediateką oraz kawiarnia. Z kina, biblioteki i kawiarni, będą mogły korzystać także osoby niezwiązane z uczelnią, m.in. mieszkańcy Katowic. Szacowana wartość projektu to ok. 50 mln zł, z czego ponad 42 mln zł pochodzi z Europejskiego Funduszu Rozwoju Regionalnego w ramach Regionalnego Programu Operacyjnego Województwa Śląskiego na lata 2007-2013. Pozostałe środki to m.in.: wkład własny ASP uzyskany ze środków Miasta Katowice, środki własne Uniwersytetu Ekonomicznego w Katowicach, który dzięki realizacji inwestycji zyska miejsca parkingowe, oraz pieniądze z budżetu państwa (m.in. z Programu Promesa Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego). – *Cieszymy się, że po kilku ładnych latach walki o to, żeby Akademia mogła się dalej rozbudowywać, po dwóch wizytach ministra kultury i dziedzictwa narodowego udało się uruchomić tę inwestycję* – powiedział podczas uroczystości prezydent Katowic Piotr Uszok. Dodał, że miasto przyczyniło się do uruchomienia procesu projektowania tego obiektu, przeznaczyło m.in. środki (ok. 1,2 mln zł) na przeprowadzenie konkursu, na wykonanie prac projektowych. **(wk)**



Fot. ASP Katowice



Fot. ASP Katowice

Plac budowy między ulicami Raciborską i Koszarową



Fot. ASP Katowice

Wizualizacja nowego obiektu katowickiej ASP



Zespół „Grease" z Kędzierzyna-Koźla

Opolskie Szmaragdy

Na scenie Filharmonii Opolskiej, pod patronatem Marszałka Województwa Opolskiego Józefa Sebesty, odbył się I Wojewódzki Przegląd Twórczości Artystycznej Opolskie Szmaragdy z udziałem 44 zespołów i 27 twórców plastycznych reprezentujących poszczególne gminy regionu.

Przegląd mile zaskoczył organizatorów i publiczność wieloma znakomitymi występami zespołów ludowych, muzycznych, wokalnych oraz grup teatralnych i kabaretowych. W holu zaprezentowano prace malarskie i ceramiczne m.in. ręcznie malowaną porcelanę, rzeźbę, witraże, a także prace koronkarskie i kroszonki. Dziękując za prezentacje artystyczne, Barbara Kamińska – członek Zarządu Województwa Opolskiego, podkreśliła: – *Tak jak szmaragd ma bardzo różne odcienie, tak też kultura w województwie opolskim, która rozwija się w różnych dziedzinach. Wiedzieliśmy, że w wielu miejscowościach są aktywne środowiska kreujące kulturę lokalną, ale były to środowiska nierozpoznane. Opolskie Szmaragdy pozwolą nam na stałe nie tylko promować amatorski ruch artystyczny, ale przede wszystkim poznawać lokalne środowiska kultury – ich możliwości, potrzeby i talenty.*

Jak podkreślali uczestnicy Opolskich Szmaragdów, impreza była okazją do zaprezentowania umiejętności, osiągniętych ciężką pracą, która została doceniona. Wszystkie zespoły artystyczne zostały uhonorowane statuetkami „Szmaragdów". – *Ta piękna statuetka na pewno zajmie honorowe miejsce w naszej pracowni w Domu Kultury. Będzie nam przypominać każdego dnia, że warto dzielić się muzyką* – powiedziała Żaneta Plotnik, opiekunka artystyczna Klubu Wokalisty z Krapkowickiego Domu Kultury.

Opolskie Szmaragdy, zorganizowane przez Departament Kultury Sportu i Turystyki UMWO, współfinansowano ze środków UE w ramach Schematu III Pomocy Technicznej Programu Rozwoju Obszarów Wiejskich na lata 2007-2013 oraz budżetu Województwa Opolskiego. DKS



Daria Noryńska „Syrinks" z gminy Zębowice



Natalia Zastępa z gminy Krapkowice



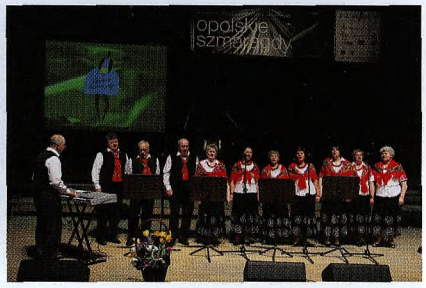
Europejski Fundusz Rolny na rzecz Rozwoju Obszarów Wiejskich: Europa inwestująca w obszary wiejskie



Zespół „Voice Quartet" z gminy Popielów



Natalia Kutyła z Łambinowic odbiera statuetkę od B. Kamińskiej i J. Sebesty



Zespół „Leśne Echo" z gminy Lubsza



Zespół Pieśni i Tańca Nysa



Zespół „Pech" z Opola

Zdjęcia: Jarosław Małkowski

Pomnik Jonasza Kofty

..Bo gdy się milczy, milczy, milczy / to apetyt rośnie wilczy /na poezję, co być może drzemie w nas..." – ten refren piosenki „Song o ciszy" Jonasza Kofty przez wiele lat co tydzień w piątkowy wieczór płynął do mieszkań słuchaczy Radia Opole, zapowiadając „Glosatorium" audycję literacką redaktor Ewy Lubowieckiej (aktorki Teatru 13 Rzędów Jerzego Grotowskiego), zaś piosenka „Pamiętajcie o ogrodach" – „Śpiewnik literacki". Zapewne klimat tych audycji i narracja przypadłaby do gustu poecie i satyrykowi, który wielokrotnie gościł w Opolu, a jego piosenki zdobywały prestiżowe nagrody na kolejnych edycjach Krajowego Festiwalu Piosenki Polskiej. Można by jeszcze, jak w bajeczce, dodać słowa narracji: a było to drogie dzieci w zamierzchłych czasach, kiedy na antenie publicznego radia autorzy czytali wiersze a zamiast wycia i łomotu z głośnika można było posłuchać piosenek z muzyką i tekstem. Do słów Jonasza Kofty komponowali muzykę znani artyści (m.in. Sojka, Kukulski, Nahorny, Niemen, Strobel, Kruk, Zarycki, Czyżykiewicz, Wodecki), dzięki ich talentowi i pracy twórczej powstały przeboje i piosenki o wysokich walorach artystycznych, których dzisiaj trzeba by ze świecą szukać w półmroku estradowej tandety. Niewątpliwie Jonasz Kofta był jedną z najciekawszych i najbarwniejszych postaci opolskiego festiwalu, dlatego z okazji jubileuszowej pięćdziesiątej edycji – rektor Uniwersytetu Opolskiego prof. Stanisław Sławomir Nicieja – postanowił na Wzgórzu Uniwersyteckim w stolicy polskiej piosenki upamiętnić postać artysty. Jego brązowa figura dołączyła do Agnieszki Osieckiej, Czesława Niemena, Marka Grechuty, Jerzego Wasowskiego i Jeremiego Przybory. W trudnym czasie dla mecenatu kulturalnego pomysłodawca tego upamiętnienia zdołał pozyskać wsparcie finansowe od władz samorządowych Opola i od Karola Cebuli – znanego filantropa i darczyńcy przedsięwzięć kulturalno-artystycznych. Autor pomnika profesor Marian Molenda zaproponował oryginalny sposób przedstawienia i lokalizacji figury Jonasza Kofty, ukazując postać poety w ruchu, wchodzącego po schodach do Collegium Maius Uniwersytetu Opolskiego. Projekt zaakceptowała żona Jonasza, żartobliwie podkreślając, że to dobry pomysł, aby poszedł się uczyć, bo wcześniej nie zdołał ukończyć studiów. Tu warto przypomnieć, że choć w 1961 roku Kofta rozpoczął studia na wydziale malarstwa ASP w Warszawie, to ich jednak nie ukończył, bowiem niemal całkowicie pochłonęła go działalność artystyczna, m.in. z Adamem Kreczmarem i Janem Pietrzakiem zakładał studencki kabaret „Hybrydy". Kolejnymi etapami w życiorysie artystycznym Kofty były: Teatr Syrena, kabaret „Pod Egidą" i Program III Polskiego Radia. Autorowi figury udało się znakomicie ukazać realne i duchowe oblicze poety, uchwycić w jego spojrzeniu melancholię lirycznego zamyślenia. Molenda nawiązał tym samym do swoich najlepszych realizacji. Figura Agnieszki Osieckiej nieopodal Kofty, siedząca przed pustym krzesłem z rozsypanymi kartkami wierszy, być może od lat czekała na Jonasza idącego w jej stronę? Warto odnotować, że w 1977 roku podczas XV Festiwalu odbył się koncert „Nastroje – nas troje", poświęcony twórczości Jonasza Kofty, Agnieszki Osieckiej i Wojciecha Młynarskiego. Po latach spotykają się ponownie w Opolu. Ostatni jubileuszowy Festiwal Piosenki Polskiej ulatuje z naszej pamięci, kilka godzin transmitowanych koncertów zapewne trafi do archiwum TVP, ale na Wzgórzu Uniwersyteckim pozostał z nami kolejny pomnik w zbiorze figur panteonu polskiej muzyki. Już dziś ten uroczy zakątek miasta jest ulubionym miejscem turystów odwiedzających Opole – atelier pod chmurką, do zdjęciowych sesji: nowożeńców, zakochanych par, gdzie przysiadają na ławeczkach nastolatki i emeryci. To dla nich teraz będzie śpiewać poeta. – „Pamiętajcie o ogrodach / przecież stamtąd przyszliście / w żar epoki użyczą wam chłodu / tylko drzewa, tylko liście".

JANUSZ WÓJCIK

OPOLE NOTATNIK KULTURALNY

Nagroda „Polityki" dla prof. Doroty Simonides

Kiedy prof. Dorota Simonides, opublikowała „Szczęście w garści", to już po lekturze kilku stronnic można było zorientować się, że ta książka jest wyjątkową pozycją wydawniczą w bogatej bibliografii autorki. Powstała z namowy wielu przyjaciół i znajomych pani profesor, którzy zachęcali, aby zapisała historię swojego niezwykłego życia, obfitującą w wiele anegdot i znaczących wydarzeń, godnych szerszego upamiętnienia. Opowieść o dziewczynie z familoka, która została naukowcem i parlamentarzystką, cenioną w kraju i za granicą, przedstawiono na tle złożonej historii Śląska oraz przemian społeczno-politycznych Polski i Europy. (Dorota Simonides, Szczęście w garści. Z familoka w szeroki świat, Wydawnictwo Nowik, Opole 2012). Walory książki doceniła kapituła Nagrody Historycznej Polityki, przyznając jej laur znanego tygodnika w kategorii pamiętników i wspomnień. Prof. Wojciech Wrzesiński w nominacji do nagrody mówił o książce i jej autorce: – *napisana z dużymi walorami literackimi, ukazuje związki jej badań naukowych z działalnością polityczną i społeczną. Książka ważna nie tylko dla poznania drogi życiowej Doroty Simonides, ale również dla właściwej oceny znaczenia Śląska Opolskiego we współczesnym polskim organizmie państwowym i narodowym.* Nagrody Historyczne Polityki przyznawane są publikacjom o tematyce związanej z historią najnowszą. Grono jurorów Nagrody tworzą wybitni polscy historycy i przedstawiciele tygodnika „Polityka", prace uhonorowane tym laurem weszły na trwałe do polskiej historiografii.

Wojewódzkie Spotkanie Kresowian

Po raz czwarty odbyło się spotkanie opolskich środowisk kresowych zorganizowane przez samorząd województwa w obiektach Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej w Opolu, na które przybyło szerokie grono przedstawicieli Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich oraz innych stowarzyszeń kresowych a także kombatanckich z całego województwa. Podczas inauguracji marszałek województwa Józef Sebesta uhonorował odznaką „Za zasługi dla Województwa Opolskiego" Zofię Cichewicz –prezes Stowarzyszenia Odnowienia Kościoła w Łopatynie na Ukrainie, organizatorkę Dni Madonn Kresowych w Wójcicach (k. Nysy) oraz Edwarda Wołoszyna – prezesa TMLiKPW w Głubczycach, zasłużonego nauczyciela i samorządowca, propagatora współpracy Głubczyc ze Zbarażem. Gratulując wyróżnionym Marszałek powiedział: – *Kultywowanie kultury, historii, obyczajów Kresów wzbogaca nasz region. Wierzę, że te piękne tradycje staną się bliskie młodemu pokoleniu mieszkańców naszego regionu.* Kresowianie dziękując za wsparcie ze strony samorządu województwa i ustanowienie przez Sejmik Województwa – 11 lipca, Dniem Pamięci Ofiar Ludobójstwa na Kresach Wschodnich – wręczyli Bogusławowi Wierdakowi przewodniczącemu Sejmiku „Krzyż Pamięci Kresów". Po części oficjalnej rozpoczęła się biesiada kresowa. Wystąpiły zespoły artystyczne kultywujące tradycje kresowe: „Kresowianki" ze Skarbimierza i „Grodziec" z Grodźca. W galerii WBP można było zwiedzać okolicznościową wystawę „Miasta Kresowe".

Wspominali biskupa Nathana

Obchody 70. rocznicy sakry biskupiej ks. Józefa Nathana (1867-1947) zorganizowano w Branicach (powiat Głubczyce), gdzie biskup utworzył Szpital dla Nerwowo i Psychicznie Chorych, który wraz z kościołem pw. św. Rodziny stanowił centrum „Miasteczka Miłosierdzia" (obejmującego 26 obiektów pomocniczych i pola uprawne, tak aby było samowystarczalne w zakresie usług i wyżywienia). Na murze obok bramy głównej szpitala odsłonięto płaskorzeźbę ceramiczną (największa na Opolszczyźnie) ukazującą dzieło biskupa, autorstwa opolskiego artysty dr. Wita Piechurskiego z Instytutu Sztuki Uniwersytetu Opolskiego, który powiedział podczas uroczystego odsłonięcia: – *długo szukałem pomysłu, ujęło mnie, że biskup Nathan był wizjonerem i patrzył w przyszłość realizując dzieło swojego życia.* Płaskorzeźbę ulokowano obok wcześniej umieszczonych tablic, upamiętniających najważniejsze wydarzenia w życiu biskupa Nathana. Stanowią one fragment tzw. Szlaku Biskupa Nathana, obejmującego miejsca związane z życiem i działalnością tego niezwykłego kapłana. Projekt szlaku zrealizował Szpital w Branicach oraz Stowarzyszenie *Caritas Chrysti*. W uroczystych obchodach licznie uczestniczyli mieszkańcy miejscowości i grono gości honorowych na czele z władzami i biskupem opolskim ks. prof. Andrzejem Czają.

Jednym zdaniem

■ **Na jubileuszowym 50. Krajowym Festiwalu Piosenki Polskiej w Opolu, podczas koncertów: SuperPremiery, SuperDebiuty, SuperJedynki i „Opole! Kocham Cię!" na scenie amfiteatru wystąpiły gwiazdy polskiej estrady, wydarzeniem artystycznym było wykonanie pieśni „Dziwny jest ten świat" Czesława Niemena przez jego córkę Natalię Niemen.**

■ **Udanie zakończyła 61. sezon artystyczny Filharmonia Opolska im. Józefa Elsnera. Orkiestra Symfoniczna i Chór FO z solistką Katarzyną Trylnik (sopran) wystąpili pod batutą Bartosza Żurakowskiego. W programie koncertu melomani wysłuchali następujących utworów: „Msza g-moll" Józefa Elsnera, „Bolero" Maurice'a Ravela i „Krzesany" Wojciecha Kilara.**

■ **Z okazji 50. Krajowego Festiwalu Piosenki Polskiej w Muzeum Śląska Opolskiego zorganizowano wystawę „Jedynie piosenkarze mają powodzenie... Opolski festiwal piosenki w plastyce" ukazującą obrazy dyplomowanych artystów a także amatorów, dla których wiodącym tematem były muzyka i koncerty, dodatkowo wystawiono oryginalne plakaty z opolskiego festiwalu.**

■ **V Parada Orkiestr Dętych z udziałem jedenastu orkiestr z Polski, Niemiec i Czech, zainaugurowała obchody dziesięciolecia uzyskania przez Prószków praw miejskich. Po przemarszu orkiestr do parku ośrodka kultury, odbył się pokaz musztry Orkiestry Komendy Wojewódzkiej Policji we Wrocławiu oraz wspólne wykonanie „Ody do radości".**

■ **Podczas piątej edycji pikniku kolejowego „Koleją po pograniczu polsko-czeskim" przy dworcu kolejowym w Racławicach Śląskich, zaprezentowano m.in. całkowicie odnowioną najpiękniejszą lokomotywę parową w Polsce ze skansenu kolejowego w Pyskowicach oraz najnowszy opolski autobus szynowy.**

■ **W programie XI Paczkowskiego Festiwalu Muzyki Kameralnej i Organowej im. Moritza Brosiga w miejscowym kościele pw. Matki Bożej Nieustającej Pomocy, koncertowało Trio Goreto (Małgorzata Pstraś-Stencel – flet, Tomasz Stencel – obój, Renata Taut – fagot) oraz Roksana Wardenga (mezzosopran).**

■ **Cykl wykładów poświęconych sztuce, kulturze i historii Chin oraz szereg warsztatów tematycznych m. in. chińskiej kaligrafii, chińskich latawców, zajęcia z *tai chi*, zorganizowało Opolskie Centrum Współpracy Polska – Chiny (Instytut Konfucjusza), program przedsięwzięć zrealizowano m.in. na II Kampusie Politechniki Opolskiej i w Publicznej Szkole Podstawowej nr 26 w Opolu.**

■ **W Archiwum Państwowym w Opolu odbyła się konferencja poświęcona Piusowi X – „Genealogia pragnień. Pius X w pamięci ludności Górnego Śląska". Referaty na temat związków Piusa X z Polską wygłosili wybitni znawcy jego pontyfikatu z Uniwersytetu w Padwie, wykładowcy Wydziału Teologicznego Uniwersytetu Opolskiego oraz pracownicy Archiwum.**

■ **Wystawę planszową „Historyczna Stolica Węgier – Székesfehérvár" poświęconą historii pierwszej stolicy Węgier (Székesfehérvár – stolica partnerskiego regionu Opolszczyzny) można było obejrzeć w Galerii Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej im. E. Smolki w Opolu.**

■ **Ponad 400 par prezentowało układy taneczne do polskich utworów podczas VII Festiwalowego Grand Prix Polski w Tańcu Towarzyskim Silesiana 2013, które odbyło się w opolskiej Hali Widowiskowo-Sportowej „Okrąglak".**

„Murka”

Wraz z mężem Andrzejem Czyżewskim oraz profesorem Kazimierzem Wejchertem i Hanną Adamczewską-Wejchert należała do ścisłego grona projektantów miasta Tychy. Kościół pw. św. Jadwigi, Technikum Budowlane, budynki mieszkalne przy ulicach Myśliwskiej i Sienkiewicza, „tarasowce” i „szeregowce” na osiedlu O – to tylko kilka z długiej listy obiektów zaprojektowanych przez architekta Marię Czyżewską-Murkę.

Maria Czyżewska, zwana przez bliskich i znajomych Murką, zmarła w styczniu 2013 roku.

W siedzibie głównej Muzeum Miejskiego w Tychach przy placu Wolności 1 powstała wystawa poświęcona tej niezwykłej projektantce. Na wystawie znajdują się dokumenty, projekty, a nade wszystko fotografie pokazujące Marię Czyżewską nie tylko podczas pracy, ale także w codziennych sytuacjach – z córkami Małgosią i Agnieszką na spacerze, na wakacjach nad morzem, z mężem Andrzejem podczas tatrzańskich wędrówek i kajakowych wypraw w towarzystwie Kazimierza i Hanny Wejchertów. Prezentowane są również jej piękne portrety. Zdjęcia pochodzą z prywatnego archiwum rodziny Czyżewskich.

O wszystkich realizacjach architektonicznych autorstwa Marii Czyżewskiej można przeczytać w monograficznej publikacji, którą wydało Muzeum Miejskie w Tychach.

Książka jest bogato ilustrowana, opowiada o dzieciństwie i młodości architektki, o małżeństwie i codziennym życiu rodzinnym, przyjaciołach. I oczywiście o wielkiej pasji, jaką było dla niej projektowanie.

Autor publikacji Andrzej Czyżewski napisał: – „Murka kochała swój zawód. Nie umiała się z nim rozstać. Pracowała w nim ponad pięćdziesiąt lat. Związała się też nierozerwalnie z wybraną przez siebie małą ojczyzną. Ze Śląskiem, z Tychami. Tu znalazła swój dom”.

Maria Lipok-Bierwiaczonek, dyrektor Muzeum Miejskiego w Tychach we wstępie do książki o „Murce” pisze: – „To relacja o pracy architekta połączona z opowieścią o życiu ciekawego człowieka, o losach, w które kilkakrotnie ingerowała w sposób dramatyczny historia”.

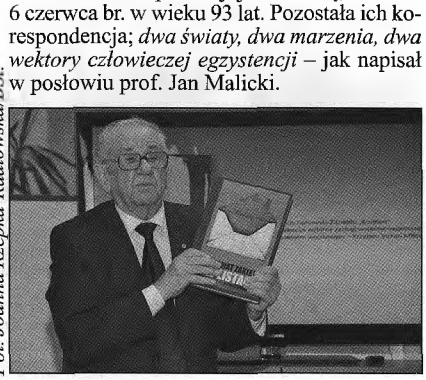
Maria Czyżewska-Murka pracę w zawodzie architekta-projektanta rozpoczęła bezpośrednio po ukończeniu studiów pierwszego stopnia, po uzyskaniu dyplomu inżyniera architekta w marcu 1953 roku. Pierwszego maja tego roku zatrudniła się w Pracowniach Konserwacji Zabytków we Wrocławiu. Pracowała tam do końca września 1958 r. W PKZ głównym tematem były inwentaryzacje, studia, oraz projekty rekonstrukcji zabytków na terenie Wrocławia i Dolnego Śląska. Od 1958 r. związała się z Miastoprojektem Nowe Tychy, gdzie przepracowała 33 lata, czyli do przejścia na emeryturę w 1991 r., projektowania jednak nie zaprzestała, kontynuując swoją pasję w domu.

WIESŁAWA KONOPELSKA

KATOWICE NOTATNIK KULTURALNY

Dramat zaklęty w listach

26 czerwca w Bibliotece Śląskiej, w sali Benedyktynka odbyła się promocja książki Józefa Musioła „Dramat zaklęty w listach”. Publikacja zawiera niezwykłą korespondencję Heleny Danowskiej-Zdziebło z mężem Dominikiem ps. „Kordian”, dowódcą największego zgrupowania Armii Krajowej na południu Polski. Jak przypomniał podczas promocji dr J. Musioł to właśnie major Zdziebło-Danowski, dowódca „Żelbetu”, największego zgrupowania AK dwukrotnie uratował Kraków przed zniszczeniem, po raz pierwszy nie dopuszczając do wywołania przeciw Niemcom powstania pod Wawelem, po raz drugi uratował królewski gród, wydając rozkaz, by rozbroić zaminowane przez Niemców miasto. Postać wyjątkowa, bohaterska i jak to zwykle bywa, zbyt pochopnie odsunięta w niepamięć. Listy kreślą obraz niezwykłej miłości dwojga ludzi uwikłanych w burzliwą historię. Część pierwsza to korespondencja młodzieńcza, druga to listy z Syberii, gdzie pani Helena została deportowana, trzecia więzienna – zawiera z pozoru lakoniczne i oficjalne wiadomości, które przy uważnej lekturze odkrywają wiele zakamuflowanych treści. Dominik Danowski-Zdziebło oskarżony o próbę obalenia ustroju PRL, spędził 9 lat w więzieniu (1949-1959), zmarł w 1962 r. Z ukochaną żoną Heleną przeżył niespełna 9 lat. Resztę czasu pochłonęły wojna, deportacja i ubeckie więzienie. Dzięki staraniom Józefa Musioła i prof. Jana Malickiego udało się przyspieszyć wydanie „Dramatu zaklętego w listach” i pierwszy egzemplarz dotarł do Heleny Danowskiej-Zdziebło tuż przed jej śmiercią, zmarła 6 czerwca br. w wieku 93 lat. Pozostała ich korespondencja; *dwa światy, dwa marzenia, dwa wektory człowieczej egzystencji* – jak napisał w posłowiu prof. Jan Malicki.



Fot. Joanna Rzepka-Radłowska/BŚl.

Józef Musioł podczas promocji „Dramatu zaklętego w listach”

XIV Festiwal Ave Maria w nowej formule

Koncert inaugurujący XIV Festiwal Ave Maria odbył się 18 maja, w kościele św. Stanisława B.M., kilkanaście dni przed rozpoczęciem trzydniowego festiwalowego maratonu koncertowego (31maja – 2 czerwca). Połączone chóry lekarzy z całej Polski wraz z solistką Hanną Marią Zajączkiewicz (sopran) i orkiestrą kameralną pod batutą Ryszarda Handke wykonali „Magnificat” współczesnego brytyjskiego kompozytora Johna Ruttera.

Na wykonawców pozostałych trzech dni festiwalowych organizator – Urząd Miasta Czeladź – wybrał zespół artystów Polskiej Opery Kameralnej, której twórcą oraz dyrektorem naczelnym jest Kazimierz Kowalski, wieloletni dyrektor Teatru Wielkiego w Łodzi, znany polski bas. Był to pierwszy festiwal bez dotychczasowego dyrektora artystycznego i współtwórcy festiwalu Sławomira Pietrasa.

W programie tegorocznej edycji znalazło się plenerowe (na czeladzkim rynku) przedstawienie opery „Straszny Dwór” Stanisława Moniuszki. W gronie wykonawców tego spektaklu jak i kolejnych koncertów znaleźli się: Andrzej Niemierowicz, Agnieszka Makówka, Małgorzata Kulińska, Robert Ulatowski, Małgorzata Kustosik, Andrzej Jurkiewicz, Krzysztof Marciniak, Wiesław Bednarek i Kazimierz Kowalski oraz orkiestra, chór i balet Polskiej Opery Kameralnej. Za pulpitem dyrygenckim stanął Kazimierz Wiencek.



Fot. Maciej Jędrusik

Edyta Piasecka

Miejscem pozostałych muzycznych wieczorów były wnętrza kościoła św. Stanisława B.M. (dotąd tradycyjne miejsce festiwalu), wyróżniającego się znakomitą akustyką. Repertuar pierwszego z koncertów był niezwykle urozmaicony: od arii operowych, operetkowych, musicalowych, po utwory zaczerpnięte z pop kultury. Ostatni dzień wypełniły pieśni maryjne – od „Bogurodzicy” po utwory J.S. Bacha, C. Saint-Saëns a i A.L. Webera.

Niewątpliwie na szczególne podkreślenie zasługuje występ Edyty Piaseckiej, dysponującej pięknym sopranem koloraturowym, uczestniczącej w festiwalu na zaproszenie Polskiej Opery Kameralnej.

Arkadiusz Gola w projekcie „Obrazy północy”

Zdjęcia do tej wystawy powstały w listopadzie 2012 roku w regionie Nord Pas de Cala-

Jednym zdaniem

■ **Znakomita brytyjska skrzypaczka Rachel Podger i wybitny polski artysta młodego pokolenia – klawesynista Marcin Świątkiewicz wystąpili w sali koncertowej Akademii Muzycznej w Katowicach prezentując, w ramach cyklu „Piękno i perfekcja” przygotowywanego przez Instytucję Promocji i Upowszechniania Muzyki „Silesia” 4 utwory J.G. Pisendela, J.S. Bacha, G.F. Haendla i A. Vivaldiego.**

■ **Gościem „Galerii osobowości” IPiUM „Silesia” był prof. Aleksander Lasoń – kompozytor, dyrygent i pedagog, pełniący funkcję kierownika Katedry Kompozycji i Teorii Muzyki na Wydziale Artystycznym Filii Uniwersytetu Śląskiego w Cieszynie.**

■ **Koncertową wersję „Aidy” Giuseppe Verdiego zaprezentowali w auli Zespołu Szkół Plastycznych w Katowicach znakomici soliści: Maria Zientek (sopran), Anna Borycka (mezzosopran), Vasyl Grokholskyi (tenor), Adam Woźniak (baryton), a przy fortepianie zasiadła Larisa Czaban.**

■ **Laureat Nagrody im. Pawła Stellera, przyznanej przez Muzeum Historii Katowic podczas tegorocznego Międzynarodowego Triennale Grafiki w Krakowie – Aleksander Woźniak, artysta plastyk, grafik z Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie, zaprezentował swoje prace podczas wystawy w galerii MHK – Oddziale Grafiki im. Pawła Stellera.**

■ **Na wystawę prac malarki nieprofesjonalnej Wioletty Frączek zapraszała Miejska i Powiatowa Biblioteka Publiczna w Będzinie i Stowarzyszenie Twórców Kultury Zagłębia Dąbrowskiego w Będzinie.**

■ **IV Zagłębiowski Maraton z Książką zorganizowało Stowarzyszenie Autorów Polskich Oddział w Będzinie.**

is na północy Francji. Pokazują życie różnych grup społecznych w miejscu, które przed laty było silnie związane z przemysłem górniczym.

Ostatnią z dziesiątek kopalń, jakie działały w północnej Francji zamknięto ponad trzydzieści lat temu. Mimo że od tego czasu wiele zmieniło się w życiu byłych górników, niezmienna pozostała ich duma z tożsamości regionalnej i kultury poprzemysłowej.

Fotografie składają się na wspólną pracę pod tytułem „Known Unto God", a jej autorami byli: pisarz Dominique Sampiero z Francji, Stan Laflour z Niemiec i polski fotograf Arkadiusz Gola.

Kulturatrium to wspólny projekt regionów Nord Pas de Calais, Nadrenii i Północnej Westfalii i województwa śląskiego.



Fot. Arkadiusz Gola

W nowej siedzibie

W chorzowskim skansenie otwarto nowy wielofunkcyjny obiekt ekspozycyjno-szkoleniowy. Ma za zadanie zniwelować dotychczasowe ograniczenia związane z istniejącą infrastrukturą Górnośląskiego Parku Etnograficznego oraz brak profesjonalnej przestrzeni wystawienniczej, który wymuszał sezonową dostępność do zasobów Muzeum i możliwość prowadzenia działalności statutowej wyłącznie w okresie od maja do października. – Nowy budynek daje zdecydowanie inne, lepsze możliwości. Pracownicy nareszcie pracują we właściwych warunkach. Udało nam się już podwoić liczbę zwiedzających. Zbudowaliśmy nowy, ambitny program naukowy, rozpoczynamy pracę badawczą, kontynuujemy też rozpoczęte już przedsięwzięcia. Planujemy wykorzystywanie w dużym stopniu technik multimedialnych. Niezależnie od tego, że muzeum odnosi się do historii, nie powinno uciekać od nowoczesności, przynajmniej jeśli chodzi o sposoby ekspozycji – powiedział dyrektor GPE Andrzej Sośnierz. W uroczystości otwarcia uczestniczyła wicemarszałek województwa śląskiego Aleksandra Gajewska-Przydryga.

Prace budowlane rozpoczęły się w 2010 roku, a całość ukończono w grudniu 2012 roku. W pierwszych miesiącach tego roku Muzeum przeniosło stopniowo swoją działalność do nowego obiektu. We wnętrzu znajduje się 130-osobowa sala audiowizualna, przestrzenie ekspozycyjne, gdzie organizowane będą wystawy czasowe a także magazyny zabytków, biblioteka oraz pracownie i biura.



Fot. Tomasz Żak/BP

W ramach inwestycji wybudowano kompleks wielofunkcyjny ekspozycyjno-szkoleniowy wraz z parkingiem, obiekty strefy wejścia (wiata wejściowa i odnowiony budynek kasy) oraz zagospodarowano przyległy teren. Budynek swym zewnętrznym charakterem i formą architektoniczną dostosowany został do szczególnej architektury obiektów istniejących na terenie skansenu.

Teatr Śląski nagrodzony

Ogłoszono wyniki 19. Ogólnopolskiego Konkursu na Wystawienie Polskiej Sztuki Współczesnej. Jury w składzie: Agata Duda-Gracz, Joanna Krakowska, Tadeusz Nyczek, Lech Raczak, Dorota Sajewska po obejrzeniu dwunastu finałowych spektakli postanowiło przyznać dwie równorzędne nagrody zespołowe (po 40 tys. złotych) za najlepsze przedstawienia Konkursu. Zwycięskie spektakle to: „Piąta strona świata" Kazimierza Kutza w reżyserii Roberta Talarczyka, przedstawienie przygotowane przez zespół Teatru Śląskiego im. Stanisława Wyspiańskiego w Katowicach oraz „Courtney Love" Pawła Demirskiego w reżyserii Moniki Strzępki wystawiony w Teatrze Polskim we Wrocławiu.



Fot. Krzysztof Lisiak/TŚl.

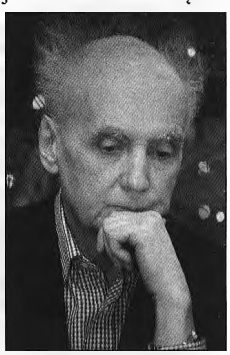
Ogólnopolski Konkurs na Wystawienie Polskiej Sztuki Współczesnej ma na celu nagradzanie najciekawszych poszukiwań repertuarowych w polskim teatrze, wspomaganie rodzimej dramaturgii w jej scenicznych realizacjach oraz popularyzację polskiego dramatu współczesnego.

Konkurs organizowany jest przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz Instytut Teatralny im. Zbigniewa Raszewskiego w Warszawie.

Mistrzowie w Raciborzu

Znany szerokiej publiczności, zwłaszcza miłośnikom fotografii artystycznej, a także bywalcom sal koncertowych i teatralnych cykl portretów wybitnych twórców kultury i sztuki autorstwa Zbigniewa Sawicza prezentowany jest do końca lipca w Muzeum w Raciborzu.

Zbigniew Sawicz należy do grona wybitnych polskich fotografów, ma na swoim artystycznym koncie wiele wystaw indywidualnych, największy rozgłos zyskały „Ballada śląska" i „Mistrzowie piękna", która to ekspozycja doczekała się już kilku edycji. Ukazuje ona polskich twórców, którzy zostawili swój ślad w kulturze Śląska. Wśród kilkudziesięciu prezentowanych postaci znaleźć można indywidualności świata muzyki – dyrygentów, kompozytorów, instrumentalistów; świata teatru – reżyserów i aktorów, świata sztuki – malarzy, grafików i rzeźbiarzy.



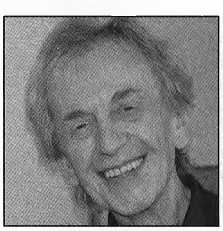
Zbigniew Sawicz, „Wojciech Kilar", fotografia

Autor za swą pracę artystyczną otrzymał Złotą Honorową Odznakę za Zasługi dla Województwa Śląskiego, odznakę ministra kultury „Za zasługi dla kultury polskiej". Należy do grona współpracowników naszego miesięcznika.

Odszedł Petr Nosálek

W niedzielę, 16 czerwca zmarł w swoim domu w Ostrawie Petr Nosálek, znakomity artysta, reżyser wielu wspaniałych przedstawień w Polsce i w Czechach.

W Śląskim Teatrze Lalki i Aktora Ateneum zrealizował „Pinokia" (drugie przedstawienie, jakie stworzył na początku swojej polskiej kariery, od 1994 r. inscenizacja ta niezmiennie gości na afiszu, a prezentowana była blisko 500 razy.), później pojawiły się: „Śpiąca królewna", „Czarodziejski młyn", „O Smoku Grubeloku", „Jak pingwiny arką popłynęły" – spektakle należące do najlepszych w historii katowickiej sceny lalkowej. Od kilku miesięcy Petr Nosálek był konsultantem programowym i opiekunem artystycznym zespołu aktorskiego Ateneum.



Fot. Teatr „Ateneum"

■ **Starostwo Powiatowe w Bieruniu było organizatorem XIV Powiatowych Igrzysk Osób Niepełnosprawnych – Lędziny 2013.**

■ **Ligotę i Panewniki na starych pocztówkach i fotografiach prezentuje Muzeum Historii Katowic.**

■ **10 lat temu ukazał się pierwszy numer biuletynu informacyjnego „Silesia prezentuje", którego wydawcą jest Instytucja Promocji i Upowszechniania Muzyki „Silesia". Od początku redaguje go Marek Brzeźniak z gronem współpracowników – znawców życia koncertowego, muzykologów, teoretyków muzyki i publicystów muzycznych.**

■ **Z towarzyszeniem Śląskiej Orkiestry Kameralnej pod dyrekcją Roberta Kabały w pokazowej lekcji znakomitego skrzypka Zakhara Brona wystąpiła Weronika Dziadek, natomiast sam mistrz koncertował z Orkiestrą Symfoniczną Filharmonii Śląskiej pod dyrekcją Mirosława Jacka Błaszczyka prezentując II Koncert skrzypcowy d-moll op. 22 Henryka Wieniawskiego.**

■ **W ramach obchodów Roku Kardynała Augusta Hlonda marszałek województwa śląskiego Mirosław Sekuła z przewodniczącym Sejmiku Śląskiego Andrzejem Gościniakiem i filharmonikami śląskimi pod dyrekcją Mirosława J. Błaszczyka zapraszali na uroczysty koncert i mszę św. do Archikatedry Chrystusa Króla. Artyści wykonali utwory W. Kilara, K. Pendereckiego i A. Lasonia.**

■ **Kolejną wystawę z cyklu „Dzielnice Sosnowca", tym razem poświęconą Śródmieściu i Staremu Sosnowcowi pokazało Muzeum w Sosnowcu.**

■ **W Gliwickim Teatrze Muzycznym odbyła się premiera musicalu „Mały Książę" w adaptacji i reżyserii Cezarego Domagały z muzyką Tomasza Bajerskiego.**

■ **W Klubie Dobrej Książki Biblioteki Śląskiej tom wierszy Genowefy Jakubowskiej-Fijałkowskiej „Ze mnie robaka i z robaka wiersze" nominowany do Śląskiego Wawrzyna Literackiego 2012 prezentował Karol Maliszewski – poeta, prozaik, krytyk literacki, pracownik Uniwersytetu Wrocławskiego.**

■ **W Galerii Foyer Teatru Śląskiego pokazane zostały prace malarskie i graficzne austriackiego artysty Franza Politzera, autora wielu wystaw indywidualnych prezentowanych w Niemczech, Anglii, Szwajcarii i Stanach Zjednoczonych.**

■ **Powstał audioprzewodnik po Nikiszowcu – dzielnicy Katowic, a jego niezwykłość opisują Kazimierz Kutz, Rudolf Wróbel, profesor Dorota Simonides i jej siostra. Na organach w kościele św. Anny gra profesor Julian Gembalski, historię orkiestry górniczej kopalni Wieczorek przypomina Andrzej Pisarzowski, do zrobienia zdjęcia w Nikiszowcu namawia fotograf Krzysztof Niesporek a narratorem historycznej opowieści o Nikiszowcu jest Kamil Durczok. Autorką tekstu jest Joanna Tofilska z Muzeum Historii Katowic, a opracowaniem całości zajęła się Anna Dudzińska z Polskiego Radia Katowice.**

Wojna czy przyjaźń?

Chyłkiem minął XXIV Międzynarodowy Festiwal Teatralny „Bez Granic", który od 23 lat organizują animatorzy kultury z Solidarności Polsko-Czesko-Słowackiej – ostatnio wespół z czeskocieszyńskimi towarzystwami – Domem Dzieci i Młodzieży oraz stowarzyszeniem „Edukacja, Talent, Kultura". Główną nagrodę – „Złamany szlaban" otrzymał – za wyreżyserowany przez Łukasza Czuja spektakl Roya Kifta pt. „Komedia obozowa" – Teatr im. Heleny Modrzejewskiej z Legnicy. Laureata wyłoniła publiczność scen cieszyńskich i czeskocieszyńskich spośród dziewięciu zaprezentowanych spektakli z Polski, Czech i Słowacji.

Spotkania artystów z obu stron beskidzkich granic nie mają tak wysokiej temperatury, jak w latach 90. ub. wieku. Festiwalem żył wówczas nie tylko kulturalny Cieszyn, ale także inne ośrodki teatralne Polski, Czech i Słowacji, z których przybywały nad Olzę liczne grupy studentów teatralnych szkół. Imprezę ożywiały amatorskie czy półzawodowe trupy podczas tak zwanego Hyde Parku czy „festiwalu offowego". Komedianci dominowali na rynkach i ulicach. Widownia biegała z jednej strony granicy na drugą lub okupowała autokar, który kursował między teatrami po obu stronach Olzy. Może nie było jakiejś wielkiej integracji międzynarodowej, choć poznałem wtedy kilku wspaniałych czeskich przyjaciół, jak Trudka Chowaniokova, Ladislav Sliva czy Jirzi Jeżek, ale przynajmniej duże grupy Polaków i nieco mniejsze Zaolziaków czy Czechów integrowały się we własnych gronach przy – zawsze lepszym od polskiego-czeskim piwie.

Wydaje mi się, że w latach 90., zarówno Czesi, jak i Polacy bardziej chłonęli kulturę sąsiadów niż obecnie. Po ponad dwu dekadach od chwili uzyskania tzw. wolności szczurzy wyścig nagiął nas wszystkich ku ziemi. Sądzę, iż starsze pokolenia straciły zaciekawienie dla kultury – zwłaszcza obcej. Dotyczy to głównie pokolenia, które obalało władzę komunistyczną po obu zboczach Karpat. Bardziej zajmujemy się sobą niż innymi. Myślę także o naszych braciach czeskich. Festiwal stracił na znaczeniu, gdy przestało się nim interesować kierownictwo Teatru Cieszyńskiego w Czeskim Cieszynie, które wymyśliło własną imprezę także pod mianem „Na Granicy". Festiwal Divadel Moravy a Slezska, raczej nie preferuje otwarcia kulturowego na wschodni brzeg Olzy. Solidarnościowy festiwal musiał zmienić nazwę na „Bez Granic". Szczęśliwie zbiegło się to z wejściem Polski i Czech do Unii Europejskiej i otwarciem granicznych mostów. Przypadkiem zmiana nazwy miała swój sens metaforyczny. Festiwal podupadł jeszcze bardziej, gdy przestały przyjeżdżać grupy studenckiej młodzieży, zapomniano o Hyde Parku, a wreszcie nawet o profesjonalnych jurorach.

Ratunkiem byłby powrót do festiwalowych źródeł – monograficznych imprez poświęconych granicznym zjawiskom w teatrze. Do tego trzeba jednak mobilizacji wszystkich sił, które kiedyś emanowały energią, a więc zarówno ministerstw kultury, jak i kierownictw teatrów i władz miast i województw – od Ostrawy poczynając przez podzielony Cieszyn i Bielsko-Białą, aż do Katowic. Z własnego doświadczenia wiem, że gdyby władze polityczne chciały, to namówią do włączenia się do odnowy festiwalu także biznesmenów czeskich i polskich – po obu stronach Olzy.

Myślę, że taki festiwal przyjaźni jest nam nadal potrzebny – zwłaszcza po wybudowaniu w Bystrzycy pomnika poświęconego gen. Josefowi Šnejdárkowi, którego żołnierze dobijali polskich jeńców podczas agresji armii czechosłowackiej na rdzennie polskie ziemie w styczniu 1919 r. Czyż od wojny o pomnik nie lepsza kulturalna przyjaźń?

JAN PICHETA

BIELSKO NOTATNIK KULTURALNY

Promocja w Rydze

W czerwcu animatorzy kultury z Galerii Bielskiej BWA propagowali polską sztukę na Łotwie. W dwóch prywatnych galeriach w centrum ryskiej starówki – Agija Sūna Art Gallery i Glass Art Gallery prezentowano wystawę pn. „2B in Bielsko-Biała. Double Pleasure from Poland". Swe prace eksponowało 11 artystów związanych z bielskim środowiskiem twórczym. Dzieła malarskie wystawiali – Jagoda Adamus, Tamara Berdowska, Krzysztof Kokoryn, Elżbieta Kuraj, Agula Swoboda, Teresa Sztwiertnia i Bartłomiej Zygmunt Siegmund, obiekty – Leszek Oprządek, a fotografie – Anna Bodnar, Karolina Tyrna i Małgorzata Łuczyna. Jak wyznała jedna z kuratorek ekspozycji – Justyna Łabądź, artyści reprezentują zarówno starszych twórców o znaczącym dorobku oraz rozpoznawalnym języku artystycznym, jak i młodsze pokolenie eksperymentujących z różnymi technikami i technologiami. Zdaniem dyrektorki BWA Agaty Smalcerz wystawa ukazuje kształt i kierunek sztuki tworzonej współcześnie w Polsce w całej jej różnorodności technicznej i tematycznej. Ekspozycji towarzyszyły liczne wydarzenia prezentujące polską kulturę i sztukę. W Kalniciema Kvartāls w Rydze odbył się pokaz bielskiego Studia Filmów Rysunkowych. Łotewskie dzieci obejrzały bajki z „Bolkiem i Lolkiem" oraz „Reksiem" a także „Przygody Błękitnego Rycerzyka". Uczestniczyły też w warsztatach animacji prowadzonych przez Małgorzatę Łuczynę i Jacka Złoczowskiego. Agula Swoboda poprowadziła warsztaty pt. „Najdziwniejsze domowe zwierzę". W Rydze odbył się również pokaz filmów dla dorosłych produkcji SFR oraz pokaz sztuki wideo młodego pokolenia artystów związanych z Bielskiem-Białą. Imprezom patronowała Ambasada RP na Łotwie.



Fot. J. Łabądź

Warsztaty Aguli Swobody w przedszkolu francuskim w Rydze.

Bielsko-Biała po Nowym Jorku

Po galeriach w Nowym Jorku (Porter Contemporary i Hasted Kraeutler), Lublanie, Bratysławie i Krakowie wystawa pn. „Kobiety Mocy" trafiła do Galerii Bielskiej BWA. Jej autorką jest Katarzyna Majak, a kuratorką Agnieszka Żechowska. Katarzyna Majak zetknęła się z kilkudziesięcioma polskimi niewiastami, które odwołują się do takich nurtów duchowości jak dawne wierzenia słowiańskie, ludowe lub pozaeuropejskie czy szamanizm. Wśród prezentowanych fotografii wiedźm, szeptuch, wizjonerek, uzdrowicielek i innych fascynujących kobiet, które czerpią wiedzę z intuicji i kontaktu z naturą, znalazł się konterfekt artystki Natalii LL – urodzonej w Żywcu absolwentki bielskiego Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych. Wystawa potrwa do 28 lipca. Aż do 1 września potrwa natomiast ekspozycja pn. „Powrót do korzeni" – projekt Izabeli Ołdak z udziałem artystów z Australii, Holandii, Serbii, Urugwaju i Polski. Ich obrazy, rzeźby, fotografie i realizacje wideo reprezentują różnorodne stylistyki; łączy je odwoływanie się do symboliki, archetypu, mistycyzmu. Obydwie wystawy zrealizowano w ramach szerszego projektu pn. „Przesilenie Letnie w Galerii Bielskiej BWA". Złożyły się na niego także panel dyskusyjny „Magia – Pramatka Sztuki" i cykl wydarzeń z pogranicza sztuki i ekologii pod hasłem „Razem dla Ziemi" (np. happening „Mandala dla Ziemi"), które zorganizowali animatorzy z Klubu Gaja.



Katarzyna Majak. „Maria, uzdrowicielka i wizjonerka", z cyklu „Kobiety Mocy"

„Śląska Rzecz" cieszy w Cieszynie

Do 28 lipca w Zamku Cieszyn można oglądać najlepsze projekty ósmej edycji konkursu „Śląska Rzecz", który Zamek organizuje przy wsparciu organizacji Design Silesia. W kategorii grafiki użytkowej zwyciężyła seria publikacji prawniczych „Przepisy 2012" i „Aplikacja radcowska". Dla wydawnictwa „Od. Nowa" z Bielska-Białej książki zaprojektowali Agata Korzeńska i Paweł Krzywda. Ten sam duet projektantów zdobył nagrodę Zamku Cieszyn za serię etykiet „A to dobre!" produkcji firmy „Szafran" Macieja Szafrańca z Sosnowca. Nagrodę w kategorii usług otrzymał Urząd Miasta Jaworzno oraz współpracująca z nim MS Design Pracownia Projektowa, czyli Maria Skotnicka i Agnieszka Czachowska. Autorów uhonorowano za projekt modernizacji Parku Matejki w Jaworznie „Mój jest ten kawałek parku...". Nagrodę Górnośląskiej Agencji Rozwoju Regionalnego otrzymała jasienicka firma Paged Meble i projektantka Jadwiga Husarska za krzesło pn. Bumerango. Nagrodę w kategorii produktów przyznano podestowi pożarniczemu PMT25D Skyline, wyprodukowanemu przez Inżynierię Samochodów Specjalnych Wawrzaszek z Bielska-Białej.

Jednym zdaniem

■ **26 maja na cieszyńskim Rynku odsłonięto tablicę poświęconą kursującym tam w latach 1911-1921 tramwajom.**

■ **„Jesienny pan wczesną wiosną" to tytuł spotkania autorskiego z artystą Zdzisławem Woźniakiem 8 czerwca w bielskim Saloniku Sztuk Rozmaitych „Bazyliszek".**

■ **14 czerwca na VI piętrze parkingu Galerii Sfera II artyści Teatru Polskiego zaprezentowali spektakl Magdaleny Kupryjanowicz pt. „Sferia" w reż. Katarzyny Szyngiery.**

■ **UM w Bielsku-Białej wydał tom wierszy wilamowickiej polonistki Danuty Bilczewskiej.**

■ **21 czerwca w Galerii Bielskiej BWA koncertowała formacja „Wide Open Trio", a następnego dnia zespół „Zgredybillies".**

■ **W czerwcu swe prace w Galerii Akademickiej ATH prezentowali Tomasz Jędrzejko i Alfred Biedrawa.**

■ **W czerwcu w Książnicy Beskidzkiej można było oglądać wystawy poświęcone twórczości Alfreda Szklarskiego i Witolda Lutosławskiego.**

■ **W czerwcu w bielskim Kinie na Starówce oglądaliśmy „Miesiąc filmów Petra Zelenki".**

Dał silnik lotnikom…

W Gabinecie Wybitnych Częstochowian w Muzeum Częstochowskim przygotowano wystawę „Profesor Jan Oderfeld… zaraziłem się wirusem lotnictwa". W dwóch salach upamiętniono najważniejsze etapy życia matematyka i konstruktora silników odrzutowych. Zgromadzone eksponaty pochodzą z Archiwum Politechniki Warszawskiej, Muzeum Techniki w Warszawie, Biblioteki Głównej w Warszawie oraz zbiorów IV LO.

Jan Oderfeld pochodził z rodziny zakorzenionej w naszym mieście. Jego dziadek, Adolf, założył wraz z Wilhelmem Kohnem drukarnię przy ul. Teatralnej (obecnie Waszyngtona). Później pracował tam również jego ojciec, Stanisław, doktor chemii, wynalazca i społecznik, oraz stryj, Henryk, który był grafikiem. Jan Oderfeld urodził się w 1908 r. w Częstochowie i tu ukończył męskie gimnazjum (dzisiejsze IV LO im. H. Sienkiewicza), co Częstochowski Klub Seniorów Lotników uhonorował pamiątkową tablicą.

Profesor wyznawał zasadę: „Najmniejsze niedbalstwo może spowodować katastrofę". Opowieść o jego życiu zawodowym budują zgromadzone zdjęcia, świadectwa autorskie i opisy patentowe, liczne listy gratulacyjne. W latach 1931–1933 pracował z inżynierami Józefem Sachsem i Władysławem Bernadzikiewiczem nad silnikiem odrzutowym (pulsacyjnym i turboodrzutowym), a badania finansował wówczas Julian Machleid. Skonstruował silnik „Foka" do PZL-P38 „Wilk". Nic dziwnego, że jego nazwisko pojawia się w najnowszym filmie Tomasza Gomoły „Warszawa 1935". Od 1937 r. wykładał w Warszawskiej Szkole Podchorążych Lotnictwa, a 70. spośród jego uczniów wzięło udział w bitwie o Anglię. On sam okupację spędził w kraju, zaangażowany w działania ruchu oporu. Po zakończeniu wojny podjął pracę w Wyższej Szkole Inżynierskiej im. Hipolita Wawelberga i Stanisława Rotwanda.

Pełnione przez Oderfelda funkcje można by wymieniać długo, poprzestańmy więc na kilku. Był profesorem zwyczajnym (od 1961), członkiem Polskiej Akademii Nauk, członkiem zwyczajnym Towarzystwa Naukowego Warszawskiego, jednym z pomysłodawców i organizatorów Olimpiady Wiedzy Technicznej (1973), współzałożycielem i redaktorem czasopism naukowych: „Zastosowania Matematyki", „Archiwum Budowy Maszyn". W 2008 r. otrzymał tytuł doktora honoris causa Politechniki Warszawskiej (miał wówczas 100 lat), zmarł dwa lata później, 17 marca 2010 r.

Wśród pamiątek osobistych znajdują się laurki, kartki okolicznościowe, świadectwa szkolne… oraz gabinet profesora zrekonstruowany na podstawie zdjęcia. Na jego biurku leżą telefony, okulary, na krześle wisi brązowy sweter i laska. Na ścianie zawieszono wiersz Jeżeli Kiplinga, który spełniał rolę życiowego wyznania wiary konstruktora. W trakcie oglądania wystawy można posłuchać też fragmentów autobiografii profesora, w wykonaniu dyrektora Janusza Jadczyka.

Na wernisażu obecna była córka Jana Oderfelda, prof. Barbara Oderfeld-Nowak, przedstawiciele Częstochowskiego Areoklubu (Andrzej Tejchman i Włodzimierz Skalik), poczet sztandarowy IV LO, przedstawiciele Politechniki Częstochowskiej, Urzędu Miasta, przedstawiciele organizacji kulturalnych oraz mieszkańcy.

JOANNA KOTKOWSKA

CZĘSTOCHOWA NOTATNIK KULTURALNY

Teatry alternatywne

W Częstochowie coraz aktywniej działają amatorskie grupy teatralne: grupa Wojciecha Kowalskiego przy Teatrze from Poland, ale także SKT „naJana" przy Akademii im. Jana Długosza w Częstochowie (prowadzony przez absolwentów, m.in. Jakuba Jurę), Teatr Trybik przy Politechnice Częstochowskiej (prowadzony przez Mariana Florka) czy Teatr Niezależny Tlen.

19 maja ten ostatni świętował drugą rocznicę istnienia. Grupa debiutowała w Carpe Diem 15 maja 2011 r. *Tlenem* na podstawie sztuki Iwana Wyrypajewa, w reżyserii Julii Liszewskiej. W spektaklu wystąpili Daniel Śliwakowski i Aleksandra Florczyk, a muzykę skomponowali Kacper Kapsa i Jacob Deliryk z Ace of Space. Potem były kolejne premiery. Podczas jubileuszu, oczywiście w Carpe Diem, przypomniano *Recykling* z Anką „Fugazi" Biernacką w roli głównej oraz Aleksandrą Florczyk, Klaudią Kulinicz, Joanną Kapkowską, Szymonem Motylem i Konradem Chęcińskim, a także fragmenty monodramu Klaudii Kulinicz *Perła*, przygotowanego na tegoroczną Noc Kulturalną. Warto wspomnieć, że *Recykling* grany był także w innych miastach, m.in. we Wrocławiu czy w Katowicach. Spotkanie uświetniła wystawa prac fotograficznych Jarosława Respondka, Pauliny Dziubińskiej oraz Marcina Opałczynskiego.

Obecnie Tlen pracuje także nad spektaklem *Bukareszt calling* Stefana Peca, w którym pojawi się m. in. częstochowski poeta Rafał Kwasek, a muzykę komponuje Wojtek Brodi Turbiarz.

Dookoła łowiectwa

O tym, że wystawy poświęcone myślistwu mogą wzbudzać wielkie emocje, przypomniano sobie niedawno za sprawą szumu wokół Muzeum Narodowego w Kielcach. Tych kontrowersji stara się unikać ekspozycja *Darz bór* w Pawilonie Wystawowym, przygotowana przez Muzeum Częstochowskie oraz Polski Związek Łowiecki, w 90. rocznicę jego powstania. Są tu oczywiście trofea, wypchane ptaki i ssaki, biała i palna broń… Ale przede wszystkim jest to próba dokumentowania obecności łowiectwa w kulturze. Dla wielu wciąż jest to sposób spędzania czasu, obecny w historii ludzkości od czasów plemion pierwotnych. I trudno o tym zapomnieć, mimo prób podejmowanych przez wegetarian.

Wystawa nie przypomina czasów archaicznych. Zamiast malunków zwierząt w grotach pokazano obrazy, hafty krzyżykowe, porcelanowe figurki, znaczki i medale. Motywy zwierzęce zdobią serwisy, tace, fajki, świece, bombki i pisanki. Są także naczynia wykonane specjalnie dla miłośników łowiectwa – olbrzymi kociołek na zupę, fantazyjne kieliszki, których można używać w czasie polowania, przedmioty wykonane z kości zwierząt – sztućce i przybory kuchenne, biżuteria.

Organizatorzy nie epatują okrucieństwem i nawet jeśli na ścianie wiszą czaszki, to trudno wyprzeć się drapieżnej natury *homo sapiens*. A wielu myśliwych pozostaje prawdziwymi miłośnikami przyrody.

Jazz nie tylko od święta

Od 31 maja do 2 czerwca odbywał się 9 Hot Jazz Spring, organizowany przez Stowarzyszenie Jazzu Tradycyjnego oraz Filharmonię Częstochowską. Zaczęło się Paradą Nowoorleańską z udziałem symfoników, członków Jazz Band Ball Orchestra oraz Five O'Clock.

W programie trzydniowego święta jazzu znalazł się też przemarsz Leliwy Jazz Bandu z Tarnowa (co prawda w deszczu), koncerty w filharmonii, klubach oraz w plenerze w wykonaniu Jazz Band Ball Orchestra, Sebastian Büscher Quartet oraz Neila Wilde'a, a także konkurs poświęcony jazzowi tradycyjnemu, Swingujący Kruk. W tym roku do publicznego przesłuchania wybrano 8 osób spośród 17 (5 wokalistek, dwóch pianistów i perkusistę). Zwyciężyła Magdalena Howorska (wokalistka), drugie miejsce zajął Moritz Schippers (pianista z Niemiec, występujący w niemiecko-holenderskim zespole Sebastian Büscher Quartet); trzecie – Agnieszka Maciaszyk. Jednym z jurorów był m.in. laureat Honorowego Swingującego Kruka, Wojciech Karolak, a na jego koncert przyszło wielu częstochowian i gości.

Imprezą dodatkową była zorganizowana w Filharmonii wystawa fotografii Zbigniewa Burdy, dokumentujących dotychczasowe festiwale, które złożą się na jubileuszowy album. Podczas spotkania otwarto także Jazz Klub „Five O'Clock" w jednej z sal klubu Tori, prowadzonego przez Romana Radeckiego. Będzie to miejsce spotkań i prób częstochowskich jazzmanów.

Tajemniczy Warszyc

18 maja odsłonięto pomnik kpt. Stanisława Sojczyńskiego ps. „Warszyc". Pomnik stanął na rogu ul. Wręczyckiej i św. Rocha, w miejscu jego aresztowania 27 czerwca 1946 r. Obelisk poświęcił arcybiskup Wacław Depo. Decyzję o budowie podjęli radni we wrześniu ubiegłego roku, a społecznym komitetem kierował Mieczysław Malik. Projekt przygotowali Maria i Andrzej Musialscy. Wcześniej postać Warszyca upamiętniała tablica umieszczona na ścianie kamienicy przy Alei NMP 33.

Stanisław Sojczyński to jeden z żołnierzy wyklętych, który w 1945 r. nie złożył broni i zorganizował Konspiracyjne Wojsko Polskie. Pierwszą grupę zaprzysiężono już w maju tego roku. Przed wojną Sojczyński był polonistą w Borze Zajacińskim, we wrześniu 1939 r. walczył w okolicach Hrubieszowa. Od października 1942 r. pełnił funkcję zastępcy komendanta Obwodu Radomska AK i zaatakował m.in. więzienie niemieckie w Radomsku w 1943 r., za co otrzymał Krzyż Srebrny Orderu Virtuti Militari. Wyrok na Sojczyńskim wykonano 19 lutego 1947, a uchylił go sąd w Łodzi w 1992 r.

Z postacią Warszyca częstochowianie mogli się zapoznać w trakcie wielu spotkań. Opowiadali o nim pracownicy IPN (Sławomir Maślikowski oraz Ksawery Jasiak), stał się bohaterem filmu wspomnieniowego w reżyserii Aliny Czerniakowskiej *Czy warto było tak żyć? Kpt. Stanisław Sojczyński „Warszyc" – zapomniany bohater Częstochowy*. Jednym z gości był syn „Warszyca" Stanisław Sojczyński. W Filharmonii Częstochowskiej odbył się spektakl *Do winy się nie poczuwam* Teatru Źródło z Radomska (scenariusz napisała Dorota Zawadzka na podstawie dokumentów z IPN w Łodzi).

Jednym zdaniem

■ **W Filharmonii Częstochowskiej zagrali: Maciej Maleńczuk z zespołem Psychodancing, Zakopower; Muzyczna Meta – Pink Freund, Martyna Jakubowicz; Stacherczak – Rażeni Piorunem; na placu Biegańskiego wystąpili: Robert Janowski, Makabunda (świętowanie urodzin Mieczysława Fogga); w III Alei – Michał Gasz z Michałem Roratem i Adamem Rybakiem; Antoni „Ziut" Gralak (YeShe *Piastowska 10*) z wizualizacjami Jasnejchmury oraz instalacjami Kliniki Lalek.**

■ **Gwiazdami Juwenaliów w Częstochowie byli: Oddział Zamknięty, Kobranocka, Farben Lehre, Bracia Figo Fagot, Kabaret Hrabi, Kabaret z Konopi.**

■ **W Gaude Mater odbyły się spotkania literackie z Marianem Kisielem (24 V) i Hanną Krall (5 VI).**

■ **Z okazji 100-lecia Szpitala Chirurgicznego im. Ludwika Rydygiera w Ratuszu odbyła się aukcja prac m.in. Edwarda Dwurnika, Kazimierza Mikulskiego, Jana Młodożeńca, Mariana Michalika, Jerzego Dudy-Gracza, Ryszarda Osadczego, Jacka Paluchy, Witolda Zaremby, Jacka Łydżby czy Monstfura.**

■ **Grupa Romana zajęła pierwsze miejsce podczas XVI Przeglądu Kapel w Stroniu Śląskim.**

■ **W czasie Nocy Muzeów CPM przygotowało filmy Sławomira Shutego.**

■ **Przesłuchania do IV Festiwalu Piosenek Janusza Gniatkowskiego odbyły się w Muzeum Medali i Monet Jana Pawła II, zaś finał w amfiteatrze w Żarkach Letnisku. Wystąpili tu również m.in. Krzysztof Cwynar, Tadeusz Woźniakowski, Krystyna Maciejewska, Elżbieta Wojnowska, Danuta Błażejczyk, Danuta Stankiewicz, Wojciech Korda.**

■ **Z okazji Roku Juliana Tuwima w Bibliotece Publicznej im. dr. W. Biegańskiego odbył się maraton czytelniczy *Wierszykarnia Juliana Tuwima*.**

Interesuje ich mała przedsiębiorczość

W ostatnich dniach maja w Pradze odbyło się spotkanie przedstawicieli uczelni z Republiki Czeskiej, Polski, Danii, Niemiec i Finlandii. Tematem był wspólnie realizowany, w ramach programu Unii Europejskiej „Leonardo da Vinci", projekt „Innocase – Transfer of Innovation". Jest on skierowany głównie do przedstawicieli sektora małych i średnich przedsiębiorstw.

– To drugi multikulturowy projekt unijny, w ramach programu „Leonardo da Vinci", w którym bierze udział nasza katedra – wyjaśniła Krystyna Heinz z Katedry Nauk Społecznych karwińskiego Wydziału Przedsiębiorczości i Handlu. – Na razie, w odróżnieniu od tego pierwszego projektu, studenci nie biorą w nim udziału, włączą się dopiero wtedy, kiedy powstanie tekst e-learningowy, który będzie zawierał studia przypadku. A będzie takich tekstów dwanaście. Każda partnerska uczelnia przygotuje trzy w swoim regionie – wyjaśnia i dodaje, że koordynatorką projektu z czeskiej strony jest Irena Orszulik z tej samej katedry.

– Udało nam się namówić do wzięcia udziału w tym przedsięwzięciu Tadeusza Czudka, właściciela firmy Arista, znanej na zaolziańskich „dołach" piekarni. Jego firmę będziemy stawiać za przykład, ponieważ znakomicie trzyma się na regionalnym rynku, nią też będą zajmować się studenci, którzy w przyszłości włączą się do tego studyjnego projektu – powiedziała Krystyna Heinz.

Oprócz firmy Arista, czyli piekarni Tadeusza Czudka, przystąpią do projektu kolejni dwaj miejscowi przedsiębiorcy. Trwają rozmowy i obie panie nie chciały na razie zdradzać ich nazw. – Niektóre firmy jednak nie chcą brać udziału, boją się zdradzać swoje tajemnice firmowe – podkreśliła pani Heinz.

Projekt ma pomóc firmom. Z doświadczeń przedsiębiorców będą także korzystać studenci i inni przedsiębiorcy z Danii, Finlandii i Polski. – Program ruszył w listopadzie ubiegłego roku a powinien zakończyć się w październiku 2014 r. Jego finałem będzie konferencja naukowa. Teraz musimy „zdydaktyzować" cały projekt – stwierdziła Irena Orszulik.

Głównym uczestnikiem ze strony polskiej jest Politechnika Gdańska, pracami koordynuje Małgorzata Zięba z Zakładu Zarządzania Wiedzą i Informacją. – Projekt koncentruje się głównie na potrzebie podnoszenia kwalifikacji pedagogów w dziedzinie metodologii studiów przypadku, stosowanej w edukacji biznesowej, jest on kierowany również do przedstawicieli sektora małych i średnich przedsiębiorstw. Projekt ma także na celu wypełnienie luki w zakresie szkoleń dostosowanych do potrzeb przedsiębiorców, wykorzystanie metodologii do celów szkoleń właścicieli małych i średnich firm i łączenie problemów edukacyjnych z aktualnymi problemami biznesowymi – informuje wykładowczyni z Gdańska.

– W najbliższym czasie będziemy spotykać się z wytypowanymi firmami i postaramy się tworzyć tzw. studia przypadku. Na razie jednak, oprócz wspomnianej już piekarni nie zdradzę pozostałych uczestników programu. Zapewniam jednak, że czytelnicy „Głosu Ludu" i „Śląska" o konkretach dowiedzą się we właściwym czasie, najpóźniej przed kończącą projekt konferencją naukową – zapewniła Irena Orszulik.

JACEK SIKORA

ZAOLZIE NOTATNIK KULTURALNY

Gimnazjalna poezja w „Dziupli"

Poezja młodych gimnazjalistów przyciągnęła wiele osób w sobotni wieczór, 1 czerwca, do czeskocieszyńskiej „Dziupli", impreza odbywała się w ramach XI Dni Kultury Studenckiej. Wierszom Kristiny Mai Chlup, Piotra Cieleckiego, Patrycji Siwek i Michała Zawadzkiego towarzyszyła muzyka w wykonaniu braci Jana i Wiktora Kowalczyków, a o konferansjerkę zadbali Barbara Owczarzy i Sebastian André Garcia N'Dua.

Przewodniczką młodych poetów, po nie zawsze łatwych meandrach poezji, jest poetka Renata Putzlacher. – Zaczęło się od spotkań z literaturą polską w Gimnazjum Polskim – powiedziała. – Zaproponowano mi, żebym poprowadziła, z myślą o maturzystach, zajęcia z polskiej literatury współczesnej. Ale zaczęła tam też przychodzić grupa ludzi piszących. Jak widać: wrażliwych, utalentowanych, którzy starają się mówić o tym, co ich boli, cieszy, interesuje... – podkreśliła poetka.

Większość wierszy podczas spotkania zabrzmiała jednak... po czesku. – Trudno mi było na to wpłynąć. Ta generacja poetów mówi, że język polski stoi dla nich na piedestale, jest taki romantyczny. I że dla nich, pokolenia esemesów, Facebooka, wiersz polski należałoby rozpocząć od słów: „Smutno mi, Boże", że po polsku należy pisać tylko wielką poezję odświętną. Ci ludzie, po prostu, nie znają normalnego, żywego języka polskiego, którym posługują się w poezji ich rówieśnicy za Olzą. Piszą więc po czesku. Wydaje mi się, i boleję nad tym, że pokolenie poetyckie, do którego należę, było ostatnim, które pisało poezję swobodnie po polsku – stwierdziła Putzlacher.

Młodym poetom podziękował m.in. dyrektor Gimnazjum Polskiego w Czeskim Cieszynie, Andrzej Bizoń. – Zawsze mogą liczyć na moją pomoc – podkreślił.

Historia wioski w remizie

Władze Gródku zaproponowały nie tylko swoim mieszkańcom Muzeum Gminne. Mieści się ono w lokalach Centrum Informacji Turystycznej, w budynku byłej remizy strażackiej.

– Postanowiliśmy zaprezentować tam historyczne eksponaty ściśle powiązane z historią naszej wioski – mówi wicewójt Jakub Kawulok. – Są tam zdjęcia, dokumenty historyczne, a przede wszystkim sprzęty gospodarstwa domowego (między innymi żarna), motocykle, na których jeździli kiedyś głównie młodzi ludzie, są silniki elektryczne, a nawet maszyny do pisania. Wystawę przygotował pracownik gminy Jarosław Przeczek ze swoimi kolegami. Warto dodać, że wszystkie motory są sprawne.

Wójt podkreśla, że eksponatów jest tyle, iż brakuje dla nich miejsca. A ludzie ciągle przynoszą nowe. – Dlatego tę ekspozycję będziemy na bieżąco zmieniać, żeby to muzeum nie znudziło się – śmieje się Kawulok.

Muzeum można zwiedzać codziennie oprócz poniedziałków. W dni robocze od godz. 14.00 do 15.00, zaś podczas weekendów od 8.00 do 9.00.

Syrenka przypłynęła aż nad Olzę

A miała się zamienić w morską pianę, zgodnie z tym, jak pisał w jednej z najpiękniejszych baśni, Hans Christian Andersen. Nad Olzą jest bardziej optymistycznie. W przedstawieniu Teatru Cieszyńskiego miłość pokonuje zło i śmierć, a *Syrenka, Ariel* i *Książę* odchodzą w świat...

Nadolziański teatr przygotował w maju dla swoich widzów miłą niespodziankę. Do sobotniej premiery baśni „Mała syrenka", zrealizowanej na podstawie tekstu Andersena, reżyser przedstawienia, Monika Gerboc, zaprosiła po raz pierwszy w historii nadolziańskiego teatru na scenę aktorów obu jego polskich zespołów: Sceny Polskiej i Sceny Lalek „Bajka". Jak zapewnili ich kierownicy artystyczni, Bogdan Kokotek i Jakub Tomoszek, to spektakl dla wszystkich widzów, od... 3 do 103 lat.

– Co jakiś czas przygotowujemy na naszej scenie bajkę. Ale tym razem chodzi naprawdę o nowość: tworzymy coś pięknego dla was wszystkich – zapewnił Kokotek. A jest co oglądać: piękne i barwne kostiumy oraz pomysłowe lalki, niezwykła i atrakcyjna scenografia – wspaniale dopełniająca to, co dzieje się na scenie, sporo piosenek i tańców – jak to w baśni muzycznej bywa. Jest też inne niż w Andersenowskim oryginale zakończenie, inne, bo... optymistyczne. Miłość przecież musi zwyciężyć. Mówi o tym finałowa piosenka (*nb.* szkoda, że to chyba jedyna, która może wpaść w dziecięce ucho i zmusić małych widzów do śpiewu i wspólnego klaskania).

Jak mówi reżyser Monika Gerboc (pochodzi ze Słowacji, mieszka i pracuje w niemieckim Cottbus, czyli w Łużycach), praca z obu zespołami TC była dla niej dużym wyzwaniem. – W projekt zaangażowana jest ogromna grupa ludzi. Połączenie obu zespołów przy realizacji „Małej syrenki" jest źródłem doświadczeń dla każdego a aktorzy uczą się także wzajemnego szacunku dla swej pracy – uważa Gerboc.

Jednym zdaniem

■ **Prezydent Miloš Zeman we wtorek 25 czerwca mianował nowego premiera. Pochodzący z morawsko-śląskiego regionu ekonomista Jiří Rusnok ma za zadanie utworzenie gabinetu fachowców.**

■ **29 czerwca Telewizja Czeska rozpoczęła emisję 4-odcinkowego serialu „Cyryl i Metody – Apostołowie Słowian", nakręconego z okazji 1150. rocznicy przybycia greckich mnichów na Morawy. Sceny do filmu kręcono w marcu w Archeoparku w Kocobędzu-Podoborze.**

■ **Polka z Zaolzia, Dolores Czudek, dyrektor warsztatów chronionych „Ergon" w Trzyńcu, posiadająca tytuł Społeczny Przedsiębiorca Roku 2011 Republiki Czeskiej, została morawsko-śląskim ambasadorem przedsiębiorczości społecznej.**

■ **Zwyczaje najkrótszej nocy w roku, czyli nocy świętojańskiej, celebrowano w sobotę 22 czerwca w Bystrzycy. Głuchówką popłynęły wianki, a po zmroku rozpoczęto poszukiwania tajemniczego kwiatu paproci.**

■ **W Trzyńcu-Łyżbicach, dla niewtajemniczonych, w samym centrum miasta otwarto wyczekiwany przez wszystkich od ponad 50 lat, przystanek kolejowy.**

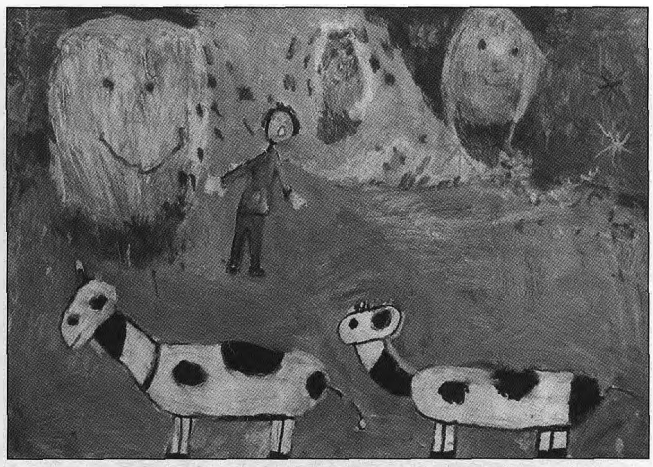
■ **Komitet Przygotowawczy Gorolskigo Święta spotkał się 19 czerwca w Domu PZKO w Jabłonkowie z prezesami okolicznych kół PZKO. Tematem było przygotowanie tegorocznego „Gorola".**

■ **Uczniowie Polskiej Szkoły Podstawowej im. Stanisława Hadyny w Bystrzycy już tydzień wcześniej cieszyli się wakacjami. Rok szkolny skrócił się w „Hadynówce" ze względu na rozpoczynający się remont budynku szkolnego.**

■ **Kongres Polaków w RC również w tym roku organizuje dla młodzieży szkół średnich oraz starszej warsztaty „Spotkania teatralno-filmowe". Odbędą się one 18-25 sierpnia na koszarzyskich Pasieczkach.**

■ **W czerwcu minęło 10 lat od czasu, kiedy w Czeskim Cieszynie przy ulicy Čapka rozpoczął swoją działalność Klub Polskiej Prasy i Książki, popularnie zwany polską księgarnią lub księgarnią Wirthów.**

■ **„Weekend z...", farsa angielskiego autora Robina Hawdona, pełna śmiesznych nieporozumień, niedomówień i zaskakujących zwrotów akcji, była ostatnią w sezonie 2012/2013 premierą Sceny Polskiej Teatru w Czeskim Cieszynie.**



Agata Kania, lat 9, „Nocnice", III nagroda w grupie wiekowej 7 – 10 lat, Pszczyńskie Centrum Kultury, opiekun Bożena Ananicz

Straszki, czyli inny Śląsk

Nocnice, meluzyny, beboki, świetle, utopce – czy jeszcze kogoś dziś fascynuje świat śląskich *straszków*? Codzienność – zwłaszcza ta telewizyjno-internetowa, obfituje w straszydła, monstra i inne szkarady, które skutecznie zawłaszczają wyobraźnię dziecka. Bez żadnego wysiłku intelektualnego. Są przecież gotowe: mają kształt, ubiór, specyficznie się zachowują i mówią, reprezentują określony świat wartości. Nie sposób w tę zastaną i spreparowaną rzeczywistość ingerować, czy cokolwiek w niej zmieniać – służy zabawie – chwilowej, bo za niedługo sztaby marketingowców wypuszczą w świat nową serię postaci – tamte się zdezaktualizują i staną... niemodne. Niemodna wyobraźnia, niemodny świat – dla młodych ludzi to – jak mawiają – prawdziwy obciach nie być na bieżąco z modą. Nie przywiązują się więc do swoich „bohaterów", nie rozmawiają o tym, co symbolizują, jakim hołdują wartościom, według jakich zasad (jeśli w ogóle je mają) porządkują świat.

Jak ważne jest znalezienie dobrego pomysłu, który w krąg dziecięcej wyobraźni wprowadziłby legendy, bajki, przypowiastki, mityczny świat ludowych wierzeń i *przywiarek* pokazuje artysta plastyk Sonia Pryszcz-Botor, która od kilku lat przygotowuje ogólnopolski konkurs malarski. Jego bohaterami nie są wieloczynnościowe monstery, ale właśnie straszki śląskie. Można by powiedzieć, że konkursów jest wiele, a każda szkoła, każdy nauczyciel plastyki typuje na różnorodne eliminacje prace bardziej uzdolnionych uczniów, a więc także i na „Straszki śląskie". Zdawać by się mogło, że to konkurs, jak każdy inny – regulamin, prace konkursowe, nagrody i wpis ewentualnego sukcesu na świadectwo ucznia. Nic bardziej mylnego. „Straszki śląskie" to ogromna „machina" edukacyjna, w którą Sonia Pryszcz-Botor nie tylko wciągnęła Miejski Dom Kultury „Południe" w Katowicach (związana jest z nim od lat), ale także z myślą o tych, którzy będą przygotowywać młodych malarzy do świadomego wyboru bohaterów ich prac malarskich, stworzyła odpowiednią bazę literacką. W pierwszym rzędzie opracowania nieocenionego Alojzego Lyski, a także wielu etnografów, etnologów i kulturoznawców.

„Straszki śląskie" to również szeroko zakrojony program edukacyjny dla nauczycieli: warsztaty, spotkania m.in. z Alojzym Lysko, Markiem Szołtyskiem, Barbarą i Adamem Podgórskimi. Uczestnicy otrzymują także cenną pomoc w postaci gotowych scenariuszy lekcji, dość mocno już zapomnianego a przede wszystkim nie docenianego w szkołach, regionalizmu.

Działania te spotkały się z wysoką oceną Narodowego Centrum Kultury, które w ramach programu „Kultura – interwencje" przyznało projektowi dofinansowanie.

Poznawanie śląskich legend (nie tylko o skarbniku, duchu kopalnianych podziemi), otwieranie przed dziećmi nieznanych im światów – to tylko część owej „machiny" zwanej „Straszkami śląskimi". Sonia Pryszcz-Botor w założeniach projektu dostrzegła także możliwość zaszczepienia w młodych umysłach chęci postrzegania Śląska nie poprzez wciąż pokutujący stereotyp szaro-czarnego krajobrazu z dymiącymi kominami i kopalnianymi szybami na horyzoncie, ale jako miejsca niezwykłego, ciekawego ale przede wszystkim nadzwyczajnie barwnego. Śląska, jakim widzieli go m.in. malarze Grupy Janowskiej. Żywych, jaskrawych, czasami nawet krzyczących kolorów wokół nie brakuje. Cienistych lasów, wielobarwnych łąk, soczystej zieleni, błękitnych niezapominajek, złocistych kaczeńców, kolorowych chabrów i maków, srebrzystych strumieni... szukać nie trzeba, są niemal wszędzie. Wystarczy umiejętnie patrzeć, wynajdywać niezwykłości, bo to one kształtują wrażliwość, także plastyczną. Okolice, z którymi związana jest od dzieciństwa pani Sonia, malownicze okolice Podlesia, Kostuchny i Murcek, artystka uznała za znakomity plener malarski, w którym puszczone wodze dziecięcej fantazji mogą ożywić legendarne *beboki*, wciągając je w odwieczne zmagania dobra ze złem.

Bo jakże inny jest świat, kiedy można uruchomić własną wyobraźnię, nadać owym wyimaginowanym (a traktowanym bardzo poważnie, także przez dorosłych) postaciom kształt, kolor, cechy charakteru – te dobre i te złe, zmusić do podejmowania trudnych decyzji, ustawić hierarchię wartości, gdzie na właściwych miejscach znajdą się te najważniejsze, nie unikając nawet czasem surowych kar czy napomnień. Ten aspekt wychowawczy pojawia się tu jednak dyskretnie i stanowi dodatkową wartość projektu.

Sonia Pryszcz-Botor wraz z Bogdanem Kallusem, dyrektorem MDK „Południe" postrzegają także konkurs jeszcze w innym kontekście. Próbują odpowiedzieć na pytanie: jak przedsięwzięcie wpisuje się nie tylko w świat dawnych wierzeń i podań ludowych, ale także malarstwa nieprofesjonalnego z jego twórcami i „ideologami", artystami wspomnianej Grupy Janowskiej – Pawłem Wróblem, Teofilem Ociepką czy trwającym po dziś dzień przy sztalugach Erwinem Sówką. Świat ten przecież nie odszedł w zapomnienie, zaprząta wyobraźnię wielu artystów, wystarczy przywołać dzieła Romana Nygi. Dlatego też jurorami oceniającymi prace nadesłane na konkurs są m.in. malarze i graficy – profesorowie Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach, którzy w autorach prac potrafią dostrzec rodzące się talenty malarskie, wyłuskać nieprzeciętną wyobraźnię, docenić umiejętności warsztatowe, co (jak w przypadku prac nadesłanych przez Pszczyńskie Centrum Kultury) jest także zasługą tych, którzy na co dzień pracują z dziećmi.

Śląskie straszki to – zdaniem Soni Pryszcz-Botor – świat ciągle nieodkryty i niewykorzystany, także pod względem promocyjnym dla Śląska. Artystka przedsięwzięcie podbudowała autorskim opracowaniem pt. *Promocja śląskiej mitologii ludowej na przykładzie Ogólnopolskiego Konkursu Malarskiego dla Dzieci i Młodzieży „Straszki śląskie" – bohaterowie legend, bajek i przywiarek. Studium przypadku*. Autorka wskazuje jak odrzucić stereotypowe zachowania, jak zaangażować nie tylko dzieci, ale ich rodziców, dziadków, miłośników tradycji w różnym wieku, jak zarazić ich nowym myśleniem o regionie, i co ważne – o sztuce. Nie chodzi tylko o inspirację potencjalnych twórców, ale także o przygotowanie świadomych, wrażliwych i wymagających jej odbiorców. A że przy tym jest wiele zabawy, radości i spontanicznych emocji, to tylko dobrze służy owej puszczonej w ruch „machnie" zwanej „Straszkami śląskimi".



Zdjęcia: MDK „Południe" Katowice

„Straszki śląskie" to konkurs, który łączy pokolenia, także tradycję z nowoczesnością, wyzwala emocje i pobudza wyobraźnię, dając każdemu wiele satysfakcji.

WIESŁAWA KONOPELSKA



Laureaci konkursu „Praca Roku 2012" (od lewej): Marek Głowacki, Adam Pociecha i Karol Wieczorek.

Rysunek doceniony

Trwanie – rysunek Adama Pociechy zostało nagrodzone Grand Prix podczas tegorocznej edycji konkursu „Praca Roku" organizowanego od 23 lat przez Okręg Śląski ZPAP. Znakomity grafik, twórca misternych akwafort, zaproponował temat z obszaru, któremu od lat poświęca wiele uwagi. To motywy biblijne a także związane z chrześcijańskimi korzeniami sztuki europejskiej. Tym razem zrezygnował z ulubionej techniki graficznej na rzecz subtelnego rysunku. Swą charakterystyczną zagęszczoną, lecz delikatną kreską uformował zespół postaci w modlitewnych pozach wyczekiwania, trwania. W tle umieścił arkady jakiejś budowli – zapewne świątyni. Niezwykle ciekawie, ledwo zarysowując kontury pokazał w formie całunu twarz Chrystusa. Odwieczne trwanie przeniósł więc w czas współczesny, kiedy to nie słabnie zainteresowanie owym niezwykłym, biblijnym płótnem z wizerunkiem zdążającego na Golgotę Jezusa. Metafora zamknięta w monochromatycznym, ujmującym swą prostotą rysunku.

Kolejna nagrodzona praca – jak napisał w słowie wstępnym do katalogu wystawy ks. dr Henryk Pyka „wypowiedź Karola Wieczorka może wydawać się kontrą dla pozostałych dwu opracowań". *Tatoo 5* Karola Wieczorka artysty charakterystycznego, osobnego w kontekście całego środowiska plastycznego Śląska, przedstawia nastoletniego, nagiego chłopca. Można się domyślać, że jest formą autoportretu, powrotem do lat, kiedy to w młodym organizmie buzowały hormony, a nie obdarzony przez naturę ani urodą ani odpowiednimi proporcjami ciała chłopiec – jak inni w jego wieku – ocenia swoją atrakcyjność poprzez seksualność. Wielkie stopy i dłonie, okulary na nosie raczej nie sposobiły właściciela tej postury do zachwytów nad sobą. Umieszczony w centrum obrazu chłopiec sprawia wrażenie stojącego przed lustrem. To przywołanie z pamięci czasu minionego, konfrontacja z czasem obecnym – czy jest to pytanie o przemijanie, o miejsce, w którym znajduje się artysta po wielu latach? Chłopiec z rysunku Wieczorka nie wstydzi się swojej nagości – tej fizycznej i tej psychicznej. Jest otwartą księgą, w której czas wytatuuje swoje znaki.

I wreszcie *Nie ma mostu nad Styksem* – rysunek Marka Głowackiego poruszający temat przekraczania granicy życia i śmierci. Dwa elementy zwracają uwagę w tej pracy: to wyeksponowana twarz młodej dziewczyny (chociaż niepełna, bez oczu, można domyślić się jej młodego wieku) z pustą, bielejącą otchłanią w otwartych ustach. Czy to współczesna Thanatos, zabierająca życie nie tylko starcom, których na obrazie symbolizuje wiele splecionych kościstych dłoni? Śmierć nie ma wieku zdaje się mówić autor.

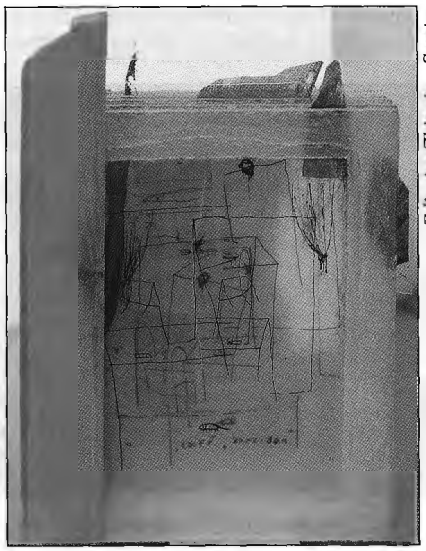
Każdy z tych trzech rysunków jest inny, każdy jednak krąży wokół tematu trwania, naszego tu i teraz, niezależnie od wieku twórcy. Rzec można, że to przedstawiciele trzech pokoleń (najmłodszy jest Marek Głowacki, średnie pokolenie reprezentuje Adam Pociecha, Karol Wieczorek to artysta dojrzały), którzy na swój sposób, adekwatny do wieku, interpretują przemijanie.

Wystawa przyniosła jeszcze kilka innych interesujących prac, także rysunków. Z pewnością uwagę zwraca rysunek Moniki Hartman *Graviditas obsoleta,* którym przy pomocy miękkiej kreski kontynuuje swój temat macierzyństwa, kobiecości, płodności i życia. Janusz Karbowniczek również zaproponował rysunek. Jego dyptyk *Napięcia i emocje* nawiązuje do tworzonych przez tego artystę grafik. Bardzo odpowiednia wydaje się technika rysunku zastosowana przez Damiana Pietrka w *Postindustrialnych poplątańcach.* I jeszcze rysunek w szczególnym wydaniu – czarna kreska na szkle Jerzego Beceli. Tym razem to *Album – VII,* czyli szklane płyty złączone symbolicznie drewnianym grzbietem, nawiązujące formą do najdawniejszych albumów z fotografiami. Dzięki przezroczystości poszczególnych „stron" zapisane zdarzenia przenikają się. Jest więc praca Jerzego Beceli-grafika kolejnym wariantem na temat jego szklanych książek, przystanków, bestiariuszy. To bez wątpienia jedyny artysta uprawiający grafikę i rysunek w takiej postaci.

„Praca Roku 2012" przyniosła także dzieła malarskie. Jak zawsze zachwycała Elżbieta Kuraj – tym razem czerwieniami *Zapachu róży.* Charakterystyczny sposób malowania Alberta Oszka powrócił w jego *Pokusie.* Oszek wraz ze swymi karykaturalnymi postaciami i światem gadżetów współczesnego człowieka-konsumenta pozostaje w kręgu tematyki społecznej. Tworzy obrazy wyraziste, denerwujące, krytyczne, zaczepne – w pełni oddające atmosferę chociażby bezimiennych internetowych for. Bycie anonimowym w hedonistycznym świecie XXI wieku – ze wszystkimi jego przywarami i nieokiełznanymi pragnieniami. Oszek zdaje się krzyczeć ze swych obrazów: konsumuję, więc jestem!

Każda z prezentowanych prac zasługiwałaby na odrębny komentarz. Bogactwo tematyki, różnorodność przedstawionych światów, także technik – od rysunku, po grafikę warsztatową, malarstwo, instalację, techniki własne, wreszcie rzeźbę reprezentowaną przez Wojciecha Grzywaczyka, Arianę Kotowską-Sarapatę i Jacka Sarapatę pokazuje, jak różnorodnych artystów skupia katowicki ZPAP. I wreszcie warte zapamiętania jest ostanie zdanie ze wspomnianego tekstu ks. Henryka Pyki – historyka sztuki: „Artysta wizualny może więcej. Tam gdzie już wszystko zostało powiedziane i pozostaje tylko milczenie, jest jeszcze miejsce na obraz".

WIESŁAWA KONOPELSKA



Jerzy Becela, „Album – VII", szkło

Zdjęcia: Zbigniew Sawicz



GRAND PRIX Urzędu Marszałkowskiego Województwa Śląskiego, Adam Pociecha, *Trwanie*, rysunek



Elżbieta Kuraj, *Zapach róży*, olej, akryl



Jacek Sarapata, *Zakręceni*, rzeźba

PRACA ROKU 2012

20 lat

Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska
i Gospodarki Wodnej w Katowicach

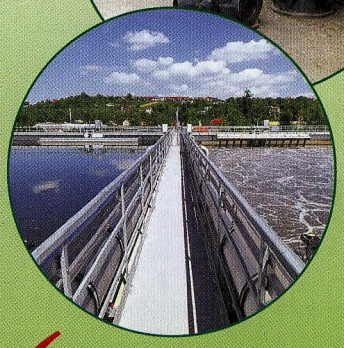
W ciągu 20 lat działalności w regionie dzięki wsparciu finansowemu WFOŚiGW w Katowicach w wysokości 5,65 mld zł:



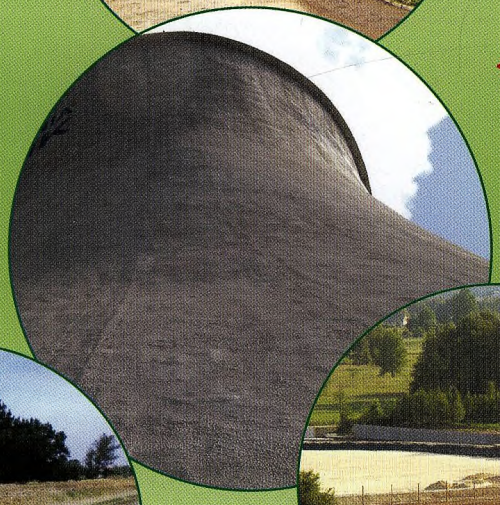
wybudowano
3 779 km
sieci kanalizacyjnych

wybudowano **771 km**
sieci wodociągowych





ograniczono emisję
dwutlenku węgla
o **1 097 003 ton**



wybudowano i zmodernizowano
89 oczyszczalni ścieków
o łącznej przepustowości
464 652 m³/dobę





wybudowano
i zmodernizowano
składowiska odpadów
o pojemności **4 288 771 m³**

odbudowano i wyremontowano
74 km koryt rzek, potoków
oraz wałów przeciwpowodziowych

20 LAT | W TROSCE O ŚRODOWISKO
WFOŚiGW